**Paweł Szumił**

**SZCZĄTKI RAJU**

**Tom VI cyklu**

**SŁOWO O SMOKU**

**Tłumaczył z rosyjskiego**

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** ОСКОЛКИ ЭДЕМА

– Słyszysz mnie, pa?

Ależ boli!

– Pa, czy mnie słyszysz? Daj jakoś znać.

Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? Dlaczego tak boli?

– No, daj jakiś znak!

Kim jestem? Jestem Mrok. Czyżbym trafił do piwnicy Chińczyka? W takim razie nie ruszać się. Im dłużej się nie ruszam, tym dłużej żyję. Kto tam płacze? Tak pali… Co oni ze mną zrobili? Wsadzili dupą w ognisko? W sam raz w stylu Chińczyka. Stop! Przecież Chińczyka spalili. W jego własnym domu. Kiedy leżałem w szpitalu.

– Tato, czy ty w ogóle cokolwiek słyszysz?

Niechby chociaż umilkła! I tak nie mogę myśleć, a tu jeszcze ten szum nad uchem. Nazywa mnie tatą? Nie, nikt nie może mnie tak nazywać. Dzieci nie miałem, a Głowaczka mi zabrali. Gdzie jestem? Byłem w szpitalu, potem poleciałem na przedgórze, na północny zachód. Mam dom, szopę na drwa, płot. Jakby było od kogo się odgradzać! Ani żywej duszy w promieniu setek kilometrów. Płot zwaliła Catherine! Przyleciała z Głowaczkiem, to głos tej drugiej!

– Głowaczku, to ty? – Dlaczego nie słyszę własnego głosu?

– Tato, ja widzę! Jeśli mnie słyszysz, spróbuj jeszcze raz poruszyć językiem. Dwa razy, żebym dokładnie wiedziała.

No i porozmawialiśmy. Ale co się ze mną stało? Głowaczek przyleciała do mnie z Catherine, chciała zrobić ze mnie smoka. Zgodziłem się? Oczywiście. Czyżby coś się nie udało? Nie, przecież pamiętam, jak uczyłem się latać. Może się rozbiłem? Złamałem kręgosłup?

– Nic się nie bój, pa. Niedługo będziesz jak nowy. My, smoki, jeśli od razu nie wykitujemy, to znaczy, że przeżyliśmy. Pamiętasz, w jakim stanie mnie wziąłeś – i nic. A tobie brakuje tylko koniuszka ogona.

Przyjemnie słyszeć. Czyli to nie tyłek w ognisku, tylko straciłem koniuszek ogona. W takim razie, dlaczego nie mogę otworzyć oczu i nie czuję rąk i nóg? Do diabła, teraz nie mam rąk i nóg, tylko łapy. A to, co pali na plecach, to skrzydła. Co się ze mną stało?

– O mamę się nie bój. Z nią też wszystko w porządku, żyje i zdrowieje. Dłużej leżała w wodzie, dlatego odtajała szybciej. Pierwszy raz odzyskała przytomność jeszcze wczoraj.

Aha, czyli ja też odtajałem. A przedtem leżałem w wodzie. A jeszcze przed tym ogon mi poszatkowali. Że też musiałem wejść w takie gówno! Ale co się właściwie stało? Po kolei. Ja, Mrok, stałem się ciemnozielonym smokiem. O męskim odcieniu, jak mówi Catherine. Mieszkaliśmy na Smaltusie i uczyliśmy się, jak być smokami. Ściślej to Catherine, która była o miesiąc przede mną, mnie uczyła. Potem pojawiła się ta zwariowana Elana i powiedziała, że musimy zniknąć, gdyż zaczęto się nami interesować. Bardzo dziwna smoczyca. Czarna, oczy olbrzymie, to ani sekundy nie może ustać spokojnie, patrzy z ukosa na swoje plecy, to na kilka minut zamrze, zaśnie z otwartymi oczami. A wyraża się… Takie słowa wyszły z użycia trzysta lat temu, a w jej mowie brzmią prosto i naturalnie.No i ma w sobie coś z Maggie i Catherine. Nie, chyba ze wszystkich kobiet Strefy. Trzeba zapytać Głowaczka, niech zasięgnie informacji. Może nie tylko ja z Catherine uciekliśmy ze Strefy w ciałach smoków? To wyjaśniałoby, dlaczego nas uprzedziła. Dowiedzą się, kim jesteśmy, zaczną wyjaśniaći po nitce dotrą do niej. Szkoda, nie mogę Głowaczka zapytać. Zresztą ona już nie nazywa się Głowaczek, tylko Lobasti z Bunkierzonii. No i co ona by mi odpowiedziała? Że mam kolejny atak paranoi. Manii prześladowczej. Że przed smokami ja i Catherine jesteśmy czyści, nie mamy się czego bać, a ludzi w swoje smocze problemy nie będą wtajemniczać. Za to ona sama siedzi w tym po uszy, i to zarówno według miary ludzkiej, jak i smoczej.I że to wszystko przejaw mojego wychowania.

I udaliśmy się na Regię. To było bardzo podobne do ucieczki. Zdjęliśmy bransolety z lewego ramienia i przeskoczyliśmy pół zamieszkałego kosmosu. Na Regii Lobasti zdobyła skądś przez znajomych odrapany kuter desantowy z deltoidalnym skrzydłem do lotów w atmosferze i umówiła się, żeby przesłali nas przez zero-t w okolice Kwantora. Ale zamiast tego trafiliśmy diabli wiedzą gdzie i w dodatku bez zero-łączności. Zero-latarni tam też nie było, a według gwiazd nikt z nas nie potrafił…

– Tato, odetchnij głębiej. Daję narkozę. Potrzebujesz jak najwięcej snu.

Ależ nie w porę! Prawie wszystko sobie przypomniałem. Pozostał ostatni wysiłek.

– Tato, bardzo cię boli? Nie wyłączaj się, ja ci błonę dokładnie zaszyłam, będziesz mógł latać już za trzy dni.

Biorę się w garść i przestaję jęczeć. Więc nie tylko straciłem ogon, ale i rozdarło mi błonę. Ale jaką błonę? Bębenkową? Przecież nawet wtedy dobrze słyszałem. Mówiła coś o lataniu… Skrzydło! Że też od razu nie zrozumiałem! Przecież to nie ucho mnie boli… Chyba tylko uszy mnie nie bolą. No, co tak umilkłaś! Mów, opowiadaj, co tam jeszcze mam nie w porządku!

– Kiedy gruchnęliśmy, odpadło ci kawałeczek ogona. Taki malutki, mniej więcej półtorametrowy. Ale nie bój się. Najpierw zeszyłam naczynia krwionośne, a potem całą resztę. I on już ożył. Cały spuchł, zrobił się niebieski i bardzo gorący, a to znaczy, że wszystko w porządku.

Dobrze, że jeszcze mi tam się nie zregenerowały nerwy, bo krzyczałbym na cały głos.

Dziękuję, kochana. Ty zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć. Ale gdzie myśmy tak gruchnęli, aż mi pół ogona odpadło, a skrzydełko się rozdarło? Odpadło dlatego, że byłem zamrożony, a potem odtajałem. A dlaczego byłem zamrożony? Dlatego, że mieliśmy tlenu zaledwie na miesiąc. Omówiliśmy wszystko i postanowiliśmy: tego, co trojgu wystarczy na miesiąc, jednemu wystarczy na trzy. A dwoje – do lodówki. Kto ma pozostać, było jasne: kutrem umiała kierować tylko Lobasti. Ja nie siedziałem w fotelu pilota od sześćdziesięciu lat i nic z tego już nie pamiętam. W każdym razie mieliśmy jedną szansę na sto. Może nawet na tysiąc. Ale jeśli oddycham, to znaczy, że Lobasti jej nie przepuściła. Zdążyła doprowadzić kuter do tej gwiazdeczki i znaleźć przy niej planetę z tlenową atmosferą.

– Jesteś zuch, Lobasti. – Uff, już mogę mówić!

– Tato, ty sobie nawet nie wyobrażasz, jakim jestem zuchem! Sama jeszcze z trudem to sobie wyobrażam! Trzeba będzie postawić mi pomnik z granitu. Całe trzy miesiące leciałam z przyśpieszeniem pięć g. Rozpędzałam się i hamowałam na pięciu g! Wyhuśtałam się i tak napompowałam, że mogę cię podnieść jedną łapą i trzymać na wyciągniętej całą godzinę. Wyobrażasz sobie: ląduję, a tu w akumulatorach pusto, w bakach pusto, a tlenu w ostatnim skafandrze na dziesięć godzin. Lecę ślizgiem, a pode mną cały czas ocean. Kiedy w końcu zobaczyłam tą wysepkę, skręciłam tak ostro, aż wpadłam w korkociąg. Kuter gruchnął w wodę niedaleko brzegu i wtedy wam obojgu połamało ogony. Sterczały z kontenerów. Nie dopatrzyliśmy, żeby dokładniej się zwinąć. Ledwie zdążyłam was wyładować, kiedy kuter zatonął. Tak więc z rzeczy mamy tylko to, co miałam na sobie – czyli pas z apteczką. Nawet okularów nie miałam. Póki leciałam na pięciu g, nie nosiłam nawet pasa. A potem nie było już kiedy zbierać rzeczy. Zawaliłam, ale kiedy tlenu w powietrzu jest mniej niż pięć procent, chodzisz jakbyś dostał po głowie, o niczym nie myślisz.

Paple, a dla mnie każdy dźwięk – to akurat jak młotkiem po głowie. I nie można jej poprosić, żeby się zatkała, bo się obrazi.

– Wyjaśniłaś, gdzie jesteśmy?

– Oczywiście, tato.

– No i dokąd nas zaniosło?

– Nie wiem. W naszym wszechświecie tej gwiazdy nie ma. Wszystkie sąsiednie są, a ta nie.

– Rozumiem... Nieźle to wymyślili…

– Kto, papo?

– Platan, Dorian, może jeszcze ktoś? Słyszałaś o jednokomorowym zero-t? Wyrzucili nas do jednego z równoległych continuów. Zapomnij o naszym świecie, malutka. Platan mówił, że to droga bez powrotu.

– Masz naprawdę bzika z tą manią prześladowczą. Oni mają ważniejsze sprawy.

– Lobasti, zapominasz, kim jesteśmy. Ja i Catherine jesteśmy zbiegami, a ty naszą wspólniczką. Przygotowali nam pułapkę, postraszyli, żebyśmy sami w nią wleźli, co też zrobiliśmy. Operacja przeprowadzona czysto i zgodnie z zasadami, uwierz specjaliście. Chylę przed nimi czoła.

– Tato, wybacz, ale jesteś głupi. Byłeś człowiekiem i pozostałeś nim. Smoki nie robią pułapek jeden na drugiego. Są ponad to.

– A może i masz rację. Operacja nie poszła im tak gładko. Żyjemy i nawet znaleźliśmy planetę, nadającą się do zamieszkania. Pewnie pułapkę przygotowali ludzie, a nie smoki.

– Omal nie zapomniałam cię zapytać, co ci odpowiedziała mama, kiedy jej podałeś swoje poprzednie imię?

– Obiecała zabić mnie przy okazji. A dlaczego o to pytasz?

– Boi się, że umarłeś, a ja to przed nią ukrywam.

– Więc przypomnij jej, że w pierwszą naszą noc rzuciła się w pościel, zwinęła się w kłębek i zaraz zasnęła. Do rana dyszała mi w ucho, nie zbudziła się nawet, kiedy odchodziłem. Ale gdzie właściwie ona teraz jest?

– W sąsiedniej jaskini. Nie znalazłam tu ani jednej dziury, do której zmieścilibyście się oboje. Ściślej: jest jedna, ale przypływ ją zalewa. A teraz śpij. Daję narkozę.

Zaczyna mi się kręcić w głowie, realność stopniowo odpływa.

Smoczyca wypełzła przez wąskie wyjście z pieczary, obejrzała zachmurzone niebo, z wysiłkiem zawaliła wejście dużym głazem. Posiedziała, odpoczęła i poszła sprawdzać drugą grotę.

– To ty, malutka? – rozległo się z głębi, kiedy odsunęła kamień zagradzający wejście.

– Mamo, ja nie jestem malutka. Mam już dorosłą córkę. A za co chciałaś zabić ojca?

– Dla mnie zawsze będziesz malutka. Nie powiedział ci?

– Nie.

– Za sprawę.

– Ech wy, konspiratorzy. A dlaczego nie zabiłaś?

– Z twojego powodu, głuptasku.

– Papa myśli, że tą awarię uknuli ludzie. Ty też tak uważasz?

– A czy z przerzutem zero-t zdarzały się kiedykolwiek takie awarie?

– Nie słyszałam o żadnej.

– No widzisz, sama sobie odpowiedziałaś.

– Ale wszystko kiedyś zdarza się po raz pierwszy.

– I akurat z taką niezwykłą paczką jak nasza…

– I tak nie wierzę, mamo.

– Prawidłowo.

Przez jakiś czas obie milczały.

– Lobasti, pomóż mi się podnieść.

– Mamo, lepiej będzie, jeśli poleżysz jeszcze dzień czy dwa.

– Mam już dość leżenia, czas stanąć na nogi.

– Ale ty nie wiesz, jakie tu są drapieżniki. Prawie tak wielkie jak my.

– Masz jeszcze dużo środka przeciwbólowego?

– Wystarczy na trzy razy. Dać ci?

– Zachowaj dla Mroka. Mężczyźni zawsze gorzej znoszą ból.

Budzi mnie stuk kamieni. Rozglądam się. Jestem w jaskini. Światło pada skądś zza pleców.

– Żyjesz, papo?

– Chyba tak.

– Więc nie ma sensu dłużej się wylegiwać. Wyłaź grzać się na słoneczku.

Cała skóra piecze i swędzi nie do wytrzymania. Podnoszę się i wychodzę tyłem, gdyż nie ma się jak obrócić. Uff, wreszcie jestem wolny. Rozglądam się. Morze, skały, kamienie, ni to wieczór, ni to ranek. Dwie smoczyce obserwują mnie uważnie, w napięciu.

– O Boże, jak wy wyglądacie! – wołam. Obie mają na głowie dużo czerwonych plam po pękniętych naczyniach krwionośnych. Jedna – same mięśnie, skóra i kości. Jelita jak przyrośnięte do kręgosłupa. Druga wyliniała, prawie pozbawiona łusek. Goła skóra, przeważnie różowa, gdzieniegdzie w niebieskie i szare plamy.

– Czyżbym ożenił się z taką poczwarą?

– Popatrz na siebie, eleganciku. Kto mnie zapewniał, że dla smoka zamrozić się – to jak zanurzyć się w zimnej wodzie? – Obejmuje mnie skrzydłami i przyciska się ciałem. Boli.

– To nie ja, to ten fajtłapa Tyson. Ja tylko powtórzyłem za nim. Jeśli go kiedyś spotkasz, szepnij mu na uszko, że nie ma racji. Aha, a gdzie się podział twój ogon?

– Ogony teraz niemodne. Odrzuciłam.

Uszczęśliwiona Lobasti uśmiecha się słuchając naszej paplaniny. Kiedy mija pierwszy zachwyt, oglądam siebie. Wyglądam jeszcze gorzej niż Catherine. Łuska schodzi płatami. Pod nią niebieska, gorąca skóra. Jeśli Catherine brakuje samego czubka ogona, to mnie chyba ze dwa i pól metra. Wiem, że to czasowo, ale aż przykro patrzeć. Jakoś strasznie.

– Lobasti, a czym ty się tu żywisz?

– Poczekaj z godzinkę, tato, a zobaczysz. Tu nawet nie trzeba nigdzie chodzić, obiad sam przylatuje.

Gdy na horyzoncie pokazały się nad wodą czarne punkty, Lobasti kazała Mrokowi i Catherine schować się w pieczarach, a sama wzbiła się w niebo. Punkty rosły, niedługo można było rozróżnić ptaki, olbrzymie ptaki o rozpiętości skrzydeł cztery-pięć metrów. Wątłe ciało upiększała nieproporcjonalnie duża głowa z czubkiem z tyłu. To jeden, to drugi ptak nurkował w wodzie i wyciągał rybę. Kiedy stado zbliżyło się do brzegu, Mrok zorientował się, że to nie są ptaki, tylko latające jaszczury. A potem zaczęła się powietrzna walka. Lobasti rozpędziła się w locie nurkowym i napadła na stado od tyłu. Złożyła skrzydła, pozostawiając do kierowania tylko małe wysunięte trójkąciki, rozczapierzyła pazury i szeroko rozłożyła na boki wszystkie cztery łapy. Szybko sześć czy siedem jaszczurów runęło do wody lub na przybrzeżne kamienie, niektóre już martwe, inne miotające się, plamiące otoczaki krwią z rozdartych skrzydeł. Żeberkowaty grzebień mignął na sekundę nad falami dziesięć metrów od brzegu i miotający się w wodzie jaszczur znikł. Stado z piskliwymi krzykami rozsypało się, ale zaraz znów się połączyło i podążyło za smoczycą. Ta zwolniła lot, potem prawie stanęła i nagle wzbiła się pionowo do góry. Stado zbiło się w gęstą kupę. I wtedy Lobasti złożyła skrzydła i runęła w sam środek ciemnoszarego roju. Brzeg znów rozbrzmiał piskliwymi krzykami.

„Rżnie ich jak świnie” – pomyślał Mrok i zmarszczył czoło. Lobasti wyskoczyła z kłębowiska ciał i weszła w stromy korkociąg. Wraz z nią ku ziemi podążyło chyba z piętnaście bezwładnie koziołkujących jaszczurów. Pozostałe trochę pokrążyły i poleciały nad morze. Lobasti niedługo ukazała się zza skał. Szła na tylnych łapach, niosąc na wyciągniętych przednich zabite jaszczury. Zatrzymała się przy kolejnym, dobiła go uderzeniem ogona, po czym także ogonem zgrabnie wrzuciła go na stos pozostałych.

– Zapraszam na kolację. Proszę szykować łyżki. – Położyła zdobycz na kamieniach i mrugnęła porozumiewawczo do Mroka. – Dużo wpadło do wody?

– Dwa. Jeden utonął, drugim ktoś się pożywił.

– Co w wodę wpadło, to już przepadło – zrymowała Lobasti. – Mamo, dlaczego go tak oglądasz? Wypatrosz i zjedz.

– Zbaraniałam. Wykapany pteranodon, co do najdrobniejszych szczegółów. – Catherine dokładnie oglądała tuszę, podniósłszy ją za kościany grzebień, który Mrok wziął za czub. Lobasti wzięła drugiego, przejechała pazurem po jego brzuchu, odrzuciła wypadające wnętrzności, potem oderwała skrzydła, łapy i głowę, resztę wrzuciła do pyska, skrzywiła się i połknęła nie żując.

– Te to jeszcze nic. Nawet nie mają zębów. Na Sekondzie są dopiero! Nie uwierzycie, ale ważą ponad sto kilo. Rozpiętość skrzydeł – do dwunastu metrów. Więcej ode mnie.

– Co to są pteranodony? – zapytał Mrok.

– Właśnie to. – Catherine pociągnęła swojego za skrzydło. – Za kolor nie odpowiadam, a reszta – kropka w kropkę. Żyły w mezozoiku, a wymarły sześćdziesiąt milionów lat temu, w późnej kredzie.

Mrok spojrzał na żonę z mimowolnym zachwytem. Podniósł i przygotował do spożycia swoją tuszę jaszczura. Na Strefie, szczególnie w porze deszczowej, często jadł surowe mięso, ale nie takie świństwo. Wystarczyło tylko zamknąć szczęki i poczuć na języku jego smak, a już żołądek się zbuntował. Gdyby tam coś było, wylądowałoby już na kamieniach. Kaszląc i dławiąc się żółcią, Mrok odwrócił się od obu smoczyc. Przyszedłszy do siebie, wytarł łapą łzy, po czym podniósł z kamieni obślinioną tuszkę i obejrzał krytycznie.

– Do tego nie da się przywyknąć, tato – powiedziała Lobasti. – Lepiej połykaj nie żując.

Skończywszy z jedzeniem, Mrok zwrócił się przodem do brzegu i zaczął badać horyzont. Przy tym dziwnie poruszał szyją w prawo i w lewo i kręcił głową jak radar, utrzymujący cel.

– Nic ciekawego tam nie widziałaś, Lobasti? – Wskazał łapą. Smoczka obejrzała się, wykręcając szyję o sto osiemdziesiąt stopni.

– Tam zatonął nasz kuter. Złapałeś jego awaryjną zero-latarnię.

– To ta, która piszczy z przerwami, 466 herców. A bardziej na prawo, co? Stały sygnał.

Lobasti aż stanęła na tylnych łapach, nie wiadomo po co nastroszyła uszy.

– Nie wiem, tato. Zaraz… – Wzbiła się w niebo i z wielką szybkością znikła za horyzontem.

– Mamy dobrą córkę. – Catherine przytuliła się do niego, odprowadzając Lobasti czułym spojrzeniem.

– To bardzo ciekawe pytanie, kto jest czyją córką. – Objął ją skrzydłem.

Lobasti wróciła po trzech godzinach, niosąc w pazurach rybę-miecz lub coś bardzo podobnego.

– Tato, do tamtej radiolatarni jest co najmniej tysiąc kilometrów. Przeleciałam dwieście kilometrów, a potem pięćdziesiąt w bok. Bez kompasu triangulacja jest trudna, ale moim zdaniem peleng ani trochę się nie poruszył.

– Mogłaś zabłądzić – zauważyła Catherine.

– Nie. Wracałam według sygnału naszego zatopionego kutra. A oto nasza kolacja.

– Catherine, jak się nazywa ta zębata ryba? – zapytał Mrok, oglądając zdobycz.

– To nie ryba, to gad. Eurinozaur. Widzisz, górna szczęka dwa razy dłuższa od dolnej, ogon pionowy, a kręgosłup wchodzi w dolną część ogona. Ale o czym ja mówię? One wymarły…

– N-tak… Lobasti, możesz obliczyć z grubsza, gdzie znajdował się Układ Słoneczny sto miliomów lat temu?

– Ciekawa hipoteza, tato, ale nie wytrzymuje krytyki. Po pierwsze, Słońce krąży wewnątrz Galaktyki w określonej płaszczyźnie, a my jesteśmy o sto pięćdziesiąt lat świetlnych nad nią.

– A jeśli uwzględnić ruch samej Galaktyki?

– To nie wiem… Ale po drugie, widziałam nasze Słońce przez teleskop, kiedy określałam nasze współrzędne.

– Nie mylisz się aby?

– Możecie mi obciąć łapę. Jasność, spektrum, współrzędne – wszystko się zgadza… – smoczyca umilkła i zamyśliła się. Obejmująca ją za ramiona Catherine nieoczekiwanie zadrżała.

– Córeczko, mów wszystko.

– Kiedy podlatywaliśmy… widziałam… planetę z pierścieniem.

– Saturn?

– Nie wiem. – Lobasti nagle rozpłakała się i schowała głową pod skrzydło Catherine.

– Sporo planet ma pierścienie – zauważył Mrok. – Co jeszcze widziałaś?

– Księży-y-yc.

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

– Nie byłam pewna-a-a… Na Ziemi byłam tylko dwa razy-y.

– Uspokój się, malutka. Sprawdzimy. Bywaliśmy już w gorszych opresjach.

– Tu obok pewnie jest… albo było… centrum naukowe… – Lobasti płakała już na całego.

– Co?

– Badają… badali czasoprzestrzeń.

– No i niech sobie badają.

– Oni wszystkich ukatrupi-ili…

– Co ty pleciesz, malutka? Przecież widziałaś przez teleskop prawdziwe Słońce.

– Światło od niego będzie-e tu biegło-o jeszcze sto pięćdziesiąt la-at…

– Mrok, no powiedzże jej coś.

– Co mam powiedzieć? A może ona ma rację?

– A jakim cudem myśmy ocaleli?

– Lecieliśmy w zero-t, dopóki stacje nie znikły.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nikt nie rozumie. – I po paru minutach ostro: - Przestań płakać, porozmawiamy poważnie.

– O czym tu można rozmawiać, tato?

– Nawet, jeśli życie ci się sprzykrzyło, zawsze masz warianty.

Lobasti, leżąca plackiem na kamieniach, otworzyła oczy.

– Jakie warianty, tato? O czym ty mówisz?

– Możesz się utopić, zadławić, otruć, zastrzelić.

Smoczka spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Przestraszyć się, obsikać, obesrać i zostać… Przepraszam, tato, zupełnie się rozkwasiłam. Nigdy już tego nie zobaczysz. – Zerwała się sprężyście na łapy i uśmiechnęła się przez łzy. – Jesteś niepoprawnym optymistą. Nie zadrzesz nosa, jeśli powiem, że jestem z ciebie dumna?

– Catherine,gdzie jesteś? Chodź do nas. Otwieram zlot starszyzny. Na porządku dziennym mamy omówienie dwu hipotez – zwrócił się do audytorium, gdy Catherine podeszła i usiadła obok Lobasti. – Hipoteza numer jeden: wpadliśmy. Hipoteza numer dwa: nie powiodło się całej ludzkości. W ramach każdej hipotezy możliwe jest mnóstwo wariantów. Pierwsze nasze zadanie: dowiedzieć się, która hipoteza jest prawdziwa, a drugie – co mamy dalej robić.

– A jak zamierzasz to wyjaśnić?

– No, jeśli ta Ziemia różni się od naszej, to znaczy, że wrzucili nas do równoległego continuum. Przyjrzałaś się kontynentom, podchodząc do lądowania?

– Nie zdążyłam. Przecież kierowałam ręcznie. Na pięciu g od orbity Księżyca do atmosfery to tylko godzina. Nie odrywałam oczu od przyrządów. No i chmury…

– Catherine, a ty coś zauważyłaś?

– Nie wiem, co powiedzieć. Na przykład uważa się, że w mezozoiku koralowce czteropromienne zostały już zastąpione przez sześciopromienne, a tu pełno i jednych, i drugich.

– Catherine, skąd ty to wszystko wiesz?

– Nie spędziłam przecież całego życia na Strefie.

– Jesteś cudem, kochanie. Ja przez pół wieku pozapominałem wszystko. Trudno, w ten sposób nic nie wyjaśnimy. Spróbujemy inaczej. Kto cofnął się w czasie: my czy Ziemia?

– Jesteśmy w swoim czasie, tato. Wszystkie gwiazdy są na swoich miejscach. Tylko zero-latarnie umilkły. Sprawdziłabym cały diapazon, ale na statku nie było dobrej anteny.

– To niedobrze. W sensie, że nic nie wyjaśnia. A dlaczego właściwie myśmy tak nagle rzucili się do ucieczki? Lobasti, skąd się wzięła ta stuknięta Elana? Dawno ją znasz?

– Tato, nie waż się o niej źle mówić! To święta męczennica. Zniosła dziesięć razy więcej nieszczęścia niż ty.

– Co, też ze Strefy?

– Nie. Jeszcze gorzej. Tato, to jej tajemnica. Przypadkowo się dowiedziałam.

– Gdybyśmy za jej radą nie zdjęli okularów, mielibyśmy chociaż łączność. Poza tym w moich było dużo informacji o starych technologiach – wystarczyłoby, żeby zapoczątkować nową cywilizację. A tak siedzimy i ssiemy łapki.

– Tato, mnie bez okularów dziesięć razy trudniej niż wam. Przywykłam do nich od dziecka. Ale one zawierają też komunikatory, które są nie do wyłączenia. Jak dotąd żadnemu smokowi nie przychodziło do głowy ukrywać się przed innymi. Poza tym na dawno zamieszkałych planetach zamiast okularów nosi się sensowizory. Po okularach można na kilometr rozpoznać mieszkańca pogranicza.

– Czyli twoim zdaniem wszystko, co zrobiliśmy, było rozumne i usprawiedliwione?

– No… prawie wszystko. Zamiast pędzić jak do pożaru powinnam była rozpędzić kuter, zostawić go na kursie bezwładnościowym i zamrozić się na rok. Zaoszczędziłabym paliwo, nie lądowałabym tak desperacko z pustymi bakami. I kuter by ocalał, i wylądowalibyśmy na kontynencie, a nie pośrodku oceanu.

– I ogony by ocalały…

– Tak, tato, i ogony by ocalały.

– Zapamiętaj na przyszłość, córeczko, i zrób tak, kiedy będziemy następnym razem uciekać. A okulary z komunikatorem należało włożyć do żelaznego pudełka.

– I jeszcze trzeba było tam włożyć ba-ardzo dużo chusteczek – podchwyciła Catherine.

– Mamo, ja już nie będę.

– To dobrze – uśmiechnął się Mrok. – A teraz opowiedz, czym zajmowali się twoi przyjaciele-fizycy.

– Oni szukają… szukali sposobu na poruszanie się w przestrzeni szybciej niż światło. Zero-transport, jak wiecie, wymaga komory odbiorczej, a zanim się ją dowiezie… Obliczyli, że jeśli w zamkniętej sferze przyśpieszy się czas, można będzie podróżować szybciej. To znaczy, wewnątrz tej sfery jednak wolniej, ale na zewnątrz będzie się wydawało szybciej. A drugi sposób, to, na odwrót, nie przyśpieszać czasu, lecz wywołać jego inwersję w lokalnej sferze. To znaczy, że statek będzie leciał dzień w przyszłość, dzień w przeszłość, na przemian. I przyleci do celu w dniu odlotu.

– Nieźle to wymyślili. Choć nie wyobrażam sobie, jak mogliby tu przenieść cały Układ Słoneczny. Dość o tym. Pomyślmy lepiej, co dalej. Proponuję wyjaśnić sprawę tej radiolatarni.

– To nie radiolatarnia, tato. To zero-generator. Długo nad tym myślałam. Pewnie to nasz kuter zrzucił jakąś kapsułę awaryjną. Przecież lądowałam z pustymi zbiornikami, a to nie jest typowa sytuacja.

– A co zawiera taka kapsuła awaryjna?

– Przenośny zapas awaryjny: namiot, grzejnik, coś z broni, generator, przekaźnik, trochę tlenu, trochę wody i żywności.

– Więc mamy pierwszy cel: szukamy tej kapsuły. A co będziemy robili później?

– Później będziemy się rozmnażali. Jak króliki – powiedziała cicho Catherine. – Będziesz spał na przemian to ze mną, to z Lobasti. Jeśli któraś z nas w czymś ci zawini, odsuniemy ją czasowo. A my będziemy rodziły ci dzieci i skakały przed tobą na tylnych łapkach.

– Po co ty tak, Catherine…

– Przepraszam. Ale nie mogę zapomnieć Strefy.

– Wszystkie Wielkie Smoki były bigamistami – wypaliła Lobasti.

– A ilu takich było? – Mrok ucieszył się ze zmiany tematu.

– Wielkich? Jeden!

Mrok zamyślił się. Popatrzył na morze, potem na ucichłe audytorium.

– A coś ty myślał, tato? – Nie wytrzymała Widebrow. – Cały nasz gatunek pochodzi od trzech smoków. Zresztą nie jesteś moim prawdziwym ojcem. Nie masz ze mną ani jednego wspólnego chromosomu. I z mamą też. Z punktu widzenia genetyki wszystko w porządku.

– Catherine, do jakich czasów trafiliśmy?

– Mało co jeszcze widziałam, ale wygląda na to, że do wczesnej kredy.

– Czy wtedy było dużo niebezpiecznych dinozaurów?

– O Boże, przecież to ich złoty wiek!

– I te… tyranozaury też były?

– Były, są, i będą jeszcze przez co najmniej pięćdziesiąt milionów lat. Zresztą one nie były drapieżnikami, tylko padlinożercami. Drapieżniki były znacznie mniejsze, choć też groźne.

– Nie dla nas, tato, nie bój się ich. My jesteśmy tu najsprytniejsi i najzwinniejsi. W porównaniu z nami chodzą jak pijane. A w powietrzu to już w ogóle nie ma nam równych.

– Myślę o zagrożeniach dla dzieci.

W rzeczywistości Mrok myślał o tym, czy opłacało się zamieniać Strefę na tą dziką planetę. Czy powinni mieć dzieci? Przecież smoki żyją długo. Bardzo długo. Jakie społeczeństwo zbudują jego potomkowie? Może jego daleki prawnuk zechce włożyć na niego obrożę niewolnika? Zaczął z grubsza obliczać, co trzeba zrobić ze smokiem, żeby zamienić go w niewolnika. Zerwać błonkę ze skrzydeł. Raz na trzy lata, nowa szybciej nie wyrośnie. Regularnie piłować rogi i wyrywać pazury i kły. Pozostanie jeszcze cios ogonem. Obciąć go u podstawy? No i paszcza, nawet bez kłów, i tak pozostaje groźną bronią. Nie, ze smoka bardzo trudno zrobić jagnię. W takim razie jaki ustrój społeczny nastąpi u nich po wspólnocie pierwotnej? I czy w ogóle nastąpi? Smoki szybko zapełnią całą ziemię i będą zażarcie walczyły o miejsce pod słońcem, o kawałek mięsa, o łyk wody. Jeśli Lobasti ma rację i nie będą mieli naturalnych wrogów – a nie będą mieli, drapieżniki wybiją w ciągu stu, najwyżej dwustu lat – to w jakim kierunku pójdzie ich rozwój? Smoki nie poczują konieczności postępu technicznego, a jeśli nawet poczują, będzie na to za późno. Trudno zajmować się nauką, kiedy wokół trwa nieprzerwana prymitywna wojna. Archimedes próbował i czym się to skończyło? Morał: jeśli chcesz stać się istotą rozumną, zaczynaj od niepozornego, zapomnianego przez wszystkich zwierzątka. Od małpki z ogonkiem. Z królów zwierzęcego świata sapiensów nie będzie.

Jakie siły mogą popchnąć postęp? Smoki nie potrzebują transportu. W granicach planety nie ma odległości, której smok nie mógłby pokonać. Lobasti mówiła, że wytrenowany może oblecieć Ziemię dookoła w ciągu dwudziestu dni. Kosmos – to co innego. Ale po co kosmos dzikusom? Głód? Póki cokolwiek rośnie na polach, głód smokom nie grozi. Epidemie? Smoki nie chorują. Ciekawość? Z czystej ciekawości rozwijać ciężki przemysł? Poszedłbym na to? Nie. Musi być jednak jakieś wyjście, jakiś nieuwzględniony czynnik. Jeśli ja go nie widzę, to nie znaczy, że go nie ma. Trzeba tylko po nowemu spojrzeć na pytanie. W przeciwnym razie nie mamy prawa się rozmnażać. Bo zniszczymy całe lądowe życie, zlikwidujemy biosferę całej planety. Jesteśmy zbyt doskonali na życie dzikusów.

A może właśnie dlatego wyginęły dinozaury? Osiągnęły doskonałość – we własnym pojęciu – i popadły w zastój. A zastój nieubłaganie zamienia się w regres. I my tak samo wymrzemy. Od nadmiaru doskonałości, jak one.

– Tato, ja wiem, o czym ty myślisz. – Lobasti pieszczotliwie potarła jego szyję. – Nie rozpaczaj, wszystko się ułoży. Smoki nigdy nie będą zabijały się wzajemnie, uwierz mi.

„Możemy jeść ryby. Są smaczne. Tylko bardzo płochliwe. A drapieżne jaszczury są absolutnie pozbawione strachu, ale niesmaczne. Gdybyśmy zrobili wędkę...”.

– Tato, nam nie jest potrzebna wędka, tylko ognisko. Pieczone mięsko – mniam, mniam... – Lobasti pocałowała czubki palców. – Gdyby tu był smoczy kamień…

– Czytasz moje myśli czy co? – zdziwił się Mrok.

– Aha! Rób z tą kostką, co chcesz, a haczyka na ryby z niej nie będzie.

– Wiem! Trzeba je łowić na czubek ogona.

– Tatko! Chcesz i mnie zostawić bez ogona! – obruszyła się Lobasti, ale po chwili zapaliła się do tego pomysłu, opuściła ogon w wodę i zaczęła go uważnie obserwować. Mrok także pochylił się nad wodą. Koniuszek ogona lekko się poruszał. Podkradł się do niego niewielki jaszczur, podobny z grzbietu do długoogoniastego krokodyla. Lobasti gwałtownie szarpnęła ogonem, jaszczur rzucił się za uciekającą zdobyczą, podpływając do powierzchni. Lobasti złapała go pazurzastą łapą i rzuciła na kamienie.

– Zobacz, mamo, takiego jeszcze nie było.

Catherine otworzyła oczy i leniwie obróciła się na brzuch.

– Mezozaur. Perm, koniec paleozoiku. Rybkę by zjeść… Córeczko, a może polecimy na kontynent?

– Nigdzie nie polecimy, dopóki nie obrośniecie łuską. Tam was żywcem zjedzą.

Mrok zobaczył trójkątną płetwę o jakiś kabel od brzegu i poleciał sprawdzić. Rekin! Wielki, smaczny rekin! Chyba nawet zbyt wielki. Co najmniej osiem metrów od pyska do ogona. Mrok zawisł nad nim, wypuścił pazury i wbił je w skrzela. Rekin szarpnął się, pociągając go za sobą. W pierś uderzyła zimna fala, słona woda zalała nos. Mrok rozłożył skrzydła jako pływającą kotwicę, wyciągnął szyję i wynurzył głowę z wody. Ryba kręciła nim jak czołg z przestrzeloną gąsienicą. Mrok ścisnął ją mocniej i spróbował wzlecieć z wody na biograwach. Noe udało się, ale prawie cały wynurzył się z wody. Rekin z szybkością kutra torpedowego ciągnął go teraz prosto w otwarte morze. Obok pojawiła się Catherine. Coś krzyczała, ale Mrok nic z tego nie rozumiał. Wypuścił pazury tylnych łap i wbił je w boki ryby. Od razu zrobiło się łatwiej. Nie kręcił się już jak bańka na nitce, lecz w pełni panował nad sytuacją. Wielkie ciało rekina pod nim wykręcało się, przecinając fale potężnymi ruchami. Z szeroko rozpostartymi skrzydłami, pracując biograwami i zadarłszy ku górze kikut ogona, Mrok wytężał wszystkie siły, próbując utrzymać się w pionie. Przypominało to trochę surfing. Obejrzał się i ryknął z zachwytu. Catherine podchwyciła jego bojowy zew. Woda syczała, opływając łapy, skrzydła wypełniał przeciwny wiatr! Lobasti skakała pop brzegu i machała przyzywająco, wskazując na płyciznę. Mrok zawrócił rekina i skierował go w tamtą stronę. Ryba z rozpędu prawie wyskoczyła na brzeg. Wytężył wszystkie siły, zamachał skrzydłami i przetaszczył zdobycz pięćdziesiąt metrów dalej. Wyrwał pazury z boków ofiary i dumnie stanął nad ciałem drapieżnika. W następnej chwili poczuł, że leci, a potem ziemia zadała mu potężny cios w dolną szczękę.

Otworzył oczy, rozejrzał się. Bok palił jak od gorczyczników. Olbrzymia ryba wiła się na ziemi. Lobasti zawzięcie skakała wokół niej, uchylając się przed ciosami ogona i zębatą paszczą. Mrok wypuścił palce i obmacał dolną szczękę. Z przyjemnością, ale i zaskoczeniem stwierdził, że wszystkie zęby ocalały. Catherine podniosła wielki kamień, wybrała moment i spuściła go na głowę drapieżnika. Ryba zamarła, choć jej ogon długo jeszcze podrygiwał.

– Cat, coś ty tam do mnie krzyczała? – zapytał Mrok.

– Żebyś go nie wypuszczał. Martwe rekiny toną.

– Dziękuję, nie wiedziałem. Kiedy pojawiły się rekiny?

– Rekiny były zawsze. Jeszcze w dewonie.

– A kiedy to było?

– Czterysta milionów lat temu.

– Cat, kim ty byłaś na Ziemi?

– Trucicielką.

– Nie to mam na myśli.

– Paleontologiem. W drugim pokoleniu. W wieku trzech lat bawiłam się już skamieniałymi kośćmi. Pierwszego swojego iguanodonka spreparowałam w wieku dwunastu lat.

– Jak to: spreparowałaś? Przecież one są skamieniałe.

– O właśnie! Bierzesz młotek, przecinak i preparujesz.

– Ale to metody!

– Praca jak praca. Nad dwumetrowym szkieletem od dwóch miesięcy do pół roku. Ja swojego pierworodnego robiłam prawie rok. Wszystkie kości mu połamałam, tato je sklejał. Wstyd było patrzeć, a wtedy byłam taka dumna… Jego kopie stoją w wielu muzeach, a on sam – w magazynie. Takiej sromoty nie można pokazać ludziom.

Mrok wyrwał pazurami długi pas mięsa z ogona i włożył do pyska.

– Kiedyś w dzieciństwie zobaczyłem w jadłospisie pozycję: „Biała ryba z ziemniakami” – powiedział. –Poszedłem wyjaśnić, co to za ryba. W kuchni podarowali mi szczęki rekina.

Rekina jedli trzy dni. Czwartego mięso zaczęło cuchnąć, trzeba było oddać je latającym jaszczurom. Po trzech tygodniach od lądowania smoki powróciły do normy, jeśli nie liczyć łusek i kikutów ogonów. Łuski rosły powoli, ogony jeszcze wolniej. Lobasti powiedziała, że ogony odrastają z szybkością najwyżej pół metra na rok. Mrok wpadł w przygnębienie. Catherine łaziła po całej wyspie, przy posiłkach klęła doktora Zergela, który kompletnie nie znał się na płazach, a nocami cichutko płakała, że tak cenna wiedza nie dotrze do innych. Mroka dręczyła niecierpliwość i złe przeczucia. Bał się, że radiolatarnia kapsuły umilknie. Lobasti codziennie rano wylatywała na sąsiednie wyspy, a wieczorem udawała spokojną i zadowoloną z życia. W końcu Mrok nie wytrzymał.

– Jutro wylatujemy na kontynent – zakomunikował przy kolacji.

– Nie na kontynent, tato, tylko na sąsiednią wyspę. Mamy do niej dwieście kilometrów.

Mrok, oczekujący sprzeciwu i przygotowany na ostrą kłótnię, postanowił nie wdawać się w szczegóły: najważniejsze, że wylecą, a dokąd – to można było ustalić już w powietrzu.

Następnego ranka Mrok wstał o świcie i przytaszczył z płycizny wielki stos wodorostów na śniadanie. Ale Lobasti powiedziała, że lepiej będzie, jeśli on i mama polecą na czczo, sama zaś z apetytem spałaszowała połowę stosu, a drugą połowę całą przetrząsnęła, wyszukując długie, ciemne liście, przypominające morską kapustę. Zjadła ostatni, oblizała się i zawołała:

– Mamo, wychodź! Lepiej lecieć w chłodzie, zanim słońce się nie podniesie.

Z jaskini wyczołgała się zaspana Catherine, przeciągnęła się, kokieteryjnie wyginając grzbiet – i Mrok nagle zrozumiał, jak piękne może być ciało smoka. Nawet takie – bez łusek, z kikutem ogona i łuszczącą się skórą. Przedtem piękna nie dostrzegał. Widział siłę, celowość, ale nie piękno.

„Spełniło się. Teraz jestem smokiem. Naprawdę jestem smokiem!” – pomyślał przelotnie.

– Gotowi, trzy-cztery! – zakomenderowała Lobasti i wzbiła się w powietrze.

Catherine i Mrok dołączyli do niej, ona z lewej strony, on z prawej. Pomijając wszystkie anegdoty o armii, dyscyplinie i chodzeniu w nogę smoki uważały latanie z utrzymywaniem szyku i synchroniczną pracą skrzydeł za wzór elegancji. Lobasti powiodła ich w nieco innym kierunku niż na daleką zero-latarnię, odchylając się od kursu o około trzydzieści stopni. Nie śpiesząc się nabierała łagodnie wysokości, prowadząc ich klin coraz dalej od wyspy, która już stała się dla nich w pewnym sensie ojczystą. Z każdym uderzeniem skrzydeł horyzont odsuwał się coraz dalej i dalej. Wiatr był sprzyjający, ale bardzo słaby. Słońce mieli z tyłu, więc nie oślepiało ich oczu. Przez pierwsze pół godziny Mrok po prostu cieszył się życiem.Rozkoszował się widokiem ciała Catherine, jej elegancko wygiętą szyją, mocnymi skrzydłami, pracą mięśni pod skórą, potem przenosił wzrok na Lobasti i znowu na Catherine.

„Warto żyć” – zadecydował – „Tu w niczym nie jest gorzej niż na Strefie”.

Myśl o tym, że jest jedynym, któremu udało się uciec ze Strefy, napełniała go dumą.

„Szkoda tylko dziewczynek” – pomyślał smok. – „Cierpią przeze mnie”.

Przyłapawszy siebie na tej myśli, Mrok zadumał się na długo. Przypominało to budzenie się sumienia, a tego się bał. Potrząsnął głową i zaintonował starą piracką pieśń o piętnastu chłopcach i skrzyni umrzyka. Widebrow i Catherine podchwyciły z entuzjazmem. Potem wyjaśnił Catherine, że skrzynia umrzyka – to nie skrzynia, tylko kajuta kapitańska, mieszcząca się na rufie karaweli i górująca nad pokładem. A umrzyk to sam kapitan – bo kimże on może być, jeśli było piętnastu na jednego? Potem Catherine przypomniała sobie pieśni, które śpiewali Wikingowie, pracując ciężkimi wiosłami. Wiosłować skrzydłami pod ich równomierny rytm było tak samo wygodnie.

Pod koniec pierwszej godziny lotu Mroka zaczęły coraz bardziej boleć skrzydła. Wskutek braku ogona środek ciężkości ciała przesunął się do przodu i Mrok musiał wysuwać skrzydła do przodu, stale napinając mięśnie przedramion i dolnej części szyi. Wygiął więc szyję na kształt pływającego łabędzie. Skrzydłom ulżyło, ale środek ciężkości przesunął się do góry i wzrósł czołowy opór powietrza. Żeby nie wybić się z rytmu, trzeba było robić energiczne, szerokie zamachy, a sił szybko ubywało. Ale pokazać swoją słabość przed kobietami – nie, za nic, prędzej śmierć.

Mrok był już na granicy paniki, kiedy na horyzoncie pojawiła się wyspa. Lobasti trochę poprawiła kurs i spojrzała na niego ze słowami

– Tato, lecimy dalej czy lądujemy na wyspie?

– Uzgodniliśmy wczoraj, że na wyspę, czyli na wyspę – odpowiedział spokojnie i nawet z lekkim odcieniem gniewu. – A ty jak myślisz, Catherine?

– Zrobimy jak zechcesz… Tak sobie myślę… Wiecie, jak to było z Ikarem? Że skrzydła mu się rozpłynęły, to kłamstwo. Przecież już wtedy wiedziano, że im wyżej, tym zimniej. On stracił siły. Za wysoko się wzniósł i przeliczył się. A to o skrzydłach Dedal potem wymyślił.

Lobasti z przerażeniem obejrzała się na mamę i zaczęła łagodnie obniżać lot. Mrok myślał, że wylądują na plaży, ale Lobasti przeleciała jeszcze kawałek i wylądowała na brzegu płytkiego słonego jeziora.Catherine od razu położyła się na trawce z rozłożonymi płachtami skrzydeł. Mrok bardzo chciał pójść za jej przykładem, ale trzeba było dbać o dobrą opinię. Autorytetu nabiera się latami, ale może runąć z powodu drobnostki. Dlatego podszedł do dużej kępy młodych zarośli, zerwał pierwszy lepszy paprotnik i udał, że dokładnie go bada.

– Tato, te są niesmaczne. Spróbuj tych – poradziła Lobasti. Mrok wziął podaną gałązkę i w zamyśleniu pożuł listek. Smak był przyjemny, nieco kwaskowaty. Lobasti ułamała inną gałązkę i przeciągnęła ją między zębami, pozostawiając listki w pysku, a pusty pęd wyrzuciła.

– Kiedy jesz jabłko – powiedział Mrok, obserwując gąsienicę na liściu – znacznie przyjemniej jest znaleźć całego robaka niż jego połówkę.

Lobasti zachichotała.

– A ja w dzieciństwie lubiłam owady.

– I papużki.

– Tato! Minęło dwadzieścia lat, a ty jeszcze to pamiętasz!

– Takie rzeczy się pamięta. – Mrok nałamał naręcze smacznych gałązek i zaniósł Catherine. Ta otworzyła jedno oko i wymamrotała coś po łacinie.

– Mamo, to jedzenie, a nie nagozalążkowe z późnego permu – uściśliła Lobasti.

– Wcześnie dzisiaj wstałem. Chyba pośpię z godzinkę. – Mrok z przyjemnością rozciągnął się na grzbiecie.

– Śpij, tato. Ja popilnuję.

– … O tym właśnie mówię. My, smoki, nie możemy od zera stworzyć cywilizacji. Jesteśmy jak raj. Powstaliśmy na określonym etapie cywilizacji technicznej i możemy funkcjonować tylko w jej ramach.

– Poczekaj, tato. Raj to przecież biblijny Edem. Co my mamy z nim wspólnego?

– Raj albo eden – z małej litery – to szerszy termin, używany na przykład w teorii gier. To sztucznie stworzona sytuacja, która niby nie zaprzecza regułom, nie może jednak powstać w grze realnej. Na przykład w partii szachów biały pionek nie może stać na A1. Zasady nie zabraniają mu tam stać, ale pionki nie mogą chodzić do tyłu. A w zadaniu szachowym można go tam postawić.

– Zrozumiałam, tato, ale jaki to ma związek z naszą sytuacją?

– Wypadliśmy z naszego raju. Smoki to sztucznie stworzone istoty. Nie mogą istnieć poza cywilizacją techniczną.

– Dlaczego, tato? Przecież żyjemy. Tu jest wszystko, co niezbędne do życia.

– Właśnie dlatego. Powolutku się zdegradujemy. Co zrobiło z małpy człowieka? Praca. A my pracować nie musimy. Ludzie przez tysiąclecia tworzyli społeczeństwa, które zmuszały ich do pracy. Jedni drugich zaganiali do pracy wszystkimi dostępnymi sposobami – i kijem, i marchewką. A spróbuj zmusić do pracy smoka, jeśli nie widzi jej potrzeby! Smoki się tu rozpłodzą jak karaluchy, jak króliki w Australii. Przecież smoka nawet nie da się wysterylizować, żeby ograniczyć dzietność.

– U nas poczęcie następuje tylko wtedy, kiedy tego chcemy. Jeszcze tego nie wiesz?

– Wiem, ale nie na tym polega problem.

– Masz rację. – Lobasti spochmurniała. – Zrozumiałam. Jakiś fizyk nacisnął guzik – i nasz Edem roztrzaskał się na kawałki. Jesteśmy szczątkami raju. Muszę nad tym pomyśleć, tato.

Catherine wyszła z zarośli, co chwilę się oglądając. Za nią, kwacząc jakby z obrazą, dreptał malutki jaszczur.

– Witaj, mały przyjacielu! – powiedział Mrok, podnosząc go za ogonek. – Przyszedłeś w sam raz na obiad. Tylko dlaczego jesteś taki maleńki?

Jaszczurek zapiszczał przejmująco.

– Nie waż się! – wykrzyknęła Catherine i rzuciła się ku nim, podstawiając dłonie pod łapki malucha. Mrok puścił ogonek i dinozaurek od razu się uspokoił. Catherine ostrożnie spuściła go na piasek.

– Wszystko jasne, baba! – powiedział Mrok, udając surowość. – Przyznaj się, z kim mnie zdradziłaś?

Lobasti parsknęła śmiechem.

– Przestań! – obraziła się Catherine. – Tu są dwa odkrycia naraz, a nikt się o nich nie dowie.

– Nawet ja? Chcę poznać twoje odkrycia. Natychmiast.

– Oto one. Oba masz przed oczami.

– Jedno widzę, a gdzie drugie? – Mrok znacząco obejrzał się w kierunku zarośli.

– Przestań, dobrze? Po pierwsze, to nowy gatunek, nieznany nauce.

– To? – Mrok sięgnął w stronę ogonka, ale dostał po łapie.

– A po drugie, można uważać za dowiedzione, że jaszczury troszczyły się o potomstwo. Ochraniały je i broniły.

– A gdzie są jego rodzice?

– Może zginęli, a może ich wystraszyłam. Nie o to chodzi. Znalazłam jajo, które akurat zaczynało pękać. Zaczęłam obserwować, jak maluch się wykłuwa. Wykłuł się i wziął mnie za mamę. Rozumiesz, ma to już zakorzenione w instynktach, a na wykształcenie się takiego instynktu potrzeba setek tysięcy, jeśli nie milionów lat. Muszę przeprosić doktora Zergela. – Catherine czule pogłaskała dinozaurka. – Mrok, przecież będziemy musieli kiedyś zacząć hodować zwierzęta domowe.

Mrok obejrzał się na Lobasti. Ta zgarnęła w stosik pozostałe ze śniadania pręciki i splatała z nich koszyczek.

– On jest chociaż roślinożerny? – zapytał.

– Oczywiście, że roślinożerny. – Catherine spróbowała wepchnąć maluchowi do pyszczka słodką łodyżkę. Dinozaurek pluł i odwracał głowę. – Chyba jednak nie.

– No dobrze. Tylko nie bij go po pupie, bo zrobisz z niego idiotę. Tyson mówił, że dinozaury połowę mózgu mają w zadku.

– Nie będę.

Łuski przebijały się wszystkie na raz, cała skóra swędziała i piekła nie do wytrzymania. Było to bardziej męczące od bólu zęba. Lobasti poleciała na zwiady. Mrok i Catherine stracili dwie godziny na próby uzyskania ognia przez tarcie. Znaleźli powalony suchy pień i wodzili po nim tam i z powrotem innym pniem. W jakiejś książce Mrok czytał, że w ten sposób można uzyskać ogień. Autor kłamał. Mrok obiecał go zabić, kiedy go spotka za sto milionów lat, a Catherine się rozpłakała.

Mimo jej zapewnień, że dinozaurek jest trawożerny, ten chętnie zjadał kawałeczki ryby, które Mrok rzucał mu przy obiedzie. Catherine zakomunikowała, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Maluch jest wszystkożerny, jak niedźwiedź.

– Trafiłaś kiedyś w łapy niedźwiedzia? – zapytał Mrok.

Wróciła Lobasti, powiedziała, że znalazła następną wyspę, jutro można wyruszać, a teraz dobrze byłoby wziąć tusz, i znowu odleciała. Mrok poczekał pięć minut, a potem poleciał za nią. Niedługo ujrzał strumień, który urywał się wodospadem z niewysokiej skały. Lobasti, z nisko pochyloną głową, stała w strugach wodospadu. Mrok usiadł niedaleko, spróbował łapą wodę. Była lodowata. Podszedł do smoczycy, już chciał ją zawołać, kiedy zrozumiał, że Lobasti płacze. Cicho odszedł za skałę, wodospad zagłuszył jego kroki.

„Dlaczego dla kobiet tak ważne jest społeczeństwo?” – zastanawiał się. – „Catherine – to zrozumiałe: dwieście lat wśród ludzi. Ale Lobasti?... W dzieciństwie mogła przyzwyczaić się do samotności. Chodziło więc o to, że życie straciło sens. Doszliśmy do odwiecznego pytania: jaki jest sens życia. W czym zawierał się dla mnie sens życia przed Strefą? Nie pamiętam. A na Strefie? Pójść w górę. Poszedłem. Tak poszedłem, że już nikt i nic nie zdoła mnie zawrócić. Żyj i ciesz się. Żarcie jest, baby są – i to jeszcze jakie baby, najlepsze we Wszechświecie! Tylko sensu życia nie ma, skończył się. Jak ma żyć smok bez sensu życia?”.

– Tato, dobrze, że tu jesteś. Ja wiem, co trzeba zrobić! Podnosimy statek i przerabiamy jego zero-aparaturę na jednokomorowe zero-t. A potem przechodzimy do dowolnego najbliższego continuum, do ludzi. I żyjemy wśród nich.

– Dobrze to wymyśliłaś, tylko, że do najbliższego continuum, zamieszkałego przez ludzi, mamy sto pięćdziesiąt lat świetlnych.

– Zapomniałam o tym. W takim razie stary plan. Zapisuję wszystko, co wiem, w książkach. Przecież wiesz, że mam pamięć lepszą niż komputer. Zajmie to piętnaście do dwudziestu lat. A potem już sprawiamy sobie dzieci. I wychowujemy je w duchu postępu technicznego.

– Naturalnie, masz rację – ponuro zgodził się Mrok. Przed nim majaczył kierat. Kierat, w którym będzie musiał chodzić kilka tysięcy lat. To samo, czego tak się obawiał na Strefie. Chciało mu się powiesić. Albo usiąść pod krzaczkiem i zapłakać.

Zaczął się drugi tydzień wyprawy. Wypracowali rytm: dzień na zwiad, dzień na lot. Smoki przelatywały na sąsiednią wyspę – czasem sto kilometrów, czasem trzysta – i odpoczywały do wieczora. Następnego dnia Lobasti wylatywała na zwiad szukać kolejnej wyspy. W czasie przelotów niosła dinozaurka w koszyczku z pokrywką. Catherine w żaden sposób nie mogła wymyślić mu dźwięcznej łacińskiej nazwy naukowej: zapomniała łacinę. Sama wyglądała zaś przedziwnie: zielone łuski przebijały się poprzecznymi paskami na całym ciele. Wykapana uskrzydlona zebra. Mrok miał zresztą świadomość, że sam wygląda nie lepiej.

Z kolejnego zwiadu Lobasti wróciła z wiadomością, że przed nimi jest kontynent.

– Jaki? – zapytał Mrok.

– Nie wiem, tato. Przylecimy i zapytamy tubylców. Jeśli odpowiedzą „Kan guru”, to będzie znaczyło, że Australia.

Przy kolacji Lobasti znów spróbowała odwieść rodzinę od lotu na kontynent do czasu, aż wyrosną im łuski. Mrok nie zgodził się na czekanie, a Catherine nieoczekiwanie go poparła. Dwoma głosami przeciw jednemu postanowili lecieć. Po kolacji Lobasti zaczęła uczyć Catherine zasad walki wręcz. Mrok siedział na boku, obserwował i zapamiętywał. Szczególnie ważne miejsce zajmowały uderzenia i podcinki ogonem.

– I to już chyba wszystko. Aha, mamo, najważniejsze. Walka wręcz to dobra rzecz, ale staraj się do niej nie dopuszczać. Lepiej weź jakiś kamień i walnij nim przeciwnika w pysk – zakończyła lekcję Lobasti.

Przelecieli na kontynent i rozłożyli się na brzegu dość dużego, ale płytkiego jeziora. Przy jeziorze upierał się Mrok, gdyż lubił rozbijać obóz nad wodą. A przy płytkim – Lobasti. Powiedziała, że w płytkim jeziorze nie mogą mieszkać wielkie nieprzyjemności.

– Jakie nieprzyjemności? – Nie zrozumiała Catherine.

– Drapieżniki.

Nytik[[1]](#footnote-2) – tak nazwali dinozaurka – wylazł z koszyka, rozkopał w piasku na brzegu składzik czyichś jaj i zjadł dwa z nich. Catherine smętnie westchnęła i zauważyła, jak Mrokowi namiętnie staje dęba kikut ogona.

– Jeśli zapytasz, czy trawożerne jaszczury jedzą jajka, dam ci w nos – zagroziła mu pierwsza. Mrok opuścił ogon.

Lobasti gdzieś poleciała, a wróciwszy, zakomunikowała, że do radiolatarni jest chyba ze czterdzieści-pięćdziesiąt, w każdym razie na pewno mniej niż sto, kilometrów.

Kolację zepsuło im pojawienie się drapieżnego jaszczura. Pierwsza zobaczyła go Catherine.

– O mój Boże! – zaczęła zawodzić – Nytik, Nytik, Nytik!

– Zaraz go przegonię – obiecał Mrok i wydał ryk głodnego poszukiwacza złota, który zobaczył kociołek zupy. Jaszczur przeniósł zainteresowane spojrzenie na niego, przechylił głowę w bok i pomachał przed brzuchem malutką przednią łapką o czterech palcach.

Mrok podniósł się na tylne łapy, rozpostarł skrzydła i wydał ryk poszukiwacza złota, któremu nieoczekiwanie zabrano kociołek zupy. Był od gościa cięższy o parę kwintali, a stojąc na tylnych łapach także o dobrą głowę wyższy.Jaszczur jednak okazał się zadziwiająco głupi – zrozumiał tylko jedno: inni coś tu jedzą, ale go nie zapraszają. I sam się wprosił.

– Uprzedzałem cię! – powiedział groźnie Mrok i ruszył mu na spotkanie. Trzy kroki od niego obrócił się i zadał potężny cios ogonem. Dopiero co zarośnięty delikatną skórą kikut uderzył w szorstką skórę kolana drapieżnika. Ból był potworny, krew trysnęła fontanną.

– U-u-u, a-a-a, o-o-o! – zawył Mrok i pobiegł dookoła polany, podnosząc wysoko łapy. Jaszczur oblizał się drapieżnie i pobiegł za nim.

– Lepiej byś się ratował, głuptasie. Tato zaraz z ciebie zrobi szaszłyk – poradziła Lobasti.

Mrok zatrzymał się, poczekał na jaszczura i zadał mu potężny cios nogą w brzuch. Jaszczur usiadł na ogonie. Mrok wyprowadził prawy podbródkowy, aż głowę jaszczura odrzuciło, i od razu lewą zdzielił go w gardło. Potem spuścił prawą pięść na głowę jaszczura, aż ten zarył nosem w ziemię. Widocznie większość mózgu rzeczywiście nie mieściła się u niego w głowie tylko w krzyżu, gdyż ogon świsnął w powietrzu, trafiając Mroka, który potoczył się po ziemi.

– No to koniec, doigrałeś się – skomentowała Lobasti. – Papa się rozzłościł i już po tobie.

Uderzenie przywróciło Mrokowi jasność myślenia. Podniósł się, otrząsnął, przyskoczył do jaszczura, wbił mu pazury w oczy i od razu odskoczył. Ogon trafił w powietrze. Mrok poszedł na brzeg, wybrał z zatopionych kloców ciężką kłodę, wrócił i ogłuszył żałośnie jęczącego jaszczura.

– To pierwszy raz, mogłeś mu darować – zauważyła Lobasti. Mrok nic nie odpowiedział, przewrócił tuszę na grzbiet, wyrwał pazurami gardło, wypuszczając krew i poszedł do wody umyć się. Był w najgorszym możliwym nastroju. Trzy tygodnie odtwarzania ogona poszło psu na budę! Tfu, do diabła! A ogon jest tak potrzebny do lotów!

Z krzaków wypełznął na brzuchu Nytik, pochłeptał z kałuży świeżą krew, beknął obrażony i, kołysząc się z boku na bok, pobiegł do Catherine. Ta podsunęła mu garść smacznych liści, po czym wzięła apteczkę i podeszła do męża. Wylizała ranę na ogonie, coś tam zaszyła. Mrok cierpliwie znosił ból.

– Dziczejemy – burknął. – Zamiast antyseptyki – język. Jak się nazywał nieboszczyk?

– O ile mnie pamięć nie myli, to ceratozaur. Widzisz, ma kostny grzebień wzdłuż grzbietu, niedorozwinięty róg na nosie i cztery palce. Żył pod koniec okresu jurajskiego. Tylko uważa się, że one były nie większe, niż pięć metrów, a ten prawie dorównuje nam wzrostem.

– Dużo tu jeszcze takiego paskudztwa?

– A jakże! Gorgozaury, tyranozaury – to z tych największych, dwunożnych, na lądzie. A w wodzie – mogłabym wyliczać, aż język się zmęczy. O drobniejszych nie mówiąc.

– No nie, powiedz mi coś przyjemniejszego.

– Przyjemne jest to, że ceratozaur jest uważany za najszybszego z tych wielkich. Możliwe też, że tyranozaury jeszcze się nie pojawiły. Ale tu nic nie można twierdzić z całą pewnością. Uważało się, że mezozauriki dawno wymarły, a myśmy je jedli.

– Co to za nauka! Nic nie możesz powiedzieć dokładnie!

– Nie oceniaj nauki po mnie! – obraziła się Catherine. – Mogę się mylić co do chronologii, ale nauka nie ma tu nic do rzeczy.

Mrok zrozumiał, że Catherine gotowa jest bronić swojej nauki do ostatka. Tak jak broniła go na Strefie, jak przykryła swoim ciałem Lobasti. Odwrócił się ku niej, kokieteryjnie rozchylił ramiona, polizał ją w nos.

– Potrafisz obronić się przed ciążą?

– Oczywiście.

– Więc broń się.

– Teraz, tak po prostu?

– Oczywiście – potwierdził, kładąc ją na trawie. – Lobasti! Nie ma nas w domu dla nikogo!

– O’key, tato. Jestem na warcie. Jeśli ktoś się zjawi, powiem, żeby przyszedł jutro.

Widebrow wyskoczyła z krzaków gwałtownie, lecz bezdźwięcznie.

– Tato, mamo, tu są ludzie!

– Gdzie?

– Po drugiej stronie jeziora.

– Wiedziałem! Szybciej do nich! – Mrok rzucił się w zarośla we wskazanym kierunku.

Pobiegł dookoła jeziora, wypadł z lasu na polanę i prawie zderzył się z młodą dziewczyną. Ludzką dziewczyną. Ta zastygła z oczami okrągłymi z przerażenia. Mrok ostro wyhamował wszystkimi czterema łapami i mimo to omal nie przewrócił jej piersią. Dziewczyna przysiadła i zapiszczała ze strachu. Na drugim końcu polany z lasu wybiegł mężczyzna i krzyknął coś w nieznanym języku. Mrok zamarł. To, co mężczyzna trzymał w ręce, bardzo przypominało pistolet laserowy. Odległość pięćdziesiąt metrów – z takiej on nie chybiłby nawet do główki gwoździa. Jednak człowiek zwlekał. Dziewczyna wciąż piszczała. Mrok zgiął się i zaczął się cofać, uważając, żeby dziewczyna była cały czas na linii prostej między nim a pistoletem. Mężczyzna trzymał teraz pistolet obiema rękami i celował w jego głowę. Mrok cofał się na ugiętych łapach, modląc się, żeby broń była ustawiona na szeroki promień, żeby dziewczyna ciągle stała nieruchomo, żeby za nim nie było drzewa, żeby…

Nieoczekiwanie obok mężczyzny spadła z nieba Lobasti, machnęła ze świstem ogonem i pistolet, wybity dokładnym uderzeniem, wyleciał wysoko w powietrze. Mrok prześledził trajektorię jego lotu i rzucił się w kierunku miejsca upadku. Dziewczyna, ujrzawszy biegnącego wprost na nią smoka, zamilkła, upadła na kolana i zakryła twarz rękami. Mrok odbił się od ziemi, przeskoczył nad dziewczyną, obejrzał się, sprawdzając, czy przypadkiem jej nie zahaczył, wyciągnął naprzód prawą łapę, chwycił pistolet i… o niecały metr przed sobą zobaczył przerażoną fizjonomię Widebrow. Było już za późno na jakikolwiek unik i w następnej chwili zderzyli się głowami.

– Na łopatki – powiedział Mrok, zrobił dwa niepewne kroki w bok, łapy się pod nim ugięły, zarył nosem w piasek i zamknął oczy.

Ktoś cicho jęczał. Mrok otworzył oczy. Obok niego leżała Lobasti z całą stertą mokrych wodorostów na głowie. Spod wodorostów dochodziło żałosne pojękiwanie. Mrok podniósł głowę i zawył z bólu. Wewnątrz jego czaszki ktoś pracował młotem pneumatycznym.

– Lobasti, co ci się stało?

– Twoja troskliwość, tato. Gdybyś chociaż schował rogi… Omal mi nie wybiłeś oczu – rozległo się spod wodorostów. – I wyjaśnij mi, po co go połamałeś? Moglibyśmy dzisiaj rozniecić ognisko, upiec mięso. Cały miesiąc nic ciepłego nie jedliśmy, a ty go połamałeś. Mama mówiła, że ciebie nikt nie może zrozumieć, ja nie wierzyłam… U-u-u, moja głowa…

Mrok chciał obmacać czoło, podniósł prawą łapę i ze zdumieniem wpatrzył się w to, co zaciskał w pięści. Zupełnie niedawno to pogięte żelastwo było pistoletem. Mrok jęknął ze złości. Troskliwe palce Catherine położyły na jego czole coś zimnego. Zamknął oczy. Trzeba się zastanowić, skąd tu mogli się wziąć ludzie, tylko niech najpierw ucichnie ten cholerny młot pneumatyczny między uszami.

– Tato – wyjęczała Widebrow. – Jeśli ci w głowie stukają bębny, nie ruszaj się do jutra i postaraj się zasnąć. To wstrząs mózgu i rytmy alfa półkul się rozeszły. Gdy znów zejdą się ich fazy i częstotliwości, bębny ucichną. A jeśli będziesz się ruszać, dostaniesz rozdwojenia jaźni.

– Tyson o tym nie mówił. Śpij, moja miła. Zmruż oczka, rozluźnij się i przyjemnych snów!

– Jeszcze kpi! – burknęła Lobasti.

– Uwaga, otwieramy naradę naukową. Catherine, opowiedz narodowi, co działo się po tym, jak my z Lobasti… e-e-e… spotkaliśmy się.

– Coś powiedziałeś i położyłeś się odpocząć. Córka powiedziała…

– Mamo, nie trzeba!

– …że postąpiłeś źle. Bardzo źle. Dodała, że czuje się kiepsko i też się położyła. Młody człowiek wziął dziewczynę za rękę, odprowadził na brzeg i odlecieli flyerem. A propos, dziewczyna przez cały czas oglądała się na ciebie. Musiałeś wywrzeć na niej wrażenie. A ja z Nytikiem usiedliśmy i pilnowaliśmy waszego odpoczynku. Aha, póki spaliście, zostaliśmy okradzeni. Jakieś diabelstwo w dwie godziny objadło twojego ceratozaura. I wszystko wokół niego. Jak szarańcza. Jednolity czarny dywan. Za to teraz wiem na pewno, że to ceratozaur. Nie widziałam wcześniej żywego, ale szkielet – kropka w kropkę jak z magazynu muzeum.

– Widebrow, czy zrozumiałaś, co krzyczał ten z pistoletem?

– Nie, tato.

– Ja też nie zrozumiałem. Ale jednego jestem absolutnie pewny: wzięli nas za dinozaury. O czym to świadczy?

– Że jesteśmy w sąsiednim continuum.

– Możliwe, ale ci ludzie na pewno nie są z tej Ziemi. Rozumiesz, Lobasti, na tej Ziemi nie ma jeszcze nawet małpiatek. Czyli to oni przyszli tu z sąsiedniego continuum. A jeśli oni są z sąsiedniego, to my najprawdopodobniej jesteśmy w naszym ojczystym. Według zasady Ockhama, nie trzeba pomnażać ilości mało prawdopodobnych wydarzeń. Wystarczy jedno.

– A jak oni tu trafili?

– Mówiłaś, że w tym miejscu nie było gwiazdy. I nagle się pojawiła. Jednak w sąsiednich continuach gwiazdy nadal nie ma, za to pojawiła się anomalia grawitacyjna, czy jakaś inna, ludzie ją wykryli i zaczęli szukać przyczyn. Znaleźli i teraz badają.

– Tato, przecież ty właśnie mnożysz nieprawdopodobne wydarzenia. A dlaczego w innych continuach takiej awarii nie było?

– Nie wiem. Może dlatego, że nasze jest unikalne, gdyż w żadnym innym nie ma smoków?

– Mrok, czy ty przed Strefą nie byłeś aby zero-fizykiem? – włączyła się Catherine.

– Nie. Szukałem drogi ucieczki ze Strefy. A kiedy Platan napomknął o jednokomorowym zero-t, przeszukałem całe informatorium. W matematykę nie wnikałem, ale fizyczne zasady zrozumiałem.

– Tato, a czy ty wiesz, że to są tajne, potencjalnie niebezpieczne informacje? – zapytała cicho Lobasti. – Do niej mają dostęp tylko specjaliści, którzy muszą o tym wiedzieć z uwagi na swoją pracę… Nawet nie wszystkie smoki…

– Nie wiedziałem. Klucze, hasła, dostępy – tym wszystkim zajmował się Conan.

– Przecież to jest ukrywane przede wszystkim przed przestępcami! A teraz na Strefie o tym wszyscy wiedzą! Gdzie toczy się ten świat?!

– Już się dotoczył – bardzo cicho, samymi wargami powiedziała Catherine.

Nastąpiła niezręczna pauza.

– Wiem, co trzeba zrobić! – powiedziała stanowczo Lobasti – Pójdziemy do ludzi! Oni wezmą nas ze sobą. Zaczniemy drugą próbę w nowym świecie. Jak Wielki Smok!

– Najpierw cię zastrzelą, a potem wezmą – zaprzeczył Mrok.

– Powierzcie to mnie – zgłosiła się Catherine.

– A co ty zrobisz?

– Elementarnie.Wejdę do ich obozu, opowiem kupę kłamstw i wskoczę ich naczelnikowi w pościel. Do rana będzie mój.

Mrok i Lobasti wymienili spojrzenia i wpatrzyli się w nią ze zdumieniem.

– No, co wy na mnie tak patrzycie? Mrok, przecież ja się tym zajmowałam na Strefie dwieście lat. Czyżbyś zazdrościł?

Lobasti ze śmiechu przewróciła się na grzbiet i machała w powietrzu łapami.

– Catherine – śmiertelnie poważnie zaczął Mrok – Jeśli wskoczysz mu do łóżka, będziesz musiała bardzo długo go szukać. Może znajdziesz go pod łóżkiem albo w szafie. Ale chyba nie znajdziesz go w ogóle. O niczym nie zapomniałaś?

Catherine zmieszana spuściła oczy, potrząsnęła głową, poczerwieniała i roześmiała się ponuro. Mrok nie wytrzymał, parsknął śmiechem, porwał ją w objęcia i przewrócił na trawę.

– Rzeczywiście, macie rację! No, trochę się zapomniałam – usprawiedliwiała się Catherine. – Nie spałam całą noc, pokręciło mi się. Zawstydziliście mnie kompletnie.

Lobasti przewróciła się na brzuch i teraz czkała i wycierała łzy.

– Mnie by się to podobało! – zakomunikował Mrok.–A jeśli poważnie, to naprawdę czas nawiązać z nimi kontakt. Ale lepiej najpierw pójść na zwiady i dowiedzieć się o nich jak najwięcej.

Pierwsze rozpoznanie zrobili z powietrza. Z wysokości prawie dwu kilometrów obejrzeli obóz ludzi i jego okolice. Ludzie urządzili się naprawdę solidnie. Obóz otaczała podwójna wysoka ściana, na jej górnej krawędzi położono szyny, na których stało jakieś urządzenie, przypominające agregat do mycia okien wieżowców. Wnętrze także było podzielone ścianami na kilka sektorów. W centrum stał olbrzymi budynek o kształcie podobnym do spłaszczonej kuli. Właśnie w tym budynku znajdował się zero-generator, który Mrok brał początkowo za radiolatarnię. W kilku sektorach stały w rzędach najrozmaitszej wielkości klatki, niektóre ze zwierzętami, ale w większości puste. Dwa sektory były basenami bez dachów.

– Ogród zoologiczny – wywnioskował Mrok. –Stąd nic więcej nie zobaczymy. Wylądujmy za tym wzgórzem, na prawo od obozu, i będziemy obserwowali do wieczora.

Wylądowali, przeszli kawałek w górę po zboczu i wysunęli głowy zza szczytu. Nie było właściwie co obserwować. Większości obozu nie było widać z powodu wysokich ścian. Ludzie chodzili w swoich niezrozumiałych sprawach, w jednym z sektorów grali w piłkę. Krzątały się cybery. Z rzadka wylatywały lub lądowały flyery. Raz wylądował wielki śmigłowiec, z którego wyładowano klatkę z jaszczurem i postawiono na wolnym miejscu pomiędzy innymi.

– Co o tym myślisz? – zapytał Mrok Catherine.

– Dobrze im się tu żyje. Nam w warunkach polowych brakowało wody do picia, myliśmy się raz na tydzień. A oni – sam widzisz.

– Czyli sądzisz, że to…

– Tak. Zwykła ekspedycja naukowa. Bardzo bogata, badawczo-kolekcjonerska. Tylko coś im za bardzo nie śpieszy. U nas taka ekspedycja to zawsze pośpiech, czasem prawie na gwałt. A tu – kurort.

– To znaczy, że są tu na dłużej – wywnioskowała Lobasti.

Catherine otworzyła koszyk i wypuściła Nytika. Lobasti obróciła się na grzbiet i zaczęła się z nim bawić, łaskocząc z różnych stron koniuszkiem ogona. Mrokowi wydało się, że gdzieś niedaleko usłyszał ludzką mowę.

– Niedługo wrócę – powiedział smoczycom i poszedł na ukos po zboczu wzgórza.

Dwóch ludzi w kombinezonach z mnóstwem kieszeni zapinanych na zamki błyskawiczne rozkładało na trójnogach jakieś przyrządy. Pracowali skoncentrowani, w milczeniu, dlatego Mrok zobaczył ich dopiero, kiedy wyszedł na polanę. Na boku stał niewielki flyer z podniesionym wejściem do przeźroczystego klosza kabiny. Zobaczywszy Mroka, ludzie zamarli. Jeden z nich coś wyszeptał, prawie nie poruszając wargami. Mrok wycelował w jego kierunku uszy, ale i tak nic nie usłyszał.

„Żeby tylko ich nie przestraszyć!” – pomyślał. – „Jestem niestraszny, roślinożerny, nie trzeba mnie się bać”.

Przygiął łapą gałązkę, włożył ją między zęby, obrywając z niej wszystkie liście i zaczął powoli je przeżuwać. Złamał i oczyścił z liści drugą gałązkę. Ludzie jakby trochę się uspokoili. Mrok ułamał jeszcze jedną gałązkę, włożył między zęby i skierował się w poprzek polany, zamierzając przejść o dziesięć metrów od ludzi. Potem zamierzał nagle skręcić ku flyerowi i zatrzasnąć pokrywę kabiny, żeby ludzie nie uciekli, a następne wejść z nimi w kontakt.

– U-wa-żaj!– zawołała Lobasti, spadła na niego całym ciałem, przewróciła. Rozległ się cichy wystrzał i coś błyszczącego zrykoszetowało na jego łuskach. Ludzie rzucili się do flyera i podnieśli strzelby z foteli.Mrok wzbił się z niskiego startu, błyskawicznie nabierając szyb-kościi poleciał nad samymi wierzchołkami drzew. Lobasti trzymała się przy jego prawym boku. Z tyłu rozległy się jeszcze dwa wystrzały, podobne do klaśnięć. Coś przeleciało ze świstem koło skroni Mroka i zniknęło w listowiu.

– Uciekamy! – krzyknął Mrok, przelatując nad Catherine. Ta chwyciła Nytika za kark, włożyła go do koszyka i dołączyła z lewej strony Mroka. Z maksymalną szybkością smoki skierowały się w kierunku swojego jeziora.

– Tato, ląduj, zranili mnie! – krzyknęła nagle z przerażeniem, Lobasti.

Ostro spikowali i wylądowali w cieniu pierwszych drzew lasu.

– Tato, zobacz! Zrób coś! – Widebrow była śmiertelnie przerażona. – To jad! Skrzydło mi drętwieje!

W błonce skrzydła sterczała gruba strzykawka. Mrok wyrwał ją i odrzucił, po czym przebił w tym miejscu błonkę pazurem i zaczął ssać krew, co chwilę spluwając.

– Nie chcę umierać – płakała Lobasti. – Jestem młoda, chcę żyć. Tato, ty możesz wszystko, wymyśl coś. Mam dopiero dwadzieścia lat i chcę żyć. Tato, zrób coś! – Jej łapy zadrżały i ugięły się. Catherine przytuliła jej głowę do swojej piersi.

– Słuchaj mnie, dziewczynko, walcz, trzymaj się życia! Teraz wszystko w twoich rękach! Nie jesteś jaszczurem, jesteś smokiem! Trzymaj się! Za dziesięć minut wszystko będzie w porządku! Krew pójdzie przez nerki i już jadu nie ma, zrozumiałaś? Wytrzymaj te dziesięć minut! – krzyczał Mrok prosto w jej ucho. – Nie zasypiaj, trzymaj się! Jesteś smokiem!

Lobasti spróbowała wziąć się w garść.

– Nie wytrzymam tyle. Kręci mi się w głowie. Żegnaj, tato. Żegnaj, mamo. Tato, oni po prostu się przestraszyli. Obiecaj mi, że nie będziesz ich zabijał. Proszę, tato! Szybciej… – Jej oczy się zamknęły, mięśnie zwiotczały, ale oddech pozostał równy i spokojny.

– Nie śpij, córeczko, obudź się! Nie waż się spać! – Catherine klepała ją po twarzy, rozcierała uszy, wściekle potrząsała za ramiona. Mrok namacał puls. Oba serca biły równo, może tylko nieco wolniej niż zwykle. Catherine rozpłakała się cicho. Nytik kręcił się wesoło pod jej nogami.

– Jeśli umrze, oni zapłacą za to drogo! Zniszczę generator, zero-t, potem ich po jednym…

– Nikogo nie zabijesz, Lobasti tego nie chciała – przerwała Catherine. – Ale ja nie składałam przysięgi.

Catherine powiedziała to cicho, ale Mrok zrozumiał, że to nie są puste słowa. To program na przyszłość, może na wiele lat. Catherine znalazła sens życia.

Minęła godzina, druga, trzecia. Lobasti oddychała równo, puls nie rwał się, nie zwalniał i nie przyśpieszał. Catherine nałamała gałązek i włożyła Lobasti pod głowę. W końcu czwartej godziny Lobasti zwinęła się w kłębek i nakryła głowę skrzydłem. Mrok się roześmiał.

– Coś ty? – Catherine ze zdumieniem podniosła oczy na niego.

– To środek nasenny – wyjaśnił Mrok. – Przecież oni zbierają zwierzęta do zoo, a nie zapasy mięsa. W strzykawce był zwykły środek nasenny. Niech mała sobie pośpi. – Rozciągnął się obok. Catherine mruknęła pod nosem coś na temat mylnego poglądu o rozumie smoków, położyła się z drugiej strony i nakryła Lobasti skrzydłem.

Wstali późno, głodni, ale szczęśliwi. Długi sen usunął napięcie. Wody w pobliżu nie było, więc wesołą gromadą polecieli nad jezioro. W drodze gonili jedno drugie, kreśląc w powietrzu zawadiackie wiraże i podając sobie wzajemnie koszyczek z Nytikiem. Lobasti próbowała opanować lot łapami do góry, ale ciągle wpadała w korkociąg. Następne zaczęła machać skrzydłami po kolei: najpierw prawym, potem lewym, od czego mocno ją rzucało z boku na bok i rozpaczliwie machała łapami, gasząc przechyl. Mrok i Catherine piszczeli ze śmiechu. W koszyczku popiskiwał Nytik, ale już z innego powodu. O ludziach i o przyszłości nie myśleli aż do obiadu. Za to po obiedzie ludzie sami przypomnieli im o sobie. Wysoko w niebie pojawił się flyer. Zobaczywszy go, Mrok kazał smoczycom schować się pod drzewami, a sam położył się na widoku.

– Papo, coś ty wymyślił?

– Poddam się i niech mnie wezmą do niewoli.

– A jeśli cię wypchają i zrobią eksponat muzealny?

– Stanę się sławny. Zobaczą mnie miliony.

– Mrok, to niebezpieczne.

– Niebezpieczne? Po Strefie? Cha, cha, cha!

– Tato, ty się wygłupiasz, a mnie i mamie strasznie. Może lepiej wszyscy razem polecimy do ich obozu i poddamy się.

– Nie zrozumiałaś, Lobasti. To jest zwiad. Jeśli ci ludzie nie będą nam pasowali, ucieknę im. Zresztą nie możemy wszyscy tam lecieć, to będzie wyglądało jak atak. Nie jesteśmy przecież jakimiś chomikami. Mnie widzieli, jestem roślinożerny, mam nawet rogi. A twój zniewalający uśmiech… Wykapany tyranozaur.

Lobasti prychnęła i zamyśliła się.

– Oni sami muszą mnie złowić i przywieźć do obozu – przekonywał Mrok. – I niech potem będzie im wstyd. Mały plusik dla nas. A na razie jesteśmy dinozaurami.Zwykłymi, głupimi, roślinożernymi dinozaurami. Czekajcie na mnie na wyspie najbliższej kontynentu. Jeśli nie zjawię się w ciągu miesiąca, działajcie jak pozwolą wam okoliczności. A teraz lećcie na wyspę.

– Zdążymy, tato. Powodzenia! – Lobasti liznęła go w nos.

Flyer ciągle jeszcze krążył w niebie, oddalając się stopniowo na wschód. Mrok zrozumiał, że jeszcze go nie dostrzegli. Przycisnął na pożegnanie do piersi Catherine, mrugnął porozumiewawczo do Lobasti, wystartował i poleciał za flyerem. Zobaczywszy go, dwóch ludzi w przeźroczystej kabinie zakłopotało się. Mrok ulokował się na równoległym kursie po prawej stronie maszyny. Potem przeleciał nad flyerem, jakiś czas leciał po lewej. Pilot kurczowo wczepił się w ster, jego towarzysz kręcił głową i mówił coś do mikrofonu. Mrok wzniósł się nad flyer, żeby lepiej przyjrzeć się wnętrzu kabiny. Pilot poszedł ostro w dół. Mrok zrobił półbeczkę, dłuższą chwilę leciał do góry nogami szybko tracąc wysokość, zakończył półbeczkę i znowu usadowił się na prawo od flyera. Chwilę tak leciał, po czym wykręcił beczkę w jedną stronę, w drugą, wykonał przewrót przez skrzydło, dogonił flyer i ulokował się przed jego dziobem. Było to bardzo skomplikowane, gdyż pilot cały czas chciał uciec to w prawo, to w lewo, to w górę, to w dół. Mrok patrzył na niego z ukosa jednym okiem i kontrował wszystkie próby. A jednak pilot go przechytrzył. Wykonał wspaniałą półpętlę-półbeczkę i od razu dał pełny gaz. Mrok synchronicznie powtórzył jego manewr, ale wytracił szybkość na wznoszącym odcinku trajektorii i został daleko z tyłu. Obejrzawszy się, naliczył w powietrzu chyba z piętnaście flyerów.

– Rybka wzięła – powiedział do siebie. – Tylko pozostaje wyjaśnić, kto tu jest rybakiem.

Żeby ułatwić ludziom zadanie, wylądował na skraju lasu. Trzy flyery pozostały w powietrzu, pozostałe wylądowały.

„Jestem roślinożerny” – przypomniał sobie Mrok. Ułamał gęsto ulistnioną gałązkę, wziął ją w zęby i nie śpiesząc się poszedł skrajem lasu. Między drzewami przebiegały figurki naganiaczy ze znanymi mu już strzelbami o grubych lufach.

„Najpierw za mną trochę pobiegajcie, chłopcy” – postanowił, wypluł gałązkę i pokłusował do samotnego drzewa na przyleśnej łące. Stanął na tylnych łapach i zaczął łamać i zjadać gałązki z korony. Ludzie doszli do skraju lasu i zatrzymali się, bojąc się wychodzić na otwartą przestrzeń. Wyszedł tylko jeden, w czarnym hełmie z przeźroczystą przyłbicą. Zbliżył się na odległość trzydziestu metrów, przykląkł na jedno kolano, wycelował i wystrzelił. Mrok przechwycił lecącą strzykawkę gałązką paprotnika zaciśniętą w zębach, podskoczył i zaczął wściekle drapać bok, w który powinna była trafić strzykawka. Obejrzał ją, była dokładnie taka sama, jak wczorajsza: błyszcząca i z zielonym paskiem. Kolor paska mu się podobał, nie kojarzył mu się z bliską śmiercią, jak czarny lub czerwony. Mrok wygiął szyję i zaczął wylizywać bok. Człowiek wstał, opuścił broń i spokojnie czekał.

„Zaraz ci popatrzę w oczy” – postanowił Mrok, ostrożnie zacisnął strzykawkę w zębach i, znakomicie imitując chód pijaka, ruszył na człowieka. Ten obejrzał się na las, cofając się złamał strzelbę, nabił i podniósł do twarzy. Mrok udał, że mu się zaplątały nogi, dotknął piersią trawy, zatoczył się wstając. Człowiek uspokoił się, opuścił strzelbę, ale odstąpił w las. Mrok, potykając się co krok, ruszył wzdłuż lasu, uważnie przyglądając się naganiaczom. Z koloru skóry i rysów twarzy najbardziej przypominali północnoamerykańskich Indian. Wielu z nich z niepokojem oglądało się na strzelca, ale ten kiwnął ręką uspokajająco. Mrok obliczył z grubsza, że, jeśli sądzić po reakcji Lobasti, pozostało mu jeszcze około minuty. Nagle zobaczył dziewczynę, którą tak przestraszył przy pierwszym spotkaniu.

„Będę tresował ciebie” – postanowił nieoczekiwanie. Zmierzył smarkulę długim, pełnym wyrzutu spojrzeniem, wypluł strzykawkę jej pod nogi, zatoczył się i zarył nosem w piasek, patrząc przez na wpół zamknięte powieki. Kiedy już wybrał pierwszy obiekt kontaktu, taktyka zrobiła się oczywista. Dla siebie nazwał ją taktyką wesołego szczeniaka.

Dziewczyna powiedziała coś w nieznanym języku, podeszła, postawiła mu nogę na szyi i podniosła wysoko broń. Strzelec krzyknął ostrzegawczo. W odpowiedzi roześmiała się i poklepała Mroka po tętnicy szyjnej.

„Ach ty, tchórzliwa suko! Ośmieliłaś się? Zaraz znowu się zasrasz!” – Rozzłościł się Mrok, podniósł szyję, głośno dmuchnął jej w twarz, liznął szorstkim językiem i bezwładnie opuścił głowę twardym podbródkiem na jej nogę. Dziewczyna krzyknęła i podskoczyła na jednej nodze. W bok Mroka wbiły się trzy albo cztery strzykawki.

„To za dużo” – pomyślał. – „Teraz będę udawał śpiącego zadziwiająco naturalnie”. Zamknął oczy i wsłuchał się. W mowie ludzi przeważały gniewne intonacje. Widocznie strofowali dziewczynę. Bardzo szybko Mrok zasnął.

Obudził się w klatce. Spał chyba ponad dobę. Wstał, przeciągnął się, napił się wody z automatycznego poidła w kącie i zaczął badać powierzchnię mieszkaniową. Klatka była zrobiona solidnie. Stalowe pręty o średnicy około ośmiu centymetrów, wrota i mocne zasuwy – wszystko wykonane było niezawodnie. Zamek we wrotach, oczywiście, solidny według ludzkiej miary, ale obliczony na głupiego dinozaura. Zawiasy. Czy da się wybić trzpienie z zawiasów? Nie da się, przyspawane. Podłoga. Mrok wygiął grzbiet i zaczął ostrzyć pazury o deski podłogi, jak kot. Niby przypadkowo jedną oderwał. Pod nią – następna warstwa. Dobrze, podłogą zajmiemy się później. A co w karmniku? Na prawo świeżutka tusza niewielkiego jaszczura, na lewo gałązki skrzypów i paprotników. Mrok wziął tuszę pazurami i wyrzucił z klatki. Jeszcze raz obszedł dookoła całe pomieszczenie. Siadł na ogonie i zamyślił się, co zrobiłby dinozaur, trafiwszy do klatki.Podskoczył, uczepił się prętów i zbadał sufit. Solidna robota. Podniósł mordę ku księżycowi i zawył. Mieszkańcy sąsiednich klatek odpowiedzieli ryczącym i kwaczącym chórem. Mrok postanowił wypracować sobie swój osobisty ryk – taki, od którego człowiek o słabych nerwach mógłby dostać zawału. I wziął się do tego z entuzjazmem. Początkowo się nie kleiło, ale kiedy wziął za podstawę melodię frazy „Gdzie jesteś, moja Suliko”, zaczęło wychodzić. Pozostałe głosy ucichły z szacunkiem. Po pół godzinie zjawiła się dwuosobowa delegacja, złożona ze starca o garbatym nosie niosącego na ramieniu strzelbę ze strzykawką i znajomej dziewczyny. Dziewczyna próbowała przekonać do czegoś starca, ten odrzucał jej argumentację krótkim słowem i wyrazistym gestem. Zobaczywszy na drodze tuszę jaszczura, starzec rozzłościł się na całego. Mrok usiadł na ogonie i wesoło przechylił głowę na bok. Dziewczyna zbliżyła się do klatki na dwa metry i przemówiła do niego. Mrok przysunął się do samych prętów klatki i uważnie słuchał. Wydało mu się, że rozpoznał kilka łacińskich słów i sama mowa przypominała kościelną łacinę, jaką słyszał, kiedy w młodości chodził z rodzicami na msze. Tak, zdecydowanie ma z tym coś wspólnego… Teraz analiza logiczna. O czym ona mówi? Na pewno robi mu wymówki, że przeszkadza spać, że pobudził wszystkich w środku nocy. Prosi, żeby tego już więcej nie robił. Zresztą to brzmiało już w intonacji. Dziewczyna skończyła go strofować, odwróciła się i chciała odejść. Mrok wsunął nos między pręty klatki i zawył cicho i żałośnie. Wróciła, powiedziała coś pieszczotliwego i wyciągnęła rękę, zamierzając pogłaskać go po nosie. Starzec krzyknął coś gniewnie. Ręka zamarła w powietrzu. Mrok westchnął w myśli. Ta smarkula nie zasługiwała, żeby jej lizali rączki, ale sytuacja wymaga… Wysunął język i liznął dłoń. Starzec pokiwał głową, a dziewczyna nabrała śmiałości i pogłaskała go po nosie.

Kiedy dziwna delegacja odeszła, Mrok znów zawył żałośnie. Dziewczyna odwróciła się i pomachała mu ręką. Machinalnie zamachał w odpowiedzi. I zaraz sklął się w myśli: dinozaury, żegnając się, nie machają sobie łapkami. Dobrze jeszcze, że starzec tego nie zauważył.

Zwinął się w kłębek pośrodku klatki i zasnął.

Zbudził go szum głosów. Obok klatki tłoczyło się chyba z dwudziestu ludzi. Wszyscy patrzyli na niego, wskazywali palcami, machali rękami i kłócili się zawzięcie. Mrok wstał, przeciągnął się, rozłożył i złożył z powrotem skrzydła. Popił z poidła, naostrzył pazury o podłogę w kącie, odrywając przy okazji jeszcze jedną deskę, porył w karmniku i wyrzucił z niego wszystkie uschnięte gałązki. Świeżych nie było. Ugryzł deskę z podłogi. Niezłe, ale za bardzo pachnie moczem poprzednika. Usiadł pośrodku klatki i wydał swój firmowy ryk. Ludzie prze-stali się kłócić, wielu zatkało uszy rękami. Mrok powtórzył ryk jeszcze dwukrotnie. Miał nadzieję, że przyjdzie „tresowana” dziewczyna, ale przyszedł starzec. Mrok wsadził nos do pustego karmnika i zawył jak głodny wilk. Starzec dostał reprymendę od jednego z gości – mógł to być jeden z naczelników ekspedycji. Mrok postanowił trzymać się swoich i zaryczał na naczelnika, gniewnie drapiąc pazurami podłogę. Starzec zaczął coś wyjaśniać, podszedł do klatki i pogłaskał go po nosie. Mrok nieco się odsunął i znów włożył głowę do pustego karmnika. Ktoś się roześmiał. Starzec oddalił się i niedługo powrócił z całym wózkiem różnych różności. Chciał wszystko wsypać do karmnika, ale Mrok włożył łapę między pręty, zaczepił wózek pazurem i przesunął go pod samą klatkę. W wózku były owoce i warzywa na pewno nie z mezozoiku. Mrok obejrzał ze wszystkich stron główkę kapusty, wrzucił ją do pyska i długo przeżuwał. Zwykła biała kapusta. Buraki cukrowe też niczego sobie. A surowe niemyte kartofle niech je kto inny. Tłum gości z zainteresowaniem obserwował, jak Mrok pochłania ogórki, wrzucając do pyska po jednym, jak ziarna kukurydzy. Pod ogórkami leżały banany. Mrok zamyślił się. Jeśli będzie banany obierał na oczach wszystkich, wyda swój rozum, a jeść nieobrane to żadna przyjemność. Ale jeść się chce. Postanowił odłożyć rozwiązanie dylematu na później. Wziął kiść bananów, obwąchał i zaniósł do karmnika. W czasie, gdy odnosił, starzec przetoczył wózek dalej od klatki. Jeden z naukowców wziął banan, obrał go i zaczął jeść. Skórkę rzucił na ziemię. Mrok usiadł na ogonie i zaczął zastanawiać się, jak to rozegrać. Cham nie tylko zjadł jego banan, lecz także naśmiecił. Na pewno można to wykorzystać, pytanie tylko, jak? I jak powinien zachować się dinozaur, który pierwszy raz zobaczył banan?

Cham tymczasem wyciągnął rękę po drugi banan. Mrok cicho zaskowyczał, przebierając przednimi łapami. Sąsiad chama wskazał na niego ręką i coś powiedział. Cham podał Mrokowi obrany i nadgryziony banan. Mrok wysunął łapę poza klatkę i zacisnął banan w pięści. Biała maź trysnęła spomiędzy palców. Wszyscy się roześmiali. Mrok oblizał dłoń i wyciągnął łapę po następny banan. Cham zdziwił się, ale obrał i podał. Mrok zjadł. Ludzie zaczęli z ożywieniem dyskutować. Mrok zrozumiał tylko cztery słowa: primo, secundo, sapienti i ergo. Ludzie spierali się, machali rękami, ale bananów już nie obierali. Mrok przyniósł banany z karmnika, oddzielił jeden z nich i wyciągnął do chama. Jeden z uczonych klepnął się dłońmi po udach, wskazał palcem na Mroka i roześmiał się. Mrok oderwał drugi banan i wyciągnął do niego. Niedługo wszyscy uczeni stali w kolejce po prawo otrzymania z jego łapy banana, obrania go i zwrócenia. Mrok rozdzielał między ludzi pracę i zjadał banany, dopóki te się nie skończyły. Starzec stał na boku, kiwał głową i mamrotał coś sobie pod nosem.

Rozległy się dwa uderzenia gongui ludzie, kontynuując spór, udali się w kierunku centralnego budynku. Mrok odprowadził ich wzrokiem i rozejrzał się po klatce. Chlew, a nie klatka. Śmietnisko. Zrobiło mu się wstyd. Spróbował zamieść śmiecie ogonem. Bolesne i nieefektywne. Wczepił się więc wszystkimi czterema łapami w kratę i pomachał z całej siły skrzydłami. Po minucie w klatce był idealny porządek, a skórki od bananów i gałązki rozrzucone po całej okolicy. Mrok położył się na czystej podłodze, zastanawiając się, czy nie przesadził. Jasne, że przewyższył intelektem psa, a może nawet małpę człekokształtną. To źle. Do czasu trzeba było utrzymywać się na poziomie mądrego psa. Z życzliwością wszystko w porządku. Uczeni uznali go za roślinożercę, czyli niezbyt niebezpiecznego. Starzec nie przestraszył się i dał przykład pozostałym. Tu także było wszystko w porządku. Udało mu się ukryć umiejętność obierania bananów. Proces współdziałania z ludźmi odbywał się chyba płynnie i naturalnie, bez nagłych wyskoków intelektu. Narzędzi pracy nie tylko nie wymyślił, ale nawet nie wykorzystał – tu każda małpa wyprzedza smoka.

Po obiedzie pojawiły się cybery. Przynieśli spore bierwiono i spróbowały je wepchnąć do klatki. Było za grube, więc je ostrugały z boków elektronarzędziami, włożyły i odeszły. Mrok długo się zastanawiał, po co mu to bierwiono. Skosztował. Ni to świerk, ni to jakieś nieznane mu drzewo liściaste, żywiczne i niesmaczne. Wyraźnie nie z tego czasu. Z jakichś powodów ludzie doszli do wniosku, że smokowi na gwałt potrzebne jest to polano. Do czego? To było zadanie logiczne i Mrok wziął się do niego z entuzjazmem. Po godzinie entuzjazm zniknął, ale zastąpiła go złość na własną tępotę. Mrok chodził dookoła bierwiona, przewracał je łapą, oglądał, obwąchiwał i ostukiwał pazurami w poszukiwaniu ukrytych urządzeń obserwacyjnych. Wreszcie zrozumiał. Strugarka do pazurów! Ludzie widzieli, jak rwał podłogę i przysłali mu zabawkę. Westchnął z ulgą i stracił wszelkie zainteresowanie polanem. Obserwujący go młody laborant coś zapisał w notatniku i niedługo oddalił się.

Pod wieczór z całą mocą dał o sobie znać problem toalety. Paskudzić w klatce się nie chciało, a wyrwanie zamku wydałoby rozum Mroka. Poszedł więc na kompromis. Wygrzebał z karmnika resztki zieleniny, pościelił w kącie, załatwił się na to, a potem przedmuchał klatkę skrzydłami. W klatce było czysto jak poprzednio, za to na zewnątrz…

„Takiego chlewu nie było nawet na Strefie” – ponuro rozmyślał Mrok, obserwując, jak ludzie czyszczą szczapkami podeszwy butów.

Ani w dzień, ani wieczorem „tresowana” nie przyszła – nawet wtedy, kiedy kilka razy wydał swój firmowy ryk. Przyszedł starzec, wepchnął do klatki żelazną podstawkę i długo coś mówił, wskazując ręką to na podstawkę, to na okolicę klatki. Mrok podał mu banan i położył się spać, nakrywszy głowę skrzydłem.

Następnego ranka przyszło dwóch techników i o pięć metrów od klatki postawili kamerę na trójnogu. Bali się podchodzić bliżej do klatki, na Mroka praktycznie nie zwracali uwagi. Zrobili swoje i odeszli. Mrok poczuł się opuszczony. Ludzie zamierzali badać go przez telewizor! A co z kontaktem osobistym? Jak tu pokazać swoje przyjazne zamiary? Maszerował po klatce tam i z powrotem, od czasu do czasu rozkładając skrzydła. Chciało mu się latać. Kamera go denerwowała. Zatrzymał się przed karmnikiem, wyjął dynię, zwarzył ją w łapach. Przypomniał sobie, że go filmują, obwąchał ją, oblizał i zjadł wraz ze skórką i nasionami. Nie sprawiło mu to żadnej przyjemności. Coś z tą kamerą trzeba zrobić. Patrzyła na niego nawet, gdy odwrócił się tyłem, co strasznie go drażniło.Spojrzał na deski oderwane od podłogi. Nie, nie można. To narzędzie. Trzeba prościej. Conan lubił mawiać: „Prościej, głuptasku”, Catherine: „Bądź jak najprostszy, a ludzie pójdą za tobą”, a Maggie: „Bądźmy prości, usiądźmy na podłodze”. Mrok tak właśnie zrobił. Do diabła! Do trzech tysięcy diabłów! Takie proste!

Podszedł do prętów klatki, przez jakiś czas się wygłupiał, usiłując dosięgnąć kamerę łapą. Potem oparł się grzbietem o kratownicę, wsunął skrzydło między pręty, zaczepił trójnóg koniuszkiem i przetaszczył go pod samą klatkę. Zdjął kamerę łapą, długo kręcił nią przed nosem, obwąchując i oblizując. Potem spróbował na ząb. Szkiełka obiektywu wypadły na podłogę. Mrok rozerwał korpus pazurami, zaczął badać wnętrzności. Nie, tej kamery na pewno nie wyprodukowano na jego Ziemi. To rezystor, prosty element, cylinderek z dwoma drucikami. Ale nawet on wygląda obco. Inne proporcje, barwa, oznakowanie. Przeznaczenia części o liczbie wyjść większej od trzech Mrok nawet nie próbował zgadywać. Włożył resztki kamery do gęby, pożuł i wypluł.

Kiedy pojawili się dwaj technicy, Mrok leniwie przeżuwał tytanowe nóżki trójnoga. Jeden z techników gwizdnął, drugi, klnąc i patrząc z ukosa na Mroka, podniósł kilka kawałków kamery, po czym obaj się oddalili.

Minęła godzina. Na placyku pojawiły się cybery-sprzątacze. Mrok się nudził.

Minęły jeszcze dwie godziny. Przyszli technicy z nową kamerą. Ustawili ją o dziesięć metrów od klatki. Mrok znowu pobiegał od jednej ścianki do drugiej. Rozłożył i złożył skrzydła. Uśmiechnął się, zawiesił się na kracie i zamachał skrzydłami, jak rankiem, gdy zamiatał klatkę. Z początku mogłoby się wydawać, że nic nie wyjdzie, ale kiedy dokładniej skierował strumień powietrza, kamera jednak obróciła się na trójnogu, przechyliła się i zaryła obiektywem w ziemię.

Wściekli technicy przybiegli bardzo szybko. Mrok odczepił się od sufitu klatki, gdzie wisiał w pozie leniwca, usiadł przy kracie i zaczął obserwować. Technik podniósł trójnóg, obejrzał obiektyw i poszedł w kierunku Mroka, klnąc i groźnie potrząsając kamerą. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, Mrok wyciągnął łapę, podciągnął go do krat i oblizał mu twarz. Zanim technik zdołał się opamiętać, Mrok ścisnął obiektyw w pysku. Drugi technik krzyknął. Przestraszony Mrok odskoczył w głąb klatki. Pierwszy technik – Mrok dla siebie nazwał go Włochem – rzucił na ziemię trójnóg z resztkami kamery i poszedł sobie, machając rękami, wycierając sobie twarz rękawem i klnąc, na czym świat stoi. Drugi podniósł trójnóg i pobiegł w ślad za nim. Mrok triumfował!

Przyszedł starzec na czele karawany cyberów, obładowanych kawałkami mięsa i zieleniną. Zaczęło się karmienie Mroka i jego sąsiadów. Kiedy starzec odchodził od klatki Mroka, ten podał mu dynię. Stary roześmiał się, pogroził mu palcem, ale dynię wziął, podzielił na osiem części i wyczyścił je z pestek. Jedną wziął sobie, pozostałe rozłożył na brzegu klatki. Mrok zjadł je ze skórką i sięgnął do karmnika po drugą dynię. Ale stary odszedł, śmiejąc się.

Wrócili technicy, a wraz z nimi gniewny kierownik i dwóch ludzi w białych kitlach. Technicy zaczęli umocowywać kamerę na kracie pustej klatki naprzeciwko klatki Mroka. Mrok potoczył po ziemi w ich kierunku dynię. Włoch tylko spojrzał na nią z ukosa, ale drugi technik wziął pod pachę. I od razu został upomniany przez gniewnego kierownika. Zaczęła się kłótnia. Mrok rozpoznał jeszcze dwa słowa: „credo” i „canas”. Co znaczyło „credo”, nie pamiętał, a „canas” – to chyba „pies”. Ciekawe, do kogo miałoby się to odnosić? Nie, zdaje się, że pies to „canis”. Przydałby się słowniczek… Do diabła, przecież oni mówią swoją łaciną, a nie naszą, która od dawna jest martwa. Musiały narosnąć różnice.

Technik włożył dynię naczelnikowi w ręce, przez chwilę coś mu tłumaczył, wskazując palcem Mroka, przejechał kantem dłoni po gardle, wykonał nieprzyzwoity gest i poszedł sobie. Mrok podniósł pysk ku niebu i zawył. Naczelnik podał dynię człowiekowi w białym kitlu – Mrok dla siebie nazwał go Długim – i oddalił się. Włoch skończył swą robotę i też poszedł. Mrok usiadł przy samej kracie i obserwował ludzi w bieli, a oni jego, z rzadka wymieniając między sobą uwagi. Trwało to może z pięć minut. W końcu Długi położył dynię na ziemi i pchnął w kierunku klatki. Mrok zatrzymał ją łapą i potoczył z powrotem. Wrócił starzec, klepnął się dłonią w czoło, podniósł dynię, rozciął na części, usiadł między prętami i zaczął jeść swoją porcję. Mrok już zwrócił uwagę, że przy świadkach stary zachowuje się śmielej niż téte-a-téte. Usiadł obok i położył mu łapę na ramieniu. Stary trzepnął go po łapie dłonią, więc Mrok ją usunął. Białe kitle ostrożnie się zbliżały, wypytując o niego starego. Mrok wyjął z karmnika kolejną dynię, którą zjedli we czwórkę. Trzeba było zatrzymać ludzi jak najdłużej. Mrokowi wydawało się, że zaczyna już rozumieć sens niektórych wyrażeń. Jeden z uczonych połaskotał go po gardle. Mrok podstawił głowę, by łatwiej mu było go głaskać. Ale uczony okazał się oszustem: pod pretekstem pieszczoty obmacał jego czaszkę, po czym wyjął notes i narysował ją w trzech rzutach! Mrok się obraził. Poczekał, aż ten skończy rysować, odebrał mu notes i zjadł. Ludzie się roześmiali. Atmosfera robiła się coraz luźniejsza. Stary wyjął z kieszeni małą butelkę, upił łyk i podał białym kitlom. Zapomnieli poczęstować Mroka, ale on sam się ugościł. Wziął flaszkę, długo rozkoszował się bukietem zapachów koniaku, wylał zawartość na wygięty w łyżeczkę język i połknął. U Guza pijał lepsze koniaki. Za mocny, z ujmą dla smaku, ale zapach – wspaniały. Może zresztą smoki odbierają to inaczej? Mrok odłożył pustą flaszkę i poszedł po kolejną dynię. Kiedy powrócił, zobaczył, że na nim skrzyżowały się trzy napięte spojrzenia. Nikt nic nie mówił, wszyscy patrzyli na niego jak na bombę zegarową. Zrozumiał, ze wpadł. Na czym? Na butelce z koniakiem. Odruchowo zakorkował szyjkę. Przecież nigdy nie pił idąc na robotę, a tu się rozluźnił. Tak czuł, że alkohol go kiedyś zgubi. I co teraz? Zabić wszystkich trzech? Świadkowie są? Chyba nie… Zaraz, a kamera? Do diabła! Wpaść na oczach kamery! Tak się nie mówi. Na widoku kamery? W polu widzenia kamery? Przed obiektywem kamery? Warianty frazy wyskakiwały w mózgu same z siebie, jeden za drugim. Mrok pokręcił głową. Alkohol plus smocza szerokość myślenia – zrozumiał. Catherine uprzedzała go przecież, żeby nie pił więcej niż wiadro, gdyż stanie się kompanią ośmiu półgłówków. „O czym ja myślę?” – zdziwił się smok, który jakby obserwował to z boku.

Mrok położył się na podłodze, tak żeby ludzie zasłaniali go swoimi ciałami od kamery, przyłożył palec do warg i wydrapał pazurem na deskach podłogi twierdzenie Pitagorasa. Znowu przyłożył palec do warg i pokazał na kamerę. Ludzie obejrzeli się w tamtym kierunku. Stary zdjął kurtkę i poszedł w stronę kamery, ale Długi dogonił go, coś mu powiedział i obaj wrócili. Wszyscy trzej trochę się półgłosem pospierali, a potem przeleźli między prętami klatki i usiedli, plecami do karmnika. Mrok zrozumiał. Podniósł się na chwilę i znów położył, odwrócony grzbietem do kamery. Stary wyszukał w karmniku jabłka, rozdał wszystkim. Długi powtórzył na podłodze szkic do twierdzenia Pitagorasa. I wtedy Mroka poniosło. Improwizując naprędce, zaczął wydrapywać rysunek za rysunkiem. Rakieta, tak, jak rysują ją dzieci: zaostrzony na końcu cylinder z małymi skrzydełkami. Ta sama rakieta, wbita dziobem w ziemię. Trzy smoki, wylatujące z rozbitej rakiety. Drapieżne dinozaury, obóz ludzi, okrągły budynek w środku i rozchodzące się od niego we wszystkich kierunkach faliste linie ze strzałkami na końcach. Mapa wybrzeża, wyspy na oceanie, ich droga z wyspy na wyspę. Podniósł się, wyjął z karmnika kolejną dynię i kilka jabłek, ulokował się na innym miejscu, żeby było gdzie rysować i zaczął nową serię rysunków. Układ jakiejś gwiazdy, planeta, krążąca wokół niej, rakieta, odlatująca w kierunku innej gwiazdy. Na wizerunku planety postawił jabłko, wskazał palcem na nie, potem na siebie. Białe fartuchy przyjaźnie kiwnęły głowami, stary nie wszystko zrozumiał, więc mu objaśniły. Mrok wziął drugie jabłko, przetoczył je po dłoni, po czym z siłą spuścił na „swoją planetę”. Kawałki jabłek bryznęły na wszystkie strony. Ludzie zadrżeli. Mrok narysował powracającą rakietę, wskazał na resztki zmiażdżonych jabłek, pokazał, jak rakieta pokręciła się wśród nich i odleciała ku innej gwieździe. Wskazał na pierwszą serię rysunków. Ludzie milczeli, wstrząśnięci. Pierwszy przyszedł do siebie starzec. Wyjął z kieszeni klucz i wstał, kierując się w kierunku drzwi klatki. Mrok zatrzymał go i znów położył palec na wargach. Stary usiadł z powrotem, kilkakrotnie podrzucił klucz na dłoni i położył go obok karmnika. Mrok omal się nie rozpłakał. Długi wyjął z kieszeni komunikator i powiedział do tego kilka słów. Niedługo zjawił się cyber, pchając przed sobą stolik na kółkach, wypełniony talerzami, garnkami i butelkami. Stary aż mlasnął z zadowolenia. We trójkę szybko przenieśli stolik wewnątrz klatki i kontynuowali bankiet. Pierwszy raz od czasu ucieczki ze Strefy Mrok jadł normalne ludzkie jedzenie. Smocze też jest, oczywiście, jadalne i całkiem smaczne, ale dla człowieka zbyt proste i niezbyt różnorodne. Smakoszy wśród smoków jest niewielu. Butelko otwierano jedną po drugiej. Ludzie nalewali sobie po lampce, a resztę do wiaderka na lód, z którego pił Mrok. Niedługo ludzie podchmielili sobie, ich głosy były coraz głośniejsze, stary próbował coś Mrokowi opowiedzieć, ten uważnie słuchał, próbował zapamiętać słowa, czasem je powtarzając – wtedy mu chórem wyjaśniali, co owo słowo znaczy. Czasem udawało się zrozumieć.

Gdy butelki się skończyły, Długi sięgnął po komunikator, ale M rok pokiwał mu palcem przed nosem, udając pijanego i powiedział:

– Sapienti sat.

Wszyscy się roześmiali. Długi poklepał go po łapie i schował komunikator z powrotem do kieszeni. Mrok spróbował narysować tresowaną. Lobasti, w przeciwieństwie do Catherine, zapewniała go, że alkohol nie działa na smoki. Może na te, które urodziły się smokami, nie działa, ale na Mroka podziałał. Zamiast portretu wyszła mu karykatura. Ale stary rozpoznał.

– Szalla! – wykrzyknął. Białe fartuchy pokiwały głowami. Mrok narysował obok siebie w klatce. Długi znowu wyjął komunikator, ale Mrok zatrzymał go, pokazując, że lepiej jutro.

Rozstali się, kiedy było już całkiem ciemno. Mrok odprowadził spojrzeniem zataczające się figury, po czym przeniósł spojrzenie na chlew na podłodze. Rozpostarł skrzydła, które zasłoniły go przed kamerą, i złożył wszystkie brudne naczynia w opustoszałym karmniku. Należałoby umyć podłogę, ale za bardzo chciało mu się spać. Wybrał stosunkowo czysty kąt, zwinął się w kłębek i nakrył głowę skrzydłem.

Wydawało mu się, że dopiero co zamknął powieki – a ktoś go budzi. Co u diabła?! W ogrodach zoologicznych nie budzi się zwierząt! Mrok machnął łapą i przewrócił się na drugi bok. Z góry rozległ się śmiech. Mrok odsunął skrzydło i otworzył jedno oko. Na klatce siedziała Catherine i łaskotała go długą gałązką.

– Witaj, masochisto. Dobrowolnie zamienić Strefę na klatkę…

Mrok nakazał jej gestem milczenie, podskoczył, zawisł na suficie klatki i polizał w nos.

– Tss! – wyszeptał. – Tu niedaleko jest kamera. Udaję, że mi bardzo smakują. Jeśli ją trochę pożujesz, będę ci bardzo wdzięczny. Może nawet wpuszczę cię do klatki na noc?

– Coś ty, żuć kamerę? Żeby mnie prąd poraził? Nie ma mowy!

– Tylko najpierw obwąchaj ją i obliż. Nie mona odstępować od rytuału.

– Przy tobie można nauczyć się jeść wszystkie świństwa. Czekaj, czekaj… Chuchnij no! Czuć od ciebie alkohol. Boże, aleś sobie popił! My z córką denerwujemy się, przeżywamy za niego, a on sobie pije! Lobasti nie uwierzy, jak jej opowiem. Wszystkim dinozaurom tu nalewają czy co?

– Tylko parę butelek na czterech. Za braterstwo rozumów. Catherine, kamera…

– No, gdzie jest to bezsenne oko? – Catherine podleciała do sąsiedniej klatki, obwąchała, ostrożnie polizała, po czym zerwała i przyniosła Mrokowi. Ten włożył kamerę do pyska, pożuł i wypluł kawałki.

– Uff, teraz jestem wolny! Nie wyobrażasz sobie, jak ona mi psuła krew! Aha, wstąpiłem w kontakt z grupą uczonych, przekazałem im, że nasza planeta zginęła i tylko myśmy się uratowali. Przylecieliśmy tutaj i nasz statek uległ awarii.

– Wiedzą, że jesteś rozumny i trzymają cię w klatce?! Mrok, trzeba dać nogę. Ci ludzie mi się nie podobają. Zaraz znajdę łom, rozwalę zamek i odlatujemy!

– Po co niszczyć dobrą rzecz? – Mrok zakołysał jej kluczem przed nosem.

Catherine wyrwała mu klucz i pośpieszyła do zamku. Włożyła, przekręciła. Drzwi się otworzyły, weszła. Mrok zabrał jej klucz i zamknął zamek.

– Nie psuj mi planu. Najpierw trzeba przygotować opinię publiczną. Potrzebuję na to jeszcze co najmniej tygodnia. Lepiej opowiedz, co u was słychać? Jak tam Nytik?

– Ten twój Nytik to dureń. Nie rozumie dobrego traktowania! Bez mózgu, same instynkty. Podrośnie, zabijemy go na mięso.

– Nie mój, tylko twój. Ale co on narobił?

– Ugryzł Lobasti w błonkę. Okryła go przed zimnem, a gdy się ogrzał, jak nie capnie jej całą paszczą! Mrok, my z Lobasti omówiłyśmy wszystkie warianty. Czas mieć dzieci. Są tu ludzie, więc nie dadzą nam zdziczeć. Trzeba zabezpieczyć planetę dla smoków. I nie waż mi się sprzeciwiać. Jesteś sam, nas jest dwie. W tej sprawie mamy na pewno rację. – Catherine stanowczo otworzyła kłódkę, odsunęła zasuwę, weszła do klatki. Rozejrzała się po gospodarsku, zajrzała do karmnika i pokiwała z wyrzutem głową. – A może nie tutaj, tylko gdzieś na trawce?

– Żeby tyranozaur odgryzł mi ogon?

Catherine pieszczotliwie przeciągnęła po błonce Mroka końcem skrzydła. Podrapała go za uchem. I znów przeciągnęła po błonce, tym razem od dołu. Mrok jęknął i ścisnął ją w objęciach. Catherine zbadała już wszystkie erogenne strefy smoczego ciała. Nie mógł się już kontrolować...

A co było dalej, to nas nie dotyczy.

– Wstawaj, czas odlatywać.

Catherine potarła podbródkiem jego szyję.

– Jeszcze trochę… no, kwadransik.

– Zobaczą cię ludzie i zostaniesz tu na zawsze.

– A może ja tego właśnie chcę?

– Tam Lobasti się niepokoi. – Mrok podniósł się niechętnie, pogrzebał w karmniku i wyjął stamtąd przypadkowo niewypitą wczoraj butelkę. – Daj jej i wypijcie za powodzenie naszego planu.   
 Catherine elegancko się przeciągnęła, liznęła go w nos i wyszła z klatki. Mrok zamknął zasuwę, powiesił kłódkę, schował klucz w szczelinie między deskami. Smoczyca powoli szła wzdłuż klatek, przyglądając się ich mieszkańcom. Pomachała mu i znikła za zakrętem. Nieoczekiwanie rozległ się stamtąd kobiecy pisk. Wyskoczyła przestraszona Catherine, przemknęła galopem na trzech łapach, czwartą przyciskając do piersi butelkę, rozpostarła skrzydła i odleciała lotem koszącym. Zza zakrętu wybiegli z krzykami ludzie, część z nich machała łomami lub pistoletami laserowymi. Zobaczywszy Mroka w klatce zatrzymali się zdumieni. Jeden postanowił sprawdzić zamknięcie. Mrok wybrał chwilę i oblizał mu twarz. Człowiek odskoczył z przerażeniem, pozostali się roześmiali. Podszedł stróż, prowadząc ze rękę przestraszoną Szallę. W drugiej ręce trzymał miotłę. Przecisnął się między prętami i zaczął zamiatać klatkę. Mrok nie spuszczał oczu z dziewczyny, która jak zahipnotyzowana zbliżała się do klatki. Stary powiedział do niej coś zachęcającego i przegonił Mroka na inne miejsce, żeby nie przeszkadzał w sprzątaniu. Weszła nieśmiało do klatki. Mrok delikatnie pogłaskał ją po plecach. Jeden z mężczyzn coś krzyknął. Dziewczyna poczerwieniała, odpowiedziała mu i objęła Mroka za szyję. Mrok zmrużył oczy, położył się na podłodze i zamruczał. „Trzeba było potrenować mruczenie” – pomyślał, gdyż Lobasti wychodziło to lepiej, ale kto tam z ludzi słyszał mruczenie smoków? Tresowana pogłaskała go po gardle i Mrok podniósł głowę. Otworzył oczy. Mężczyźni już się rozeszli. Dziewczyna wstała z kolan i też chciała odejść.

– Szalla – wezwał ją cicho Mrok.

Dziewczyna drgnęła, jakby ją pszczoła ugryzła między łopatkami.

– Szalla – powtórzył Mrok. Stary się roześmiał.

Długi i drugi biały kitel przytaszczyli masę urządzeń i udawali, że badają Mroka. W rzeczywistości przez większość czasu uczyli go języka. Dowiedział się, że Długi nazywa się Bleisus, a drugi Pittacus albo w skrócie Pit. Stary nazywa się Crassus.

Przybyła inna grupa uczonych, przywieźli na platformie kilka bardzo okazałych przyrządów, zaproponowała Bleisusowi przyłączenie się.

– Atu ich! – zakomenderował Bleisus. Mrok zaczął ryczeć i biegać po klatce. Szalla zwymyślała Bleisusa, po czym długo uspokajała i usadzała na miejscu Mroka, ale ten jeszcze jakiś czas zrywał się i ryczał na nowoprzybyłych. Kiedy po niedługiej kłótni tamci się oddalili, grupa uśmiała się i kontynuowała nauczanie. Mrok postanowił, że od dzisiaj zacznie nowy etap – z przyjacielskiego zwierzęcia zamienia się w tresowane. To da mu znacznie więcej swobody i możliwość poruszania się po obozie. Za pomocą niewielu poznanych słów i wielu rysunków wyjaśnił wszystkim swój plan. Ludzie nijak nie mogli zrozumieć, dlaczego nie można od razu ogłosić całej prawdy. Mrok jeszcze nie wymyślił przekonującego powodu, więc odpowiadał po prostu „Za wcześnie. Później. Mało słów”.

Szalla odkryła szwy na końcu ogona. Mrok długo próbował wyjaśnić, że stracił ogon, kiedy był zamrożony, ale ludzie nic z tego nie zrozumieli. Szalla zdjęła szwy, współczując mu, i zapytała, jak on się nazywa. Mrok palnął się w czoło i podał imiona całej trójki. Dowiedziawszy się, że ma dwie żony, zmieszała się, za to mężczyźni byli tym zachwyceni. Mrok długo próbował wytłumaczyć, że oni są ostatnimi smokami na świecie, że to przypadek szczególny. W końcu splunął, udając obrażonego, poszedł do kąta i nakrył głowę skrzydłem. Mężczyźni zgodnie naskoczyli na Szallę, a Mrok słuchał z kąta, uzupełniając zapas poznawanych słów.

Nierozumny – nie, nierozumna bestia. Bestia! Nierozumna bestia – dobrze powiedziane! Ach, do diabła, „bestia” to u nich „zwierzę”. Nierozumne zwierzę – ale grubiaństwo! „Rana” to „żaba”… Aha, „żabi móżdżek”! – analizował w pośpiechu Mrok. A co ona na to odpowiedziała? „Fili”… Wiedziałem, wcześniej słyszałem… Aha, synowie psa! „Poli” – to „wiele”. „Patris” – „ojciec”, choć u nas jest „pater”. Więc: „samiście psy, i wasi ojcowie, i wiele pokoleń waszych przodków było psami”. Dlaczego oni tak lubią kląć? Co ten Bleisus mówi? Jakby to łagodnie przetłumaczyć? Milcz, kobieto – jeśli łagodnie. Albo: zabieraj swoją łopatkę i wynoś się z naszej piaskownicy. Poszła sobie… Ech, chłopcy, po co wy tak? Też poszli… Nakrzyczeli jedno na drugie, porzucili mnie i rozeszli się. Dziwne. A wyglądają na zwykłych ludzi…

Nie mając nic innego do roboty, Mrok zaczął układać sobie w pamięci nowe słowa. Pamięć pracowała zadziwiająco jasno. Jak się okazuje, może przypomnieć sobie i powtórzyć słowo w słowo wszystko, co słyszał, będąc w klatce. Dziwne, trudne do wyjaśnienia? Nie, dlaczego? Świeży, czysty mózg smoka, dopiero co obudzony i rozkręcający się. Ludzka pamięć zapisana tylko w jednej sekcji mózgu z ośmiu, siedem pozostałych puste i naiwne jak u noworodka. Lobasti przecież mówiła, że przez pierwszy rok będzie zdumiony możliwościami swojego rozumu. Ale o pamięci nic nie mówiła. Może nie uważała tego za ważne – sama ma pamięć fotograficzną z powodu procesu głębokiej regeneracji we wczesnym dzieciństwie. Regeneracja! Mrok wygiął szyję i pokręcił kikutem ogona. U niego też trwa regeneracja, stąd i pamięć. Na długo? Nieważne, z czasem się wyjaśni. Usiadł na ogonie i, kołysząc rytmicznie głową, kontynuował naukę języka. Z pamięci. Z książek wiedział, że do rozmowy na tematy ogólne wystarczy znajomość około trzech tysięcy słów.

Późnym wieczorem przyszła Szalla. Mrok ucieszył się tak bardzo, aż się tym zdziwił. A kiedy dziewczyna rozścieliła serwetkę i wyłożyła na nią samodzielnie upieczone pierożki, nie wytrzymał, podniósł ją do góry i liznął w policzek.Potem długo siedzieli razem, jedli pierożki i rozmawiali. Tym razem rozumiał prawie wszystko.

– Nie obraź się, Szalla, ale dlaczego wy tak ciągle obrzucacie się przekleństwami?

– My? Przekleństwami? Kiedy?

– Choćby dzisiaj. Nazwałaś ich psami.

– Na Chronosa, to było tylko przyjacielskie drażnienie się. – Podniosła ręce ku niebu.

– A niech to! Gdyby mnie nazwali nierozumnym zwierzęciem, obraziłbym się.

– Ale oni przecież tak nie robili. – Szalla postukała się dłonią po czubku głowy.

– A co, bez tego – Mrok powtórzył jej gest – to nie jest obraza?

– Oczywiście, że nie. Po prostu słowa.

– A gest bez słów?

– Aleś ty niepojętny! Po prostu gest.

– A gest ze słowami to oczywiście…

– Tak. Straszna obraza.

– Wiele jeszcze macie takich znaczących gestów? – Podrapał się w kark, zakłopotany.

– Niewiele. Chociaż… – Szalla się zamyśliła. – Dość dużo.

Gestów okazało się bardzo dużo. Był to w istocie drugi równoległy język. Pomijając matematykę i terminy techniczne, można było w nim wyrazić każdą myśl. Po co ludziom dwa języki? Musiał być po temu ważny powód. Trzeba będzie nad tym pomyśleć. Mrok wprowadził do swojej listy ważnych pytań jeszcze jeden punkt.

– Jutro będziesz uczyła się jeździć na mnie wierzchem – powiedział do Szalli.

– Mrok[[2]](#footnote-3), dlaczego udajesz zwierzę?

– Bo się was boję, głupia dziewczynko. Was jest wielu, macie broń, a nas tylko troje. Zostaliśmy ostatni i, jeśli zginiemy, nasz gatunek się zakończy. Wy, ludzie, jesteście naszą jedyną szansą przeżycia. Nie fizycznego, tylko jako cywilizacja. Jako socjum, społeczeństwo istot rozumnych. Bez was, bez waszej pomocy smoki czeka straszny los. Jesteście nam potrzebni, żebyśmy nie zdziczeli. Potrafisz sobie wyobrazić zdziczałego smoka?

– Potrafię. Widziałam tego zielonego, o wysokim czole, z którym walczyłeś. Przeraziłam się wtedy śmiertelnie. To było straszne. Miałam pistolet, a zupełnie mi to wyleciało z głowy. Kiedy rzuciłeś się na tego zielonego, myślałam, że ze mną koniec.

– Nic z tego nie rozumiem.

– No, ten zielony, który na ciebie potem napadł z tyłu. Nasi opowiadali, jak szedłeś koło nich, a zielony napadł na ciebie. Kiedy tylko Dirac chciał ci \wbić strzykawkę, zielony napadł na ciebie i potoczyliście się koziołkując. A potem pobiegł za tobą. A może to nie byłeś ty?

– Nie ja? Ależ oczywiście, to byłem ja. Ale nic nie zrozumiałaś. Nikt z nikim nie walczył.

– Jak to: nie walczył? Chciałeś zielonego wziąć na rogi. Zderzyliście się głowami jak dwa kreteńskie byki.

– Szallo, możesz mi nie wierzyć, ale ten zielony to moja przybrana córka i przyszła żona, którą bardzo kocham. A za drugim razem ratowała mnie przed strzałem tego waszego fizyka.

– Dirac nie jest fizykiem, tylko tropicielem. Mrok, ona naprawdę cię kocha?

– Bądź pewna. Moje kobiety są najlepsze w zamieszkałym kosmosie.

– Dlaczego więc rzucacie się jedno na drugie?

– Uważaj to za gry miłosne – zmyślił Mrok, mając dość zawiłych tłumaczeń.

– W takim razie niech Chronos mnie broni przed miłością smoków.

Mrok zamyślił się nad tym zdaniem, ale dziewczynę zainteresowało już co innego.

– A powiedz mi, czy ty i twoja przybrana córka należycie do różnych ras?

– Wszystkie smoki należą do jednej rasy.

– W takim razie dlaczego ty jesteś różowy, z takimi drobnymi łuskami, a ona zielona?

Mrok poczuł się, jakby był bez ubrania w towarzystwie damy.

– Ja… hm… No, co się tak na mnie gapisz?! Linieję, i jeszcze nie skończyłem. – Wykręcił się i poczuł, jak czerwienieje. Szalla zachichotała drobnym, urywanym śmieszkiem, zasłoniła sobie usta ręką i też poczerwieniała. Pogłaskała go przepraszająco po łapie.

– A kto mnie dzisiaj rano przestraszył?

– Moja żona Catherine.

– Ona także linieje?

– Gdyby ciebie oblano wrzątkiem, też zaczęłabyś linieć – obraził się Mrok. I zdumiał się samemu sobie. To nie ludzki rozum się obraził, tylko budzący się w nim rozum smoka. Mrokowi-człowiekowi to się nie podobało, gdyż Mrok-smok podobny był do kapryśnego dziecka. Trzeba było trzymać go na krótkiej smyczy.

Następnego dnia Szalla przyszła w uniformie jeździeckim. Mrok nigdy jeszcze nie woził na sobie człowieka, więc zaczęli od wyboru miejsca dla dziewczyny na szyi smoka. Dodatkowa waga przemieszczała w przód środek ciężkości,więc Mrok przewidywał problemy z aerodynamiką. Nie chciał też, żeby leciała w skórzanych butach z twardymi obcasami. Ona z kolei odmówiła ubrania tenisówek, gdyż te nie harmonizowały z resztą uniformu. Po długiej kłótni znaleźli w końcu kompromis w postaci gumowych butów. W dodatku Bleisus zwrócił uwagę, że na wyjście Mroka z klatki jest jeszcze za wcześnie. Plotka o tym, że Szalla jeździ wierzchem na smoku, musi obejść cały obóz. W przeciwnym razie Mroka mogą ze strachu postrzelić. Mrok tego nie chciał, więc musiał się zgodzić.

Omówili szczegóły, po czym Bleisus i Pittacus odeszli. Chodzili po obozie, napomykali, że przy klatce ze smokiem dzieje się coś fantastycznego. Crassus siedział obok klatki, wyplatał skomplikowaną plecionkę z kolorowych gumowych rureczek i uświadamiał ciekawych.

– Czy to niebezpieczne? – pytali prawie wszyscy.

– Oczywiście, że niebezpieczne – odpowiadał chętnie. – Spadłeś kiedyś z konia? Ze smoka będzie wy-yżej. Mówiłem jej, żeby najpierw zrobić wygodne siodło, ale czy młodzież słucha starszych? Albo taki gigant wyląduje przypadkiem na tobie – i zostanie tylko mokre miejsce.

Do późnego wieczora Mrok maszerował po klatce wożąc na sobie Szallę, wypełniając jej komendy i nie śmiejąc się sprzeciwić, gdyż wokół tłoczyli się ludzie.

„Jak w cyrku” – myślał. – „O to mi chodziło? Benefis. Cały wieczór na arenie. Tresowany killer z damskim siodłem na grzbiecie. Nieźle pomyślane! Przez kogo? Tylko przeze mnie. Oni mnie odwodzili, ja się upierałem. Więc czemu mam taką ochotę wszystkich pozabijać?”.

Zabrzmiał gong. Ostatni widzowie odeszli w stronę głównego budynku. Szalla zeskoczyła na podłogę klatki.

– Mrok, czy ja coś źle robiłam? – spytała nieśmiało. – Czułam, że jesteś zły, ale nie wiedziałam, jak cię zapytać. Pomyślałam, że jeśli się zmęczysz, to położysz się na podłodze, a dopóki nie leżysz, trzeba pracować. Nogi tak sobie o ciebie poocierałam, że nie wiem, jak jutro będę siedziała.

Mrok momentalnie jej wybaczył. Polizał w policzek, powiedział, że wszystko w porządku. Szalla pogłaskała go po gardle i poszła. Nie, pobiegła.

– Czarujący głuptasek – powiedział Crassus, patrząc, jak znika.

– Kobiety bywają czarująco głupie i przerażająco głupie – podjął temat Mrok. Nie wiedział, dlaczego, ale zrobiło mu się nagle przykro z powodu Szalli.

– U was też? – zdziwił się stary.

– Gdzie oni wszyscy tak się śpieszą?

– Po kolacji Bleisus będzie miał wykład o tobie.

Mrokowi nagle strasznie zachciało się być na tym wykładzie. Crassus poklepał go po łapie.

– Nie bój się, zobaczysz. Bleisus przyniesie ci nagranie. Wiesz, jak go zatytułował? Delfiny nieba.

Lepiej by tego nie mówił. Nagle Mrokowi zachciało się latać. Aż zabolały go mięśnie i zapiszczał jak szczeniak. Wczepił się wszystkimi czterema łapami w kratę i wściekle załopotał skrzydłami. Stary odbiegł na odległość piętnastu metrów i zatrzymał się, obserwując spokojnie. Kiedy po kwadransie Mrok opadł z sił, Crassus wrócił na miejsce.

– My, smoki, bez nieba nie możemy – wyjaśnił Mrok, ciężko dysząc. – Psychika może nie wytrzymać. Dusza wymaga lotów.

– Rozumiem.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Mrok to maszerował po klatce, to wyciągał się leniwie na deskach podłogi, to zamieniał kilka zdań z Crassusem. Kiedy zza zakrętu pojawili się Bleisus z walizeczką w ręce i Pittacus, Mrok gotów był już biegać po suficie. Crassus niewzruszenie plótł swoją plecionkę. Bleisus zgrabnie przecisnął się między prętami i otworzył walizeczkę. Wieczko uniosło się do pionu i rozjaśniło się. Laptop. Ludzie usiedli na podłodze przed ekranem, a Mrok położył się za nimi z głową opartą na łapie.

Wprowadzenia było przyjemnie słuchać. Jaki on jest szybki, silny, przyjacielski. Wszystkie sprawozdania i komunikaty mówiły o całkowitym braku agresywności. Wideo z flyera, podczas polowania, zdjęcia przy jedzeniu. Z przodu Mrok się sobie podobał. Piękny wzór rosnących łusek, potężna muskulatura, męski wyraz twarzy i wyrazisty podbródek z dołkiem. Lobasti znalazła mu wspaniałe ciało. Ale z tyłu… Ten wzbudzający litość kikut zamiast ogona… Nie, lepiej nie patrzeć. Zaczęła się część naukowa. Analiza próbek tkanek, zestawu chromosomów, obliczenia siły mięśni i charakterystyka aerodynamiczna. Każdy fakt z osobna i wszystkie razem wręcz krzyczały o tym, że on jest na tej Ziemi obcy. Trzydzieści aminokwasów, samoodtwarzające i samoregulujące się DNA i RNA, zadziwiająco zwarty i mocny kod genetyczny, z lekka tylko przypominający kod dinozaurów. Najbardziej jednak specjalistów zdumiał brak nawarstwień ewolucyjnych w materiale genetycznym oraz fakt, że programy analizy komputerowej nie zdołały zbudować według posiadanych danych fenotypu. Uczeni nie zdołali również rozwiązać tajemnicy lotu smoków.

– Nie ma tu żadnej tajemnicy, zwykłe antygrawy – mruknął pod nosem Mrok. Wszyscy trzej z ciekawością spojrzeli na niego.

– Pomyśleć tylko: zwykły czar, żadnej magii – uśmiechnął się stary.

Bleisus mówił z katedry sucho i oszczędnie, podając tylko same ustalone fakty, nie komentując ich i nie podając własnych domniemań. Ale potem zaczęła się dyskusja. Jakiś kosmaty młodzian krzyczał: „Hipotezę kosmicznej panspermii można uważać za dowiedzioną!”.

– A skąd wy tak naprawdę jesteście? – zapytał Bleisus. Mrok na chwilę wpadł w panikę. Powiedzieć całą prawdę? Nie, za wcześnie. Prawda wywoła tylko niedowierzenie i napięcie. Skłamać? Powiedzieć półprawdę? Zadarł głowę ku niebu i spróbował znaleźć znajome gwiazdy. Nie znalazł żadnej. Mógł orientować się tylko według Drogi Mlecznej.

– Chyba stamtąd – wskazał słabą gwiazdkę. – Prawie dwieście lat świetlnych stąd, jeśli za jednostkę czasu przyjąć tutejszy rok. Ale my nie wiemy, gdzie trafiliśmy. Tej gwiazdy nie ma w atlasach. I niestety nie mogłem tego sam sprawdzić. Mieliśmy bardzo mało tlenu. Dlatego ja i Catherine zamroziliśmy się na drugi dzień po starci aż do samego końca, a Lobasti kierowała statkiem na końcowym odcinku.

Przy zdaniu „Tej gwiazdy nie ma w atlasach” ludzie spojrzeli po sobie znacząco. Ale Mrok tego nie zauważył. Starał się z jednej strony jak najdokładniej przedstawić fakty z ich podróży, a z drugiej pozostawić jak najwięcej miejsca dla fantazji.

– Zamrażacie się, kiedy podróżujecie w kosmosie? – zainteresował się Bleisus.

– W zasadzie nie. Zamarzać żywcem – to straszne. Ale nie mieliśmy wyboru. Dla jednego z nas zostało tlenu na ćwierć tutejszego roku.

– Szalla powiedziała, że zmieniacie łuski. Czy to ma związek z zamrażaniem?

– Nie, z rozmrażaniem. Rozumiecie, odtajać trzeba powoli i stopniowo, a my wpadliśmy do wody i zatonęliśmy. Zbyt nagły wzrost temperatury i na dodatek duża pojemność cieplna wody. To gorzej, niż zanurzyć się w stopionym ołowiu.

– Nasi uczeni doszli do wniosku, że rozwijaliście się bardzo długo iw bardzo surowych warunkach.Może na planecie z silnym tłem radioaktywnym? W przeciwnym razie nie potrzebowalibyście aż tylu mechanizmów obronnych – zauważył Pittacus.

– Słuchajcie, dość już o tym. – Mrok nieoczekiwanie zerwał się z miejsca i zabiegał po klatce. – Planety już nie ma! Zginęła, rozumiecie?! Była – i nie ma. Koniec.

Uspokoił się, przeprosił, powrócił na miejsce. Na ekranie laptopa trwała dyskusja.

– Czy smoki posiadają intelekt? – Nacierał na Bleisusa jakiś gruby i łysy teoretyk.

– Proszę określić pojęcie intelektu – odparował Bleisus.

– Młody człowieku, pan dobrze wie, co ja miałem na myśli.

– Dobrze – nieoczekiwanie zgodził się Bleisus. – Romulus i Remus, mityczni założyciele Rzymu, wykarmieni przez wilczycę. Nie znają języka, biegają na czworakach – czy mają intelekt? A czy posiada go małpa, która opanowała czterdzieści gestów i właściwie ich używa?

– Dziękuję panu. Dobrze zaplątał pan pytanie. – Grubas usiadł.

Im dłużej trwała dyskusja, tym mniej Mrok z niej rozumiał. Uczeni przerzucali się specjalistycznymi terminami, Bleisus ledwie nadążał tłumaczyć mu co czwarty z nich. W końcu Mrok zupełnie przestał zwracać uwagę na sens sporu, po prostu patrzył na ekran i zapamiętywał słowa. Pod koniec zaczęły się sprawy organizacyjne i znów zaczął rozumieć ludzką mowę. Brygady specjalistów dzieliły go między siebie. Westchnął smętnie.

– Jutro ich plany znikną jak chrust w ogniu – skomentował Crassus.

– Tak, jutro wychodzisz z klatki – potwierdził Bleisus.

– „I powiedział, że to dobrze” – zacytował kogoś Mrok, zgadzając się.

– Kto powiedział? – Ludzie nie zrozumieli.

– Ja.

Niebo dopiero zaczęło szarzeć, gdy zjawiła się Szalla. Mrok otworzył jedno oko, wyskrobał pazurem spomiędzy desek podłogi klucz i podał dziewczynie. I znowu nakrył głowę skrzydłem, wystawiając na zewnątrz tylko nozdrza. Brzęknęła zasuwa, skrzypnęły wrota klatki.

– Mrok, wychodź! – wezwała go Szalla półgłosem.

– Gdzie się śpieszyć? Chodź do mnie pod skrzydło. Pośpimy trochę, póki słońce nie wstało.  
 – Co ty ze mną robisz? Zobaczą, że otworzyłam klatkę i wyrzucą mnie za Aid bez odprawy.

Mrok niechętnie podniósł się, przeciągnął i wyszedł z klatki. Szalla natychmiast wskoczyła mu na szyję.

– A tak nie wyrzucą? – zainteresował się.

– Nie. Tak mam sytuację pod kontrolą – uśmiechnęła się.

– No to w porządeczku – pochwalił Mrok i położył się na piasku obok klatki.

– Mrok, no proszę cię… Co ja ci złego zrobiłam? – Szalla szczerze się bała, aż gotowa była się rozpłakać. Podniósł się niechętnie i ruszył wzdłuż klatek, z trudem powstrzymując ziewanie. Prawie wszystkie jaszczury spały, tylko nieliczne odprowadzały ich obojętnymi spojrzeniami. Zaczął kropić deszczyk. Mrok zaczął Szallę instruować:

– Nigdy nikogo się nie bój. Bądź silna, albo umrzyj, walcząc.

– Ty to masz dobrze – obraziła się – a ja co, mam Cerbera wyzwać na pojedynek? Ubiorą mi kaftan bezpieczeństwa, umieszczą na czarnej liście i wyrzucą do domu. Myślisz, że przyjemnie jest siedzieć na bezpłatnym urlopie?

Mrok już chciał burknąć swoje „Nie ześlą dalej niż na Strefę”, ale ugryzł się w język. Nie zrozumie, a poza tym tematu przeszłości i Strefy lepiej nie poruszać w rozmowach z ludźmi. Zamiast tego zapytał:

– Kto to jest Cerber?

– Tutejszy faraon. Oj, ty przecież nie wiesz, kto to jest faraon. Faraoni to byli tacy dawni władcy. Budowali sobie piramidy.

– A Cerber stoi na górze waszej piramidy władzy? – zadał kierunkowe pytanie Mrok. Nie chciało mu się wysłuchiwać historii Egiptu, z której pamiętał akurat tyle, co usłyszał.

– Ty wszystko w pół słowa chwytasz! Tak, on tu jest najważniejszy. Tylko że nazywa się Cerbes, a nie Cerber. Cerber to przezwisko. Był taki trójgłowy pies w starożytnych mitach

„Jednak przed historią nie ucieknę” – pomyślał Mrok i postanowił trochę sobie pokpić.

– Mutant radiacyjny? – zapytał.

– Nie, ludzie go wymyślili.

– Sztuczna istota, produkt inżynierii genetycznej?

– Nie, tak naprawdę nigdy nie istniał. To mit, bajka.

– Trzy głowy – pewnie był bardzo mądry. Pamiętam z dzieciństwa bajkę o trójgłowym smoku.

– Był gryzący, a nie mądry. Pilnował wejścia do piekła. Tss! Ludzie.

Deszcz się nasilił. Dwóch mężczyzn, przykrywając głowy kurtkami, biegło do wielkiego gmachu. Mrok przeszedł na lekki kłus i ulokował się za nimi. Ludzie otworzyli we wrotach małe drzwi i wbiegli do środka. Mrok na sekundę się zamyślił. Moknąć mu się nie chciało, wrota były zamknięte, a drzwi za małe dla niego. Włożył głowę w drzwi i natarł ramionami.

– Mrok, co ty wyprawiasz?! – krzyknęła Szalla, ale było za późno.

Zazgrzytał metal, skrzydła wrót wygięły się w łuk i otworzyły się do środka budynku. Zazwyczaj otwierały się na zewnątrz. Mrok wyjął głowę z powstałego otworu, poszerzył go łapami i wszedł. Wewnątrz jasno świeciły elektryczne lampy, wzdłuż ścian hangaru stały niewielkie flyery i inne maszyny. Kilku ludzi rzuciło się do ucieczki w stronę drzwi na drugim końcu pomieszczenia, dwóch czy trzech schowało się między mechanizmami. Mrok pochylił się, żeby Szalla mogła z niego zsiąść, po czym otrząsnął się z szumem.

– Coś ty narobił, durniu! – krzyknęła Szalla i nawet poklepała się po głowie.

Mrok polizał ją w policzek, odwrócił się w kierunku wejścia i położył się na podłodze, obserwując pęcherze, skaczące po kałużach. Deszcz zamienił się w ulewę. Po drodze pobiegły nabierające siły potoki. W oddali błysnęło, chwilę później rozległ się grzmot. Mrok położył głowę na łapach, ustawił uszy do tyłu, wykręcił szyję i nie zmieniając pozycji ciała rozejrzał się po pomieszczeniu. Szalla daremnie próbowała zamknąć wyłamane skrzydło drzwi. Bez młota kowalskiego było to niemożliwe. Z tyłu rozległy się kroki. Pewnie wracali ci, którzy wcześniej uciekli w panice.

– Co się tu dzieje? – zapytał spokojny władczy głos. Czuło się, że ten głos przyzwyczajony jest do komenderowania, a nawet rozkazywania. Mrok z trudem pokonał chęć stanięcia na baczność i zasalutowania. Spojrzał z ukosa na Szallę. Dziewczyna dygotała w panice, bliska utraty przytomności. I wtedy niebo pękło z trzaskiem, oczy wszystkich poraziła błyskawica. Mrok cofnął się, nieco się obrócił – i znalazł się twarzą w twarz z groźnym człowiekiem. Ten nie zwrócił na niego żadnej uwagi, patrzył tylko na Szallę. Za plecami lało jak z cebra.

– Spacerowaliśmy… Wypasaliśmy się… Wypasałam smoka, nagle zaczął się deszcz, smok zobaczył ludzi i zechciał pod dach… – plotła Szalla, jąkając się. Mrok objął ją skrzydłem i przysunął do siebie. Znad skrzydła wyglądała jak z namiotu. I przestała dygotać.

– Co mają do tego ludzie?

– Chowali się przed deszczem. Smok też chciał się schować, ale drzwi…

Mrok postanowił jej pomóc. Wygiął szyję, obwąchał człowieka, wziął na język nieco więcej śliny i oblizał mu twarz. Ten nie przestraszył się i nie odsunął. Wyjął z kieszeni pedantycznie złożoną chusteczkę i wytarł się. Lewą ręką poklepał Mroka po szyi.

– Co ty robisz? – Szalla zaczęła tłuc piąstkami po szerokiej piersi Mroka. – Przecież to Cerbes! Jak śmiałeś?!

Pod jej naciskiem Mrok odsunął się o dwa kroki. Polizał ją w nos.

– Kto otworzył klatkę? – kontynuował przesłuchanie Cerbes.

– Ja.

– Jesteś odpowiedzialna za zwierzę. Jeśli wyjdzie spod twojej kontroli i zerwie program badań, rozstaniemy się z tobą. Każę je zaopatrzyć w radionamiernik. Wartość naprawy wrót zostanie potrącona z twojej wypłaty. – Cerbes odwrócił się na pięcie i oddalił się. Mrokowi się spodobał. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji, wyłowił najważniejsze, podjął decyzję. Żadnych zbędnych pytań, żadnego powoływania się na przestarzałe instrukcje.

Wrócili ludzie, ale nikt nie podchodził blisko. Mrok spojrzał za wrota – tam ciągle lało. Odwrócił się i poszedł w głąb garażu.

– Hej! He-e-ej! Zatrzymaj swoje zwierzę! – zawołał jakiś grubas.

– Onnie gryzie – odpowiedziała Szalla.

– A jeśli zmiażdży flyer, kto zapłaci za naprawę?

– Każ mu odejść.

– Idź stąd! Poszedł! – Człowiek machnął na Mroka rękami. Ten zainteresował się i, naśladując go, zamachał skrzydłami. Podszedł bliżej, usiadł na ogonie i, pochyliwszy głowę na bok, spojrzał na człowieka z ukosa.

– Poszedł! – Człowiek znowu machnął ręką.

Mrok pomachał mu w odpowiedzi prawym skrzydłem. Postanowił zabawić się na całego. Człowiek zajął pozycję wyczekującą. Mrok westchnął i zaczął oglądać flyer, najpierw z zewnątrz, potem włożył głowę pod przeźroczystą kopułę i obejrzał wnętrze. Sądząc po konstrukcji i położeniu silników, w tym świecie jeszcze nie wykorzystywano antygrawitacji.

– Szallo, proszę cię! – zawył grubas.

– Kto przezywał mnie smarkatą małpą?

– Nie jesteś smarkatą małpą, tylko skaraniem boskim. Zabierz stąd tego potwora.

– Mrok, proszę cię, nie zjedz Katona. On obiecuje naprawić wrota za pięćdziesiąt talentów.

Mrok ostrożnie wyjął głowę spod kopuły kabiny i obejrzał się zdziwiony. Albo coś opuścił, albo tresowana nie była taką naiwnisią, jak mu się wydawało.

– Straciłaś sumienie czy rozum?! – oburzył się Kato. – To będzie co najmniej pięćset.

– Ale to moja miesięczna pensja. A wystarczy, jeśli powiesz robotnikom dwa słowa.

Mrok wytężył pamięć. Talent – czy to nie grecka miara wagi? Nie, chyba staroegipska jednostka pieniężna. Zgadza się, była taka, o bardzo wysokiej wartości. A teraz pięćset na miesiąc? Ech, inflacja…

Szalla i Kato targowali się. Mrok rozumiał to piąte przez dziesiąte. Oboje sypali nieznanymi słowami, imionami bogów i ludzi, wznosili ręce ku niebu i klepali się po łbie, po tyłku i po łokciu. Wyglądało na to, że o nim zapomnieli. Wyciągnął łapę i lekko popchnął flyer, który zakołysał się na amortyzatorach. Grubas chwycił się za głowę, obniżył cenę do dwustu talentów i targi się skończyły. Uradowana Szalla podbiegła do Mroka i spróbowała objąć go za szyję. Mrok pochylił się, żeby łatwiej jej było wsiąść na niego i kontynuował obchodzenie sali. Zadziwiające, ale teraz, kiedy dziewczyna na nim siedziała, nikt ich się nie bał. Zakończywszy obchód, powrócili do wejścia. Mrok naparł na uszkodzone skrzydło drzwi ramieniem – Szalla zręcznie odsunęła nogę – i skrzydło, przejechawszy z okropnym zgrzytem po kamiennej podłodze, wróciło do normalnego położenia. No, prawie normalnego. Mrok zamknął drugie skrzydło. Teraz drzwi były ludziom niepotrzebne, każdy mógł przejść szczeliną między zepsutymi skrzydłami. Po paru minutach deszcz się skończył i Mrok już chciał wyjść, ale przyszedł Włoch z pomocnikiem.

– Szalla, podtrzymaj Lizusa.

– Po co? – Dziewczyna zeszła na podłogę i spojrzała spode łba na przybyłych.

– Cerber kazał powiesić na nim radionamiernik.

– Tylko spróbuj! Powieś na sobie! Może wtedy żona będzie cię mogła znaleźć w nocy.

– Ty kretynko! Żebyś została drugą żoną karła-impotenta!

– A ty jesteś niezdolny zadowolić nawet kota!

– Ty kurzy móżdżku! Nie słyszałaś, czy co – rozkaz Cerbera! Jeśli nie możesz poradzić so-bie ze swoim zwierzem, zawołam Diraca, a ten go uśpi. Ciebie też, jeśli będziesz śmierdzieć!

Mrok spochmurniał. Mdliło go z obrzydzenia od słuchania tych ciągłych przekleństw. Kazać im się zatkać? Nie można, jeszcze za wcześnie. Do diabła!

Lekko szturchnął Szallę nosem. Zatoczyła się, zrobiła dwa kroki w bok i ze zdumieniem spojrzała na niego. Ledwie zauważalnie skinął głową.

– No to na co czekacie? Wbijajcie swój radionamiernik, dopóki Mrok jest w dobrym humorze.

Włoch z pomocnikiem spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, otworzyli walizeczkę, wyjęli płaskoszczypy, pudełeczko z anteną i jeszcze jakieś drobiazgi.

– Każ Lizusowi pochylić głowę.

– Ty psi wcześniaku, smok nazywa się Mrok, zrozumiałeś, przygłupie?

– A niechby nawet Skurwysyn. Przygnij mu głowę.

– Mrok, chodźmy stąd. Nic nie dostaną, póki nie nauczą się nazywać ciebie po imieniu! – Szalla klepnęła się po głowie i stanowczo skierowała się ku wrotom.

„Tym razem dziewczynka ma rację” – Mrok nie mógł się nie zgodzić. Poklepał się łapą po głowie, odwrócił się i poszedł w ślad za nią.

– To nie smok, to jakaś małpa – zauważył pomocnik Włocha.

– Ty smarkulo, chcesz rozkazywać mnie, centurionowi! – ryknął Włoch za plecami.

– A rozkazuj sobie tej swojej dwudziestce!

„Centurie też bardzo się zmniejszyły” – wywnioskował Mrok. – Co za zwyrodniały świat! Tfu! Ze też musieliśmy trafić do takiej dziury!”.

Wychodząc z budynku, Mrok zatrzymał Szallę. Dziewczyna zaczęła się rozzuchwalać, a to groziło jej poważnymi nieprzyjemnościami. Wybiegli Włoch z pomocnikiem.

– Słuchaj, kobieto, zacznijmy od początku. Ty nie znasz nas, my ciebie. Mamy tu robotę. Przygnij głowę swojego zwierzaka, zaklinam cię na wszystkich bogów. Zrobimy swoje i pójdziemy. Niech licho porwie tego dinozaura, zżarł nam trzy kamery – przekonywał pomocnik.

– Jak smok się nazywa?

– No dobrze, będziemy go nazywali jak chcesz. Bądź człowiekiem.

Żeby nie stawiać Szalli przed wyborem, Mrok położył się z głową na łapach i pogłaskał dziewczynę po policzku koniuszkiem skrzydła. Ta obejrzała się i podrapała go za uchem.

– Wbijemy mu kolczyk w ucho, to zajmie sekundę. Trzymaj go tylko, żeby się nie rzucał.

– Kolczyk w ucho? Przebijać ucho? Nie pozwolę! Mrok, chodźmy stąd, oni zwariowali!

Mrok podniósł głowę i liznął ją w policzek. „Zamilknij, tępa babo” – myślał.

Włoch wziął go za lewe ucho, ujął je zimnymi metalowymi szczypcami, mocno ścisnął. Ucho przeszył krótki ból. Mrok mimo woli szarpnął głową, omal nie przewracając ludzi.

– I to wszystko. – Włoch wziął pudełeczko z anteną, pokręcił gałkę. – Sygnał silny, peleng wyraźny. Za miesiąc przyprowadzisz zwierzę, zmienimy akumulator. A teraz wszyscy wolni.

„Aleście mi się wszyscy sprzykrzyli” – pomyślał Mrok, namacał palcami kolczyk namiernika, wyrwał go z ucha i włożył do pyska. Ciepła krew pociekła z żyły. Włoch zamarł z otwartymi ustami. Szalla krzyknęła i rozpłakała się. Mrok rozgryzł kolczyk, pożuł go i wypluł. Wstał i powlókł się wzdłuż ściany budynku. Rozerwane ucho przeszywał przenikliwy ból.

– Mrok, poczekaj! – zawołała dziewczyna. – Ja ci to zaraz zaszyję! Umiem, zobaczysz! Wybacz mi, głupiej!

Mrok zatrzymał się. Szalla wbiegła na sekundę do budynku, wybiegła z pudełkiem apteczki w rękach, otworzyła je, rozdarła przeźroczysty plastikowy pakiecik i zaczęła drobnym ściegiem zaszywać rozdarcie. Mrok zrozumiał, że ona potrafi szyć, ale niestety nie zaszywać rany. Mimo to cierpliwie znosił ból. Było mu wszystko jedno. Takie ranki u smoków goiły się w tydzień bez żadnej medycyny. Patrząc w tył z ukosa, zauważył, że Włoch, klnąc, rozmawia z kimś przez komunikator. Szalla jeszcze nie skończyła operacji, a już z budynku, zapinając w biegu ubranie, pojawiło się około piętnastu ludzi, w tym Dirac ze swoją strzelbą o grubej lufie. Mrok rozpoznał prawie wszystkich, gdyż widział ich przy swojej klatce lub na ekranie, kiedy oglądał zapis wykładu Bleisusa. Teraz uczeni wyglądali na zmieszanych. Zbiwszy się w kupę pod ścianą, słuchali niezbyt składnych wyjaśnień Włocha i dyskutowali, jak umocować na Mroku nowy namiernik.

– Mało wam?! Nie pozwolę – krzyczała Szalla niemal histerycznie. – Zobaczcie, coście narobili! Łajdaki, wiwisektorzy!

Widok rzeczywiście był tego wart. Zakrwawiona bluzka przylepiła się do jej ciała, ręce i twarz też miała całą we krwi. Zapaćkała sobie twarz, rozmazując piąstkami łzy.

„Brudaska jesteś. Krwawa Mary” – pomyślał Mrok. Liznął ją w ucho i szepnął:

– Idź się umyć. Poczekam.

– Aha! Ja szybko. Tylko nie dopuść ich do siebie. – I głośno: – O bogowie, moja bluzka!

Mrok odprowadził ją do głównego wejścia i obejrzał się na uczonych. Szli o około piętnaście metrów za nim. Położył się przy drzwiach, zmrużył oczy i zaczął słuchać ich rozmowy.

– Zadziwiające, czego dokonała ta dziewczyna! On jest całkowicie oswojony! A przecież minęło dopiero kilka dni.

– Ona, te trzydzieści trzy nieszczęścia?

– Tak, ona. Ta niedotykalska. To cudo w piórach.

Niektórzy mężczyźni uśmiechnęli się, inni zmarszczyli brwi.

– Jeśli oskubać koguta… – Końca zdania Mrok nie dosłyszał, gdyż wszyscy się roześmiali.

– A jednak nie możemy ryzykować. Zwierzę jest zbyt cenne dla nauki.

„Oni boją się, że ja odlecę – rozmyślał Mrok. – Ja boję się, że oni odlecą. Beze mnie i moich kobiet. Ale zadanko! Jak im to wyjaśnić «po zwierzęcemu»? A może… Pasuje do modelu zachowania wesołego szczeniaka… Cha, cha! Sprawdzian IQ dwunogich, bezskrzydłych”.

Mrok podniósł głowę, chwilę węszył, wstał, podszedł do drzwi, obwąchał futrynę. Podniósł tylną łapę i zaznaczył. Najpierw lewą połowę drzwi, potem prawą. Znowu powąchał, zadowolony zszedł ze stopni, wytarł łapy o trawę i ponownie się położył.

– Koledzy, niepotrzebnie łamiemy kopie. Lizus nigdzie nie odleci.

– ???

– Zaczął znaczyć swoje terytorium. A propos, koledzy, przyznajcie się, kto tam się załatwiał wcześniej? – Wszyscy znowu się roześmiali. – Ja nie żartuję. Ten człowiek musi trzymać się z dala od smoka. Lizus nie zniesie konkurencji na swoim terytorium. Trzeba będzie zawiadomić cały personel bazy.

„Mądry jesteś, zadarty nosie, ale nazwałeś mnie Lizusem. Zapamiętam to sobie” – obraził się Mrok.

Wybiegła Szalla, umyta i przebrana. Mrok wskazał jej swój grzbiet i posłusznie zajęła już tradycyjne miejsce. Odbił się wszystkimi czterema łapami, zrobił dwa-trzy potężne zamachy rozpostartymi skrzydłami – i zrozumiał, że zaraz zaryje nosem w ziemię. Jak pika! Brak ogona i ładunek na szyi spowodowały przemieszczenie środka ciężkości w kierunku głowy. Wysunął skrzydła tak bardzo w przód, jak tylko mógł, i rozpaczliwie zamachał szybkimi, krótkimi ruchami.Szalla zaczęła zsuwać się po szyi naprzód i w dół i zapiszczała przeraźliwie. Mrok wygiął szyję jak łabędź, przycisnąwszy dziewczynę do grzbietu, odbił się przednimi łapami od górnej krawędzi ściany, na którą już miał wpaść, wyrównał lot. Znów zaczął pracować szerokimi, potężnymi machnięciami. Szalla trzymała się kurczowo jego rogów, ale przestała krzyczeć. Zrobił łagodny wiraż i zapytał:

– Przestraszyłaś się?

– Tylko w pierwszej chwili. Zdawało mi się, że zaraz wpakujesz się na ścianę.

– Mnie też tak się wydawało.

Dziewczyna zaśmiała się.

– W żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić do braku ogona – wyjaśnił jej Mrok. – Zaraz przelecimy nad tymi ludźmi. Krzyknij im coś uspokajającego.

Nabrawszy szybkości, przeleciał nad wpatrzonym w niego tłumem.

– Hej, hej! - krzyczała Szalla – Jeszcze, jeszcze! Szybciej!

Mrok jeszcze dwa razy przeleciał nad ludźmi, po czym zakręcił, dodał szybkości i poleciał nad samymi wierzchołkami drzew, znikając wśród wzgórz. Wylądował na tej samej polanie z pojedynczym drzewem, gdzie go łowili. Szalla zlazła z niego, potykając się doczłapała do drzewa, objęła pień rękami. Miała mdłości.

„Za co ciebie przezwali Trzydzieści Trzy Nieszczęścia?” – zastanawiał się Mrok, choć ani trochę nie było mu jej żal. Słońce dopiero co wstało, a zdążyła mu się już śmiertelnie sprzykrzyć. Niezbędny balast.

– Siadaj – powiedział, kiedy przyszła trochę do siebie. – Siadaj i słuchaj. Muszę z tobą poważnie porozmawiać. Jeśli usłyszę od ciebie choć jedno brzydkie słowo, choć jedno przekleństwo, rozstaniemy się na zawsze.

– Ależ Mrok, ja ci przecież wyjaśniłam…

– Jeśli od kogoś usłyszę, że klęłaś, rozstajemy się na zawsze. Zrozumiałaś? Powtórz.

– Zrozumiałam. Ale to przecież…

– Jeśli naczynie przechylisz, pocieknie z niego to, co je wypełnia.

– Ty tak… Nie możesz o mnie tak mówić. Ja nie jestem taka.

– No dobrze, nie jesteś taka. Więc jaka? Co o tobie mówią inni?

– To jest niskie! Podłe!

– Nie zrozumiałem? – Mrok udał, że się zdziwił. Ale Szalla już go nie słyszała. Polewała ziemię potokami łez. Mrok patrzył z góry na wygięte, spazmatycznie drżące plecy, na opadające na ramiona kruczoczarne włosy i ze zdumieniem przyłapał się na myśli, że chce tą kobietę. Na Strefie on by... Bzdura! Dość o tym! Wspomnienie o Strefie tylko nasiliło jego złość.

– Mrok, proszę cię… Chociaż ty przestań mnie rugać. Jestem gotowa wszystko zrobić dla ciebie, a ty…

– Na przykład otworzyć klatkę.

– To okrutne! No dobrze, ja nic nie umiem. Ale nie zrobiłam ci nic złego. Po co ty tak ze mną? Ja chcę dla ciebie tylko dobrze. Nie opuszczaj mnie, Mrok! Jeśli mnie opuścisz, wygonią mnie z bazy… Mam już trzy niezamknięte kazusy. Jeszcze jeden, i zdeklasyfikują…

„Dziewczynka ma jednak coś z racji. I jeszcze za wcześnie ją odstraszać” – postanowił Mrok. – „Potrzebna mi do image. Ma się czego bać, więc będzie posłuszna”.

– Przestań płakać, nic strasznego się nie stało. Powiedziałem. Zapamiętałaś. I nie bój się nikogo. Dopóki jestem na bazie, nikt cię stąd nie wyrzuci. Właź na moją szyję, pokażę ci, gdzie mieszkaliśmy.

– Mrok, a może ja pójdę piechotą? – Szalla już nie płakała, ale wciąż pociągała nosem. Mrok pogłaskał ją po plecach, żeby dziewczyna szybciej przyszła do siebie.

– Dlaczego? Boisz się wysokości?

– Nie. To znaczy, tak, też się boję, ale nie o to chodzi. Otarłam sobie o ciebie nogi. Otarłam wczoraj, a teraz dodatkowo. Jeszcze trochę, a nie będę mogła chodzić.

Mrok policzył w myślach do dziesięciu. Potem do dwudziestu. Wziął dziewczynę pod pachę i wzleciał. Nie było mu ciężko, ale niewygodnie. Złączył palce przednich łap w kołyskę, Szalla usiadła, obejmując obiema rękami jego prawą łapę. Mrok skierował się w stronę wzgórza, z którego wierzchołka obserwował bazę. Coś się tam poruszało.

– Mrok, to ten zielony smok, z którym walczyłeś – odezwała się Szalla. – I jeszcze jeden.

– Widzę. – Mrok zniżył lot, obleciał wzgórze i wylądował bezdźwięcznie na biograwach na małej polance. – Teraz nie hałasuj. Pójdziemy i zobaczymy, co one robią.

Catherine stała na tylnych łapach wyprężona na całą wysokość, lekko podpierając się ogonem. Jej na wpół rozłożone skrzydła to naprężały się, rozkładając się jak płachty, to opadały bezsilnie. Przednimi łapami wykonywała zamaszyste passy. Lobasti leżała z głową opartą na łapie, nie odrywając wzroku od Catherine. Koło koniuszka jej ogona kręcił się Nytik. Zadziwiająco podrósł, ale nie zrobił się ani trochę ładniejszy. Ogon gniewnie podnosił się, kiedy Nytik bardziej energicznie go podgryzał.

– Co one robią? – zapytała szeptem Szalla.

– Zaraz się dowiemy. – Mrok ruszył naprzód krótkimi przebieżkami.

Do dwóch smoków nie da się podejść niezauważenie. Każdy ma pole widzenia 270 stopni, razem pokrywają cały horyzont. Ale do tej pary można byłoby podjechać traktorem, nie zauważyłyby. Catherine deklamowała starożytną balladę. Mrok zaczął tłumaczyć dla Szalli. Próba przekładu na łacinę wierszem od razu spaliła na panewce. Brakowało zarówno słówek, jak i znajomości gramatyki. W dodatku Catherine deklamowała w starym dialekcie, który Mrok sam z trudem rozumiał.

– „Słodszy od miodu, bardziej upojny niż wino…” – deklamowała Catherine. Mrok marszczył czoło, szukając ekwiwalentu słowa „miód”. Nie wiedział, jak jest „miód” po łacinie. „Leżał żywy na martwym. I martwy na żywym” – to łatwo przetłumaczyć. W strofie jest rytm wewnętrzny. Stopniowo jednak się oswajał, słowa i frazy zaczęły posłusznie układać się w linijki białego wiersza.

– „Młody przyniósł nieszczęście, lecz śmierć mi niestraszna” – szeptał, dziwiąc się ubóstwu swojego słownika. Jeszcze godzinę temu był pewny, że poznał język, a teraz: – „Szumią na wietrze wrzosy. Stracony ten sekret” – czy to adekwatny przekład?

– Co to takiego „wrzosowy miód”? – zapytała Szalla.

– Miód – to słodki syrop. Na naszej planecie są… były – poprawił się Mrok, gdyż taka pomyłka mogłaby rozbić jego legendę – owady, które zbierały go z kwiatów. A wrzosowy miód to napój, który oni warzyli z wrzosów. To taka roślina. Tajemnica jego produkcji, jak na pewno zrozumiałaś, została stracona. Ta ballada ma wiele, wiele wieków. Nawet nie wiem, ile.

– Wrzosowy miód… To były dzielne, dumne smoki. Zginęły, ale nie zdradziły wrogom tajemnicy. A wiesz, u nas też są owady, które zbierają słodki syrop. Mrok… Może nie o to pytam… Powiedz, co ty byś zrobił na miejscu tych dwóch? Też nie wydałbyś tajemnicy wrzosowego miodu?

– Nie sądzę. Jestem racjonalistą. Najpierw zdradziłbym tajemnicę, potem zabiłbym wszystkich, którzy to słyszeli, potem wszystkich, którzy mogli słyszeć, potem wszystkich, z którymi spotykali się ci, którzy mogli słyszeć. Miałbym bardzo napięte, nasycone wydarzeniami życie. Współcześni sławiliby moje czyny. I zapomnieliby o nich po roku. W pamięci narodu zostają tylko ci, którzy są trochę nie z tego świata.

– Tato! – rozległ się radosny krzyk Lobasti.

Mrok ledwie zdążył odepchnąć Szallę, gdy smoczyca wpadła na niego, przewróciła i ścisnęła w objęciach, aż zatrzeszczały żebra. Mrok liznął ją w nos. Kątem oka zobaczył, jak z krzaków wyszła Szalla, ściskając obiema rękami ciężki nieforemny kamień. Zrozumiawszy, co ona chce zrobić, Mrok przetoczył się, osłaniając sobą Lobasti. I zaczął prezentację:

– Szallo, poznaj Lobasti, już ci o niej opowiadałem. Lobasti, poznaj Szallę.

Dziewczyna z zakłopotaniem wypuściła podniesiony do uderzenia kamień.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedziała Lobasti. – Tato, ona rozumie po naszemu?

– Jeszcze nie.

– Myślałam, że zajmiemy się zaraz miłością, a ty ją przywiozłeś…

– Lobasti mówi, że jesteś sympatyczna – „przetłumaczył” Mrok. Szalla zmieszała się, cofnęła się i poczerwieniała.

– Tato, ty jej tak to przetłumaczyłeś? – Przeraziła się Lobasti.

– Oczywiście, że nie. Inaczej by ciebie już stuknęła kamieniem. Szalla, Lobasti jest zaskoczona twoją odwagą i chce się z tobą zaprzyjaźnić – zakomunikował Mrok dziewczynie, po czym przetłumaczył dla Lobasti. Smoczyca parsknęła śmiechem. Mrok podniósł się, pomógł wstać Lobasti, przysunął do siebie skrzydłem Catherine i zmrużył oczy z błogością. Wreszcie mógł się rozluźnić i być samym sobą.

– Tato, opowiadaj, jak tam jest. Jak żyjesz z nimi? Mama mówi, że wy tam sięupijacie.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw lekcja języka. Słuchaj i zapamiętuj, potem będziesz uczyła mamę. – Mrok zaczął dyktować łacińskie słowa z przekładem. Wymawiał wyraźnie słowo, podawał tłumaczenie i przechodził do następnego. Bez pauz i powtórzeń. W ten sposób można było nauczyć języka tylko komputer – i Lobasti. Fenomenalna pamięć młodej smoczycy zachowywała wszystko od chwili urodzenia. Po pół godzinie zasób pewnych słów Mroka się wyczerpał. Zaczął podawać wątpliwe, dodając możliwości tłumaczenia. A potem połączył przyjemne z pożytecznym – zaczął opowiadać w tym stylu o życiu w klatce. Teraz wszyscy słuchali urzeczeni. Catherine z przyzwyczajenia objęła jego lewą łapę.

– Bardzo się zmieniłeś – powiedziała zamyślona, kiedy opowiadanie dobiegło końca. Mrok spochmurniał.

– Sam to czuję. Tracę siebie. Wyłazi ze mnie zielony młokos. Kapryśmy chłopczyk z brudną pupką. Mogłabyś sobie wyobrazić na Strefie, że ktoś mnie nazwie Lizusem? Czasem żałuję, że uciekłem ze Strefy.

– Coś ty, tato! Zrobiłeś się lepszy! Zacząłeś dowcipkować. Na Strefie, jeśli nawet żartowałeś, to tak czarno, aż mi się ogon przylepiał do brzucha – zaprzeczyła Lobasti – A teraz – sam trick z bananami był znakomity!

Szalla wypadła z rozmowy i marszczyła czoło, próbując zrozumieć, o co chodzi. Catherine przyjrzała się jej uważnie i pogłaskała po ramieniu koniuszkiem skrzydła.

– Mrok, dziewczyna ma zapłakane oczy. Obraziłeś ją?

– Tak – westchnął. – Byłem nadgorliwy w jej wychowywaniu. Ale gdybyś wiedziała, jak mi się sprzykrzyły ich nieprzerwane swary! W ogóle oni mają jakąś dziwną cywilizację. Bardzo prymitywna technika. Wszystko robią swoimi rękami, gdyż ich cybery to kompletne barachło. W ogóle nie rozumiem, jak oni zdołali dostać się do naszego continuum. I w ich ustroju społecznym też trzeba się będzie zorientować.

– Mrok, musimy lecieć z powrotem. W przeciwnym razie będą mnie szukać – wmieszała się Szalla, spojrzawszy na zegarek.

– Polecimy wszyscy razem. Czas przejść do następnego etapu. Dzisiaj tylko latacie nad bazą. Trzeba przyzwyczaić ludzi do waszego widoku. A za dwa-trzy dni przenosicie się do mnie. Postaram się znaleźć wam odpowiednie pomieszczenie.

Smoki przeleciały klinem nad głowami ludzi. To było wspaniałe. Powietrze wypełniał szum skrzydeł i niska, przeszywająca duszę wibracja. Na pierwszym smoku, trzymając go za rogi jak na obrazku, siedziała Szalla. Jej czarne włosy rozwiewał wiatr, a oczy błyszczały. Smoki nabrały wysokości, zawróciły i wylądowały na dachu półkulistego budynku. Największy wydał triumfalny wielotonowy ryk.

– Znajoma melodia. Gdzie to ja ją słyszałam? – zdziwiła się Catherine.

– „Suliko”. Pamiętasz, Guz cały czas ją mruczał.

– Zgadza się! Mrok, ja chcę jeść. Karmią tu głodnych?

– Zaraz się dowiemy. Szalla, trzymaj się! – Mrok rozpędził się po pochyłym dachu i lotem nurkowym wylądował w swojej klatce. Smoczyce z piskiem i urąganiem runęły za nim.

– Jap-jap-jap-jap jorri! – krzyknęła radośnie Lobasti, dobrawszy się jako pierwsza do karmnika, i wyjęła dynię.

– Stop! – zakomenderował cicho Mrok. – Te owoce widzicie pierwszy raz, nie wiecie, jakie one są. I ani słowa więcej, ludzie tu idą.

Lobasti ze smutkiem odłożyła dynię. Catherine postawiła Nytika na podłodze i zaproponowała mu marchewkę. Kiedy ten wbiłw nią zęby, Lobasti wydała radosny krzyk i wsypała sobie do paszczy od razu dwie garście marchwi. Szalla wzięła sobie jabłko. Crassus przecisnął się między prętami i zaczął kroić dynię na kawałki. Dookoła klatki zebrali się ciekawi. Lobasti, jak zawsze, najada się pierwsza, wyszła z klatki, rozejrzała się i skierowała się w kierunku zielonej łączki. Z błękitnego nieba przygrzewało słoneczko, umyta porannym deszczem trawa okazała się syntetycznym gazonem. Po plastykowych źdźbłach skakały i pełzały oszukane owady. Lobasti położyła się na grzbiecie, rozłożyła po gazonie skrzydła i zamknęła oczy. Ktoś zaczął głaskać ją po gardle. Otworzywszy jedno oko, zobaczyła sympatyczną dziewczynę, trochę zmieszaną własną śmiałością.

– A ty byś się tak nie bał, Laërtesie? – zapytała Szalla.

– Oczywiście, że nie – głośno powiedział do przyjaciół młodzieniec. – Tylko zabierzcie stąd tego zielonego krokodyla. – wskazał Nytika, po czym podszedł i położył się na plecach obok dziewczyny, z rękami rozłożonymi na boki. Dziewczyna pogłaskała po gardle również jego i wszyscy się roześmiali.

– R-r-r – powiedziała Widebrow do młodzieńca, podnosząc nieco głowę. Potarła policzkiem plecy dziewczyny i znów się położyła.

Obok klatki rozległ się czyjś krzyk i przekleństwa. To Nytik ugryzł kogoś w nogę i capnął but. Catherine rzuciła się do Nytika, a ludzie rozbiegli się. Mrok wyrwał Nytikowi z paszczy but, „skosztował” i wyrzucił. Catherine podała mu Nytika i poszła się opalać. Ludzie wracali, rozmawiając głośno. Mrok obracał Nytika w łapach i nie wiedział, co z nim zrobić, ale pojawił się Crassus z obrożą i smyczą. Mrok zostawił mu Nytika i pośpieszył do samic. Lobasti mrugnęła do Catherine, ta skinęła jej ledwie dostrzegalnie. Mrok zrozumiał, że smoczyce zamierzają coś zrobić i westchnął. Smoki stanęły jeden naprzeciw drugiego na na wpół ugiętych łapach, drapieżnie wyszczerzyły zęby, rozpostarły skrzydła i, pracując biograwami, wzbiły się pionowo ku górze. Na wysokości pięciu metrów zamarły. Rozległo się przyjacielskie, pełne zachwytu „ACH!”. Ludzie patrzyli w górę jak urzeczeni. To było naprawdę piękne. Głowa przy głowie, wyciągnięte w strunę ciała smoków, szeroko rozpostarte nieruchome płachty skrzydeł. Tylko unoszą się i opadają w potwornym napięciu pagórki mięśni i oddech z każdą sekundą robi się coraz głębszy i głośniejszy. A potem powoli i płynnie smoki się obróciły, jakby zawieszone na niewidzialnych nitkach, aż ich ogony się zetknęły, i rozleciały się, nabierając szybkości. Synchronicznie pracując potężnymi skrzydłami, nabrały wysokości, oddaliły się od siebie na około dwieście metrów, obróciły się dosłownie wokół koniuszków skrzydeł i, nabrawszy szybkości w locie koszącym, podążyły naprzeciw sobie. Mrok się przeraził. Zderzenie powinno było nastąpić dokładnie nad nim. Ale w ostatniej chwili Catherine zboczyła troszeczkę w prawo, Lobasti w lewo, Catherine opuściła skrzydło, Lobasti je podniosła… Minęły się dosłownie o centymetry. Wir powietrza uderzył Mroka po oczach. Ten mrugnął i rozluźnił mięśnie. A smoczyce już nabierały wysokości, synchronicznie coraz ciaśniej kręcąc zwoje spirali. Było to niemożliwe i zarazem piękne. Dla nich nie istniały ani prawa fizyki, ani aerodynamiki. Goniły jedna drugą jak po niewidzialnej arenie, z rozpostartymi i prawie nieruchomymi skrzydłami.

Mrok obejrzał się na oczarowanych ludzi i zobaczył, że ręka Laërtesa leży już na ramieniu Szalli, obejmuje ją. Z gardła smoka wydobył się mimowolny niski ryk. Chłopak spotkał się z nim spojrzeniem, jego twarz nagle skamieniała, ręka ścisnęła ramię dziewczyny. Wytrącona ze świata słodkich marzeń Szalla spojrzała ze zdumieniem najpierw na Laërtesa, potem na Mroka. Jedną dłonią nakryła rękę chłopaka, drugą pomachała smokowi.

„Co się ze mną dzieje?” – zdziwił się Mrok, uspokoił się i znowu podniósł oczy. Smoczyce krążyły prawie dotykając jedna drugą koniuszkami skrzydeł. Nagle, jakby urwał się jakiś łączący je sznurek, rozleciały się, powoli pracując skrzydłami. Mrok z szumem wypuścił powietrze – okazało się, że długo nie oddychał. A smoczyce znowu się zbliżały, tym razem dość powoli. Powinne były minąć się o jakiś metr, ale Lobasti wyciągnęła łapę, Catherine złapała ją, zakręciły się jedna wokół drugiej i rozeszły się, obracając się! To było nieprawdopodobne, fantastyczne. Smoki oddalały się od siebie, kręcąc się wokół własnych pionowych osi, jak w nieważkości. Jak gdyby siła ciężkości nie została wymyślona dla nich i ich nie dotyczyła. Jeden obrót, drugi, trzeci. I wtedy Catherine zaczęła kłaść się na skrzydło. Straciła nie wiadomo jak utrzymywany pion i runęła w dół. Mrok rzucił się chcąc ją przechwycić, Szalla zapiszczała ogłuszająco, ludzie pierzchnęli spod jego łap. Ale Catherine, wykręciwszy się jak spadający kot, zamachała skrzydłami i zawisła w powietrzu pięć metrów nad ziemią. W jej oczach był jeszcze strach, ale już uśmiechała się całą paszczą. Mrok stanął na tylnych łapach, chwycił ją za łokieć i pociągnął w dół. Catherine posłusznie wylądowała. Gorąca, zmęczona, dysząca i nieskończenie szczęśliwa. Objęli się wzajemnie szyjami, Mrok spojrzał w jej oczy i zatonął w nich. Czuł tylko, jak zgodnie biją ich cztery serca. Catherine rozplotła szyje, ale chwycił ją delikatnie łapami i objął skrzydłami. A jednak wyśliznęła się z jego objęć i wzbiła się w niebo. Mrok rzucił się za nią, o niczym nie myśląc, widząc tylko pożądane ciało, umykające naprzód, zachwycająco giętkie i szybkie. Mógł je dogonić, ale odkładał słodką chwilę. A potem było niebieskie morze nieba, i zielone morze trawy, i gorące gibkie ciało, i młot w piersi, i urywany oddech, i jęki, i bezsensowne gorące słowa, i zapach trawy, i przyjemne znużenie, a gdzieś wysoko w niebie latała Lobasti, strzegąc ich spokoju. I tylko jedna myśl przyciemniała święto – że tak już nie będzie, coś takiego zdarza się tylko raz w życiu. Bardzo zazdrościł Lobasti, która pamięta każdą chwilę, każdą sekundę swojego życia. A gdzieś na samej krawędzi świadomości trzepotała myśl, że trzeba wracać, bo na dzisiaj planowane jest badanie smoka na wielkim tomografie. Może zresztą to nie jest tomograf, tylko aparat rentgenowski, po takiej zapóźnionej cywilizacji można było spodziewać się wszystkiego, ale sądząc z opisu Szalli bardziej wyglądało to na tomograf.

Spotkał Szallę przy swojej klatce. Siedziała przygnębiona, Crassus głaskał ją po plecach.

„Ładna mi niedotykalska” – pomyślał Mrok.

– Julia złamała rękę – zakomunikowała Szalla. – Teraz mogą mnie wyrzucić.

– Ja ją przewróciłem?

– Nie, ty przewróciłeś Clorusa.Julię przewrócił Commodus.

– Clorus jest cały?

– Cały, wężowe nasienie. Mrok, ja nie klnę, to prawda. Zapytaj kogo chcesz, to gadzina!

– Nie przewróciłem Julii. Więc co ja mam z tym wspólnego?

– Przecież gdyby Commodus nie odskoczył, rozdeptałbyś go na miazgę.

– Źle wyszło… Głupstwo, jakoś to będzie. Zawiadom wszystkich, że w okresie godowym należy się trzymać z daleka od smoków. Nie stają się agresywne, po prostu wpadają w ekstazę. Nie widzą i nie słyszą nic, co się dzieje wokoło. Nie patrzą pod nogi. Mogą usiąść, zmiażdżyć, zaczepić ogonem i tak dalej.

– Amantes amentec (zakochani są szaleni) – pokiwał głową Crassus. – Nigdy bym nie pomyślał, że gody smoków są tak piękne i poetyczne. („Ja też bym nie pomyślał” – omal nie palnął Mrok.) Taniec w powietrzu. A jak wspaniale byłoby popatrzeć na nie w nocy, przy pełni księżyca…

– Chodź, Szallo, odwiedzimy twoją Julię. Zaniesiesz jej pomarańcze z karmnika albo jakieś kwiaty. A ja poliżę ją w nos.

Znowu zakręt. To jakiś labirynt, a nie budynek. Prawdziwy kreteński labirynt. Czyżby Minotaurowi było równie źle? To wyjaśniałoby, dlaczego rzucał się na ludzi.

– To już niedaleko, Mrok. Został ostatni odcinek. Za nim będzie już szeroki korytarz.

Idą z Szallą na badania. Do gabinetu zabiegowego w zasadzie prowadzi wysoki i szeroki przejazd. Ale teraz on jest zablokowany. Utkwiła w nim klatka z gigantycznym kaczodziobym kangurem. Kierowca ładowarki zaczepił rogiem klatki o ścianę, klatka obróciła się i zaklinowała. Ładowarkę też obróciło, sczepiła się z klatką i również wbiła się przodem w ścianę. Sytuacja bez wyjścia. Ludzie kręcą się, machają rękami, klną, ale są bezradni.

Szalla powiodła Mroka dookoła. Ale jedne drzwi były zamknięte, w innych nie wiadomo po co przyspawano jedno skrzydło na amen. Trzeba było iść przez piętro, ale tu prosty, krótki korytarz okazał się dla Mroka zbyt ciasny. W ogóle wszystkie korytarze były tam dla niego za wąskie, musiał prawie pełznąć, z głową przy podłodze i przyciśniętymi do ciała skrzydłami. Ale w tamtym korytarzu nie miał się już absolutnie jak zmieścić.

– Mrok, poczekaj tu, ja sprawdzę tamte drzwi, bo możemy tu zupełnie utknąć. – Szalla pobiegła naprzód po łukowato zakręcającym korytarzu. Mrok położył się na podłodze. Bolały go kolana od tego gąsieniczego marszu. Z tyłu usłyszał głosy.

– Popatrz no, oni już całkiem się rozzuchwalili. Wprowadzają już zwierzęta prosto do domu. A jeśli on kogoś zje?

– Co ty mówisz? Tych, co mogą zjeść, w korytarzu się nie porzuca. To Lizus, on nie gryzie.

– Póki syty, może nie gryzie, a jak zgłodnieje? Spójrz na te zęby. Może kogoś zjadł i teraz trawi? Rozłożył się na cały korytarz, a my musimy przejść. Zwierzaku! Podwiń się, słyszysz!

Żądanie było całkowicie usprawiedliwione i Mrok przycisnął się do ściany. Dwóch młodych ludzi boczkiem, wzdłuż drugiej ściany przecisnęło się koło niego.

– Mówiłem ci, on jest tresowany.

– A co, jest taka komenda „Podwiń się!”? –Mrok usłyszał oddalające się głosy.

Po chwili wróciła Szalla.

– Wszystko w porządku, idziemy.

Znowu korytarze, schody i wreszcie przejazd, zagrodzony klatką, widok od tyłu. Mrok obejrzał się. Ludzi w pobliżu nie ma.

– Szallo, poczekaj. Pomożemy im wyciągnąć klatkę.

– Jesteśmy już spóźnieni. Poradzą sobie sami.

– A z powrotem znowu po korytarzach? Co to, to nie! Udawaj, że mną komenderujesz.

Dziewczyna nie zaczęła się kłócić, wiedziała już, kto jest ważniejszy w ich tandemie. „Tresura idzie dobrze” – pomyślał Mrok.

– Z drogi, z drogi! Rozejść się! – wydała komendę robotnikom w żółtych kaskach. – Mrok, do mnie! Chwytasz tą rzecz – kopnęła klatkę – i ciągniesz tam!– wskazała ręką wzdłuż korytarza. Robotnicy wpatrzyli się w Mroka ze zdumieniem.

„Nie tam” – pomyślał Mrok. – „Najpierw trzeba klatkę obrócić”. Odsunął skrzydłem robotników, wczepił się w pręty klatki i szarpnął. Żadnego efektu. Oparł się tylną łapą o ścianę i wytężył wszystkie siły. Przed oczami zamigotały mu kolorowe plamy. Metal zazgrzytał po kamieniu, klatka się poddała. Mrok nie utrzymał równowagi, upadł na podłogę. Robotnicy krzyknęli z radością. Mrok wstał, zrywami przetaszczył klatkę o dwa metry, aż ładowarka odczepiła się od ściany i wykończony położył się na podłodze.

Z tyłu robotnicy triumfowali. Podnieśli Szallę na rękach i, wygłupiając się, oddawali jej cześć, jak bogini.

– Szallo, na wszystkich waszych bogów, przestań wymachiwać rękami.

– Jak to: przestań? Przecież nikt mnie nie zrozumie.

– Plebs ciebie nie zrozumie, a tu są intelektualiści – poparł Mroka Crassus. – Chociaż doprawdy nie wiem, do której kategorii mam ciebie zaliczyć.

– Jak to: nie wiem? Ach, ty… – dziewczyna uniosła ręce ku niebu, przyzywając bogów na świadków, lecz zaraz się opamiętała i spojrzała z przestrachem na Mroka.

– Złącz ręce za plecami i powiedz, co chciałaś – poradził życzliwie Mrok. – Jeśli oczywiście masz do powiedzenia coś mądrego.

Dziewczyna schowała ręce za plecami, po czym dumnie odchyliła do tyłu głowę.

– Mój ród jest stary i poważany. Wiedz o tym!

– Niezła jesteś – ocenił Crassus. – Ech, gdybym był o dwadzieścia lat młodszy…

Szalla pokazała Mrokowi język, wzięła sobie najładniejsze jabłko i usiadła, obejmując smoczą łapę.

– Crassus, a dlaczego macie dwa języki? Dlaczego wszystkie słowa dublujecie gestami?

– Bo nie mamy dla siebie szacunku - burknął niechętnie starzec.

– Nie pytam z czystej ciekawości. Język to podstawa wzajemnego zrozumienia. Jak mogę was zrozumieć, jeśli nie wiem kanwy waszego języka?

Crassus zadumał się na długo. Mrok myślał już, że nie usłyszy odpowiedzi, ale starzec przemówił:

– To bardzo stara historia. Nieprzyjemnie mi o niej mówić, ale to część naszej kultury. Jeszcze przed zbudowaniem Wiecznego Miasta pojawił się zwyczaj obcinania niewolnikom języków. Zwyczaj okrutny i bezsensowny, ale przetrwał wiele wieków. Jakich tylko argumentów nie używano dla jego obrony! Można byłoby je wyliczać kilka dni, ale u podstawy większości leżała pycha i ograniczenie umysłowe. Na przykład: „język niewolnika nie powinien obrażać słuchu pana”. Dzieci uczono pisać „Nie jesteśmy niewolnikami, niewolnicy są niemi”. Niewolnicy wypracowali język gestów, który rozpowszechnił się na cały świat, ułatwiając porozumienie – i to uważam za jedyny pożytek z bezsensownego zwyczaju. Pytałeś, dlaczego obrazę uważamy za obrazę tylko w przypadku powtórzenia jej i głosem, i gestem. Dlatego, że niewolnik nie może obrazić pana, ile by nie wymachiwał rękami. A urodzony niewolnikiem nie musi rozumieć języka słów. Ale niewolnice miewały z panami dzieci, które posługiwały się obiema językami. I z czasem stało się to normą dla większości. Tak, Mrok, my wszyscy pochodzimy od niewolników. Nosimy imiona wielkich wodzów, ale w duchu jesteśmy plebejuszami.

– Nieprawda! – pisnęła Szalla.

– Tato, no, ale coś ty? Kompleks Edypa na odwrót czy co?

– Właśnie to. Przecież nosiłem ciebie zupełnie malutką na rękach.

– Ale jesteś tylko moim przybranym ojcem. Nie ma w tym żadnego kazirodztwa.

– Oczywiście, że nie ma. Ale muszę do tego przywyknąć.

– Nie podobam ci się jako kobieta, czy co? – Lobasti kokieteryjnie wygięła grzbiet. – A może ciągle jeszcze podobają ci się ludzkie samiczki? Tato, to wszystko minęło. Przecież one są takie malutkie. Pamiętasz anegdotę o małpie, która wyszła za słonia?

– Nie.

– Słoń owdowiał pierwszej nocy. Małpa została zmiażdżona.

– Lobasti, kto ciebie wychowywał? Czyżby ja?

– Tato, ja na ciebie czekałem całe życie… – Lobasti nieoczekiwanie się rozpłakała. – Jeszcze kiedy byłeś dla mnie wielki jak góra. Znikałeś na całą wieczność, a ja czekałam na ciebie. Potem, kiedy mnie oddałeś rodzicom, wszyscy mi mówili, że jesteś zły. Oni nic nie rozumieli! Byłeś naprawdę łajdakiem! Marzyłam o ucieczce z domu, o tym, jak wyląduję na Strefie, znajdę ciebie i powiem ci, jakim byłeś łajdakiem, bo mnie oddałeś! A potem ci przebaczyłam, gdyż, jeśli bardzo kochasz, zawsze wybaczysz. I poprzysięgłam sobie, że wyciągnę ciebie ze Strefy, bez względu na cenę. I mamę Catherine wyciągnę, ponieważ ją kochałeś. A gdy kazałam najlepszej przyjaciółce oddać syna do inkubatorium, zaświtała mi nadzieja. Wszyscy się ode mnie odwrócili, a ja byłam szczęśliwa. I zazdrościłam mamie, och, jak zazdrościłam! Przeżyłam dziesięć lat jak w koszmarnym śnie. Bywały dni, że chciałam wyłączyć inkubator. A kiedy ciało mojej córki wyrosło i przepisałam w nie pamięć mamy, od razu opowiedziałam jej wszystko o tobie i o swojej zazdrości, a ona powiedziała, że to nic, że wszyscy, nawet najlepsi mężczyźni są kobieciarzami i skrycie marzą o tym, żeby sprawić sobie harem. I siedziałyśmy i płakałyśmy, objąwszy się nawzajem. Myślałam, że od razu uciekniemy z inkubatorium, gdyż naruszyłam wszelkie prawidła: uśpiłam dyżurnych, otworzyłam drzwi do hemisfery, ale siedziałyśmy i płakałyśmy, póki nas nie znaleziono. I dobrze się stało, że nie uciekłyśmy. Mama i tak nie mogłaby uciec, a po znalezieniu nam wybaczyli. Myślałam, że teraz już wszystko będzie dobrze, ale ty nagle oświadczyłeś, że nie chcesz opuścić Strefy. I wtedy przeraziłam się tak, jak nie bałam się nigdy wcześniej. Potem wszystko się ułożyło i znowu myślałam, że wszystkie strachy zostały za nami, ale ktoś zaczął nas szukać i uciekliśmy. Długo byłam sama w kutrze, czasem było mi wtedy bardzo trudno, ale szeptałam sobie, że jestem jedyną nadzieją dla ciebie i mamy, i cierpiałam. A kiedy kuter tonął, zrozumiałam, że z wami obojgiem nie dopłynę do brzegu. Byliście pokryci lodem i bardzo zimni, a rzemienie, którymi was obwiązałam, niemal zupełnie pod lodem zniknęły, i nie byłabym już w stanie utrzymać was oboje na raz. I upuściłam najpierw wasze ogony, a potem mamę. Ona utonęła i leżała na dnie. Dotaszczyłam ciebie na brzeg, a potem dopiero popłynęłam szukać mamę. Znalazłam ją bardzo szybko, gdyż tam już się zebrały rekiny i zębate jaszczury. Pływały w kółko i walczyły między sobą. Pożerały się wzajemnie i ja też rozdzierałam je na strzępy, a mimo to wciąż ich przybywało. Nie mogłam podnieść mamy na powierzchnię, bo rozszarpałyby nas obie. Ciągnęłam ją po dnie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak było mi strasznie – wynurzać się po powietrze co pięć minut przez stado rekinów. Rozrywałam im brzuchy, one rozszarpywały się wzajemnie, pożerały własne wyrwane jelita – a było ich coraz więcej. Nie było już ani jednego jaszczura, same rekiny. A dno robiło się coraz głębsze i bałam się, że kiedy zanurkuję po raz kolejny nie znajdę już mamy, gdyż latarenka, którą do niej przywiązałam, ciągle słabła i słabła. A potem zaczęło robić się płytsze i stopniowo wszystko się skończyło. Myślałam, że teraz już wszystko będzie dobrze, że będziemy tylko ja, ty i mama. No i nasze dzieci. Ale ty mnie nie chcesz. Papo, czyżby to wszystko było na próżno? Czyżbym na próżno czekała na ciebie całe dwadzieścia lat? Przecież ja nie jestem z żelaza, tato…

Łzy ukochanej – najstraszniejsza broń wszystkich czasów i narodów. Wszystko zrobisz, na wszystko pójdziesz, żeby je osuszyć. I Mrok osuszył je, do ostatniej kropelki. I Lobasti śmiała się ze swoich niedawnych strachów, i było im dobrze.

Już z daleka widać było, jak Szalla macha rękami. Catherine też aktywnie gestykulowała.

– Uczymy się języka – zakomunikowała Szalla i schowała ręce za plecy.

– Wszystko w porządku? – zapytała Catherine.

– Znakomicie, mamo. Teraz powinnaś zwracać się do mnie w liczbie mnogiej. Niedługo będzie nas więcej. Pięcioro.

Catherine przetłumaczyła dla Szalli i dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

– Musicie wybrać sobie partnerów spośród ludzi, inaczej będzie wam trudno poruszać się po ich terytorium. Nie macie dużego wyboru. Szalli nie oddam nikomu. – Mrok objął dziewczynę skrzydłem. – Pozostają Bleisus, Crassus i Pittacus. Reszta nie zna naszej tajemnicy.

Mrok mówił po łacinie, żeby Szalla mogła brać udział w rozmowie.

– A mnie bardzo się spodobała dziewczyna, która głaskała mnie po gardle. Bardzo dzielna dziewczyna – zakomunikowała Lobasti.

– A Laërtes ci się podobał?

– Ten, który przezwał mnie krokodylem? A-ni tro-chę!

Szalla poczerwieniała i spuściła głowę.

– O Boże, przecież ty się zakochałaś! – Lobasti przycisnęła dziewczynę do swojej szerokiej piersi.

– Córeczko, ty ją zmiażdżysz! Gdzie się podziała twoja delikatność?

– Nie wiem, mamo. – Lobasti postawiła dziewczynę na ziemi. – Lecimy?

– Mrok, czy one naprawdę nauczyły się języka w dwie godziny? – zapytała Szalla w powietrzu, nachyliwszy się prosto do jego ucha.

– Lobasti – tak. A Catherine jeszcze prawie nie mówi.

– To jak w bajce.

– Nie dziw się. Lobasti ma pamięć absolutną. W ogóle to masz przed sobą trójkę monstrów. Każde z nas ma swój talent. Catherine ma dar empatii. A mojego lepiej nie budzić. On jest dla ekstremalnych warunków, nie dla czasów pokoju.

– Rozumiem. Jesteście kosmonautami, a w kosmos wysyła się najlepszych z najlepszych. Mówiłam Bleisusowi i Pitowi, że nie lubisz, jak ludzie machają rękami. Dobrze zrobiłam?

– Zuch z ciebie.

– Bleisus wypytuje o ciebie. Gdzie lecisz, co robisz. Można mu opowiadać?

– Jemu – tak. Jeśli coś nie będzie można, powiem ci o tym. Spójrz, poznajesz miejsce? To tu spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– Oj, Mrok, proszę cię, wylądujmy! Tu Laërtes stracił pistolet. Za to ukarano go grzywną przekraczającą jego dwumiesięczną pensję.

Ostro skręcili i wylądowali. Pistolet leżał tam, gdzie go zostawił. Szalla była zachwycona.

– Mogę ci podarować czaszkę drapieżnika, chcesz? – Mrokowi zebrało się na szczodrość.

– Uczeni mi ją zabiorą.

– Powiem im „R-r-r”.

– Chcę.

Na bazę Szalla wracała na Lobasti. Mrok niósł czaszkę ceratozaura i przeklinał swój długi język. Zrozumiał już, że przyjdzie mu jeszcze taszczyć tą czaszkę do pokoju Szalli – przez dziesiątki metrów schodów i wąskich korytarzy, pełnych ostrych zakrętów.

Tak właśnie było.

– Zobacz, obwąchuje. Zaraz się załatwi. Oznacza terytorium.

Mrok westchnął, podniósł łapę i oznaczył. Żeby być niestrasznym, nie wystarczy być wegetarianinem. Trzeba być zrozumiałym, robić to, na co czekają ludzie. Ależ mu się sprzykrzyli!

– Pojąłeś, stary? Teraz nie on jest twoim gościem, a ty jego. Zechce – wpuści, a zechce – głowę ci odgryzie – triumfował ten, który powiedział, że Mrok oznacza terytorium.

Mrok jeszcze raz obejrzał salę sportową i basen. Lepszego miejsca nie znajdzie, jedyną wadą był brak okien. Wysunął głowę na korytarz i podał umówiony sygnał. Catherine i Lobasti przybiegły od razu. Lobasti zaświergotała melodyjnie z radością, wskoczyła do basenu i zaczęła się pluskać. Catherine w skupieniu zaczęła ściągać maty i materace do dalekiego kąta i wyścielać nimi podłogę.

– Co oni robią? Wygoń ich stąd! – natarł na Szallę tęgi mężczyzna w sportowym ubraniu.

– Wiją gniazdo. Niedługo ich rodzina się powiększy.

– Ale dlaczego w mojej sali?

– Bo tu im się podoba.

– Przepędź ich stąd.

– Nie mogę.

– Odpowiadasz przecież za nich.

– Odpowiadam tylko za samca. Jego mogę wyprowadzić w każdej chwili. Samice swoją drogą, ale jeśli ktoś je obrazi, to ja za nic nie odpowiadam.

– Przyprowadzę Diraca! – krzyknął mężczyzna, wybiegł na korytarz i niedługo rzeczywiście powrócił z myśliwym.

Mrok podszedł do Diraca, chciał go polizać, ale ten zręcznie się uchylił i poklepał smoka po szyi. Równie zręcznie usunął karabin, kiedy Mrok chciał pogryźć lufę. Przepytał gospodarza sali, potem zadał kilka pytań Szalli.

– On naprawdę oznaczył terytorium?

– Tak – odrzekła Szalla.

– Dziwne… A samice naprawdę zaszły w ciążę?

– Przecież to widać?

Dirac uważnie przyjrzał się najpierw dziewczynie, potem Catherine. Smoczyca usiadła na ogonie, wydęła brzuch i zaczęła go wylizywać.

– Kiedy one urodzą? A może zniosą jaja?

Szalla podeszła do smoczycy i ostrożnie pomacała jej brzuch. Catherine zachęcająco pogłaskała ją skrzydłem.

– Jeszcze nie wiem. Może jutro powiem. Najpierw muszę poobserwować i pomyśleć.

Z dna basenu z pluskiem wynurzyła się Lobasti, wydostała się z wody, otrząsnęła się i zaryczała na Diraca. Mrok ryknął groźnie na nią. Smoczyca ucichła i podkuliła ogon. Szalla chwyciła ją za ucho i przyprowadziła do Diraca. Lobasti, z szumem wciągając powietrze, obwąchała myśliwego od stóp do głów.

– Proszę pogłaskać ją za uchem – poleciła dziewczyna – a ona już pana nie tknie.

– A pani?

– Mnie? Nigdy. Jestem starsza od niej w hierarchii stada, ale słabsza fizycznie. Nie wolno jej mnie obrażać może tylko słuchać albo nie.

Dirac pogłaskał Lobasti za uchem, ta liznęła go w policzek i rozciągnęła się na podłodze.

– Przyjęła pana do swojego stada i teraz pozwoli panu na wiele – zakomunikowała Szalla.

– Samice mogą być dla człowieka niebezpieczne?

– Jeszcze jak! Zwłaszcza, jeśli ktoś obrazi dziecko. Wtedy mogą nawet zabić. I w nocy lepiej ich nie niepokoić. W dzień to teren wspólny, w nocy ich własny. Proszę nie zapominać, że one są w ciąży.

Dirac pogłaskał Lobasti po gardle, przyjrzał się jej brzuchowi i skierował się ku wyjściu.

– Jak to, pan wychodzi? – mężczyzna podążył za nim.

– Zatroszczcie się, żeby smoki miały spokój. I słuchajcie dziewczyny we wszystkim.

– Nie będzie pan ich usypiał?

– Słyszał pan, smoki przyjęły mnie do stada. Nie strzelam do współplemieńców – uśmiechnął się Dirac. – Poza tym, usypiając samice w ciąży można uszkodzić płody.

Kiedy ludzie wyszli, smoki i Szalla zebrały się w kółko.

– U-da-ło się! – zakomunikował cicho Mrok. – Wszystko według scenariusza. Bezbłędnie!

– To był ten twój trójgłowy pies? – zainteresowała się Lobasti.

– Nie, to nie był Cerber. To był Dirac, miejscowy pogromca zwierząt. No, to trochę nie wypaliło, ale to głupstwo. No bo przyznajcie same, nie wypada zaraz biegać do dyrektora z każdym drobiazgiem. Za to jakie mieszkanko! Z wanną!

– Wannę mamy, a wygódka na polu – zauważyła złośliwie Catherine.

– Mrok! Mamy robotę!

Mrok otworzył oczy i jęknął. Dziewczyna rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma ludzi i wyszeptała mu do ucha:

– Mrok, sam przecież mówiłeś, że musisz poznawać ludzi. Zepsuł się motor flyera geologów i zaproponowałam im lot na was. Wszystko tak, jak chciałeś.

– Zgadza się. Ale nie tak wcześnie! – Mrok podniósł się, przeciągnął, przypomniał sobie o basenie. Wziąć poranną kąpiel było tak przyjemnie! Od razu nastrój mu się poprawił.

– Ilu ich jest?

– Czworo. Poradzimy sobie?

„Patrzcie ją! «My»!” – zwrócił uwagę Mrok, obudził Lobasti – ta, nie otwierając oczu, objęła go za szyję – podszedł do basenu i wskoczył do wody, a smoczyca za nim. Od jej przenikliwego pisku od razu obudziła się Catherine. Nie tylko obudziła się, lecz także błyskawicznie przyjęła pozycję bojową: pazury wypuszczone, paszcza groźnie wyszczerzona, w gardle bulgocze ryk.

– Mamo, ależ ta woda jest zimna! – poskarżyła się Lobasti, wpychając Mroka w głąb.

– Wszystkich ludzi pobudziliście.

– Daję słowo, to nie moja wina! To on! – Lobasti pozwoliła Mrokowi odetchnąć świeżym powietrzem i znowu wepchnęła pod wodę. Catherine roześmiała się, rozbiegła się i wskoczyła do wody. Woda plusnęła z basenu, oblewając Szalli nogi. Dziewczyna pisnęła. Z wody od razu wysunęły się trzy smocze głowy.

– Mój Boże! – zmartwiła się Catherine. – Cała podłoga zalana! Koniec, od tej pory kąpiemy się tylko pojedynczo.

Mrok podniósł się z wody na biograwach, spróbował otrząsnąć się w powietrzu, ale stracił wysokość i runął w dół. Druga fala dotarła do nóg Szalli.

– Będziemy dzisiaj spali na mokrym – uprzedziła surowo Catherine. Mrok wyciągnął szyję.

– Nie, tam jeszcze sucho.

– Papo, nie zrozumiałeś? Mama powiedziała – zrobi!

Geologów było czworo. Trzech młodych ludzi i dziewczyna Fausta. Ta sama, która nie przestraszyła się Lobasti przy pierwszym spotkaniu. Lobasti była zachwycona. Po rytualne zawarcia znajomości, w czasie którego cała czwórka została oblizana, Szalla rozmieściła pasażerów. Dwóch na Lobasti, jeden na Catherine, a ona z kierownikiem grupy na Mroku.

– Czekaj no, a jak oni będą kierowali smokami? – zainteresował się kierownik.

– Po co nimi kierować/ Gdzie my, tam i one.

– A jeśli coś się stanie?

– Jeśli coś się stanie, smoki się o was zatroszczą. Jesteście członkami stada. Lecimy, Mrok!

Mrok rozwinął skrzydła i mocnym pchnięciem oderwał się od ziemi. Lobasti i Catherine ulokowały się tuż za nim.

– Co tam mamy jutro?

– Od rana – geologowie.

– Znowu wozić kamienie? Bardziej podobają mi się botanicy. A entomologowie są wprost czarujący. – Lobasti masowała i rozluźniała zmęczone mięśnie Catherine.

– Oni chcą dostać się do wąwozu skrzydlatych jaszczurów. Na flyerze to jest niemożliwe. Jaszczury napadają na wszystko, co lata.

– Nieźle to wymyślili! Jedno z nas jako przynęta, a pozostali jako siła robocza zbierać kamyczki. A jeśli nam porwą błonki skrzydeł?

– Geologowie liczą, że przyjmą was jako swoich. Ale jeśli uważacie, że to niebezpieczne, odmówię.

– Czas zacząć następny etap – zadecydował Mrok. – Jutro ujawnimy się geologom. Potem ichtiologom. To wszystko są młodzi romantycy, oczekują cudów. Potem ja porozmawiam z Dirakiem i jego ludźmi. I na początek wystarczy. Poczekamy, dopóki po bazie nie zaczną rozchodzić się plotki. Wtedy od razu będzie jasne, kto jest po czyjej stronie.

– A jeśli plotki się nie rozejdą? – zainteresowała się Catherine.

– Rozejdą się, muszą się rozejść. Jak mówili starożytni Germanowie: co wie dwóch, to wie świnia. Cerber nie jest świnią, dlatego dowie się o tym jako ostatni.

– Mrok, a ja jednak nie rozumiem, dlaczego nie można po prostu szczerze i otwarcie powiedzieć wszystkim od razu? – zapytała Szalla. – Obiecałeś wyjaśnić.

– Bo maksimum inteligencji u ludzi wypada na grupę dwóch-trzech osobników. Przecież mówicie: „głowa dobrze, a dwie jeszcze lepiej”. Ale z drugiej strony „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. Macie bardzo silny instynkt stadny i on wam tłumi intelekt. Tłum jest niebezpieczny i agresywny. Dlatego chcę, aby ludzie trawili taką nowość w małych grupkach, ukrywając to przed pozostałymi. Wtedy będą myśleć. Myśleć, a nie napadać, zrozumiałaś, mała?

– Zrozumiałam, ale się z tym nie zgadzam.

– To nic, to normalne. Daj nam tylko miesiąc, dobrze? Za miesiąc już wszyscy będą wiedzieli, kim i czym jesteśmy, umówiliśmy się?

– Umówiliśmy się, Mrok. A co byś zrobił, gdybym się nie zgodziła?

Mrok zamyślił się.

– Ja – nic. Ale Lobasti i Catherine musiałyby na jakiś czas odlecieć jak najdalej.

Catherine, która akurat dotykała go skrzydłem, drgnęła i uważnie popatrzyła mu w oczy.

Wylądowali na gołym, płaskim odcinku zbocza. Wąwóz skrzydlatych jaszczurów znajdował się znacznie niżej. Z gór dął zimny, przenikający do szpiku kości wiatr. Lobasti wygięła się tak, żeby Fausta mogła łatwo zejść z niej na ziemię i powiedziała:

– Lecę na zwiady. Czekajcie tutaj na mnie.

– Coś ty, córeczko. Ludzie zmarzną. Lepiej poczekamy na ciebie koło wodospadu.

– Umówiliśmy się. Ja szybko. – Lobasti wystartowała z placyku i, lecąc lotem ślizgowym, zniknęła za zboczem górskim.

– Wsiadaj na mnie, Fausto – zaproponował dziewczynie Mrok. – Do diabła, źle się czujesz? Catherine, Fauście jest niedobrze.

– O Boże, dziewczyno moja, aleś ty zbladła! Dostałaś mdłości od kołysania?

Pod dziewczyną ugięły się nogi i Catherine ledwie zdążyła złapać zwiotczałe ciało.

– Szallo, dawaj no szybciej butelkę i rozepnij jej kołnierzyk. A wy, chłopy, co tak siedzicie? Ściągajcie kurtki, pościelcie je na ziemi. Nie widzicie, że z nią jest źle?

Oszołomieni geologowie wyszli ze stuporu i, rzucając przerażone spojrzenia na smoki, zaczęli zdejmować kurtki. Szalla nalała Fauście do ust koniaku, ta zakaszlała i otworzyła oczy. Catherine posadziła ją na stosie ubrań.

– No i jak, malutka?

– Wy… rozmawiacie?!

– Bywa, raz na sto lat –odezwał się kpiąco Mrok.

– Przestań się wygłupiać! Tu nie ma miejsca na żarty– rozzłościła się Catherine.

– Mrok, jak ci nie wstyd? – poparła ją Szalla.

– Chłopcy, czyżbym coś źle powiedział? – Mrok starał się wciągnąć ludzi w rozmowę, gdyż inaczej można było od nich oczekiwać wszystkiego, aż do strzelaniny włącznie.

– Smo-smoki nie rozmawiają. Ktoś z nas zwariował – odezwał się jeden z geologów.

– Chłopcy, przestańcie udawać głupków. To nie są smoki, tylko kosmonauci. Nasi rozumni bracia! – nie wytrzymała Szalla.

– A, to inna sprawa – zgodził się drugi. – Myślałem, że mam halucynacje z głodu tlenowego. A to po prostu przybysze. – Zachichotał nerwowo. Mrok podał mu butelkę z koniakiem.

– Naprawdę jesteście przybyszami? – zapytał pierwszy.

– A co, nie widać? Był pan na wykładzie o mnie? Tam było dużo ciekawych informacji.

– W takim razie witam was na tej planecie w imieniu całej ludzkości! – ogłosił triumfalnie trzeci.

– Dziękuję, przyjacielu – odrzekł Mrok. – Ja też ciebie witam.

– Mrok, przestań śmiać się z ludzi! – zażądała Szalla.

– Wybacz, mała. Tak długo milczałem, teraz chce mi się gadać.

– Szallo, ty cudo w piórach, ty wiedziałaś, że smoki to przybysze i nikomu nie powiedziałaś? Zachowywaliśmy się jak idioci.

– Dlaczego? – odrzekł zamiast dziewczyny Mrok – Zachowywaliście się… e-e-e… naturalnie. Chcieliśmy się upewnić, że nie będziecie do nas strzelali. Teraz już was znamy.

– Ale jak można poznać kogoś w kilka godzin?

– Młodzi ludzie, jak wam tu dogodzić? – Catherine zmarszczyła nos. – Oczywiście, że w czasie dwu czy trzech przelotów niewiele się dowiedzieliśmy. Te kpiny to także była próba. Aha, dopóki o tym pamiętam, jeśli będziecie przezywali Szallę albo klęli między sobą, pójdziecie z powrotem piechotą. Tak, właśnie!

– Nie rozumiem, ale wydaje mi się, że coś tu jest nie tak. Przecież to historyczna chwila, będą o niej pisali w książkach, a my tu gadamy o głupstwach. Spotkanie dwóch wielkich cywilizacji – to Dzień Wielkich Zmian.

– O to właśnie chodzi, że pan się myli, i to podwójnie – poprawił Mrok. – My, smoki, nie jesteśmy już wielką cywilizacją. Całą naszą cywilizację, nie licząc zatoniętego kutra, widzicie przed sobą. Żałosny, rozdzierający duszę widok – jak mawiał pewien mój znajomy. A historyczny moment miał miejsce tego dnia, kiedy wbiliście mi strzykawkę w bok. A potem jeszcze cztery.

– Przestań, Mrok – zganiła go Catherine. – Młodzi ludzie nie są winni.

– Jesteśmy winni jako ogół, przepraszamy. Ale dlaczego nie ujawniliście się wcześniej?

– Znowu się mylicie. Crassus, Bleisus, Pittacus i ja chyba już na trzeci dzień urządziliśmy sobie w mojej klatce przyjemny wieczorek. Nawet dostało mi się wtedy od żony za pijaństwo. – Mrok pogłaskał skrzydłem Catherine.

– Wszystko jasne – zakomunikował pierwszy geolog. – To nie my zwariowaliśmy, to świat się przewrócił. Smok obrywa od żony za pijaństwo! Przybyszów z kosmosu wykorzystujemy jako konie juczne! W normalnym świecie to się nie zdarza. Coś się stało na Olimpie.

– Jeszcze tu jesteście! – Lobasti wyleciała zza krawędzi i wylądowała na skraju placyku. – A umawialiśmy się na spotkanie koło wodospadu.

Smoczka wyglądała kiepsko. Łapy i pierś we krwi, pod okiem długie krwawe zadrapanie.

– O Boże, jesteś cała? – przeraziła się Catherine.

– Wszystko w porządku, mamo. Teraz pteranodony[[3]](#footnote-4) mnie poważają. Lećmy szybko zbierać wasze petrograficzne kamyki, dopóki te skrzydlate swołocze nie wezwały sąsiadów.

– Naprzód, trąba wzywa! – zakomenderował Mrok i bardzo udanie zademonstrował ryk pobudki.

– Trzymajcie się w kilwaterze – przykazała Lobasti i rzuciła się w dół.

Pteranodony w rzeczywistości okazały się nie pteranodonami, tylko ornito-czymś-tam. Catherine zapomniała łacińskiej nazwy, choć miała na języku dwie podobne, a pozostali nie znali jej w ogóle. Zwierzęta bez nazwy albo zdążyły już o wszystkim zapomnieć, albo naprawdę wezwały sąsiadów; dość, że napadły na Lobasti, gdy tylko smoki wleciały do wąwozu. Było ich około setki, ale atakowały nie stadnie, a każdy pojedynczo. Lobasti pisnęła jak dziki kot i rzuciła się do ataku. Nie leciała, tylko jakby błyskawicznie płynęła, wijąc się całym ciałem jak gigantyczna płaszczka, przedzierając się przez gęste, oporne powietrze. Taki styl lotu Mrok widział po raz pierwszy. Trajektoria lotu była nieprzewidywalna, pełna ostrych zakrętów. Smoczyca przelatywała o półtora-dwa metry od jaszczura, wyrzucała w bok to przednią, to tylną łapę z szeroko rozpostartymi pazurami, i kolejny drapieżnik leciał w dół, koziołkując i ciągnąc za sobą wachlarz krwawych bryzgów. Dwa jaszczury podleciały do Mroka. Pierwszego uderzył dłonią w łeb. Pękły kręgi szyjne i drapieżnik, konwulsyjnie trzepocząc skrzydłami, runął w dół. Drugiego Mrok chwycił za szyję i ścisnął. Znowu coś chrupnęło, ciało zwiotczało. Kręcąc nad głową zabitym jaszczurem, Mrok wydał triumfalny ryk. Catherine go podchwyciła, ale tonem o cztery oktawy wyższym. Mrok puścił jaszczura i zatkał łapami uszy. Jaszczury rzuciły się do bezładnej ucieczki.

– W porządku, tato! Lądujcie, ja przykryję z góry – krzyknęła Lobasti. Mrok i Catherine spikowali i wylądowali na dnie wąwozu.

– Uwaga! – rozległo się z góry i koło nich spadł jaszczur z rozdartym brzuchem.

Ludzie zeskoczyli ze smoków i rozciągnęli przygotowane zawczasu sznurki, wymierzyli trójkątny placyk, na wierzchołkach ustawili na trójnogach jakieś urządzenia, pośrodku jeszcze jedno, włączyli. Przyrządy okazały się impulsyjnymi ultradźwiękowymil okatorami. Od ich pracy Mroka zabolały zęby i w gębie zrobiło mu się kwaśno, jak od cytryn. Przyrząd w środku powoli obracał kulistą główką z pionową szczeliną. Geologowie ubrali kamizelki z mnóstwem numerowanych kieszonek, stukali młotkami, zbierali odłupane kawałki, chwalili się nimi jedno przed drugim, krzyczeli coś niezrozumiałego do dyktafonów, rozkładali kamienie po kieszeniach.

„Dlaczego kamień trzeba konieczne odłupać młotkiem?” – pomyślał Mrok. – „Dlaczego nie można wziąć gotowego, który leży obok?”.

Fausta, przejawiając nieprzeciętną wprawę i zręczność, wlazła na prawie pionową ścianę, umocowała się w szczelinie i odłupała kawałek kamienia.

– A wy takiego nie macie, a wy takiego nie macie! – wykrzyknęła, radośnie wymachując wzorcem. – Co, zazdrościcie mi, wcześniaki?!

Mrok oderwał się na chwilę od obserwacji powietrza, stanął na tylnych łapach i obejrzał kamień.

– W tym kamieniu rozpuszczona jest woda wszystkich oceanów planety – wyjaśniła mu dziewczyna. – Jest jej tu ponad dziesięć procent. Idzie od środka ku powierzchni. Im więcej w granicie wody, tym łatwiej się topi. Suchy około 900 stopni. 10% wody – od 620 do 650 stopni. Temu niewiele brakuje, żeby stopił się od padającego na niego słońca.

„Granit jest granitem wszędzie, nawet w Afryce” – pomyślał Mrok. – „Ciekawe, jak ona tak na pierwszy rzut oka określiła, ile tam czego jest? I wychodzi na to, że na pustyni Strefy także jest pełno wody. Prosto pod nogami. W każdym kamieniu. A niech mnie!”.

Fausta pocałowała wzorzec, schowała do kieszonki i zaczęła schodzić. Mrok wziął ją pod pachy i postawił na ziemi. Rozejrzał się. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, na niego nikt nie patrzył. Podniósł z ziemi kawałek granitu, obejrzał go ze wszystkich stron, ścisnął w pięści. Nic. Objął pięść drugą dłonią, zacisnął między kolanami i wytężył wszystkie siły. Kamień poddał się i rozsypał na okruszki. Mrok rozsunął kolana, osłabił uchwyt, poczekał, aż przejdzie ostry ból i powoli, po jednym, wyprostował palce. Obejrzał, powąchał, polizał kamienne okruszki. Pachniało palonym kamieniem. Wody nie było. Strząsnął odłamki kamienia z dłoni i wsunął łapę pod pachę drugiej. Palce go bolały.

„Durniu” – pomyślał samokrytycznie. – „Trzeba odparowywać, a nie ściskać”.

– Nieprawdopodobna siła! – ocenił najstarszy z geologów. – Zmiażdżyć kamień na piasek! Zupełnie jak w mitach o bogach. Może pan powoli podnieść się wzdłuż ściany, żebym zrobił jej zbliżenie? – zapytał. Mrok podniósł się na biograwach. Najpierw wzdłuż prawej ściany, potem lewej. Jeszcze raz, z odległości pięćdziesięciu metrów. I jeszcze raz, i jeszcze.

– Słuchaj no, kochany, z powrotem ty mnie zaniesiesz – powiedział do geologa.

– Pan nie wyobraża sobie, jaką te zdjęcia mają wartość. To miejsce jest unikalne! W tym pęknięciu jest wszystko: i narodziny tarczy, i ruch kontynentów, i dno morza, i inne różności, i róg obfitości.

– A nie można bardziej szczegółowo?

– To strefa paleozoicznej subdukcji – zaczął z entuzjazmem geolog. – Tu w jednym miejscu nałożyły się na siebie ofiolity, wulkanity z wysp łukowych i granity oraz osadowe i wulkaniczne skały dna oceanicznego. Nie rozumie pan? Wcześniej, w erze paleozoicznej, był tu ocean, który zupełnie niedawno zaniknął. Miała miejsce kolizja i obdukcja, czyli naparcie oceanicznej tarczy na kontynentalną, tak, że część tej pierwszej znalazła się na górze. Teraz tu wszystko jest wymieszane. Rozumie pan? Trudno rozszyfrować tą strukturę i dlatego trzeba będzie to jak najdokładniej zarejestrować.

– Przekonał mnie pan. Jeszcze dwa podloty – zgodził się Mrok.

Z dwu podlotów zrobiło się pięć, po czym Mrok położył się na kamieniach z wywalonym językiem. Z góry od czasu do czasu spadały strącone przez Lobasti „pteranodony”. W końcu geologowie zaspokoili swoją ciekawość, pozbierali rzeczy i wsiedli na smoki. Wystartowali. Lobasti przestała krążyć nad wąwozem i poprowadziła klucz.

– Przepraszam, ale gdzie my lecimy? Baza jest tam – wskazał starszy geolog.

– Lobasti! Gdzie my lecimy? – przekazał pytanie Mrok.

– Na nasze jezioro. Wykąpać się.

– Ach prawda, zapomniałem.

Wylądowali. Catherine i Mrok obejrzeli rany Lobasti. Do zadrapania pod okiem przybyło długie, choć raczej powierzchowne zranienie wzdłuż przedniej krawędzi skrzydła.

– Szallo, masz przy sobie apteczkę? Szykuj igłę z nitką. Będziesz miała robotę.

– Po co, tato\? Samo zarośnie.

– Nie psuj mi pracy wychowawczej – wyszeptał Mrok. – Co innego zadrapanie, a co innego rana, na którą nałożono dwadzieścia szwów. Dlatego cierp. Zaraz będzie cię bardzo bolało, ale Szalla nie potrafi inaczej.

Ale Fausta, widząc, jak Szalla przygotowuje operację, zabrała jej apteczkę. Włożyła rękawiczki, przemyła ranę wodą utlenioną, prędko i ładnie zaszyła. Na końcu zalała szybko krzepnącą mieszanką.

– Poczekaj pięć minut, potem możesz nawet iść się kąpać.

Lobasti cierpliwie zniosła operację, liznęła Faustę w policzek i położyła się w cieniu z wyciągniętym w bok skrzydłem. Catherine położyła się koło niej i zaczęła opowiadać jej o tym, co się działo na dole, kiedy Lobasti walczyła z pteranodonami.

– Chłopcy, porozmawiamy – zawołał wszystkich Mrok. – Na pewno macie do nas masę pytań, ale z nimi najpierw do Szalli. Ona wie wszystko albo prawie wszystko. I jeszcze mała prośba. Nie mówcie nikomu, kim jesteśmy. Dlaczego – to też wam Szalla wyjaśni.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do wody. Długo pluskał się, podnosząc fontanny bryzgów, po czym wyszedł na brzeg. Do wody weszły Catherine i Lobasti. Ludzie zebrali się w kółko, wymachując rękami i klnąc jak zawsze. Tylko Szalla siedziała na swoich dłoniach, długo myśląc nad każdym zdaniem i wybierając najprostsze słowa. Dlatego jej mowa przypominała mowę trzyletniego dziecka.

„Każ głupiemu modlić się do Boga” – pomyślał Mrok w nowym przypływie bezsilnej złości. – „Planeta małp!” – pokiwał głową ze smutkiem. Bolały go połamane palce.

Catherine i Widebrow już wracały.

– Chłopcy, po co tak wulgarnie kląć, kiedy w języku macie tyle dobrych słów? – rzuciła w biegu Lobasti. Obie smoczyce usiadły przed Mrokiem i ten zrozumiał, że czeka go nieprzyjemna rozmowa.

– Może nie trzeba, co? – zaczął pierwszy. – I tak mi ciężko na duszy.

– No dobrze, nie będziemy – zgodziła się Catherine, powstrzymując gestem Lobasti. – Ale musisz nam obiecać dwie rzeczy. Po pierwsze, przestań poniewierać dziewczynę. Szalla nie jest może wzorem cnót czy tęgą głową, ale jest ci oddana ciałem i duszą.

– Zgadzam się. A po drugie?

– Takiego show, jak dzisiaj, już nie będzie.

Zmęczony Mrok zamknął oczy.

„Na Strefie Catherine nie pozwoliłaby sobie na coś takiego” – pomyślał, – „Na Strefie za mnie oddałaby wszystko. W takim razie dlaczego? Jasne. Teraz też postanowiła wziąć uderzenie na siebie. Żebyśmy z Lobasti nie naszczekali jedno na drugie. Lobasti ma charakter po mnie, idzie do celu na przebój, mówi to, co myśli. Teraz nakrzyczelibyśmy jedno na drugie, a potem obojgu było by niedobrze. Catherine, biedna Catherine. Przecież wszystkie te małpeczki nie są warte nawet jednej twojej łezki. Dla twojego szczęścia zabiłbym ich wszystkich gołymi łapami. Zabić? Przecież nie jestem na Strefie. Dlaczego więc to słowo przychodzi mi pierwsze na myśl? Bo nic innego nie umiem. Zabijać, płukać złoty piasek, który smoki podrzuciły do rzeczki, sadzić kartofle i żreć mięso duszone z bobem. I to wszystko, na tym kończą się moje zdolności. Kiedyś, jeszcze przed Strefą \umiałem prowadzić kosmiczny kuter. Rozwoziłem zero-kabiny po zapadłych kątach systemu. I uważałem się za Kosmonautę. Z dużej litery. Prawie za kosmicznego desantowca. W czym jestem lepszy od tych małpek? Oni są małpkami, a ja – wilkiem-samotnikiem, złapanym w pułapkę. Nie, do haremu. Mówią zresztą, że to jedno i to samo. Cóż, będę chronił swój harem. I przed sobą samym też”.

– Lobasti, nie kop mnie po twarzy. Chciałem jak najlepiej. Poprawię się. Jeśli zdołam.

Obie smoczyce rzuciły mu się na szyję.

„Teraz milcz” – myślał Mrok, tuląc je do siebie. – „Milcz, sukinsynu, bo Catherine poczuje. Milcz dla ich szczęścia. Kłamać można i milcząc. Czemu wcześniej nikt tego nie wiedział?”.

– Młodszy pracownik Szalla, wzywa panią wraz ze smokiem Cerbes. Za dziesięć minut czeka na was w swoim gabinecie. – Szczęknęło i translacja się wyłączyła. Mrok położył głowę na łapach. Szalla jadła obiad, a on, udając tresowane zwierzę, czekał na nią przy wejściu do budynku.

Co może znaczyć to wezwanie? Przede wszystkim konieczność czołgania się gęsim krokiem przez ciasne korytarze. Czego Cerbes chce od dziewczyny? To zresztą sprawa Szalli.

– … Mnie nie tknie, a ciebie może po prostu rozerwać.

– A ty co, jesteś szczególnie niesmaczny?

– Lizus nie rusza tego, kogo oblizał. Mogę go nawet pociągnąć za ogon, nic mi nie zrobi.

Mrok spojrzał z ukosa do tyłu. Zgadza się, młodzi mężczyźni. Już mu nawymyślali zasad. Ależ oni wszyscy mi się sprzykrzyli! Aha, zadane logiczne: jak nie wychodząc ze schematu, oduczyć ludzi czepiać się smoków. Lizanie twarzy nie pomaga. Lobasti mówiła, że mogę na poczekaniu znaleźć osiem rozwiązań każdego zadania. Rozwiązanie numer jeden: odlecieć. Numer dwa… Ach, do diabła, czy ten grubianin naprawdę chce mnie pociągnąć za ogon?

Ale „grubianin” okazał się wychowany. Poczęstował Mroka słodką tabliczką w przeźroczystym opakowaniu i podrapał za uchem.

– Mrok, szybciej, Cerber nas wzywa. – Szalla przyszła nieco wcześniej. Mrok nie zdążył zerwać z młodziana i zjeść jego kurtki. Podniósł się, otrząsnął się jak pies i poszedł za dziewczyną. Po drodze włożył jej do ręki słodką płytkę.

Korytarz, który prowadził do gabinetu Cerbesa, był znacznie szerszy od pozostałych.

– Pan Cerbes przyjmie was za cztery minuty – zakomunikowała sekretarka. Mrok liznął ją w policzek i zaczął głośno obwąchiwać futrynę drzwi.

– Mrok, proszę cię, tylko nie tutaj – wyszeptała przerażona Szalla.

Sekretarka była zorientowana, co może po tym nastąpić. Zniknęła na sekundę za drzwiami i zaraz zaprosiła ich, żeby weszli. Cerbes siedział za biurkiem, a cała reszta mebli w dużym gabineci8e była odsunięta pod ściany. Na podłodze leżał gruby, puszysty dywan. Jedna ze ścian była ogromnym panoramicznym ekranem, zresztą dość prymitywnym – kolorowym, ale nie holograficznym ani nawet nie stereo. Na ekranie Crassus głaskał po gardle opalającą się na słońcu Catherine. Obok Nytik gryzł marchewkę. Z rzadka odrywał się i próbował wyjąć głowę z obroży albo przegryźć smycz. Sądząc po perspektywie, kamerę umieszczono na dachu budynku.

– Proszę ułożyć się jak najwygodniej – Cerbes objął komnatę szerokim gestem, zwracając się przy tym nie do dziewczyny, a do smoka. Mrok podszedł do ekranu, z przyzwyczajenia udał, że wącha wizerunek Catherine i położył się na podłodze.

– Panie Mrok, bo tak pan się chyba nazywa, ja wiem, że pan jest rozumną istotą. Ustaliłem to, analizując pańskie zachowanie. Powinni byli mi to zakomunikować wcześniej, ale tym zagadnieniem zajmę się później. W tej chwili interesuje mnie co innego: kim pan jest, skąd pan się tu wziął i w jakim celu przeniknął pan na bazę.

Mrok spojrzał na Szallę, opuścił głowę na łapy i zmrużył oczy. Dziewczyna siedziała na skraju krzesła, trzymając dłonie na kolanach i jak nakręcona lalka kiwała ciągle głową w prawo i w lewo. Mrok ziewnął i pogłaskał ją po ramieniu końcem skrzydła.

– Nie chce pan odpowiedzieć. Cóż, na natychmiastowe wzajemnie zrozumienie nie liczyłem. Może zrobimy tak: ja będę głośno myślał, a pan będzie mnie słuchał i poprawiał.

„Nastąpił decydujący moment – pomyślał Mrok. – Nic nie przygotowałem, a to już nadeszło. Zamiast zająć się wezwaniem, myślałem o tym, jak uratować przed młokosami swój ogon. Rozluźniłem się? Nie. Nie było chęci ratowania się, nie było pewności, czy należy związywać swój los z tymi krzykliwymi małpkami. Była apatia, a nie chęć zwycięstwa. Płynąłem z prądem. Ale czy nie mam racji? Czyż to nie są krzykliwe małpki? Na dalekie ekspedycje zawsze bierze się najlepszych z najlepszych. Ilu tu normalnych? Można policzyć na palcach jednej ręki. Cerbes, Crassus, z naciąganiem Bleisus. Z wielkim naciąganiem. I to mają być najlepsi z najlepszych? A pozostali? Doprawdy, planeta małp. No dobrze, a czy mam jakąś alternatywę? Otóż to… Catherine chce dziecka, Lobasti chce dziecka. Marzą o odtworzeniu cywilizacji smoków. A ja mam wychować małpki. Też mi zajęcie! Czy chcę wychowywać małpki? A czego ja w ogóle chcę? Czyżbym się cały wypalił na Strefie? Czyżby nic nie zostało? Życie zrobiło mi doprawdy kiepski żart. Jestem nim zmęczony. A na cóż innego mogłem liczyć? Mam dziewięćdziesiąt lat ludzkich. Byłem człowiekiem i pozostałem nim. Żeby rozkoszować się nieśmiertelnością, trzeba urodzić się smokiem. A może jednak nie mam racji? Catherine jest prawie trzykrotne starsza ode mnie – i nic, żyje. Żyje… dla mnie i Widebrow. Czyli jednak mam rację. Catherine żyje dla mnie i Widebrow, ja dla Widebrow i Catherine. Widebrow z dwudziestu lat życia osiemnaście poświęciła na to, żeby wyciągnąć nas ze Strefy. I to ma być życie? Czy o takie warto walczyć? Albo zginąć w walce? Ale żeby zginąć w walce, potrzebny jest przeciwnik. No i co się stanie, jeśli zginę w walce? Catherine wzbije się wysoko i złoży skrzydła. Widebrow wykończy wszystkie tutejsze małpki. I pozostanie sama. Na całej planecie, na tysiące lat. Moja mała psotnica. Będę więc walczył za miłe damy. Jeśli będzie trzeba, zniszczę tutejszą komorę zero-t, a z radiolatarni zrobię generator białego szumu. Ratownicy nie znajdą tego continuum i małpki zostaną tu na zawsze. Nie pozwolę im za bardzo zdziczeć, sądzę, że nie zejdą poniżej feudalizmu. I razem będziemy budowali nową cywilizację. Ludzie i smoki. Tak, mam jednak w ręku niezłe karty. Z takimi można grać!”.

– Zgadzam się – powiedział stanowczo. Szalla krzyknęła zaskoczona, Cerbes uniósł tylko brwi. – Tak, nazywam się Mrok. Więc jaki był łańcuch pańskiego rozumowania? – zapytał.

– Do pierwszego komunikatu o smokach nie przywiązywałem wagi. Ludzie widzieli walkę dwóch dinozaurów nieznanych gatunków. Ofiar nie było, a nowe dinozaury znajdujemy codziennie. Drugi komunikat – ludzie znowu stali się świadkami walki tych samych dwóch dinozaurów. Tym razem otrzymaliśmy już pewne informacje naukowe. Różowy w paski to chyba roślinożerca, a zielony o wielkiej głowie – drapieżnik. Wszyscy trzej obserwatorzy zgodnie twierdzą, że po krótkiej utarczce dinozaury wzbiły się w powietrze i odleciały. W powietrze! To nie pasowało do niczego, gdyż z odcisków śladów specjaliści określili ich wagę na co najmniej trzy tony. Wydałem plecenie rzucić wszystkie siły na poszukiwanie i złapanie latającego dinozaura. Dosłownie na drugi dzień patrol znalazł pana, rozszerzona brygada naganiaczy unieruchomiła i dostarczyła na baszę. I od tej chwili zagadki zaczęły się mnożyć w postępie geometrycznym. Żeby odpowiedzieć na jedno pytanie robimy badania – i otrzymujemy dwa nowe. Smoki są stałocieplne. Mają dwa serca i olbrzymią objętość mózgu, zarówno głównego, jak i grzbietowego. Mózg – największy cud świata. Z zewnątrz złożony, w środku prosty. Jeśli porównać z ludzkim, to praktycznie sama kora. Funkcje ośrodków podkorowych, móżdżka i całej reszty spełnia grzbietowy, którego masa przekracza pięć kilogramów. A kończyny! A układ pokarmowy! A genom! Genetycy dotąd łamią sobie nad nim głowy. Trzydzieści aminokwasów, z których sześć wepchnęło chemików w ślepą uliczkę. Dziesiątki innych niespodzianek. Nie jestem specjalistą, ale mogę zaznajomić pana z ich referatami. Ogólny wniosek ekspertów: smoki jako gatunek są o miliard lat starsze od ludzi. Czyli nie mogły rozwinąć się na planecie Ziemi. Po pierwsze, brakuje tego miliarda lat, po drugie nie ma do tego warunków. Planeta, na której przyroda mogła stworzyć smoki, musiała być naprawdę bardzo surowa. Może wybiegam naprzód, ale porównajmy dwa gatunki istot rozumnych: człowieka i smoka. Przodek Homo sapiens był niewielką istotą, niczym, oprócz rosnącego intelektu niebronioną przed niebezpieczeństwami otaczającego świata. Biegał wolniej od drapieżników i nie miał ani kłów, ani pazurów. Smoki mają i kły, i pazury, i rogi, i skrzydła. Pan teraz praktycznie nie ma łusek, ale Szalla powiedziała, że pan linieje. To znaczy, że przez większość życia ciało smoka pokrywają łuski. I tego wszystkiego naturze było mało, wyposażyła smoki w mózgi kilkanaście razy przerastające objętością ludzkie! A przecież natura nic nie robi bez powodu.

Mrok słuchał z rosnącym zainteresowaniem. Liczba miliarda lat naprawdę urzekała. Cerbes, oczywiście, nie wiedział, że smoki powstały sztucznie, i to w ciągu zaledwie roku. Ich twórca był doprawdy geniuszem. Trzeba będzie Lobasti poprosić o bardziej szczegółowe dane o nim. Naprawdę był Wielkim Smokiem.

– Tak więc dochodzimy do wniosku, że smoki są na Ziemi gośćmi. To wyjaśnia ich łagodny, pokojowy charakter. Tu po prostu nie ma godnego przeciwnika dla nich – kontynuował Cerbes. – Następny krok: spróbujemy wyjaśnić, czy smoki dawno trafiły ma Ziemię. To bardzo ważny krok i zaraz wyjaśnię, dlaczego. Jeśli dawno, mogło minąć wiele pokoleńi potomstwo mogło się zdegradować. Zdziczeć, zapomnieć wiedzę, język. Jednym słowem, cofnąć się do poziomu zwierząt, które udawaliście. Jeśli zaś niedawno, język, jako podstawa kultury, powinien był się zachować. Przejrzałem wszystkie raporty o obserwacji skrzydlatych smoków – a było ich mnóstwo. Jednego widziano nawet na terytorium bazy. Ale tu jest ciekawa prawidłowość: we wszystkich raportach figurują tylko dwa smoki. W zasadzie widzimy je razem. Zielony o wielkiej głowie i różowy w paski, bez końca ogona. Innych nie ma. Ten fakt sam z siebie oczywiście o niczym jeszcze nie świadczy. Smoki są bardzo mobilne, więc pozostałe mogą znajdować się o setki kilometrów stąd. Zbadałem wszystkie materiały wideo, osobiście przepytałem wszystkich ludzi, kontaktujących się ze smokami. Szczerze mówiąc, ujawnione fakty mnie przestraszyły. Im więcej człowiek kontaktuje się ze smokami, tym bardziej zmienia się jego zachowanie. Spowalnia się tempo mowy, ale wzrasta jej informacyjność. Na przykład u Szalli całkowicie zaniknął szum informacyjny. W skrócie: ludzie mówią tylko to, co trzeba powiedzieć, nic obocznego, żadnych słownych dodatków. Może to doprowadzić do zbyt silnego napięcia i wykończenia nerwowego. Proszę jej się przyjrzeć. Cienie pod oczami, zmarszczka na czole i u nasady nosa, fałdy w kącikach ust. Zaczęli ją nazywać suszoną rybą, odwróciły się od niej koleżanki. Inaczej być nie mogło, gdyż przyjęła manierę mowy najwyższej arystokracji. Jej styl zachowania zrobił się męski, nieustępliwy, atakujący. Dla niej nie ma już autorytetów. Z każdym drobnym zapytaniem zwraca się od razu do kierowników służb. Na wszystkie uwagi ma jedną odpowiedź: „Nie mam czasu, smok czeka. Zajmijcie się lepiej swoimi plotkami”. Albo taki oto wzór lakoniczności: „Czas to pieniądz”. Albo fraza: „Bądź silnym, albo umrzyj, walcząc”. Poprzednia Szalla po prostu nie mogłaby tego powiedzieć. I słuchają jej, wykonują jej polecenia. Niezdara Szalla przyswoiła sobie pełnomocnictwa kierownictwa bazy. Wygoniłbym ją za niesubordynację, ale prawie wszystkie jej polecenia są sensowne. Z człowieka, posiadającego rozum, przekształciła się w człowieka, wykorzystującego rozum. Mogło to nastąpić tylko pod silnym pańskim wpływem.

„Taka sama gaduła, jak wszyscy” – pomyślał Mrok. – „Słowotok jak biegunka. Jedyna różnica, że mówi do rzeczy i nie klnie”. A Cerbes kontynuował:

– A ten zwierzak, którego pańska koleżanka przyniosła z sobą. Podrzuciła go Crassusowi i tylko z rzadka interesuje się jego losem. Przekonsultowałem to z Dirakiem. Zwierzęta tak nie postępują. Przeglądając po raz trzeci materiały wideo, zainteresowałem się wieczorkiem w pańskiej klatce. Jakość zapisu pozostawia wiele do życzenia, gdyż w kamerze zepsuł się regulator jasności, ale ogólny sens zajścia można uchwycić. Połączyłem się ze składem i otrzymałem kopię zamówienia, złożonego tego dnia przez Bleisusa. Rozumie pan, trzech ludzi nie może wypić w jeden wieczór dwadzieścia pięć butelek wina.

– Dwadzieścia cztery – poprawił Mrok. – Jedną przekazałem żonie.

Cerbes roześmiał się ponuro, masując dłońmi policzki.

– To niewiarygodne, to anegdota! Pierwszy kontakt dwu cywilizacji zaczyna się od butelki! Od pijatyki w klatce!

– Czyżby? – przerwał mu Mrok żelaznym głosem. – A może kontakt zaczął się od strzykawki w boku? Albo jeszcze wcześniej – od zamachu na życie młodziutkiej smoczki?

– Nie zrozumiałem. Proszę o wyjaśnienia.

– Co się dzieje, jeśli smok dostanie strzykawką w skrzydło? Skrzydło drętwieje. A jeśli to skrzydło zdrętwieje w powietrzu? Smok spada. Z dużej wysokości. Postawiliście nas w bardzo skmplikowanej sytuacji. Może niedługo będę żałował tego, co teraz powiem, ale jednak, wbrew faktom, wierzę w rozsądek waszego gatunku. A fakty są takie: Zapomnijmy o pierwszym spotkaniu. Wtedy zadziałał czynnik zaskoczenia i tylko cudem udało się uniknąć strzelaniny. Drugie spotkanie. Na wszelkie dostępne sposoby demonstrowałem nasze pokojowe zamiary. I czym się to skończyło? Strzelaniną. W rezultacie znowu tylko cudem udało się uniknąć śmierci jednego z nas. Przestraszyliśmy się was. Wy najpierw strzelacie, potem myślicie. Na jakich moralnych zasadach opiera się wasze społeczeństwo? Rozumie pan moją myśl? Pytanie o władzę. W społeczeństwie, gdzie najpierw strzelają, a potem myślą, władzę osiąga się przez ból i poniżenie. A mimo to rozpaczliwie potrzebujemy waszej pomocy. Chodzi o to, że jesteśmy ostatnimi smokami. Innych nie ma. Zginęły w katastrofie, kiedy podróżowaliśmy wśród gwiazd. Gdybyśmy mieli chociaż najmniejszą szansę, zostawilibyśmy wam tą planetę i polecielibyśmy szukać innej. Ale nie mamy. Nasz statek kosmiczny, a jeśli mam być szczery, to raczej szalupa ratunkowa, leży na dnie oceanu. Zresztą czy duże są szanse na znalezienie właściwej planety? Nie zdziwcie się, ale ta planeta dla smoków się nie nadaje. Zbyt dobra. Najpierw zdziczejemy tu z obfitości, a potem zdechniemy z głodu. Tu wszystkiego jest za dużo i w dodatku darmo: jedzenie, ziemia, woda, niebo dla lotów. Zaczniemy się mnożyć bez umiaru, zeżremy całą biomasę do torfu na błotach włącznie. Zniszczymy całą biosferę, zamienimy lądy w pustynie, cofniemy ewolucję o setki milionów lat. Nieprawidłowej byłoby popełnić samobójstwo, ale los podarował nam małą furteczkę – symbiotyczną cywilizację ludzi i smoków. Proszę nas nie uważać za fantastów czy optymistów. Jesteśmy realistami i oceniamy szansę na symbiozę cywilizacyjną raczej nisko. Wasz rodzaj pochodzi od małych i słabych zwierząt. A historia uczy, że najokrutniejsi są właśnie słabi i zapomniani, którzy nieoczekiwanie otrzymali siłę i władzę. Śmiałość i szlachetność to cecha silnych. Ciałem albo duchem.

– Uważa pan, że wśród nas nie ma takich?

– Są, ale mało.

– Rozumie pan, że to obraża tak mnie, jak i całą ludzkość?

Mrok położył głowę na podłodze. Był zmęczony.

– Pro9szę zamknąć oczy i posłuchać. „Sami jesteście psami, i wasi ojcowie byli psami, i wasi przodkowie do siódmego pokolenia byli psami\”.

Cerbesowi zadrgały nabrzmiałe mięśnie twarzy.

– Proszę otworzyć oczy – powiedział Mrok. – Ten cytat w najmniejszym stopniu nie odnosi się do pana. Po prostu takie było pierwsze zdanie, które udało mi się w całości przetłumaczyć. Nie będę udawał, że zrozumiałem do końca jego sens. Wygląda mi to na jakąś chytrą grę słów. Przecież pies to nieduże zwierzę, które nazywacie przyjacielem człowieka. Ale po intonacji zrozumiałem, że to obraza. Teraz jeszcze raz upewniłem się po pańskiej reakcji. Bardzo trudno mi pojmować waszą mowę. Cały czas przeklinacie i obrażacie się nawzajem, a rzadko mówicie to, co trzeba rzeczywiście powiedzieć. Jeśli ktoś co chwilę w zwykłej rozmowie obraża rozmówcę, to nie poważa ani jego, ani siebie. Nie można go nazwać szlachetnym. No, chyba, że określamy tym samym terminem różne pojęcia.

– No cóż, ma pan rację – zgodził się niechętnie Cerbes.

– Często ludzi nie rozumiem.Jeśli zobaczycie jakąś usterkę, na przykład pęknięty szlauch, to mówicie o tym komukolwiek, tylko nie temu, kto powinien ją usunąć. A nawet, jeśli już powiecie to usuwającemu, on odpowiada, że powinniście mu to powiedzieć nie wy, tylko kierownictwo. Eksperymentalnie dwa razy poprosiłem Szallę, żeby zwróciła się do kierownictwa – i wtedy usterki były natychmiast usuwane. Zauważyłem, że teraz ona tak postępuje z własnej inicjatywy. I to ja jestem winny zmianie stylu jej zachowania. Było mi trudno ją rozumieć, i umówiliśmy się, że przestanie machać rękami i będzie ze mną rozmawiała tak, jak z cyberami – skrajnie prostym, zrozumiałym językiem. Teraz dobrze się rozumiemy.

– Skrajnie prostym, zrozumiałym językiem, powiada pan? – zdziwił się Cerbes. – Zdumiewające! Świeże spojrzenie odkrywa naprawdę ciekawe szczegóły. Ale odszedłem od tematu. Jaka pomoc jest wam potrzebna? I w czym będziecie mogli nam pomóc, jaką korzyść z was będzie miała ludzkość? Pan chyba już myślał nad tym pytaniem.

– Mój plan jest naprawdę bardzo prosty. Zakładacie na tej planecie dużą kolonię, zasiedlacie i zagospodarowujecie kontynenty, rozwijacie przemysł i rolnictwo, a my mieszkamy i pracujemy razem, z wami.

– I to wszystko?

– Wszystko. Oczywiście przekazujemy wam całą naukową i techniczną wiedzę, jaką dysponujemy.

– Już po raz drugi w ciągu jednego dnia rozbija pan nadzieje ludzkości. Nasze najlepsze umysły wyobrażały sobie spotkanie dwóch cywilizacji zupełnie inaczej. Gdzie triumfalna oprawa, gdzie dyplomaci w śnieżnobiałych togach z purpurową obwódką, gdzie wręczenie listów uwierzytelniających i wspólne komisje, gdzie radosne demonstracje? Zamiast tego – wieczorne pijaństwo za kratami klatki, najbardziej bałaganiarska dziewczynka jeździ sobie na przybyszu wierzchem, a kierownik o wszystkim dowiaduje się ostatni. Sprowadził pan historyczne wydarzenie do poziomu trzeciorzędnego epizodu.

– Proszę mi wybaczyć, ale w historycznej chwili ogarnęła mnie niepowstrzymana senność – uśmiechnął się Mrok. - No i zasnąłem w szczytowym momencie ceremonii. To się już więcej nie powtórzy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, jesteśmy gotowi wziąć udział we wszystkich triumfalnych przedsięwzięciach. Tylko zaznajomcie nas wcześniej ze scenariuszem.

– Zdążymy. – Cerbes obrócił krzesło i usiadł na nim bokiem o metr od głowy Mroka. Chwila radosnego uniesienia minęła, znowu stał się poważny. – Jak często rozmnażają się smoki?

– To pytanie zawiera dwa podpytania. Jak często smoki mogą mieć dzieci i jak często je sobie sprawiają. Odpowiedź na pierwsze pytanie: trzy razy na rok po jednym dziecku. Odpowiedź na drugie pytanie: rzadko.

– Proszę uściślić.

– Moja przybrana córka, którą pan nazwał wielkogłowym zielonym smokiem, ma dwadzieścia lat. Raz urodziła córkę. Moja żona Catherine ma dwa i pół wieku. Dzieci do tej pory nie miała, ale mam nadzieję, że niedługo coś będzie. Rozumiem, do czego pan zmierza. Przez pierwsze sto-dwieście lat będziemy się intensywnie rozmnażali, dopóki nie zniknie zagrożenie wyginięcia gatunku. Przez słowo „intensywnie” rozumiem: w przybliżeniu co dziesięć lat po jednym dziecku. Później, kiedy liczebność gatunku osiągnie wielkość optymalną, obniżymy tempo przyrostu do niezbędnego minimum.

– Jak pan mierzy wiek? Jakimi…

– Zrozumiałem pańskie pytanie – przerwał Mrok. – Za jednostkę czasu przyjąłem rok tutejszy. I uwzględniłem tylko lata aktywnie przeżyte. Nie uwzględniłem na przykład dwudziestu lat, jakie moja żona niedawno spędziła w stanie nieświadomości.

– Ile lat żyją smoki?

– Dopóki nie zginą.

– Chce pan powiedzieć, że smoki są nieśmiertelne?

– Tylko to, co powiedziałem. Nie znam smoka starszego niż czterysta pięćdziesiąt lat.

– Rozumie pan, że ja muszę myśleć przede wszystkim o rozwoju swojego gatunku? Jeśli między ludźmi a smokami dojdzie do konfliktów o życiową przestrzeń…

– Rozumiem. Właśnie dlatego zaproponowałem wariant, w którym my, smoki, zostajemy na tej planecie. W tym przypadku żaden człowiek nie zdoła nam zarzucić, że zajęliśmy jego miejsce pod słońcem. Ci, którzy przyjdą tutaj zagospodarowywać ziemie, przyjmą nas jako to, co jest dane; będą mentalnie przygotowani na fakt, że na planecie już osiedliły się smoki.

– Czterysta lat – to prawie nieśmiertelność. Przy was ludzie będą czuli się ograniczeni…

– Na pewni nie. Bardzo szybko i wy znajdziecie jakiś sposób na przedłużenie życia. Może wydzielicie surowicę z krwi smoków, może zmienicie coś we własnych genach i też będziecie mogli żyć, ile zechcecie. Dwieście, trzysta lat. A co się tyczy zawiści – wy, ludzie, żyjecie i kwitniecie, a smoki zginęły.

– Surowica z krwi smoków… Brzmi kusząco. Bardzo sprytny ruch. Muszę to wszystko przemyśleć, bardzo dokładnie przemyśleć. Wybaczy pan, ale bezpieczeństwo własnego gatunku przede wszystkim. Ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Pytań nie mam, ale dwie prośby. Pierwsza: proszę jeszcze nie rozgłaszać naszej tajemnicy. Dajcie ludziom przywyknąć do smoków. Niech na razie uważają nas za zwierzęta. Przyjazne, pokojowo usposobione, pojętne zwierzęta.

– Dobrze. Druga prośba?

– Jeśli dojdziecie do wniosku, że nasz gatunek jest zagrożeniem dla waszego i zechcecie nas zlikwidować, najpierw przekonsultujcie to ze mną. Smoki są bardzo żywotne i nie chcę, żeby samice się męczyły. Poza tym, jeśli nie zabijecie je od razu, może się w nich obudzić instynkt samozachowawczy i boję się nawet myśleć o tym, co wtedy będzie. Rozumie pan moją myśl? Samica w ciąży myśli nie rozumem, tylko sercem.

– Pan pomoże nam je zabić?! – spytał zaskoczony Cerbes. Mrok uśmiechnął się ponuro:

– Niech pan zrozumie: jeśli po prostu odejdziecie z tej planety nie robiąc nam krzywdy, będę musiał uczynić to sam. Ekologia całej planety jest ważniejsza niż życie trzech czy pięciu smoków. Zgadza się pan ze mną?

– Nie wiem – pokiwał głową Cerbes – ale nie chciałbym być na pańskim miejscu.

– Cóż to za pośpiech? Gdzie twoja Szalla?

– Odkryli naszą tajemnicę. Miałem dzisiaj długą rozmowę z Cerbesem.

– Możemy więc już kończyć maskaradę, tato? Dlaczego jesteś taki ponury?

– A dlaczego mam być wesoły? Dwie godziny okłamywałem człowieka, którego szanuję. Zmieszałem z błotem jego samego i jego cywilizację, plułem mu w twarz i wycierałem o niego łapy. Myślisz może, że to jest przyjemne?

– No, wyobrażam sobie, coś ty mu tam naopowiadał!

– Mrok, Crassus mi powiedział, że gabinet Cerbesa wyposażony jest w najnowocześniejszą zapisującą i analizującą aparaturę – przeraziła się Catherine. – Teraz on już siedzi i przesłuchuje zapis. Zawsze tak robi. Jeśli go okłamywałeś, on już o tym wie.

– A skąd Crassus się o tym dowiedział?

– Dopóki nie przeszedł na emeryturę, Cerbes był jego podwładnym. To Crassus wymyślił zapisywanie wszystkich rozmów, a Cerbes rozwinął pomysł.

– Znowu detektor kłamstwa?

– Tak. Może już czas, żebyśmy się ukryli? – zaproponowała Catherine.

– Nie… Nie, nie, nie. Przewidziałem taką możliwość. Zresztą wiesz przecież, że na Strefie detektor smoków na mnie się załamał. Oprócz tego nie mówiłem mu o najważniejszym.

– Tato, ty zawsze masz w rękawie cztery asy atutowe. Wykładaj je! – zażądała Widebrow.

Mrok mimo wszystko się uśmiechnął.

– Nie pytaj o to, co ciebie nie dotyczy, jeśli nie chcesz usłyszeć coś nieprzyjemnego.

– Księga tysiąca i jednej nocy. Znamy, czytaliśmy. Wyciągaj pierwszego asa.

– Zaproponowałem zorganizowanie tutaj wspólnej kolonii ludzi i smoków. Na ich historycznej ojczyźnie nie stanie nigdy łapa smoka. Cerbesowi to się spodobało.

– Drugi as?

– Obiecałem im pomóc w przedłużeniu życia.

– Możemy to zrobić! Jeśli podniesiemy kuter. Dalej?

– Powiedziałem, że jeśli nas tu zostawią, odbierzemy sobie życie.

– Uwierzył?

– Przytoczyłem argumenty. Jest tylko jedna mała wątpliwość: czy on nam w ogóle wierzy?

– Naprawdę skrzyżujemy łapki?

– Nie. Zaatakujemy bazę i zniszczymy zero-t Zostaną tu na zawsze pod naszym subtelnym kierownictwem. Za pięćset lat będzie tu cywilizacja – marzenie! Ale to ostateczność. Nie chciałbym, żeby do niej doszło.

– Czwarty as też jest?

– Tak, ale o nim milczałem. Lobasti, pamiętasz historię Wielkiego Smoka?

– Pamiętam. Skonstruował dla siebie ciało smoka i przepisał tam swoją pamięć.

– A co było przed tym?

– Spał w anabiozie tysiąc lat.

– A jeszcze wcześniej?

– Przyszedł do naszego continuum z innego. Potem wszyscy odeszli, a on został.

– Właśnie. Łączność się urwała i został u nas. Minęło kilka lat i łączność się urwała, rozumiecie! Zero-t pracuje niezawodnie tylko w granicach jednego continuum. Małpki zaczynają zagospodarowywać ten świat, nagle urywa się łączność i na zawsze pozostają tutaj. Nie jesteśmy winni niczemu! Ich nie jest tak wiele, wymagają pomocy i pociechy. Dajemy im jedno i drugie, i wychowujemy ich na ludzi, na prawdziwych ludzi! Liczebność, wpływy i autorytet naszych gatunków się wyrównuje. Smoki przestają być natrętnymi przybłędami, stają się równoprawnymi partnerami.

– To okrutne, tato.

– To tylko jedna z możliwości. Nikt nie wie, dlaczego wtedy łączność się urwała.

– Mrok, to mi się nie podoba – zaczęła Catherine. – Ale jeśli ich uprzedzimy…

– …uciekną w popłochu z tego continuum – dokończyła Lobasti. – Ale w ich continuum będziemy zwierzętami w ogrodzie zoologicznym. Naprawdę nie wiem, co robić, tato. Powinniśmy ich uprzedzić, ale…

– Poczekamy trochę. Dopóki nie zaczęła się kolonizacja, nic im nie grozi. Personel bazy zawsze zdąży uciec. Zobaczymy, jak będą zachowywali się w stosunku do nas. Uprzedzać wrogów nie mam zamiaru.

– Mrok, nie przesadzaj. Przecież nie uważasz ich za wrogów.

– Oczywiście, że nie. Dopóki nie wiedzą, że jesteśmy zbiegłymi katorżnikami. Ale jeśli się dowiedzą, usiądę pisać testament. Reakcja ludzi na zbiegów jest prosta i jednoznaczna.

Szalla wpadła jak kula armatnia.

– Mrok, pomóż! Proszę cię! Nieszczęście!

– Co? Gdzie? Kiedy? Dlaczego?

– Laërtes się rozbił. W górach, gdzie zbieraliśmy kamienie. Flyer zderzył się sią z latającym jaszczurem. Ratownicy nie mogą wylądować śmigłowcem, jaszczury rzucają się pod śrubę.

– Pobudka! – ryknął Mrok. Lobasti skoczyła na łapy, Catherine skuliła się przerażona i ostrożnie wyjrzała spod skrzydła. – Lecimy ratować człowieka. Szczegóły po drodze.

Szczegółów nie było, Szalla zakomunikowała wszystko, co wiedziała. Lecieli bardzo szybko. Pięćdziesiąt kilometrów pokonali w kwadrans. Nad rozbitym flyerem krążyły niby-pteranodony, ale bały się jeszcze lądować. Nagle jeden z nich bezładnie zamachał skrzydłami i runął na kamienie.

– Ktoś tam żyje? Odezwijcie się! – wezwał. Ktoś ostrzeliwał się przed jaszczurami spod strzaskanego flyera, a smok nie chciał przez pomyłkę oberwać nabojem z pistoletu laserowego. Szalla zeskoczyła na kamienie, skręciła nogę, krzyknęła, i pobiegła lekko kulejąc na miejsce katastrofy. Mrok poszedł za nią. Laërtes, goły do pasa, leżał na plecach, jego nogi znikały pod korpusem maszyny.

– Smoki – wyszeptał i stracił przytomność.

Mrok chwycił skrzydło flyera, sprężył się i nieco podniósł maszynę. Catherine przytoczyła duży kamień, podparła. Szalla odciągnęła na bok Laërtesa, stanęła na czworakach, zajrzała do kabiny i krzyknęła rozdzierająco. Mrok wyszarpnął ją spod flyera, odsunął na bok i mocno chwycił korpus maszyny. Z nieba zleciała Lobasti, w trójkę smoki przewróciły flyer. Na kamieniach zostało gołe zakrwawione ciało kobiety. Obok – noga oderwana powyżej kolana. Przez rozerwany policzek widać było zęby, cała twarz była we krwi. Biedaczka jeszcze żyła. Catherine rzuciła się do kabiny, wyrzuciła na kamienie kłąb kobiecej odzieży, poszperała, szukając apteczki. Apteczki nie było. Smoczyca chwyciła sukienkę, rozdarła, zwinęła w opaskę ściągającą, przewiązała kikut nogi. Mrok zobaczył, że prawa dłoń trzyma się tylko na paru ścięgnach, wziął jakąś szmatkę, chyba majteczki, skręcił w opaskę i powstrzymał krwawienie. Lobasti położyła ciało na szyję i wyleciała z pełną szybkością. Catherine załadowała Laërtesa na Mroka, Szalla usadowiła się obok i smoki wzbiły się w powietrze. Szalla bez przerwy płakała.

– Mrok, widziałeś, ona sama się rozebrała.

– Widziałem.

– Teraz przez nią Laërtesa deklasyfikują.

– Za sprawę. Nie jęcz.

– I ją też.

Mrok nic nie odpowiedział. Może dziewczyna i była zdzirą, ale naprawdę piękną. A medycyna w tym continuum rozwinięta jest nad podziw słabo. Regeneracji tkanek tu nie znano, Mrok już o tym wiedział. I było mu naprawdę żal dziewczyny.

– Nie rozumiesz, że nigdzie jej nie wezmą bez ręki? Bez nogi jeszcze by wzięli, jako dyspozytora czy kogoś takiego, ale bez ręki… Z taką szramą na twarzy nie zostanie nawet heterą.

– Zatkaj się! – ryknął Mrok.

– Wybacz mi, głupiej, ale masz rację. Zacnej dziewczynie nie przystoi być heterą. Ale ona sama się przecież rozebrała. Laërtes jest niewinny – jęczała Szalla.

Mrok zazgrzytał zębami.

Koło budynku bazy czekali już na nichsanitariusze z noszami. Lobasti, zła jak Furia, kroczyła wzdłuż ściany, chlaszcząc siebie po bokach ogonem.

– Tato, ci kretyni omal mnie nie zastrzelili. Krzyczę, żeby wezwali lekarza, a oni łapią za pistolety. Popatrz tutaj. – Rozwinęła skrzydło, demonstrując małą wypaloną dziurkę w błonce. – Stoję przed nimi na tylnych łapkach, na przednich leży umierająca, a oni zaczynają strzelać. Mogli przecież zabić! No więc się odwróciłam i ogonem…

– Zabiłaś ich?

– Nie, obaj żyją. Mają połamane nogi. Biłam po nogach.

Mrok zaklął. Potem policzył w myślach do dziesięciu i znowu zaklął.

Kilkoro ludzi z zainteresowaniem słuchało niezrozumiałej rozmowy.

– Nic strasznego się nie stało – szepnęła Catherine. – Popatrz na tych głupków pod ścianą. Ci po staremu nas się nie boją.

Mrok podszedł do ludzi.

– Wezwijcie Cerbera. Będę z nim rozmawiał.

Siwy mężczyzna skinął głową i któryś z młodych wyjął z kieszeni komunikator.

– Przecież to Lizus! – zdziwił się ktoś w tłumie.

Cerbes pojawił się szybko. Równie szybko rozproszył się tłum ciekawskich.

– Co się tu działo?

– Ba, to dobre pytanie. Aktualne. Najpierw strzelamy, potem pytamy. – Mrok chlasnął się ogonem po boku. – Lobasti ranna w skrzydło. Strzelać do ratownika – to skończony idiotyzm. Smoki tak nie robią. Teraz przez dwa dni ona nie będzie mogła latać, rozumiecie? Dwa dni bez nieba!

– Tato! – krzyknęła z oburzeniem smoczka. Natychmiast zorientowała się, że teraz przez dwa dni będzie musiała udawać ciężko ranną. Cerbes spojrzał na nią z szacunkiem.

– Kto kazał wam prowadzić prace ratunkowe?

– Nie zrozumiałem!

– Proszę się nie obrażać, ja tylko odtwarzam kolejność zdarzeń.

– Otrzymaliśmy od człowieka prośbę o pomoc.

– Szalla?

– Szalla.

– A potem?

– Smoki okazały pomoc.

– I co dalej?

– Lobasti przyniosła ofiarę i została ostrzelana. O szczegóły może pan ją wypytać.

– Szczegóły już znam. Jaka była przyczyna awarii?

– Proszę zapytać Szalli.

– Szalla?

– Zderzyli się z latającym jaszczurem.

– Tyle wiem. Ale dlaczego się zderzyli?

– Proszę zapytać Laërtesa. On prowadził flyer.

– Zapytam go obowiązkowo. Teraz pytam panią.

Dziewczyna spojrzała błagalnie na Mroka. Ten badał obłoki.

– Oni… Bez komentarzy. Proszę zapytać Laërtesa. Mnie wtedy w kabinie nie było.

Mrok wyciągnął skrzydło i pokrzepiająco pogłaskał Szallę po ramieniu.

– No dobrze, pani nie jest ekspertem w tej dziedzinie – zgodził się Cerbes. – Bardzo mi przykro. – zwrócił się do smoków. – Jako kierownik ekspedycji najgoręcej was przepraszam. Winni zostaną surowo ukarani.

– Winnych już ukarałam. –powiedziała gniewnie Lobasti. – Zasrańcy. Żeby nie trafić we mnie z trzech metrów! Cztery dziurki w skrzydle, reszta w powietrze.

– Co z dziewczyną? Przeżyje? – zapytała Catherine.

– Jak tylko będzie coś wiadomo, zaraz wam powiem. – obiecał Cerbes. – Do widzenia.

– Wygoni mnie teraz, na pewno wygoni – rozpłakała się Szalla.

– Coś ty, malutka. – Catherine objęła ją za ramiona, odwróciła twarzą do siebie.

– On zwrócił się do mnie jak do równej sobie. A w ten sposób on rozmawia tylko z kierownikami działów i ze zwalnianymi.

– Uważaj się za kierownika działu współpracy ze smokami – poradziła jej Lobasti.

Mrok zostawił smoczyce pocieszające Szallę i poszedł szukać Crassusa. Trzeba było omówić zmieniającą się sytuację.

Mrok znowu leżał na dywanie w gabinecie Cerbesa.

– Przeanalizowaliśmy dokładnie z Bleisusem wszystkie aspekty współdziałania naszych cywilizacji i doszliśmy do wniosku, że zjednoczenie jest możliwe i pożądane. Pozostaje do rozwiązania problem zaufania. Mam świadomość, że to może zabrzmieć grubiańsko, ale nie będę przepraszał. Na moich barkach leży odpowiedzialność za losy ludzkości i nie mam prawa się pomylić. Udało się nam opracować test, który naszym zdaniem daje stuprocentową gwarancję. To bezpośrednie czytanie waszych pamięci. Ma pan prawo odmówić, ale w tym przypadku będę nalegał na zerwanie stosunków. Zaopatrzymy was we wszystko, co uznacie za niezbędne, ale będziecie musieli natychmiast opuścić terytorium bazy. Po zakończeniu programu badawczego pozostawimy wam bazę i całą tą planetę.

Mrokowi aż zaschło w gardle. To był cios w plecy. To była klęska. Wizerunek przychylnego, dobrodusznego smoka gotów był pęknąć jak bańka mydlana, pozostawiając to, co było pod nim naprawdę: cynicznego, wyrachowanego i śmiertelnie niebezpiecznego egoistę.

– Jak będzie się odbywało to czytanie pamięci? – zapytał.

– To jest absolutnie bezpieczne. Wykorzystujemy tu najnowsze osiągnięcia naszej nauki. W praktyce będzie to wyglądało tak: smok-źródło i człowiek-odbiornik informacji włożą hełmy. Induktory skanujące pobudzą w mózgu smoka wspomnienia, zaczynając od najwcześniejszego dzieciństwa. Holograficzny model wahań falowych zostanie przekazany do hełmu człowieka-odbiornika. Człowiek jakby przepuści przez siebie wszystkie uczucia i wrażenia smoka, jego bóle i radości, szczęście i nieszczęście. Oczywiście w przyśpieszonym tempie.

„Co to za brednie?” – zdziwił się Mrok. –„To się robi zupełnie inaczej”.

– Ale mózg smoka różni się przecież od mózgu człowieka.

– Eksperci uważają, że wystarczy informacja, pobrana z jednej sekcji smoczego mózgu. Przecież nie potrzebujemy całej szczegółowej prawdy o was, wystarczy ogólne wrażenie, czy naprawdę jesteście tacy, jakimi nam się prezentujecie. Czy zdołamy z wami współpracować, czy nie, czy mamy się z wami zaprzyjaźnić, czy uciec od was jak najdalej. Postanowiliśmy zacząć od zielonej samicy, gdyż mówił pan, że ona jest najmłodsza z was, ma dwadzieścia lat. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, uporamy się z tym w półtora do dwu miesięcy.

– A nie wystarczyłoby przeskanować ostatniego roku życia?

– Niestety, to niemożliwe. Pamięć to nieprzerwany łańcuszek asocjacji. Chociaż nie, analogia z łańcuszkiem jest niewłaściwa. To wielowymiarowa struktura, w której teraźniejszość czy raczej prawie-teraźniejszość jest ściśle splątana z przeszłością, ale zaczynać trzeba od dzieciństwa. Początek łańcuszka to klucz do całej reszty.

„Jeszcze nie wiedzą, jak koszmarny początek życia miała Widebrow… Po co mam ich o tym uprzedzać, do diabła? Ale Widebrow… Każą małej znowu przejść przez piekło…”.

– Doświadczenie może być niebezpieczne, zarówno dla smoka, jak i dla człowieka. – powiedział twardo Mrok.

– Aparatura jest wielokrotnie sprawdzona na zwierzętach i na ludziach. Wszystko jest całkowicie bezpieczne. Aha, co do ludzi. Ochotnicy już czekają w laboratorium. Kandydaturę pan zatwierdza. Zaczynamy za dwie godziny.

– Lobasti może się na to nie zgodzić.

– Wybaczy pan, ale to mój warunek sine qua non.

– Cała bieda w tym, że oni myślą, że spotkali inną cywilizację, a faktycznie cywilizacja jest ta sama, tylko w innej, że tak powiem, redakcji – zakończył relację Mrok.

– To nic, tato. Cierpiałam wtedy, pocierpię i teraz. Powiedz m tylko, kto z ochotników nadepnął ci na ogon, a ja go wybiorę. Może Bleisus?

– Bleisus jest mężczyzną. Twoim partnerem musi być kobieta. Poza tym on będzie siedział przy pulpicie.

– Córeczko, tu potrzebny jest przyjaciel, a nie wróg. Przyjaciel wytrzyma twój ból i zrozumie. Wróg cię znienawidzi – zauważyła Catherine.

– Zatem Szalla?

– Szalli nie dopuszczą. Zbyt pro-smocza.

Lobasti wybrała Faustę. Odeszła z nią na bok i długo szeptały. Cerbes nerwowo mierzył pokój krokami, a Mrok badał pulpit. Było na nim całe mnóstwo przycisków, przełączników, indykatorów i wskaźników. Przy każdym z nich napisano odręcznie dwie albo trzy litery. Nic z tego nie rozumiał. Z dwoma wysokimi fotelami i leżanką dla smoka łączyły pulpit kable. Na fotelach leżały wielkie okrągłe i błyszczące hełmy, połączone z nimi przewodami. Obok leżanki leżała zmontowana w pośpiechu siatkowa konstrukcja, przypominająca nieco kaganiec, wyłożona wewnątrz lateksem. Mrok postanowił w razie niebezpieczeństwa wyrwać kabel i odszedł od pulpitu.

– Wie pan może, o czym one rozmawiają? – zapytał Cerbes.

– Lobasti wyjaśnia dziewczynie, na ile doświadczenie jest niebezpieczne. Fausta musi wiedzieć, co ją czeka.

– Doświadczenie jest bezpieczne.

– Wy, ludzie, zupełnie nie czujecie zapachu przyszłości. Dla mnie to pachnie bólem. Aha, a co z tą ranną dziewczyną?

– Bez zmian. Ciągle jeszcze w komie. Lekarze usunęli kawałki kości czaszki, które uciskały mózg, ale nic więcej nie są w stanie zrobić.

Fausta wróciła blada, ale z dumnie podniesionym czołem. Ogolono jej głowę, posadzono w fotelu, włożono na nią wielki błyszczący hełm. Ręce i nogi, a nawet ramiona i biodra przypięto pasami. Lobasti przymierzyła hełm, odłożyła go, pomacała rzemienie.

– Panie kierowniku, a to co?

– Rzemienie do unieruchamiania. Czasem w czasie seansów bywają mimowolne gwałtowne ruchy.

– Czyli jeśli zacznę się rzucać, to ma mnie powstrzymać?

– To mało prawdopodobne, ale… Tak.

– To – Lobasti z łatwością wyrwała rzemień – smoka nie utrzyma. Przyspawajcie metalowe łańcuchy i okręćcie je czymś miękkim. A gdzie unieruchamiacze skrzydeł i ogona? Poza tym zawołajcie Diraca ze strzelbą. Jeśli zacznę się rzucać, ma mnie natychmiast uśpić.

Cerbes nie kłócił się. Z Fausty zdjęto hełm, rozpięto jej rzemienie. Przyszli robotnicy, Lobasti naszkicowała, co potrzeba i poszła razem z nim do warsztatu. Cerbes kazał technikom jeszcze raz sprawdzić aparaturę. Mrok położył się na podłodze słuchał ich rozmów i obserwował krzątaninę przez na wpół przymknięte powieki. Catherine wzięła Cerbesa za rękę i cicho o czymś rozmawiali. Mrok uśmiechnął się wewnętrznie.

Minęła godzina. Cerbes poszedł do warsztatu, Catherine położyła się na podłodze koło Mroka.

– Co nowego, mój detektorze? – zapytał.

– Bleisus już nie jest naszym przyjacielem. Boi się nas. Czym go tak wystraszyłeś?

– Głupio wyszło. Udałem, że nauczyłem się czytać w pół godziny. Poprosiłem go, aby głośno czytał i wodził palcem po linijkach. Mają bardzo prosty, prawie fonetyczny alfabet. Nasz wprawdzie jest jeszcze prostszy, ale zawiera więcej liter.

– Mrok! Ty nie udawałeś, naprawdę nauczyłeś się czytać.

– Sądzisz? To nieważne. W czasie regeneracji pamięć się wyostrza. Może mu o tym powiedzieć? Bo uważa nas za geniuszy i przeraził się potęgi naszych intelektów.

– A to, że jesteśmy żywotni jak salamandry, nie przeraża go?

Mrok zaklął cicho. Catherine pogłaskała go skrzydłem po grzbiecie.

– Nie trać nadziei. Jesteśmy do czegoś potrzebni Cerbesowi. Bardzo potrzebni, po prostu jak powietrze. Jestem pewna, że na czytanie pamięci nalegał właśnie Bleisus.

Wróciła podniecona Lobasti z naręczem dwuteowników.

– Tato, potrzebujemy twojej wielkiej męskiej siły.

Mrok podniósł się niechętnie. Poszedł do warsztatu, pomógł przynieść nowy leżak, skonstruowany ze stalowych ceowników.

– Wiesz, Lobasti, Chrystus sam niósł na Golgotę swój krzyż.

– Słuchaj, tato, tam na końcu korytarza, za żelaznymi drzwiami, jest sala z wypolerowanymi, aż błyszczącymi ścianami. Wzięliśmy stamtąd ceowniki. Wszystkie, codo jednego. Potem wróciliśmy i jeszcze wzięliśmy.

– Zero-t?

– Powiedzieli, że to winda. Ale ja słyszałam plusk zero-t. I tam tak śmierdzi antyseptyką!…

Robotnicy skonstruowali z dwuteowników postument, przyspawali do podłogi, przyśrubowali do postumentu nóżki leżanki. Lobasti i Fausta zajęły miejsca.

– Lobasti, w które miejsce miałbym strzelać? – zapytał Dirac, obserwując, jak kilkoma warstwami grubego brezentu owijają skrzydła smoczki.

– Och, do diabła, nie wiem. Spróbuj w nos. Tylko oczu nie wybij.

Operatorzy zajęli miejsca za pulpitem. Zielone ekrany ożyły, krzywe aktywności mózgów zaczęły poruszać się jak węże.

– Wszyscy gotowi? Zaczynamy – powiedział Bleisus.

Obaj operatorzy zameldowali o gotowości.

– Elektrosen – zakomenderował koordynator. Operatorzy szczęknęli przełącznikami.

Ciała Fausty i smoczki rozluźniły się, krzywe na ekranach nieco się uspokoiły.

– Synchronizacja – zabrzmiała następna komenda.

– Włączony kierowany rytm alfa.

– Rytm beta pod kontrolą.

– Jest częstotliwość – odezwał się po kilku minutach operator.

– Jest faza – zakomunikował po minucie drugi, i prawie od razu: – Jest synchronizacja.

– Włączyć kanał przekazu.

– Kanał włączony. Przekaz idzie. Obciążenie przepustowości kanału dwa procent.

– Widzą już wspólne sny – wyjaśnił smokom Cerbes. –Na wszelki wypadek poczekamy pięć minut. Jeśli rytmy się nie rozejdą, włączymy induktory skanerów.

– Trzydzieści sekund. Synchronizacja w normie.

Lobasti bardzo cicho jęknęła. Mrok wsłuchał się. Nie, to mu się chyba wydawało. Przecież jeszcze nie włączono induktorów.

– Jedna minuta. Synchronizacja w normie.

– Dwie minuty. Synchronizacja stała.

– Pięć minut. Włączyć induktory.

Lobasti żałośnie jęknęła. Taki sam jęk wyrwał się z piersi dziewczyny.

– Przekaz idzie – zakomunikował operator.

– Puls wzrasta – zaraz zakomunikował drugi.

– Obniżyć szybkość skanowania – zakomenderował koordynator. – Obniżyć szybkość! POWIEDZIAŁEM: OBNIŻYĆ SZYBKOŚĆ!!! ZATRZYMAĆ SKANERY!

Mrok wysunął i zaraz schował pazury. Catherine krótko jęknęła i od razu rozejrzała się zmieszana. Lobasti leżała tak samo nieruchomo, tylko ledwie słyszalnie pojękując, ale Fausta rzucała się i wiła w fotelu. Cerbes zbladł. Stopniowo dziewczyna się uspokoiła. Pierś poruszała się coraz wolniej, puls wrócił do normy.

– Doświadczenie jest bezpieczne? – zapytał Mrok. – Jeszcze można się wycofać.

– Włączyć skanery na minimalnej szybkości – zakomenderował Bleisus.

– Przekaz idzie. Puls przyśpieszony, ale w granicach normy – zakomunikował operator po kilkunastu sekundach.

– Utrzymywać skanery na tej szybkości – rozkazał Bleisus.

Mijały minuty. Każda z nich była nieskończenie długa i niepokojąca. Mrok trenował w myślach skok do pulpitu. Jak chwyci za kabel i wyrwie go z pulpitu, jeśli tylko Lobasti zajęczy trochę głośniej.

– Szybkość skanowania? – zapytał Cerbes ochrypłym głosem.

– Osiem procent normalnej – zakomunikował operator.

– Ale czemu? Gdzie leży powód? – Cerbes zapytał sam siebie, ale odpowiedział mu Mrok.

– W pańskiej niekompetencji – powiedział surowo. – Wyjaśnię później.

– Pięć minut do końca seansu – ogłosił koordynator. – Zawołać dublera.

Na salę weszła obca młoda kobieta, zajęła drugie krzesło. Technicy zakrzątnęli się wokół niej, zapinając unieruchamiające pasy. Zaświeciła się jeszcze jedna grupa ekranów. Weszła starsza kobieta i przystąpiła do pracy jako koordynator dublera.

– Zatrzymać skanery. Odłączyć induktory. Odłączyć receptory. Przerwać synchronizację. – równomiernie komenderował koordynator. – Przygotować smoka do obudzenia.

Mrok spojrzał na Lobasti. Smoczka wciąż tak samo cicho pojękiwała we śnie.

– Nie budzić. Niech śpi, dopóki sama się nie obudzi – powiedział.

– Przyjęte – powiedział koordynator. – Odłączyć i elektrosen, i procedurę przebudzenia.

Smoczka obudziła się od razu. Zapiszczała cienko i żałośnie, otworzyła oczy z ogromnymi, na całą tęczówkę, źrenicami.

– Papo… Bębny… Gdzie Dirac? – wyszeptała. – Wezwij Diraca, niech strzela. Bębny, tato. Bębny stukają.

Zaskoczony Mrok spojrzał na Diraca. Ten podniósł strzelbę do ramienia i, zgodnie z umową, czekał na komendę smoka.

„Bębny… co mają do tego bębny?” – myślał gorączkowo Mrok. – „Zupełnie niedawno było coś z bębnami…”. I nagle sobie przypomniał.

– Strzelaj! – zakomenderował, ale Dirac zamiast tego położył strzelbę na podłodze i zaczął zrywać z siebie ubranie. Mrok podniósł z podłogi strzelbę, Dirac narzucił koszulę na mordę Lobasti i Mrok wystrzelił. Strzykawka wbiła się na całą długość igły, tkanina wokół niej pociemniała i wypaczyła się od gorących cząsteczek prochu. Dirac wyrwał strzykawkę, spojrzał na położenie tłoka, skinął głową z zadowoleniem i zdjął koszulę z mordy Lobasti.

– Bębny… – wyszeptała jeszcze raz Lobasti i zamknęła oczy.

– Przykro mi bardzo… że sytuacja wymagała mojej interwencji – przemówił Dirac. – Będę jeszcze potrzebny?

Mrok wskazał oczami na kobiety w fotelach.

– Rozumiem – powiedział myśliwy i zaklął półgłosem.

– Czy to bardzo niebezpieczne? – zapytała Catherine. Odpięła już ustalacze z lewej strony i teraz uwalniała ogon Lobasti.

– Bardzo – odrzekł Mrok. – Bardziej niż wstrząs mózgu. Idioci. – Odpiął ostatnie ustalacze i popatrzył, co robią ludzie. Operatorzy przygotowywali obie dziewczyny do wybudzenia. Mrok wreszcie zrozumiał, po co potrzebny był dubler, i zawołał do naczelnika bazy:

– Nie chciałbym być teraz na twoim miejscu, Cerbes.

Kobietom wyłączono już elektrosen i odwiązano je od krzeseł. Pierwsza ocknęła się Fausta. Zatkała uszy dłońmi, zmrużyła oczy i krzyknęła przenikliwie. Oszołomieni jej krzykiem ludzie nie zauważyli, jak druga kobieta wypadła z krzesła na podłogę i popełzła po niej, wijąc się całym ciałem jak wąż i wlokąc za sobą nieruchome nogi. Czołgała się szybko i celowo wprost do nóg Mroka. Dopełzła, objęła jego lewą łapę, przycisnęła się do niej twarzą i zamarła. Mrok wpatrzył się w jej ogolony kark, nic nie rozumiejąc. Przestraszył się. Kobieta jęczała, śliniła się, i starała się przywrzeć całym ciałem. Fausta otworzyła oczy, odepchnęła usiłujących jej pomóc ludzi, zwaliła się na podłogę, syczała, piszczała, wiła się, uciekając od wyciągniętych rąk. Nagle zobaczyła Mroka i popełzła ku niemu z szybkością biegnącego człowieka, wlokąc po podłodze nogi. Objęła prawą łapę, potarła się o nią policzkiem, podrapawszy się do krwi o łuski i zamarła, wydając jakieś gardłowe, nieartykułowane dźwięki. Ludzie rzucili się za kobietami, ale Catherine zagrodziła im drogę swoim ciałem, rozpostarła skrzydła i zasyczała wściekle. Kobiecym sercem wcześniej od Mroka zrozumiała, co się stało.

– Miał nam pan opowiedzieć, co właściwie się stało – przypomniał Mrokowi Cerbes.

– Od czego zacząć? Od bębnów, od szybkości przekazu czy od zmiany w psychice kobiet?

– Wszystko jedno.

Mrok rozejrzał się po pomieszczeniu. Część sali gimnastycznej odgrodzono rozsuwanymi parawanami, przyćmiono światło. W kącie, na grubej miękkiej macie drugą dobę spała Lobasti, koło niej dyżurowała Catherine. Na prawo i na lewo od Mroka ustawiono łóżka, na których spały dziewczyny. Każda trzymała Mroka za palec łapy: Fausta lewej, Penelopa prawej. Kiedy tylko Mrok próbował się uwolnić, dziewczyny budziły się, jęczały, czołgały się za nim, sycząc wściekle jedna na drugą. Od długiego siedzenia dawno mu już ścierpł ogon, bolał go grzbiet, swędziało go całe ciało, chciało mu się latać, spać i do ubikacji. Ale trzeba było dokładnie zademonstrować Cerbesowi katastrofalne następstwa jego nieprzemyślanego eksperymentu. No i Mrok cierpiał, zadziwiając ludzi wytrzymałością.

– Co do bębnów, wszystko jasne – zaczął. – Przez was Lobasti dostała schizofrenii. Pańska aparatura nadała przymusowe tempo rytmu alfa jednej sekcji mózgu smoka, a tego nie wolno robić. Naruszyła się synchronizacja rytmów alfa. Jednolity mózg rozpadł się na osiem składowych. Kolizja częstotliwości odbierana jest subiektywnie jako bicie w bębny. Wiem z własnego doświadczenia, że to jest bardzo bolesne. Zdarza się po elektroszoku albo wstrząsie mózgu. Leczy się snem. Ale pan trzymał Lobasti w tym ekstremalnym stanie ponad godzinę, dlatego nie mogę przewidzieć rezultatów leczenia. Dowiemy się jutro. Teraz o szybkości przekazu. Przecież to jasne! Nasze mózgi pracują szybciej od waszych. Wprawdzie szybkość reakcji mamy w przybliżeniu taką samą, ale kiedy pan zaciska dłoń w pięść, sygnał od mózgu do dłoni biegnie metr, a u nas sześć albo siedem. Rozumie pan? Dopóki smok nie dorośnie, żyje w innym, przyśpieszonym czasie. Lobasti na przykład lubiła biegać po wodzie. Przecież to bardzo łatwe. Trzeba tylko szybko przebierać łapkami.

– Zrozumiałem. Ale co się stało z kobietami? Dlaczego mają sparaliżowane nogi?

– Mam nadzieję, że to minie. Musi minąć. W ostateczności będziemy kontynuowali seanse.

– Zapomnij o tym. Nie pozwolę – odezwała się ze swojego kąta Catherine. – Chcesz, żeby dziewczynka poroniła?

– Do diabła! Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! Lobasti już nie będzie uczestniczyła w doświadczeniach. W każdym razie, dopóki nie urodzi. Miała bardzo ciężkie dzieciństwo. W dwóch słowach: zgubiła się i rozszarpały ją drapieżniki. Setki smoków jej szukały i nie znalazły. Ja natknąłem się na jej ciałko zupełnie przypadkowo. I wychowałem. Jak mi się to udało, specjaliści do dzisiaj nie mogą pojąć. Sądzę, że reszta jest już dla pana jasna. Dziewczyny teraz przeżywają najgorszy okres jej życia. Nie, chyba jednak nie najgorszy. Gdy dojdą do ostatniego roku życia, będzie jeszcze gorzej. Aha, proszę zawołać lekarza. Niech wstrzyknie dziewczynom środek nasenny. Nie mogę już dłużej tak siedzieć, zasypiam. A jeśli zasnę, upadnę i zmiażdżę jedną z nich.

Cerbes wyszedł i wkrótce wrócił z lekarzem. Dwa cichutkie piśnięcia pistoletu do zastrzyków i Mrok wreszcie uwolnił się z niewoli. Ale nie zdążył zasnąć. Obudziła się Lobasti.

– Tato, wiem, że to brzmi głupio, ale czy mój ogon jest na miejscu? Boję się obejrzeć.

Mrok podszedł i boleśnie uszczypnął ją w koniec ogona. Lobasti pisnęła i podskoczyła.

– Jak tam bębny?

– Milczą.

– A ogóle samopoczucie?

– Brr-r! Teraz przez miesiąc będę unikała cienia. Ależ ze mnie był tchórz! Tato, ktoś tu mówił, że to bezpieczne. Mogę mu spojrzeć w oczy?

Mrok przetłumaczył dla Cerbesa i dostał klapsa w kark od Catherine.

– Maggie miała rację: za prawdę zawsze biją – zakomunikował jej. Smoki objęły się we trójkę. Cerbes dyskretnie wyszedł.

Penelopa wróciła do normy na trzeci dzień, Fausta na piąty. Chociaż określenie „wróciły do normy” niezbyt odpowiadało prawdzie. Jak to określiła Catherine, stały się na wpół smokami. Trzymały się jedna drugiej, włóczyły się za Mrokiem jak dwa ogony, były chorobliwie zazdrosne o Szallę. Jeśli Mrok jednak odchodził, biegały szukać pociechy do Lobasti i mogły z nią w kącie siedzieć i plotkować godzinami.

Szóstego dnia przyszedł Cerbes. Przyniósł komputer, kamerę, jeszcze coś z elektroniki i poprosił Mroka o pozwolenie na rozmowę z dziewczynami. Obie zakomunikowały, że będą rozmawiały tylko w obecności smoków. Cerbes się zgodził i usiedli w kółko.

– Opowiedzcie mi wszystko, co zapamiętałyście – poprosił. Dziewczyny spojrzały pytająco na Mroka.

– Opowiadajcie, dla mnie to też jest ciekawe. – Smok dodał im otuchy.

– Przede wszystkim tam-tamy – zaczęła Penelopa. – Stukają bezustannie wewnątrz głowy. Tak głośno, że chciałoby się rozbić głowę o ścianę, żeby tylko ich się pozbyć. Potem jasne światło. Jak tysiąc słońc świecących prosto w oczy. Tak jasne, że chwilami zamienia się w oślepiająco czarny płomień. I na końcu ból. Jakby nas zanurzono po uszy we wrzącym oleju. To jest nie do wytrzymania, ale nie ma dokąd uciec. To pierwszy obraz.

Dziewczyny popatrzyły na siebie nawzajem. Fausta skinęła twierdząco głową.

– Obraz drugi. To samo, tylko światło znikło. Czasem ciemność, czasem półmrok. Bębny cichną, ból stopniowo zanika. To trwa całe życie, setki lat. Potem pojawia się olbrzymi dobry człowiek. Wielki jak góra. Wiem, że to papa, ale to pamięć przyszłości, a wtedy się go boję. Wszystko, co on ze mną robi, bardzo boli. A potem chce mi się pić. Jestem w szklanym basenie wypełnionym kawałkami przeźroczystego żelu. Jem go, on jest chłodny, ale później zaczyna palić gardło. Ale to drobiazg w porównaniu z bólem tutaj. – Dziewczyna przejechała dłonią wzdłuż pasa. – A potem… Nie wiem doprawdy, jak to przekazać. Jestem w olbrzymiej sali. Do sufitu chyba ze sto metrów. Tam są zwykłe meble własnej roboty,ale dla olbrzymów. Cały czas muszę jeść i pić. Bardzo długo pełznę do małego basenu. Powiedziałabym, że to naczynie, ale ono ma średnicę co najmniej trzech metrów. Piję z niego i na jakiś czas pragnienie ustępuje. Ale muszę jeść, więc pełznę do drugiego olbrzymiego naczynia. Tak mija wiele wieczności. W końcu ból zanika i już się papy nie boję. W całym świecie, poza mną, jest tylko on. Jest dobry, troskliwy, wiem, że obroni mnie przed wszystkim, może wszystko, jest najsilniejszy, najuczciwszy, niczego się nie boi. Ale jaki powolny! Zanim cokolwiek zrobi, można urodzić się, dorosnąć, zestarzeć się, umrzeć i znowu się narodzić. Ale to znowu pamięć przyszłości. Kiedy papa przychodzi, ogarnia mnie wielki zachwyt. Ale on rzadko zatrzymuje się na długo. I ja czekam na niego, czekam i czekam… To już chyba wszystko.

– Pani Fausto, czy może pani coś do tego dodać?

– Te tam-tamy. One nie są stamtąd. Tam, ich nie było. One potem… Doprawdy nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Ma pani rację, one potem. Bardzo ściśle powiedziane. Penelopa powiedziała, że widziała Mroka jako człowieka. A kim pani widziała siebie?

– Jako smocze, kalekie niemowlę. Stąd to wrażenie otaczającego ogromu. Gdy kładłam się spać, nakrywałam głowę skrzydłem. Na rękach miałam i palce, i pazury. Pazurami czepiałam się podłogi, kiedy się czołgałam. Myślicie może, że łatwo jest czołgać się bez tylnych nóg?

– Możecie coś jeszcze dodać?

– Opowiemy o operacji? – Penelopa trąciła łokciem Faustę. Dziewczyny się uśmiechnęły.

– O jakiej operacji? – zainteresował się Cerbes.

– Lepiej takiej nie przeżywać. Bez narkozy, bez antyseptyki. Kochany ojczulek rozcina ci brzuszek i zaczyna tam grzebać.

– Za to potem tak przyjemnie… – podchwyciła Fausta i dziewczyny zaśmiały się, a Lobasti wraz z nimi.

– Lobasti miała… – zaczął Mrok, ale smoczka przerwała mu, z lekka obrażona:

– Tato, proszę, bez szczegółów! To są małe kobiece sekrety.

– Dobrze. – Cerbes wstał. –Pani Penelopo, oczekuję jutro pani sprawozdania na piśmie.

– Panie Cerbes, sądzę, że pan już zrozumiał, że ja wychodzę z gry. Tak będzie uczciwie.

– Dlaczego?

– Nie gram w brudne gry przeciw własnej rodzinie, przeciw tym, których kocham. Według pańskiego planu miałam napisać o tym, co Fausta przemilczy, przez co rozumiało się negatywne fakty i czynniki. W chwili obecnej mój punkt widzenia jest następujący: wszystkie długi i niezapłacone rachunki smoków pozostały w przeszłości. Zresztą one dotyczą ICH cywilizacji, a nie nas. Dixi. Powiedziałam.

– Pani Penelopo, chcę pani przypomnieć, że pani status różni się od statusu Fausty. Ona jest pośrednikiem, a pani dyplomatą. Macie różne prawa i obowiązki, różne stopnie odpowiedzialności, rozumie pani? Musi pani się zdecydować, kim pani jest i z kim współpracuje.

– Jestem człowiekiem, ale stoję po stronie smoków. Może mnie pan uważać za dyplomatę, ale z ich strony.

– Czyżby? – uśmiechnął się Cerbes. – Nie będę pani poganiał, wrócimy do tego jutro.

– Zrozumiałam. Dyplomata nie ma tajemnic przed swoimi. Mrok, Catherine, Lobasti! Nasi uczeni...

– Zatrzymaj się, kochanie! Nie wyrzekaj się w zapale swojego świata. – Catherine chciała Penelopę objąć, ale dziewczyna uwolniła się i wstała.

– Nasi uczeni uważają, że trafiliście w przeszłość w rezultacie naszego eksperymentu. To, że znaleźliście się tutaj, jest naszą, i tylko naszą winą. No, już wiecie!

– Zaszkodziłaś i mnie, i sobie, i im. W tej sprawie nie ma jeszcze pełnej jasności, ale to ja miałem im o tym powiedzieć. Jesteś głupia! – Cerbes obrócił się na pięcie i wyszedł.

Mrok chciał zaprosić także Crassusa, choć dziewczyny były przeciw. Na szczęście Crassus i Nytik gdzieś przepadli i nie doszło do kłótni. Żywność załadowali na Lobasti, dziewczyny wsiadły na Mroka i Catherine i wylecieli na piknik Wylądowali na brzegu „swojego” jeziora. Szkieletu jaszczura już nie było. Młodzi uczeni przewieźli go do sali trofeów i tam spreparowali. Szalla pozwoliła zrobić plastykową kopię czaszki. Żartownisie wstawili w miejsca połączeń kości giętkie amortyzatory i teraz szkielet długo przysiadał, machał łapami i kołysał się, klapiąc paszczą, przy najmniejszym dotknięciu, a nawet od przeciągu. Widok był naprawdę niesamowity, nie dla osób o słabych nerwach.

Mrok złapał niedużego, szybkiego trawożernego dinozaura (z gatunku Stuthiomimus, jak zakomunikowała Catherine), Lobasti wypatroszyła tuszę, dziewczyny i Catherine rozpaliły ognisko, nabili całą tuszę na rożen i obracały po kolei. Tusza piekła się kiepsko. Dziewczyny rozścieliły brezent, przygotowały przyprawy, nakryły stół i połykały ślinkę. Mrok krytykował kuchmistrzów, aż obcięli mu przednią łapkę – z jednej strony przypaloną, z drugiej niedopieczoną – i przegonili od ogniska. Lobasti oświadczyła, że pieką mięso nieprawidłowo, befsztyk angielski nie jest im potrzebny, i wzięła kierownictwo w swoje łapy.

– Co to jest „angielski befsztyk”? – zainteresowała się Fausta.

– To kiedy w jednej ręce trzymasz kawałek surowego mięsa, a w drugiej mały węgielek i „podgrzewasz” nie dotykając. Przepis paleolitycznych kowbojów.

– I to wszystko?

– Potem – jesz.

– Bez soli? – upewniły się dziewczyny i parsknęły śmiechem.

Tymczasem Catherine wziąwszy Mroka za łokieć, wyjaśniła mu, w jaki nieprawidłowy świat wszyscy trafili. Tu był wymieszany cały mezozoik. Nie tylko wczesna i późna kreda, lecz także jura, a nawet trias. A mezozaur jest w ogóle z paleozoiku! Catherine obrażała się i dowodziła, że to jest w naturze niemożliwe. To narusza prawa ewolucji. A prawa ewolucji to nie jakiś tam umowny kodeks. Ich naruszyć się nie da.

„Biedny mezozaurek, on za to drogo zapłacił” – pomyślał Mrok. Ogryzł kosteczki i zaczął poważną rozmowę. Zapytał:

– Pen, jak się dowiedziałaś, że ten człowiek i ja to jedno i to samo?

– Pamięć przyszłości. Co wie Lobasti, to wiem i ja.

– Tato, ty jesteś dla mnie ten sam w każdej postaci. Poznam ciebie nawet w masce przeciwgazowej – odezwała się smoczka od ogniska.

– A Cerber nie zorientował się, że byliście ludźmi. Pomyślał, że to moja podświadomość wybrała bardziej mi pasujący wzorzec – zauważyła Fausta.

– Jak w ogóle oceniacie wynik doświadczenia?

– Jako wielką piękną klęskę – odrzekła Penelopa. – Do granicy poznania języka nie doszłyśmy, więc nie otrzymałyśmy praktycznie żadnej pożytecznej informacji, za to przyjęłyśmy olbrzymi ładunek emocji. Od świadomości niemowlęcia nie można było oczekiwać niczego innego. A jednak jestem zadowolona. Ból Widebrow pozwolił mi ocenić siebie. Moja wartość to jedna sestercja. Mam nadzieję, że teraz będzie większa. Dokonałam już pierwszego Czynu.

– Jesteśmy teraz siostrami w bólu – dodała Fausta. Mrok spojrzał na Widebrow. Smoczka uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.Nie zaliczała siebie do sióstr.

– Tato, mięso gotowe. Nakarm swoją drużynę.

Mrok nakroił wielkich kawałów mięsa, postawił przed dziewczynami kartonowe talerzyki, a sobie odłamał udziec. Catherine rozlała z olbrzymiego plastikowego bukłaka do szklanek i wiader lekkie wino z winogron. Po minucie wszyscy mieli ręce lub łapy w tłuszczu aż po łokcie. Lobasti z zapałem chrupała żeberka. Tylko Catherine dokładnie owijała kawałki mięsa w liście palmowe i zjadała razem z nimi.

– A wszyscy myślą, że jesteście roślinożerni – zauważyła Szalla.

– Jesteśmy wszystkożerni. Papa próbował nawet pić naftę. I potem pluł…

Mrok dojadł udziec, wrzucił kość do jeziora, wytarł łapy o drzewo i zaczął:

– Wszyscy obecni, otwieram zebranie starszyzny numer dwa. Na porządku dziennym wciąż to samo pytanie: jak tu trafiliśmy. Głos ma przedstawiciel korpusu dyplomatycznego.

– Przedstawiciel korpusu dyplomatycznego nie skończył mniam-mniam, ale gotów jest to pytanie zaplątać.. – Penelopa odsunęła talerz. – Przede wszystkim nie jak, tylko gdzie. Po drugie, nie gdzie, tylko do kiedy. I wreszcie trzecia kwestia: skąd, a raczej z kiedy. Zacznę od ostatniej. Jak mi opowiadała Lobasti, jesteście potomkami ludzi. Podróżujecie między gwiazdami na całego. Wasza technika – z której nic dotąd nie widziałam – przewyższa naszą. My dopiero zagospodarowujemy nasz układ słoneczny. Stąd wnioskuję, że jesteście naszymi potomkami. Ale wy z kolei nic nie wiecie o podróżach w czasie. Nie da się zapomnieć o wydarzeniu, które rewolucjonizuje życie całej planety. Stąd wnioskuję, że pochodzicie z równoległej linii rozwoju, która powstała w rezultacie naszego eksperymentu.

– Nic nie rozumiem – przyznał szczerze Mrok.. – Jakiego eksperymentu?

– Skonstruowaliśmy maszynę czasu, zapuściliśmy jej połowę w daleką przeszłość i utrzymujemy kanał między teraźniejszością a przeszłością.

Smoki wymieniły zdumione spojrzenia.

– A czemu by i nie? Punkt wyjścia praktycznie się nie zmienia. No, gwiazdy są gdzie indziej, latają inne komety. Ale planeta pozostaje ta sama, prawa rozwoju nie ulegają zmianie. Ludzie powstaną od nowa w każdej linii – Lobasti wypowiedziała głośno myśl, która przyszła do głowy całej trójce.

– A nie boicie się zastrzelić przypadkowo tej małpy, od której pochodzicie? – zapytał Mrok.

– Nasi uczeni uważają, żer nam to nie grozi. Zmiany, które wniesiemy, pójdą z prądem czasu i dojdą do naszej teraźniejszości za sto milionów lat. Ale my już będziemy o te sto milionów lat w przyszłości. Czas to rzeka, a daty to boje w jej nurcie. Płyniemy z prądem czasu. Jesteśmy zmarszczkami na wodzie, drobnymi falami na powierzchni rzeki. Przepłynęliśmy obok boi – i została z tyłu. Ale obok przepływa inna zmarszczka, bardzo podobna do nas, może z bliskiej przeszłości albo przyszłości? A jeśli ktoś wrzuci do rzeki kamień, zmarszczki będą przez jakiś czas trochę inne, i co z tego? Nie ma w tym nic strasznego.

– Catherine, co sądzisz o tej hipotezie?

– Wspaniała. Ale jakież to suche słowo – „hi-po-te-za”. Jak piasek w ustach. A słuszna czy nie – nie mogę powiedzieć. Potrzebne byłoby doświadczenie, ale lepiej go nie przeprowadzać. Wystarczy to wasze.

– Lobasti?

– Hipoteza ma prawo do życia.

– Fausta?

– Jestem geologiem. Mam do czynienia z czasem zastygłym w przekrojach geologicznych. Żywy czas – to dla mnie zbyt złożone.

– Szalla?

– Słabo to rozumiem, ale my tu przecież jesteśmy. Czy to nie jest dowód?

– Możliwe, możliwe… Mogą być inne warianty i chciałbym nad nimi pomyśleć. Na przykład taki, że nie jesteśmy waszymi potomkami, tylko przodkami. Wy bylibyście drugą falą życia na Ziemi, a my – wszystkim, co pozostało z pierwszej. Przed chwilą przemknęła mi przez głowę myśl, jak sprawdzić hipotezę. Przemknęła i znikła. Pójdę i pomyślę. Lobasti, Catherine, opowiedzcie dziewczynom, jak tu trafiliśmy.

Mrok poszedł wzdłuż brzegu jeziora. Był jakiś faktor, który pozwalał na sprawdzenie hipotezy. Lobasti wcześniej o nim wspominała. Kiedy to było?

Z jeziora wypływał strumień i Mrok poszedł jego brzegiem. Wzdłuż drugiego brzegu pewnie przebiegał mrówczy trakt. Maleńkie, czarne owady ciągle majaczyły w trawie. „Nie są takie znowu małe” – pomyślał Mrok. – „To ja stałem się olbrzymem. A mrówki mają co najmniej trzy centymetry długości. I jest ich bardzo dużo. Jak gwiazd…”.

„Gwiazdy!” – przypomniał sobie nagle. – „Trzeba zapytać ludzi, czy poznają gwiezdne niebo. A jeśli nie, to co? E, najpierw zapytam, potem będę myślał”.

Uspokojony tą myślą, zaczął obserwować mrówki. Było ich coraz więcej i więcej. I nagle czarny potok wylał się na brzeg. Wysokie źdźbła trawy pochyliły się, położyły i znikły pod ruchomym dywanem czarnych ciał na kilka sekund. Mrokowi opadła dolna szczęka. Dosłownie o trzy metry od niego, po drugiej stronie strumienia, przechodziła cała armia – miliony, tysiące milionów żywych istot. Szły kolumną szeroką na ponad sześć metrów, szybko i konsekwentnie zmierzając ku nieznanemu celowi, a ich kolumnie nie było widać końca. Spotkały po drodze palmę. Minuta – jej pień i liście poczerniały od owadów, druga minuta – liście i gałązki jedne po drugich spadły na ziemię i znikły. To, co z drzewa zostało, przypominało postawiony na ziemi na sztorc ołówek.

Mrok pobiegł do obozu. Trzeba było uprzedzić pozostałych. Takiego widowiska nie zobaczysz w żadnym filmie.

W obozie spotkało go napięte milczenie i płacz Szalli. „Zostaw baby same” – pomyślał.

– Kto obraził moją malutką? – zapytał.

– Myślałam, że jesteście dobrzy, a wy jesteście zbiegłymi katorżnikami! – Szalla spopieliłaby go spojrzeniem, ale w jej oczach było zbyt wiele wody, błyskawice wysychały.

– Pen, a co ty o tym sądzisz?

– Mówiłam już. Wasza przeszłość nas nie dotyczy. Wszyscy, których to dotyczyło, już nie żyją. Nie pytam, za co was osądzili. Mnie to nie dotyczy, wierzę temu, co widzę. A Szalla ma w głowie kompletny mętlik. Uważa, że istnieje jakiś abstrakcyjny Humanizm i abstrakcyjne Prawo. Tylko dlaczego nie osądza Laërtesa za Selenę, durna szkapa!

Szalla uniosła zaciśnięte piąstki nad głowę, chlipnęła, schowała ręce za plecy i powiedziała:

– Niech ci będzie, że jestem durna szkapa, a nie powiem ci ani jednego złego słowa. Sama sobie wyznaczyłaś cenę – sestercję.

– Ci-cho! – ryknął Mrok. – Mrówki!

– Dlaczego? – zapytała Fausta ni w pięć, ni w dziewięć.

– Nie dlaczego, tylko gdzie. Za strumieniem. Ich miliony! Idą tam! – Mrok wyciągnął skrzydło, wskazując kierunek. Lobasti wzbiła się w niebo i poleciała patrzeć na mrówki. Catherine pobiegła po ziemi. – A wy, trzy, słuchajcie mnie. Jeszcze jedna taka scena i rozstajemy się. Jest nas za mało, aby się kłócić. Rozumiecie? Szallo, tego się po tobie nie spodziewałem. Pen jest u nas nowicjuszką, ale ty! Sestercja! – odwrócił się, obserwując lot Lobasti.

– Mrok, wybacz mi, głupiej, już rozumiem. Ty i Catherine jesteście dobrzy, ale według naszych, ludzkich, norm. A według smoczych źli. Dlatego was zesłano na katorgę, tak?

– Jesteś jeszcze głuptasek. – Mrok nie mógł się nie uśmiechnąć. – Ja jestem zły według każdej normy. Modelowo. Przyjmij to jako pewnik i rób poprawki. A Strefa to nie katorga w waszym rozumieniu. To planeta-izolatka. Spuścili nas na planetę, a tam – żyj jak chcesz. To nie wasza katorga…

– O tym właśnie mówię! – przerwała dziewczyna. – To po prostu nieprawidłowy przekład! U nas nie ma odpowiedniego terminu, dlatego Catherine powiedziała „katorga”.

Mrok nie kłócił się.

Przyleciała Lobasti.

– Tato, wiesz, gdzie one idą? Prosto w słońce. Teraz czasowo zmieniły kurs – idą wzdłuż brzegu strumienia. Dojdą do rzeki, pójdą wzdłuż jej brzegu, a kiedy rzeka skręci w kierunku morza, znowu pójdą prosto w słońce. A tam jest baza…

Mrok wyobraził sobie rzędy klatek z objedzonymi szkieletami dinozaurów.

– Uwaga! – wrzasnął – Wszyscy do mnie!

– Nie uwierzą, nie dadzą… Dzisiaj nie wydali mi pistoletu.

– Wasze pulsatory są gówno warte. Przeciw mrówkom potrzebny jest stały promień. Pełna moc, szeroki promień – i palić kolumnę z lotu koszącego.

– Nie to miałam na myśli. Ludzie was się boją.

Lobasti z Szallą na grzbiecie daleko wyprzedziła pozostałych i zniknęła już za murem. Mrok nabrał w płuca jak najwięcej powietrza i ryknął jak syrena straży pożarnej. Catherine, lecąca obok, zatkała sobie uszy i poszła ostro w dół. Mrok ostro skręcił, wygasił szybkość biograwami, żeby nie zdmuchnąć ludzi machaniem skrzydeł, i wylądował na cztery łapy. Penelopa zerwała się, krzyknęła i zawisła, uczepiona obiema rękami na jego prawym rogu. Przygiął głowę do ziemi, umożliwiając jej szybsze zejście.

– …skafandry, miotacze ognia w ręce i łańcuszkiem wzdłuż murów. Macie tu miotacze? – Lobasti potrząsała już głównym mechanikiem. Mrok złapał jego pomocnika.

– Zawiadom Cerbera, że do bazy zbliżają się mrówki.

– Po co zaraz Cerbera? Mamy specjalistę od owadów. Został już uprzedzony. Nie ma powodów do niepokoju.

– Jeden?

– Wystarczy.

– Jeden przeciw kilkuset milionom mrówek? Słyszałaś, Catherine? Mają jednego entomologa, nawet nie myrmekologa. Jednego! – Mrok z wściekłością podniósł człowieka za klapy. – Natychmiast zakomunikuj Cerberowi albo ci łeb urwę!

– Służby zawiadomione? – zainteresował się Cerbes.

– Osobiście zakomunikowałem Augustowi.

– Ma problemy?

– Nie.

– Więc o co chodzi? Jestem zajęty.

– Smoki się denerwują. Żądają, żebyśmy miotacze…

– Dajcie smokom wszystko, czego chcą. Przydzielcie Augustowi jeszcze dwóch ludzi. Koniec. Nie mam czasu.

– Ale my nie mamy miotaczy… Wyłączył się. – Pomocnik spojrzał na Mroka ze zmieszaniem. – Chcecie zatrzymać mrówki w szczerym polu czy co? Przecież to niemożliwe!

– Ha! – powiedział Mrok.

– Ha! – podchwyciła Lobasti.

– Ha! – pisnęła Szalla. Catherine spojrzała na nią z aprobatą.

– Idźcie do składu, bierzcie, co chcecie, ja umywam ręce – powiedział zrezygnowany pomocnik. – E-e-e… Paulus, ty sucze nasienie, leć do składu i zapisuj wszystko, co biorą smoki.

Spełniwszy swój służbowy obowiązek, usiadł koło drzwi magazynu z wydętymi na znak obrazy wargami. Mrok zakręcił się po pomieszczeniu, węsząc. Nos nieomylnie doprowadził go do beczek z produktami naftowymi: olej solarowy, benzyna, nafta, mazut. Lobasti skierowała się do drugiej sali.

– Co gdzie nieść? – zapytała Catherine.

– Te beczki na brzeg rzeki. Tylko nie na ten, gdzie mrówki.

Catherine wzięła pod pachy dwie trzydziestolitrowe beczki i pokuśtykała na tylnych łapach do wyjścia. Mrok wziął swoją parę beczek, próbował objąć trzecią ogonem, ale nie zdołał.

– Pożądliwość gubi – wymamrotał i pośpieszył za żoną. Kątem oka dostrzegł, jak Lobasti potężnymi uderzeniami odrywa siedzenie od nieznanego mu urządzenia z pomarańczowymi balonami po bokach.

Catherine wybrała dobre miejsce: dużą łąkę zalewową w kolanie rzeki. W tym miejscu mrówki będą musiały albo forsować rzekę, albo, kontynuując marsz po brzegu, pójść prawie w przeciwnym kierunku. Mrok otworzył wszystkie beczki i zaczął metodycznie polewać ziemię od brzegu rzeki do wzgórz, przygotowując pułapkę na mrówki. Miał nadzieję, że, napotkawszy przeszkodę nie do pokonania, czoło kolumny skręci jeszcze parę razy, aż zatoczy koło i utknie w środku. Mrówkami kieruje instynkt, nie są na tyle mądre, żeby zrozumieć, co się stało. Kolumna zwinie się w spiralę, zmiesza się, zacznie wypełniać kolano, rozścielając się jak dywan po łące zalewowej o powierzchni całego kilometra kwadratowego. To dużo. Tu mrówki można zniszczyć. Planowo. Zagonić benzyną i ogniem do rzeki. Utopić, spalić, udusić oparami benzyny i dymem. Plan, choć powstał bez przygotowania, był znakomity. Mrok aż się roześmiał. Wszystko układało się znakomicie. Uratowanie bazy małpek to ważki argument w rozmowach z Cerberem.

Catherine przyniosła kolejną parę beczek. Zaraz po niej wylądował flyer, z którego dziewczyny wytoczyły trzy beczki i dwa pomarańczowe balony.

Jest w naszej walce upojenie,

Aż po ostatnie życia tchnienie,

I w rozjuszonym oceanie,

Wśród groźnych fal i burzy szumu,

I w szalejącym huraganie,

I nawet w złym oddechu dżumy!

– śpiewał, a raczej ryczał Mrok, polewając pas ziemi mazutem, a potem benzyną. Catherine, a zaraz po niej flyer z dziewczynami odleciały po nowe zapasy. Przyleciała Lobasti z miotaczem ognia własnej roboty, skonstruowanym głównie z urządzenia do podgrzewania gruntu. Mrok krótko wyjawił jej swój plan. Był pobudzony i uszczęśliwiony. Robił to, co umiał: walczył. Jak zawsze – sam (no, prawie sam) przeciw wszystkim. Pierwszy raz nie musiał zabijać ludzi, i to napełniało radością jego duszę, dawało jego życiu sens.

W trawie zaczął się ruch: przybyły zwiadowcze mrówki. Niektóre wbiegały na pas ziemi polany benzyną i tam zamierały, zatrute jej parami. Pozostałe biegały wzdłuż pasa w bezpiecznej odległości. Mrok i Lobasti wciąż polewali zagradzający mrówkom drogę pas. Przyleciała Catherine z kolejnymi dwiema beczkami. Mrok obliczył z grubsza, że na każdy metr pasa przypada już po dziesięć litrów produktów naftowych.

Z lasu wyszło czoło kolumny. W pierwszej chwili mrówek nie było widać, ale trawa poruszyła się i zaczęła szybko rzednąć, aż zniknęła zupełnie.

– Czarna droga – powiedział z uczuciem Mrok.

– A my jesteśmy rycerzami czarnej drogi – podchwyciła Lobasti.

Przyleciała zmęczona Catherine, postawiła beczki na ziemi, chciała lecieć po następne.

– Nie trzeba. –zatrzymał ją Mrok. – Tak czy inaczej, zaraz wszystko się rozstrzygnie.

I, jakby na potwierdzenie jego słów, zaczęło się. Trawa zaszeleściła. Lobasti chwyciła beczkę i poszła z szybkością czoła kolumny, ostatni raz polewając ziemię. O metr od niego ziemia zniknęła pod gigantycznym naporem owadów, ale pod jego nogami nie było ani jednego. Na wszelki wypadek cofnął się jeszcze o dwa metry i wybił denko beczki.

– Udało się! Tako, jesteś geniuszem! – wykrzyknęła Lobasti.

– Miejsce wybrała Catherine.

– Mamo, ty też jesteś genialna!

Mrok wzbił się w powietrze i na samych biograwach przeleciał nad czołem kolumny. Wszystko szło zgodnie z planem. Kolumna skręcała się w spiralę. Trwała faza gromadzenia mrówek w pułapce. Podniósł się wyżej, ale koniec kolumny ginął w lesie. Można było polecieć kawałek w kierunku strumienia, gdzie pierwszy raz zobaczył mrówki, ale to nic nie zmieniało, więc Mrok wylądował. Lobasti z beczką w przednich łapach chodziła wzdłuż granicy pasa, gdzieniegdzie pluskając po trochę na ziemię.

– Coś długo nie ma dziewczyn – zauważyła.

– Zabrali im flyer – wyjaśniła Catherine.

– Tato, pomyśl nad tym. Bardzo często koło smoka kręci się jakaś samotna żeńska dusza. Ale żeby aż trzy na raz – o czymś takim jeszcze nie słyszałam. Jesteś unikatem.

– Szallę wybrałem, pozostałe nie. To przypadek.

– Nikt ich nie wybiera, pojawiają się same. Żyją, psują nerwy smokowi… To jak lampka wódki przed posiłkiem. Szkodliwe, ale rozrusza krew. A gdy tylko do nich przywykniesz – starzeją się i umierają. A przed tym narzekają, żeś im zepsuł życie, zrujnował młodość. Przygotuj się na to. A najlepiej wydawaj za mąż, gdy tylko znajdzie się kandydat. Nawet siłą.

Mrok znowu wzniósł się w powietrze. Kolumna ciągle jeszcze wlewała się w pułapkę, lecz w środku spirali mrówki poczuły widocznie, że coś jest nie w porządku i krzątały się bezładnie. Mrok obliczył z grubsza, że w zakolu rzeki pomieści się nie więcej niż sto kilometrów kolumny. Bzdura. Skąd by tutaj wzięło się aż tyle mrówek? Tak, ale pięć do dziesięciu kilometrów miał przed sobą.

Catherine też wzbiła się w powietrze, przeraziła się i pomknęła na bazę. Lobasti wrzuciła pustą beczkę w czarne mrówcze jezioro i podniosła ostatnią.

– Tato, zaraz się zacznie.

Mrok przyjrzał się. Mrówki już nie szły szeregiem w jednym kierunku, tylko bezsensownie kręciły się, łażąc jedne przez drugie. I nagle wszystkie na raz rzuciły się na pas ropny.

– Tato, odejdź! – Lobasti odbiegła o dziesięć metrów i rzuciła coś za siebie. W obie strony z rykiem pobiegł po ziemi płomień, wyrosła dwumetrowa ściana ognia. Lobasti podbiegła do swojego aparatu i zaczęła przypinać szelki ze słowami: – Póki ziemia płonie, nie pójdą, a potem ja je podgrzeję!

Mrok znowu wzbił się w górę. Koniec kolumny wyszedł z lasu!

– Lobasti, włączaj swoją katarynkę, odetnij im drogę odwrotu! Zaczynamy ostatnią fazę. – Mrok wziął beczkę i zaczął polewać mrówki z góry. W czarnym morzu rozbłysły ogniste strumyki. Mrok odetchnął rozgrzanym powietrzem i wypuścił beczkę. Łupnęła głucho i wypluła wielometrowy język ognia.

Lobasti otworzyła wentyle balonów, zapaliła rozpylacze i poleciała nad samą ziemią, wypalając trawę. Doleciała do rzeki, zawróciła i poleciała z powrotem, pozostawiając za sobą czarny pas wypalonej ziemi – jak oracz zaorane pole.

Wróciła Catherine. Tym razem przyniosła dwie niebieskie baryłki.

– Myślę, że to to, czego nam potrzeba.– Wybiła denka i wylała na mrówki gęstą żółtą ciecz. – Córeczko, daj ognia!

Lobasti podpaliła. Ciecz paliła się źle, ale wydzielała brązowy, kwaśny, jadowity, ścielący się po ziemi dym. Wiatru nie było, więc dym powoli słał się po łące ku rzece. Mrówki, poganiane jadowitym dymem, polazły w stronę wody. Widocznie instynkt podpowiadał im, że ogień jest groźniejszy od wody. Rzeka poczerniała. Całą jej szerokością płynęły grudki mrówek.

W pięć minut było po wszystkim. Lobasti leciała nad brzegiem, spalając te mrówki, którym udało się wydostać z wody. Było ich mało. Ale miejscami brzeg zarósł krzakami i nie wiadomo było, czy tam nie wyszły. Smoki nie chciały za dużo podpalać.

– Lecimy na bazę – zakomenderował Mrok. – Jeśli mrówki się tam pojawią, zniszczymy je w przegrodzie między pierwszym a drugim murem.

Zewnętrzna ściana bazy błyszczała jak posmarowana olejem. Dziwna konstrukcja, przypominająca urządzenie do mycia okien, powoli jechała po szynach na górze. Szczotki obracały się, polerując i bez tego gładką powierzchnię, rozpylacze rozpryskiwały po ścianie… olej maszynowy. Najzwyklejszy ciekły olej maszynowy. Mrok wylądował na ścianie, wziął go na palec, powąchał, polizał.

Maszyna stanęła, z kabiny na ścianę wyszedł opalony mężczyzna ze złamanym nosem.

– Daleko one? Coś się spóźniają. Zrobiłem już dwa kółka.

– Daleko – odrzekł Mrok. – Jeśli w ogóle przyjdą, to za dwie godziny.

Człowiek wyjął z tylnej kieszeni butelkę, upił łyk, zaproponował Mrokowi. Ten odmówił, ale Lobasti wylała na język pół butelki i zwróciła gospodarzowi.

– Zdrzemnę się. Jeśli będzie coś ciekawego, obudźcie mnie, nie krępujcie się. – Człowiek zniknął w kabinie.

– Żołnierz śpi, służba trwa – uśmiechnęła się Catherine. – Albo czegoś tu nie rozumiem, albo cała baza będzie się dzisiaj z nas śmiała.

– Masz rację, kochanie. A jednak to było wspaniałe.

Widocznie mrówki skądś obserwowano, gdyż w półtorej godziny później na ścianie pojawili się ludzie. Rozmawiali z ożywieniem, rozsiadali się na skraju, niektórzy wyjmowali kanapki. Po dwu godzinach, jak przepowiedział Mrok, pojawiły się pierwsze mrówki. Ludzie spotkali je głośnymi krzykami, gwizdami, urąganiem. Z kabiny maszyny polerującej wyjrzał zaspany operator, spojrzał w dół i znowu zniknął za drzwiami.

Mrówki nie były w stanie wspiąć się na ścianę. Łatwo wdrapywały się na wysokość metra, gdyż dolna część ściany nie była pokryta wypolerowanym do blasku plastikiem, ale potem odrywały się i spadały. Po kilku bezowocnych próbach biegły w prawo albo w lewo wzdłuż jej podnóża.

„Genialnie proste” – pomyślał Mrok z zachwytem - Wszyscy cali i zdrowi. A my zapaskudziliśmy całą łąkę”.

– Nie żałujcie mrówek. Idą na brzeg oceanu i tam wszystkie toną w pierwszym przypływie – zakomunikował Cerbes, niezauważenie podchodząc z tyłu.

– Naprzód, lemingi! – wymamrotał Mrok.

– Dzisiaj wiatr powodzenia nie wieje w naszą stronę – powiedziała Catherine – A gdzie nasze dziewczyny?

– W areszcie domowym.

– Za co? – Mrok gwałtownie odwrócił się w stronę Cerbesa.

– Za uprowadzenie flyera. Ale nie oburzajcie się. Dostały minimalny termin – trzy doby.   
 – A ta uratowana przeze mnie? – zainteresowała się Lobasti.

– Ciągle w komie. Małe szanse przeżycia.

– Tato, trzeba podnieść kuter. Tam jest biowanna. – Lobasti powiedziała to po łacinie, żeby Cerbes zrozumiał.

– A jaka tam głębokość? Jesteś pewna, że syntezator farmacji nie został zmiażdżony ciśnieniem? A woda morska w mechanizmach?

– Tam jest blok autonaprawy.

– Który także wymaga naprawy.

– Tato, ja wszystko obmyśliłam. Wszystkie bloki autonaprawy są typowe, różnią się tylko programem. Na kutrze pozostały skafandry. One są dla dalekiego kosmosu, wytrzymają każdy kataklizm. Ich zawartość na pewno ocalała. A zaglądałeś do magazynu? Tam jest części zapasowych do diabła i trochę. Przed nami tym kutrem latał jakiś Pluskit. Drzwi do magazynu są hermetyczne, więc tam na pewno wszystko ocalało.

– Cerbes,potrzebujemy… a właściwie to wy potrzebujecie techniki do podniesienia obiektu o masie półtora tysiąca ton z głębokości prawie dwustu metrów. Pożądane na jutro. Da pan radę? Aha, jeszcze jedno. Zwolnijcie moje podopieczne, a my spróbujemy uratować waszą kobietę.

– Daleko stąd zatonął wasz kuter?

– Niezbyt daleko. Niecałe dwa tysiące kilometrów.

Cerbes aż gwizdnął.

– Wy, smoki, żyjecie w jakiejś innej skali. Nie wiecie, że istnieje słowo „niemożliwe”?

– Wiemy – odrzekła Catherine.. – Ale mojego męża ono nie dotyczy.

– Wierzę – zgodził się Cerbes – Po tym, jak zatrzymaliście mrówki, jestem gotów uwierzyć we wszystko.

– Nie wszystkie – uściślił Mrok, unosząc się na chwilę nad mur, żeby spojrzeć w dół.

– Tak – znów zgodził się Cerbes. – Ocalało około jeden procent, z czego na ten brzeg przypada może pół procenta, rozbite na małe grupki. Przy okazji pozbawiliście ludzi widowiska.

Niezbyt zadowoleni ludzie rozchodzili się. Wielu klęło mrówki, niektórzy zachwycali się smokami.

– Zupełnie się rozzuchwaliły – do uszu Mroka dobiegł znajomy głos. –Wczoraj wybiły połowę pterozaurów, dzisiaj wszystkie mrówki. Jutro wybiją wszystkie dinozaury. A my przez trzysta lat będziemy się zastanawiali, od czego wymarły.

– Nie przesadzaj. Uważasz ich za głupszych od parowozów, czy co? Jeśli jakieś zwierzęta należałoby wybić, to komary.

– Dopóki ich nie gryzą, nie wybiją. A jak zechcą, to zrobią wszystko. Może właśnie o komarach rozmawiają z Cerberem? Rozłożyły się w poprzek drogi, a my musimy przejść.Hej, skrzydlaci, słyszycie? Dajcie przejść dwunogom. – Smoki się przesunęły. – Mówiłem, że skrzydlaci to swoje chłopy. Nie zadzierają nosa, jak Cudo W Piórach – głosy się oddaliły.

– Cudo W Piórach to Szalla – wyjaśnił Mrok pozostałym.

– Efebowie – rzucił lekceważąco Cerbes, odwrócił się na pięcie i odszedł, wydając rozporządzenia przez komunikator.

– Kto? – nie zrozumiał Mrok.

– Młodzież, podrostki – przetłumaczyła Catherine.

– Powiedz mi, przyjacielu Crassus, dlaczego młodzież odwróciła się od Szalli?

– Spytaj samego siebie. Dziewczyna robi z siebie arystokratkę przez ciebie.

– Jak to?

– Ręce za plecami, nie podawać imienia partnera w rozmowie – to maniera nawet nie zwyczajnie arystokratyczna, ale najwyższej arystokracji.

– Do diabła! Nie tego chciałem.

– To nic. Wszystko idzie ku lepszemu w tym najlepszym ze światów. Teraz jej ciężko, ale cierpienia wzmacniają ducha. Mała dorośleje po prostu w oczach. Nie opuszczaj jej, a niedługo będzie z niej prawdziwa Hera, bogini nieba.

„A kim ja będę przy bogini nieba? Transportem?” – pomyślał Mrok.

– O coś jeszcze chciałem cię zapytać. – Potarł w zamyśleniu podbródek. – Niech sobie przypomnę… Już mam! Co to jest sestercja?

– Była kiedyś taka drobna moneta. Bardzo drobna. Liczono je milionami. Bochenek chleba kosztował dwieście tysięcy. Po kolejnej inflacji w ogóle je skasowano.

– Ro-ozumiem – powiedział Mrok i postanowił odwiedzić zamkniętą. Przeczołgał się po wąskich korytarzach, ale zobaczył pusty pokój. Wszystkie rzeczy i czaszka jaszczura znikły, wyniesiono nawet większość mebli. Skierował się do pokoju Fausty. To samo. Gdzie mieszka Penelopa, nie wiedział.

„Areszt domowy Trzy doby? Ty trójgłowy psie, nie wiesz jeszcze, z kim masz do czynienia!” – Mrok szybko przeciskał się ciasnymi korytarzami. Trzeba było uprzedzić Catherine i Widebrow oraz omówić z nimi plan działań w przypadku dalszego zaostrzenia sytuacji, ustalić umowne sygnały i kolejność ataków na stację energetyczną, zero-t, magazyny.

Pierwszym, co zobaczył, wpadając do sali gimnastycznej, była czaszka ceratozaura. Wzdłuż przegródki swojsko stały półki z książkami. Za parawanem w dalszym końcu sali smoczyce i kobiety na cztery głosy sztorcowały Szallę. Mrok odetchnął z ulgą. Wszyscy byli w domu, wszystko było normalnie. Kobiety postanowiły się przenieść. Szallo, Trzydzieści Trzy Nieszczęścia, coś ty tym razem narobiła?

Szalla ogoliła głowę. Jej opalona twarz ostro kontrastowała z bladym karkiem. Karki Fausty i Penelopy zdążyły się już trochę opalić i nie rzucały się tak bardzo w oczy.

Mrok usiadł na ogonie.

– Kto zepsuł moją malutką?! – ryknął groźnie, przytulając ją do piersi.

Szalla się rozpłakała. Pozostali umilkli zawstydzeni.

– Szallo, kto ci to zrobił? Głowę mu urwę. Cerber?

– Ja sama – chlipnęła dziewczyna – żeby być jak wszyscy.

– To co innego. – Mrok odsunął dziewczynę od siebie i obejrzał, komentując zaczepnie: – Czoło wysokie, czaszka okrągła. Uszka piękne, pod włosami nie było ich widać. Ale kolczyki przy braku włosów nie pasują.

– Zdejmę – zgodziła się dziewczyna.

– A teraz już poważnie, do wszystkich. Dziewczyny, zachowujecie się jak zarozumiałe kokoszki. Nie kląć w rozmowie – to nie znaczy nie zwracać na rozmówcę żadnej uwagi. Można pochwalić uczesanie, zachwycić się sukienką albo czymś innym. Catherine, wyjaśnij im, co to jest komplement i jak się go robi. Potem niech potrenują między sobą. Jutro sprawdzę. Lobasti, chodźmy na bok, musimy porozmawiać.

– Będziesz klął?

– Nie. Pomyślałem sobie, że tak będzie nawet lepiej. Niech podniosą kuter i nieoczekiwanie dowiedzą się, że smoki i ludzie żyli razem. Wcześniej czy później i tak będziemy musieli im o tym powiedzieć, ale niespodzianki to nasz styl. Pomówimy o czym innym. Rozmawiałem z technikami. Ich maszyna czasu, którą oni nazywają podnośnikiem, to szczególny przypadek zero-t. Gdzie się znajduje, wiesz. A z tyłu garażu w kącie stoi maszyna podobna do koparki. Kierowanie nią jest tak proste, że poradzi sobie z tym nawet dziecko. Ta maszyna łatwo przebije się przez każdą ścianę. A od podnośnika, czyli zero-komory, oddzielają ją tylko dwie ściany.

– Rozumiem.

– Najważniejszą częścią komory jest biegun, czyli kratka koherentnych fazowych induktorów. Nie da się tego przygotować na kolanie, potrzebna jest wysoka technologia. Są dwa bieguny, rozmieszczone w przeciwległych ścianach. Jeśli zmiażdżysz którykolwiek z rogów, na pewno uszkodzisz jeden z biegunów – i już zero-t nie działa.

– Rozumiem.

– A teraz zapomnij o tym. Mam nadzieję, że ta informacja nigdy nam się nie przyda.

– Aleś mnie przeraził, tato! Myślałam, że zaraz będziemy walczyli. Czułam już mrówki na skórze i chłód w grzbiecie. Ale coś ty sugerował naszym gołogłowym siostrom? Chcesz przerobić ten świat na obraz i podobieństwo naszego?

Mrok zmieszał się.

– Bardzo sprzyjająca chwila. Jesteśmy egzotyką, nas naśladują. Mamy niezłą szansę zrobić z mody stały styl życia.

– Styl smoka! – obwieściła głośno Lobasti. – Brzmi, co?

– O czym tam szepczecie? – zawołała na nich Catherine.

– Tato boi się, że wraz z modą na krótkie ogony wejdą w modę krótkie fryzury.

Przyszedł ponury Cerbes.

– Jak tam przygotowania do ekspedycji? – zapytał Mrok.

– Potrzebne są jeszcze dwie doby.

– A stan Seleny”?

Cerbes spochmurniał jeszcze bardziej.

– Bez zmian. Tylko… Tylko już za późno na przeszycie nogi. Aparatura nie może długo utrzymywać organu w stanie nadającym się do użytku. Ale przyszedłem w innej sprawie. Będziemy kontynuowali doświadczenie z czytaniem pamięci.

– Zgadzam się! – jednogłośnie odpowiedziały Fausta, Penelopa i Szalla.

– Lobasti nie weźmie już udziału w waszych bestialskich doświadczeniach. – powiedziała twardo Catherine i zasłoniła smoczkę rozpostartym skrzydłem jak kotarą.

– Może ktoś mnie zapyta o zdanie? – wyciągnięta szyja Lobasti wyjrzała zza skrzydła.

– Nie – jednogłośnie zakomunikowali jej Mrok i Catherine.

Cerbes podniósł ręce.

– Tym razem w eksperymencie wezmą udział tylko mężczyźni.

– Czyli ja – mruknął Mrok. –I ty. Wybieram ciebie. – Wycelował palcem w pierś Cerbesa.

– To zgadza się z moim zamiarem. – Cerbes pozostał niewzruszony.

– A nie boisz się?

– Boję się – przyznał szczerze naczelnik bazy.

– Bleisus?

– To nie ma znaczenia.

– Dobrze, powtórzę to pytanie po seansie – uśmiechnął się Mrok. – Mam dwa warunki. Po pierwsze, ponieważ ja, jedyny męski osobnik naszej populacji, mogę przy tym zginąć, przed seansem zdam nasienie. Wy, ludzie, zabezpieczycie jego przechowywanie i pomożecie smoczycom wykorzystać je zgodnie z przeznaczeniem.

– Dobrze.

– Po drugie. Kobiety, wyjdźcie.

– Was jest dwóch, nas pięć – burknęła niechętnie Lobasti, podnosząc się.

– Pilnujcie na zewnątrz, żeby nikt nas nie niepokoił.

Smoczyce i dziewczyny wyszły, ale zaraz drzwi się uchyliły i wyjrzała głowa Lobasti.

– Tato…

– Wszyscy wyjść!

Głowa się schowała, drzwi się zamknęły. Mrok kontynuował:

– Po drugie. Jeśli zginę w czasie eksperymentu, pan, panie Cerbes, weźmie na siebie ochronę smoków i będzie pan je bronił przed ludźmi. Jeśli nie da pan rady, one pana zabiją. Jeśli Bleisus albo ktoś inny będzie przeszkadzać, pan go zlikwiduje fizycznie, zanim zdąży zamienić sytuację w krytyczną, a nie później. Rozumie pan? Przed, a nie po fakcie.

– Myślałem, że wy, smoki, jesteście inne – powiedział Cerbes.

– Ludzie mnie wiele nauczyli. I pan też, panie Cerbes. Bezpieczeństwo gatunku przede wszystkim – to pańskie słowa. Tak, tak, czasem bywa nieprzyjemnie ujrzeć siebie w lustrze.

– Na wody Styksu, pan nic nie rozumie.

– Niech panu będzie. Nieważne. Niedługo będziemy się doskonale rozumieli nawzajem.

– Znowu nieściśle! To ja będę pana rozumiał. Ja pana, ale nie pan mnie!

Mrok poszperał w barku Penelopy, wyjął pękaty kielich na nóżce i kryształowe wiaderko ze srebrnym obramowaniem, otworzył butelkę koniaku, napełnił nim oba naczynia. Wśród jedzenia dla smoków znalazł cytrynę, umył ją i pokroił w plasterki. Jeden z nich naciął do środka i włożył nacięciem na brzeg kielicha Cerbesa, resztę po prostu wrzucił do wiaderka. Na stoliku na czasopisma postawił oba naczynia, przysunął krzesło dla Cerbesa.

– Proszę siadać, odprężyć się i opowiadać.

– Koniak z cytryną w miseczce do mycia czubków palców – zdziwiony Cerbes podniósł brwi– to coś zupełnie nowego w sztuce przygotowywania uczty.

– Tak myślałem, że używacie tej czarki do czego innego. Ale my, smoki, pijemy z podobnych, choć nieco węższych i wyższych. Proszę ogrzać kieliszek w dłoniach, to doda napojowi aromatu. – Mrok wytężył pamięć, próbując przypomnieć sobie, co jeszcze mówił Guz o koniaku. Popatrzył z lubością na grę światła na krawędziach wiaderka, powąchał, upił mały łyczek. Na tym jego wiadomości się kończyły. – Wspaniały bukiet, cudowny aromat, nieprawdaż? Tylko na nasz smoczy gust, trochę za mocny.

Cerbes powtórzył jego czynności i zaśmiał się

– Nieco za mocny, powiada pan? Ależ tym można upić słonia. Nierozcieńczony koncentrat wina.

– Niemożliwe! – zdumiał się Mrok – Kalacie wodą szlachetny trunek?

– Zakazałbym go w ogóle, ale zbyt łatwo znaleźć surogat. To jeden z taranów, kruszących podstawy naszej cywilizacji. Dla was, smoków, to niestraszne. Przez was przemawia kultura picia, wypracowana wiekami, prawie rytuał. A ludzie piją to świństwo bez umiaru, z wyprostowanych dwunogów zamieniając się w pełzające robaki. Tak, Mrok, nasza cywilizacja zmierza ku zachodowi. Dawno minęliśmy szczyt rozwoju, teraz degradujemy. – Cerbes upił łyk z kielicha, zakąsił plasterkiem cytryny. – Tak, to naprawdę bardzo ciekawe połączenie. Ale o czym to ja mówiłem… Cały projekt z utworzeniem Instytutu Czasu nakierowany jest na jeden cel: zebrać razem wszystkich, komu nie jest obojętny los cywilizacji. Tym bardziej, że nieoczekiwanie dostaliśmy prawdziwy podarunek losu: maszynę przybyszów. Automatyczny statek bez pilota pojawił się nagle na drodze rejsowego samolotu pasażerskiego. Z niczego, rozumie pan? Sekundę wcześniej na ekranach radarów nic nie było – i nagle się pojawił. Była katastrofa, setki ofiar, szczątki samolotu, rozrzucone w promieniu tysięcy metrów – i z pozoru cały aparat przybyszów. Niestety, wewnątrz okazał się zniszczony nie mniej od naszego samolotu. Crassus, który wtedy zajmował wysokie stanowisko w naszej radzie koordynacyjnej, zrozumiał, jak można wykorzystać ten dar losu. Zrobił z przybyszów straszak i przez to udało mu się dziesięciokrotnie zwiększyć liczebność sił straży porządku, jedynej nie przegniłej do reszty struktury społeczeństwa. Stworzył nawet flotę kosmiczną, przeznaczoną do obrony planety przed atakiem z kosmosu. Wielu myślących ludzi miało nadzieję, że nadeszła epoka odrodzenia. Ale zgubiły nas nasza technika i technologia. Zdążyliśmy zbyt dobrze nakręcić automatyczny przemysł i konstruowanie. Crassus stawiał przed techniką i ekonomią najbardziej złożone zadania. Rada, zatroskana nie mniej od niego, zatwierdzała je. I wszystko się udawało. Ale wysiłkiem nie ludzi, tylko maszyn. Ludzie chcieli tylko chleba i widowisk. Komputery projektowały i budowały statki międzyplanetarne. Pan przecież wie, że komputery są bardzo silne we wszystkim, co nie wymaga twórczego myślenia. Zbudować dom z kostek? Proszę bardzo. Zmontować statek kosmiczny z typowych części? Proszę bardzo. Zaglądamy do informatora, wybieramy paliwo. Aha, jest dużo możliwości, szukamy najmniej szkodliwej. Tlen i wodór. Jaka temperatura spalania? Taka a taka. Jakie tworzywo ją wytrzyma? Zaglądamy do informatora. Takie a takie. I już mamy silnik. Człowiek nawet palcem nie kiwnął. Zetknęliśmy się z problemem Wiecznego Miasta. Tak jak Rzym na początku historii omal nie zginął od nadmiaru niewolników, tak teraz ludzkość może zgubić nadmiar maszyn.

Cerbes zamyślił się na chwilę, upił łyk i podjął:

– Ale Crassus nie byłby sobą, gdyby stawiał tylko na jednego konia. Założył Instytut Czasu, choć wtedy nazywało się to inaczej. Osobiście angażował uczonych, odwiedził setki miast, tysiące szkół wybierając dzieci nawet nie utalentowane, a po prostu ciekawe, te, które nie straciły głodu wiedzy. A potem popełnił największe przestępstwo od tysiąca lat; skasował równość. Wydzielił uczonych jako szczególną, najwyższą kastę. Wskrzesił i umocnił prawie wygasły system pieniężny. Awansować do najwyższej kasty łatwo: wystarczy zdać kilka niezbyt trudnych egzaminów. Ale równie łatwo z niej wylecieć. Żeby się w niej utrzymać, trzeba pracować. Ale to dopiero połowa przestępstwa. Druga połowa polegała na tym, że Crassus stworzył bodźce, zachęcające ludzi dowstąpienia do najwyższej kasty. Jak to zrobił? Bardzo prosto. Po prostu poziom życia uczonych nie zmienia się, podczas gdy plebsu spada z każdym rokiem. Dla ludu odkurzyli starą bajeczkę: kto nie pracuje, ten nie je. I ludzie wierzą. Znają mit o mękach Tantala, zresztą jak można nie wierzyć, jeśli przez całe wieki ludzie pracowali? Przekazy im już chyba dziurę w brzuchu wywierciły: pracuj, a będziesz żył dobrze. Wierzą! Ale nie pracują. Widzą, jak dobrze żyją ci, którzy cokolwiek robią, ale i tak siedzą na bezpłatnych racjach. Zbyt duża siła przyzwyczajenia. A poziom życia powoli, ale planowo się obniża. Dzisiaj znikają cienkie tkaniny, na ladach pozostają tylko grube. Jutro znikają jakieś ciastka, pojutrze zamiast wykwintnych foteli pojawiają się ciężkie, niezgrabne krzesła.

Cerbes w zamyśleniu pokręcił kieliszkiem tak, że reszta koniaku zakołysała się, sięgając prawie krawędzi, wypił duszkiem, skrzywił się.

– Powie pan, że wdeptywać własny naród w błoto to podłość? Tak, podłość. Oszukujemy go, pozbawiamy zasłużonej obfitości. Ale coś trzeba zrobić! Nie można żyć tak jak wcześniej, to droga donikąd! Zamienimy się w zwierzęta, w mówiące zwierzęta! Chleba i widowisk! Jeśli zna pan inną drogę, niech pan powie. Czuję, że pan już intuicyjnie chwyta problemy naszego świata i próbuje zmienić ludzi, wychować ich od nowa. Weźmy choćby Szallę… Jakie ona miała piękne włosy… – Cerbes pokręcił głową. – Ten winny koncentrat to bardzo podstępna rzecz. Proszę mi już nie nalewać. Ale co to ja chciałem… Aha! Nowa epoka zaczęła się, kiedy do Instytutu przyszedł Treped. Ten czternastoletni młokos od razu postawił Crassusowi trzy warunki: nie uczyć go, nie komenderować i nie przeszkadzać. Crassus je przyjął. Za to jedno zasługuje na pomnik ze złota, platyny i księżycowego światła, gdyż Treped, ten kosmaty młokos, okazał się geniuszem. Jak głodny wilczek rzucił się na maszynę przybyszów, przeanalizował wszystkie dotyczące jej materiały, obejrzał makietę naturalnej wielkości, za pomocą której uczeni starali sięzrozumieć wygląd wnętrza maszyny i funkcjonowanie jej mechanizmów.A potem znowu pojawił się u Crassusa i zażądał, żeby ten dał mu brygadę monterów, cybery, warsztat uniwersalnych obrabiarek itd. Podobnie jak pańska Szalla, nie uznawał instancji pośrednich. Crassus dał. Inaczej, niż chłopak prosił: więcej cyberów, mniej ludzi, ale dał. I Treped zaczął budować swoją makietę. Różniła się od pierwszej jak dzień od nocy. Pracować z nim było trudno, wielu tego nie wytrzymywało. Ludzie całymi dniami siedzieli bez zajęcia, i nagle, kiedy chłopcu wpadał do głowy jakiś pomysł, trzeba było pilne niszczyć to, co robili tygodniami, i zaczynać od początku. Trwało to około półtora roku. Nagle chłopiec przestał zajmować się makietą i usiadł do podręczników. Crassus poczekał jeszcze miesiąc, po czym zażądał sprawozdania. Odbyła się rozmowa. Przesłuchiwałem jej zapis. Chłopak pokazał zęby. Crassus wyrzucił go z instytutu i obciążył długiem w wysokości dokładnie zsumowanej wartości makiety i wypłat dla wszystkich pracujących przy tym projekcie. „Twoje zabawki za drogo kosztują państwo” – wyjaśnił chłopcu. Dla Trepeda nadeszły czarne dni. Crassus kazał go śledzić, pozbawił dostępu do informacji, ciągle przypominali mu o długu. „Rzuć psu kość, wyjaśnij, co zrobiłeś, on od ciebie nic więcej nie wymaga” – przypominała mu jego dziewczyna, początkująca hetera, wynajęta przez Crassusa, która zresztą później została żoną chłopaka. Wytrzymał dwa miesiące. Potem przez dziewczynę umówił się na spotkanie z Crassusem. Trzy doby oprowadzał komisję po swojej makiecie, objaśniając przeznaczenie każdego detalu. Wszystko zostało sfilmowane i nagrane dla nauki. Te dni przeszły do historii jako Sprawozdanie Trepeda. Okazało się, że jego makieta nie była kopią statku przybyszów, to był przerobiony, ulepszony wariant. Chłopak sypał fantastycznymi terminami: antygrawitatory, grawilokator, wieczny akumulator, maszyna przestrzeni. „Gdzieś ty tam widział wieczny akumulator?” – pytali go. Wskazywał palcem fotografię zastygłej kałuży metalu i ceramiki. „Ale dlaczego właśnie tak wyglądał?”– „Bo inaczej tego się nie da zrobić. Przecież to jasne! Kiedy samolot wpadł na statek, akumulator przebił tą ściankę, uderzył o wręgę, wyłączył się i stopił. Kiedy statek, wirując, spadał, rozlał się po wrędze, a gdy statek upadł na ziemię, krople połączyły się w tą kałużę. Jeśli pomyślicie, to sami zrozumiecie, że taką kałużę mógł utworzyć tylko przedmiot o takim właśnie kształcie”. Crassus na oczach wszystkich podarł wystawiony rachunek i otworzył Trepedowi nowy nieograniczony kredyt. Ale Treped zapamiętał każdą cyfrę swojego długu i przysiągł, że odpracuje wszystko, do ostatniego talentu. Taki był w wieku szesnastu lat i takim pozostał do końca. Najpierw wziął się za wieczny akumulator. Opracował teorię, wywalczył u chemików nadprzewodzącą ceramikę, skonstruował model doświadczalny. Ale sprawa nie doszła do stadium produkcji przemysłowej. Akumulatory okazały się zbyt zawodne, wybuchają od najmniejszej rysy. Crassus prosił o doprowadzenie projektu do końca, ale Treped stanowczo odmówił. „To nie jest kwestia nauki, tylko zastosowanej technologii” – mówił. – „Zrozum, ja też mam swoje ograniczenia”. Crassus próbował nalegać, ale Treped przypomniał mu warunki: nie komenderować, nie uczyć, nie przeszkadzać. Jakiś żartowniś nazwał to „ultimatum Trepeda” albo „prawem trzech N”. Crassus i Treped stali się przyjaciółmi, choć była to dziwna przyjaźń. Spierali się godzinami. Nie o pracę Trepeda, prawo trzech N tego zabraniało. Spierali się o tajemnicę błękitnej porcelany, o to, kto pierwszy wynalazł proch albo czy magnetyzm wpływa na wzrost roślin. Żona Trepeda wylała raz na nich miednicę zimnej wody, żeby ich uspokoić.

Cerbes zamilkł, wstał, podszedł do kranu, wypił trochę wody, wrócił, usiadł i podjął:

– Po akumulatorach Treped wziął się za antygrawy. Wydawało się, że tu nie będzie żadnych problemów, zachowały się całkiem dobrze, niektóre kawałki nawet technicy uruchomili i działały. Treped je zbadał, stworzył teorię, ale dalej ani rusz. Zawiodła technika. Antygrawy wymagają spawania na poziomie molekularnym, my na razie tego nie umiemy. Po kolejnym niepowodzeniu Treped wziął się za maszynę przestrzeni. O dziwo, to okazało się łatwiejsze, w każdym razie część techniczna. Na pograniczu możliwości naszej technologii, ale ich nie przekraczało. Teorii do dzisiaj nikt nie rozumie. No, niezupełnie, możemy dodać do teorii pewne szczegóły, ale ruszyć naukę dalej, zrobić następny krok, już nie. Nawet nie rozumiemy fizycznego sensu niektórych zakazów, pozostawionych nam przez Trepeda. Dlaczego na przykład generatory Trepeda nie można wykorzystywać w granicach Układu Słonecznego, tylko poza nimi? Ma to coś wspólnego z ekologią czasoprzestrzeni, używając terminologii Trepeda. Raz powiedział: „Dobry złodziej nie kradnie we własnym domu”. Jak to rozumieć, może pan się domyśli. Ale, jakby to tam nie było, tu mamy spore osiągnięcia. Nauczyliśmy się przebijać przestrzeń. Wygląda to tak: wchodzisz do pokoju, wybierasz kod miejsca, do którego chcesz trafić, hop – i już jesteś w takim samym pokoju, ale nie tu, a tam.

– My to nazywamy zero-transportem albo w skrócie zero-t – wyjaśnił smok.

– W takim razie nie będę wdawał się w szczegóły. Wygląda na to, że pan się w tym orientuje lepiej ode mnie. Ale, zbudowawszy maszynę przestrzeni na obraz i podobieństwo przybyszów, Treped poszedł dalej. Zaczął budować maszynę czasu. Mawiał, że czas to także wymiar, choć najbardziej swoisty ze wszystkich. Brzydkie kaczątko wśród dwunastu łabędzi, czarne źrebię w tabunie białych klaczy. I skonstruował ją! Przy pierwszej próbie Instytut został bez światła, elektrownia wyłączyła mu je z powodu przeciążenia.Wtedy Treped wynalazł generator, nazwany później jego imieniem. Był w szczycie twórczej weny. Fabryka przy Instytucie wyprodukowała egzemplarz doświadczalny. Treped odkurzył maszynę czasu, podłączył do niej kabel grubości ręki i zaczął doświadczenia. W rezultacie zegar atomowy, umieszczony w bezpośredniej bliskości maszyny, zaczęły się spóźniać o jakiś znikomy ułamek sekundy w porównaniu z innymi. Treped powtórzył doświadczenie. Różnica się zwiększyła. Zamienił zegary miejscami i znowu zaczął doświadczenie. Wskazania zegarów się wyrównały. I wtedy się przeraził. Ani wcześniej, ani później nie widziałem go w takim stanie. Uciekł do domu i godzinami wypytywał zonę, porównując jej wspomnienia z własnymi. Zażądał hipnotyzera, pod hipnozą przypominał sobie historyczne wydarzenia i daty, po czym porównywał je z faktami, zapisanymi w pamięci komputera. Każda różnica doprowadzała go do paniki. Wysyłał setki ludzi na poszukiwania jakiegoś starego zapisu dziecięcej audycji, gazety lub papierowej książki. Za każdym razem wyjaśniało się, że jego pamięć nie zawiodła, a w zapisie była pomyłka. Po jakimś czasie przestał panikować i zajął się historią, a ściślej matematycznym modelem historii. W trzy lata później skończyło się to tym, że wyprowadził wzór czasu życia cywilizacji. „Zapomnij o nim” –powtarzał mi. – To wytwór czystej sztuki. Nigdy nie podstawisz do niego prawidłowych danych wejściowych, a bez nich to nic nie znaczy”. Ale na formułę rzucili się matematycy i socjologowie. Przecież nie jest ważne, czy cegła spadnie ci na głowę jutro, czy pojutrze, jeśli obliczono dokładnie, że spadnie właśnie tobie na głowę. Tak więc nauka dowodzi, że nasza cegła już jest w locie i potrzebny jest nam bardzo silny kopniak, żeby usunąć nas z jej drogi.

– A może łatwiej byłoby usunąć cegłę?

– Zgadzam się na wszystko, – uśmiechnął się Cerbes – a pański plan stworzenia dwugatunkowej kolonii na tej planecie naprawdę mi imponuje. Duch pionierów, oswajających nowy świat przetrwa kilka pokoleń. Przez ten czas można będzie wysłać gwiazdoloty do najbliższych systemów, znaleźć nowe planety, założyć na nich nowe kolonie.

– Przepraszam, ale czegoś tu nie rozumiem. Jeśli stoicie na skraju przepaści, a smoki chcą wam pomóc, to po co te drwiny z nich? Mam na myśli czytanie pamięci.

– Ma pan jak zwykle rację. Ale są wśród nas ludzie niezdolni do myślenia o dniu jutrzejszym, a dzisiaj boją się „strasznych” smoków. Ich dewiza to: po nas choćby potop. Są ludzie, którzy zgadzają się umrzeć jutro w swoim łóżku, ale nie dzisiaj od noża chuligana. I są ludzie, którzy wolą umrzeć jako pierwszorzędni w Rzymie niż żyć jako drugorzędni na prowincji.

– Gdzieś już to słyszałem… – wymamrotał Mrok – Nie, na odwrót...

– Co?

– Nic, nic, proszę kontynuować.

– Drugi eksperyment nie będzie taki niebezpieczny jak pierwszy. Uwzględniliśmy wszystkie niedoróbki i pomyłki. A propos, czym pachnie panu tym razem przyszłość?

– Rozczarowaniem. Ale pan opowiadał o Trepedzie.

– Tak, o Trepedzie. Skończył swoją maszynę czasu i rozczarował się nią. Wyjaśnił, że coś związanego z mnogością światów i zasadą nieokreśloności nie pozwala mu trafić w naszą przeszłość. Tak to określił. W każdym razie na jego stole leżało siedem jednakowych kamieni o dziwnym kształcie. Jeden nasz, pozostałe były jego sobowtórami czy to z innego czasu, czy to z innej przestrzeni, nie zrozumiałem dokładnie.Maszynę czasu zdemontował, komunikując, że to puszka Pandory, i zaczął wszystko od zera. I znowu zwyciężył! Tym razem zasada była zupełnie inna. W naszym czasie powstawała kopia fragmentu przestrzeni z przeszłości ze wszystkim, co się w niej wtedy znajdowało. Coś jak fotografia matrycy przestrzenni, do której wlewa się energia – ijuż mamy kawałek dawno minionej epoki. Nie trzeba materii kształtować, energia sama zamienia się w materię, rozchodząc się po matrycy. Jak nalewanie metalu do formy odlewniczej. Najważniejsze w tym było utrzymywanie matrycy przestrzeni do ostatniej milisekundy. Trzymać za wszelką cenę, dopóki nie wleje się w nią ostatni dżul energii. W przeciwnym razie wybuchnie. Jedynym brakiem metody było to, że wymagała bardzo dużo energii, naprawdę DUŻO! E = mc², gdzie c to szybkość światła.

– Logiczne – zgodził się Mrok. – Pełna energia substancji.

– Dla pana logiczne, a ja myślałem, że to kompletna klęska, jak z antygrawitacją. Ale Treped zaczął szukać źródła energii w przestrzeni. I znalazł! Co to jest, do dziś nie wiemy. Może odwrotna strona czarnej dziury, może pulsar. Najważniejsze było to, że źródło dawało energię pierwotną w najwygodniejszym do wykorzystania kształcie. Ale był jeden minus: źródło okazało się impulsowe. Tryskało energią w przybliżeniu raz na miesiąc po kilka sekund. Potem milkło. W dodatku przerwy między wytryskami nie były równie i nie można było dokładnie przewidzieć kolejnego, nie mówiąc już o „obudzeniu” go wcześniej. To trzymało wszystkich w stałym napięciu i bardzo spowalniało badania. Maszyna pracowała, ale korzyści z tego były znikome. W ciągu paru sekund nie da się dokładnie „wycelować” w obiekt w dalekiej przeszłości. Otrzymywaliśmy w komorze to dwa litry próżni, to dziesięć kilogramów rozpalonej magmy ze środka Ziemi. I tylko raz, zupełnie przypadkowo, dostaliśmy litr wody z oceanu. I wówczas Treped wpadł na pomysł naprawdę wielkiego eksperymentu: skopiowania całego Układu Słonecznego, o pięćdziesiąt lat świetlnych od Słońca, żeby w razie niepowodzenia była możliwość jego powtórzenia. Ale jak tam potem trafić? Treped rozwiązał i ten problem – skopiować równocześnie dwa obiekty: Układ Słoneczny, taki, jakim był sto milionów lat temu, i maszynę przestrzeni, taką, jaką była przed sekundą. Gdy już wszystko było gotowe, Treped nagle zmienił program eksperymentu. Skopiowaliśmy tylko maszynę przestrzeni w odległości dwudziestu dni świetlnych od Ziemi. Doświadczenie się udało. Maszynę najpierw odwiedziły cybery, potem kosmonauci, w końcu dostarczono tam pocisk atomowy i wysadzono. Po dwudziestu dniach we wskazanym punkcie astronomowie zarejestrowali wybuch. Wszystko się udało.

– Do diabła, utarliście nam nosa! My musimy rozwozić komory zero-t gwiazdolotami, a wy nauczyliście się dostarczać je wprost na miejsce przeznaczenia! Gratuluję!

– Dziękuję, ale muszę pana rozczarować. Nie w każde miejsce przeznaczenia, tylko w te położone dokładnie w linii prostej między nami a źródłem energii. I ani na milimetr w bok.

– Szkoda. Ale proszę kontynuować. Co było dalej?

– A dalej był właściwy eksperyment. Przebiegał niezupełnie tak, jak chcieliśmy. Pierwszy raz źródło nie zdołało wydać nam tyle energii, ile od niego żądaliśmy. Ale i nie wyłączyło się po trzech sekundach, jak zwykle, lecz trzymało się ponad piętnaście sekund, dopóki nie wydało wszystkiego, do ostatniego dżula. W dwunastej sekundzie nie wytrzymało serce Trepeda. Umarł ze słowami: „Obca przestrzeń! Wyszliśmy w obcą przestrzeń! Tam pływają smoki”.

– Co? – Mrokowi po grzbiecie przebiegły te same mrówki, o których mówiła Lobasti.

– Rzeczywiście, cóż to miałoby znaczyć? Kilka brygad psychologów niezależnie od siebie zajmowało się tym pytaniem. Najprawdopodobniejsza hipoteza jest następująca: Treped doszedł do wniosku, że eksperyment się nie udał, kopia Układu Słonecznego utworzyła się nie w naszej przestrzeni, tylko w jakiejś sąsiedniej, o której nic nam nie wiadomo. Starożytni kartografowie na obrzeżach map i na nieznanych ziemiach rysowali potwory i pisali „Tu żyją smoki”. Po zauroczeniu historią w papierach Trepeda pozostało mnóstwo map ze smokami.

– A co pan osobiście o tym sądzi?

– Gdyby Treped był zwykłym człowiekiem, może miałbym swój pogląd, ale on był geniuszem. Któż może zrozumieć geniusza?

– A co o tym sądzi jego żona?

– Otruła się, kiedy dowiedziała się o jego śmierci. Pochowano ich razem. A dzieci odziedziczyły charaktery po ojcu, ale inteligencję niestety po matce.

– A eksperyment zakończył się powodzeniem?

– W zasadzie tak. Z powodu wyczerpywania się mocy źródła kopia systemu powstała trzy razy dalej od naszej Ziemi, niż zamierzaliśmy, i objęła tylko siedem planet. Innych odchyleń na razie nie stwierdzono, jeśli nie liczyć was, smoków. Dalsza operacja rozwijała się według planu opracowanego przez Trepeda, choć bez niego. Przez maszynę przestrzeni dostarczyliśmy elementy innej, większej maszyny, złożyliśmy ją, dostarczyliśmy statek międzyplanetarny z małą maszyną przestrzeni, wylądowaliśmy na Ziemi, przenieśliśmy i ponownie zmontowaliśmy wielką maszynę, zbudowaliśmy bazę. Wygląda na to, że doświadczenie pozostanie unikalne, gdyż źródło energii wyschło. Może wyssaliśmy zbyt wiele energii na raz i źródło zadziała za kilka lat, kiedy uzupełni zapas? Może już nigdy nie zadziała? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć chyba tylko sam Treped. Cóż jeszcze można do tego dodać? Crassus przypomniał sobie, że jest dużo starszy od Trepeda i przeszedł w stan spoczynku, ostatnim rozporządzeniem wyznaczając mnie na kierownika projektu. Sam zgolił brodę i wąsy, zmienił imię i styl ubrania i zajmuje tu jedno z najniższych stanowisk. O tym, kim on był, wiedzą jednostki. Zamierzam przeprowadzić…

Rozległo się ostrożne pukanie do drzwi, ukazała się głowa Lobasti.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Panie Cerbes, pańscy ludzie czepiają się naszych dziewczyn. Umówiliśmy się przecież, że areszt domowy zostaje zdjęty. – Lobasti przyjrzała się temu, co stoi na stole, wciągnęła z szumem powietrze. – Mamo! My, jak głupie, stoimy w korytarzu, pilnujemy ich, a oni znowu piją! Uch, ależ jestem wściekła! Wyrzucili nas z pokoju, a sami!!! Zaraz poleje się czyjaś krew!

– Wchodź i zawołaj całą resztę. Obiecuję się poprawić i nosić cię na rękach.

– Nie! Już kiedyś nosiłeś mnie na rękach! Wystarczy!

– Panie Cerbes, nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, jakie pan ma mądre, dobre oczy – powiedziała Fausta, siadając przy stole.

– I przystojny, męski podbródek – podchwyciła Szalla. Cerbes poczerwieniał.

– Dziewczynki, dziewczynki! – zawołała Catherine.

Penelopa od razu skierowała się do barku i sprawdziła zapasy wina.

– Uwzględniając wielkość smoka, można było oczekiwać gorszego.

Mrok delikatnie odsunął ją i wyjął drugą butelkę.

– Ale to ostatnia! – jęknęła żałośnie dziewczyna. Mrok polizał ją w policzek, wsunął butelkę w ręce i delikatnie popchnął w kierunku stołu. Sam zajął się wyborem kryształowych naczyń. Nakrył do stołu, przed dziewczynami na talerzykach położył po dwa plasterki cytryny, na środku postawił wazę z jabłkami. Nalał dziewczynom do kieliszków-naparstków, trochę chlupnął Cerbesowi, trochę sobie, większość podzielił między smoczyce i wzniósł toast:

– Za wzajemne zrozumienie!

– Czy to moja wina, czy to moja wina, czy to moja wina, że kocham – mruczała piosenkę Catherine. Dziewczyny z ogolonymi głowami siedziały koło siebie i z czegoś się śmiały.

– Kryształy, owoce! Tato, gdzieś ty się nauczył takich manier? – zapytała Lobasti.

– Sam je wymyśliłem. Przecież Cerbes nie zna naszej etykiety. Najważniejsze to działać pewnie, jakbyś całe życie tak robił. Młodzi, kończcie plotki, zaczynamy radę starszych numer trzy. Mamy nowe informacje – i Mrok opowiedział o wszystkim, co usłyszał od Cerbesa.

– Przestrzeń życiowa… W nieograniczonej ilości!Tato, mamo, rozumiecie?! My przysposabiamy planety do życia wiekami, Strefę, Smaltusa. A tu – hop, i gotowe! Bierzemy Ziemię na milion lat przed człowiekiem, i rozmnażamy! Albo, jeszcze lepiej, Sekond, tam doba jest dłuższa i łatwiej latać. Wyobrażacie sobie – nowiutka planeta, ale wszystko o niej wiadomo: gdzie jakie surowce, gdzie nafta, gdzie i kiedy obudzi się wulkan, gdzie najlepiej rosną ananasy.. Mało jednej Ziemi w systemie – usuwamy Księżyc, zamiast niego dajemy drugą, tylko trochę dalej, żeby przypływy były takie same, jak teraz. Na jednej mieszkamy i pracujemy, na drugiej odpoczywamy w rezerwacie… – rozmarzyła się Lobasti.

– To będzie właśnie to, co ja nazywam postępowym zastojem, córeczko. Z jednej strony nieograniczona ekspansja, z drugiej – gdzie spojrzysz, wszędzie to samo, nawet kałuże po deszczu jednakowe – ostudziła jej zapał Catherine.

– Lobasti, uspokój się, źródło energii wyschło, wyczerpali je do dna – dodał Mrok.

– Źródło to głupstwo, zrobimy własne. Na Kwantorze już czerpią energię z gwiazdy. A gwiazdę mają, że ho-ho! Nie to, co nasze Słoneczko. Tato, a jakie perspektywy w przemyśle! Ci tu wynaleźli jakąś maszynę, wypróbowali według pełnego programu, aż do zniszczenia, a potem z przeszłości wyciągnęli tą samą, ale nowiutką, pachnącą farbą, i rozmnożyli. Żadnych braków, żadnych przypadków! Stuprocentowa gwarancja jakości! Róg obfitości!

– A komu potrzebny ten róg obfitości? Ludziom? Mieliśmy już tą obfitość! – wykrzyknęła nagle Penelopa. – Nawet myszy od niej zdychają! Myszy! Istoty nierozumne!

– Co masz na myśli?

– Uczeni robili doświadczenia. Stworzyli mysi raj. Biedactwa po pięciu czy sześciu pokoleniach przestały się rozmnażać. I wymarły.

Lobasti nagle się rozpłakała.

– Córeczko, żal ci myszek? – zdziwiła się Catherine. – A może pomysłu?

– Nie. Nie. Jeśli my jesteśmy tutaj, to wszyscy nasi są tam. Żywi, rozumiecie! Żywi! To my tu wpadliśmy, a oni tam zostali. Nikt nie umarł, wszyscy żyją!

Mrok spochmurniał.

– To jednak równoległe continuum, Lobasti. Dla nas praktycznie nic się nie zmieniło. Jeszcze Dorian mówił mi na Strefie: jednokomorowe zero-t to droga bez powrotu.

– Jak to: nic się nie zmieniło, tato? Teraz nie jesteśmy ostatni! Jeśli zginiemy, ród smoków się nie skończy! Nie trzeba już chodzić na paluszkach, unikać każdego cienia! Nie jesteśmy już szczątkami raju! Moglibyśmy nawet umrzeć!

– A niech ci pypeć wyskoczy na języku!

– I możemy nadać SOS! Trzeba tylko podnieść kuter i przerobić radiolatarnię.

– Chcecie nas opuścić? – zmartwiła się Szalla.

– Poczekaj, Szallo. Coś ty powiedziała, Lobasti? Przerobić radiolatarnię?

– Tak. Teraz jest spolaryzowana w trzech wymiarach, daje płaską falę. A do tego potrzebna jest fala objętościowa, we wszystkich dwunastu wymiarach. A przynajmniej w czterech.

– Wiesz, jak to zrobić?

– Jeszcze nie. Muszę pomyśleć i porozmawiać z miejscowymi fizykami.

– Chcesz wrócić do swojego świata, Lobasti? – nie ustępowała Szalla.

– Oczywiście, że chcę. Tu zaznałam samych przykrości. Trzy miesiące na pięciu g przez wasze doświadczenia. Zastrzyk z pistoletu, który mi sparaliżował skrzydło, mogłam się rozbić. Potem przywiązaliście mnie do stołu tortur. A co dobrego mnie tutaj spotkało?

– Ale my ciebie kochamy.

– Aha! Jak tam mówił twój Laërtes? „Usuńcie tego zielonego krokodyla”. A jutro ojca przywiązują do stołu tortur, nie zapomniałaś?

Szalla wybiegła z sali.

– Catherine, a ty chcesz wrócić?

– Gdzie ty, tam i ja. Nawet na Strefę. Ale dzieci… Im będzie lepiej w domu.

– Tato,my musimy wrócić. Musimy przekazać tą informację smokom.

– A czy smoki na Kwantorze nie zajmują się tym samym?

– O to właśnie chodzi, że nie. Ci ludzie wszystko robią nieprawidłowo. Jak by to wyjaśnić… Cały czas tylną prawą łapą drapią się w lewe ucho. Nieprawidłowo czytają pamięć, badają czas. W zero-t nie orientują się ani trochę. Cała ich aparatura działa na jakichś ubocznych efektach fizycznych. I właśnie dlatego odkryli rzeczy, które normalni uczeni omijają. Rozumiecie mnie? Jeśli nam potrzeba sto gigawatów, podłączamy źródło dające sto gigawatów. A oni takiego źródła nie mają, więc ustawiają szereg procesów ubocznych: tu pobrać energię, tu zamiast pola ekwipotencjalnego wykorzystują wirowe – i proszę: mamy czas zamiast przestrzeni. Nasi uczeni zrezygnowali z tej drogi. Zbyt wiele nieuwzględnionych czynników zaciemnia obraz. A badania jednokomorowego zero-t zabronił sam Wielki Smok. Powiedział, że to kwestia nie fizyki, tylko etyki.

– Cerber ma nadzieję, że pomożemy im utrzymać ich cywilizację na wodzie.

– Nie mam nic przeciw temu. Pomożemy. Tylko zamiast trzech smoków otrzymają kontakt z całą naszą cywilizacją. Dla nas to będzie łatwe. Sto zamieszkałych planet czy sto jeden – niewielka różnica. Zresztą, jeśli zechcą, będą mogli rozsiedlić się po wszystkich naszych planetach. W ciągu dwu pokoleń zrobimy z tych leni ludzi. Rozpuścimy wśród swoich…

– O właśnie!

– Ale przecież to dla ich dobra!

– Co o tym sądzisz, Pen?

– Jeszcze nie mogę powiedzieć. Przeżyjemy, ale nasza kultura zginie. Może nie jest warta świeczki, ale to moja kultura i nie chcę, żeby zniknęła.

– A ty, Fausto?

– Nie wiem, nie jestem gotowa. Wy, smoki, macie po osiem mózgów, a ja mam tylko jedną głowę. Nie przywykłam do myślenia kategoriami całej planety. Ale jeśli nasza kultura zniknie, rozpuści się w waszej, to nie tylko nas, ale i was stanie się trochę mniej.

– Procent kultury na jednostkę ludzką… – rozmyślała głośno Catherine. Fausta nieśmiało podniosła na nią oczy. –Masz absolutną rację, moja mała – dokończyła smoczyca.

Rozległ się stanowcze stuknięcie do drzwi. Na granicy uprzejmości, jak ocenił dla siebie Mrok. Wszedł Cerbes. Za nim dwóch młodych ludzi w jednakowych szarych ubraniach i wysokich butach wprowadziło trzymaną za ramiona Szallę. Nadgarstki dziewczyny były skute kajdankami, głowa dumnie podniesiona, na lewym policzku nabrzmiewał duży świeży siniak.

– Co to ma znaczyć? – zapytał ponuro Mrok, przyglądając się badawczo całej czwórce.

– Szalla Iauri popełniła przestępstwo – tak samo ponuro odrzekł Cerbes – ale zakomunikowała, że została przyjęta do sta… przepraszam, należy do narodu smoków, czyli nie podlega jurysdykcji ludzkiego społeczeństwa. Potwierdza pan jej słowa?

– Co ona nabroiła i jaka kara ją czeka? – Mrok był wściekły. Miał już sztuczek Szalli powyżej uszu. Dziewczyna była kompletnie nieprzewidywalna, mogła mu zepsuć każdy plan. Jeśli na Strefie plan runął z powodu mądrej, ostrożnej Catherine… Bez ludzi się nie da, ale Szallę mogą z powodzeniem zastąpić Fausta i Penelopa.

– Próba zniszczenia unikalnego sprzętu, usiłowanie zabójstwa, stawianie oporu podczas zatrzymania. Drobiazgi typu gróźb można pominąć. Można sprawę wyciszyć i wtedy kary praktycznie nie będzie, tylko deklasyfikacja i powrót a Ziemię. Jeśli jednak ona należy do narodu smoków, zdejmiemy jej kajdanki i przekażemy ją wam. Pod jednym warunkiem: może poruszać się po terenie bazy tylko w towarzystwie jednego ze smoków. My ze swojej strony przedsięweźmiemy środki, żeby to się już więcej nie powtórzyło.

Stojąca tuż obok Mroka Catherine popatrzyła uważnie na męża i wzięła go pod ramię.

– Coś ty narobiła, Szallo?

– Nie chciałam go zabić, to nieprawda! To była samoobrona!

– A cała reszta?

– Chciałam zniszczyć stół tortur. On się na mnie rzucił, i ja go hełmem…

– I jeszcze dwóch – dodał Cerbes. – Wie pan, ona naprawdę dzielnie walczyła tym hełmem. Rozwinęła jego kabel i niszczyła wszystkich i wszystko. Całe szczęście, że kabel jest krótki.

– Rozumiem. Jutrzejsze czytanie pamięci zostaje anulowane?

– Drugi hełm jest cały. Ale proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytanie. Czy wy naprawdę chcecie podnieść kuter i odlecieć do swoich?

– Lobasti proponuje zjednoczenie naszych cywilizacji. Właśnie omawialiśmy negatywne aspekty takiego przedsięwzięcia. Jeśli pan sobie życzy, jutro Penelopa i Lobasti przygotują wstępną analizę problemu.

Cerbes zamyślił się na chwilę.

– Doświadczenie z czytaniem pamięci odbędzie się jutro o wyznaczonej godzinie.

Mrok ponuro spojrzał na Szallę.

– Nie stójcie tak, chłopcy. Natychmiast zdejmijcie kajdanki – rozkazała Catherine, zanim Mrok zdążył się odezwać. Mrok zaklął w myśli, policzył do dziesięciu, znowu zaklął.

„Dlaczego nie jestem na Strefie?” – pomyślał tęsknie.

Młodzi ludzie w szarych ubraniach spojrzeli na Cerbesa, a gdy ten skinął twierdząco, zdjęli kajdanki. Jeden z nich klepnął ją po ramieniu, mrugnął do niej porozumiewawczo, coś szepnął jej do ucha i obaj odeszli, odprowadzani gniewnym spojrzeniem dziewczyny.

– Jak tu na bazie rozchodzę się wiadomości?

– Przez sieć komputerową.

– Znakomicie.Proszę nam dać komputery. Uważam za niezbędne prowadzenie kroniki kontaktów. Każdy epizod kontaktu i wszystko, co się z nim wiąże, powinno być naświetlone z obu stron. Ma tam być zdjęcie uczestnika, krótkie dane o nim, opis zdarzenia i jego interpretacja z punktu widzenia uczestnika: najpierw człowieka, potem smoka. Streszczenia albo redakcji materiału ma prawo dokonać tylko jego autor. Jeśli w zdarzeniu brało udział kilku uczestników, każdy ma prawo przedstawić swoją wersję.

– Najpierw człowiek, potem smok… Dlaczego?

– Kronikę będą czytali głównie ludzie. Lepiej zrozumieją opis wydarzenia zrobiony przez człowieka.

– Ale za to w pamięci lepiej utrwali się to, co przeczytali jako ostatnie, czyli interpretacja smoka – uśmiechnął się Cerbes. – Zgadzam się. Komputery otrzymacie jeszcze dzisiaj.

– Co z dziewczyną, którą uratowałam? – zapytała Lobasti.

– Straciła swój obol. Do jutra. – Cerbes obrócił się na pięcie i wyszedł.

– Co on chciał przez to powiedzieć – zdziwił się Mrok. – Co to jest obol?

– To jest obol. – Szalla wyjęła zza pazuchy medalion na łańcuszku. – Oddaje się go Charonowi. Dopóki nie oddasz, Charon nie przewiezie. A Selena swój straciła, więc Charon jej nie przewiezie, dopóki ktoś za nią nie zapłaci. Nie jest ani żywa, ani martwa. Wałęsa się po brzegu Styksu i jęczy.

– Dosyć! – ryknął Mrok tak głośno, aż wszyscy podskoczyli. – Mamy ważniejsze sprawy.

– Jeśli mówisz o jutrzejszym doświadczeniu, to stawiam dziewięćdziesiąt dziewięć przeciw jednemu, że nie zdołają przeczytać twoich czarnych myśli, tato.

– A białe?

– Białych też nie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś rogaty – Lobasti uśmiechnęła się zagadkowo.

Mrok zamyślił się głęboko. Zamiłowanie smoków do dwuznacznych wypowiedzi było ogólnie znane. Nie ma sensu pytać o rozwiązanie zagadki. Może to jakiś cytat? A może aluzja do tego, jak zderzyli się głowami? Spojrzał na swoje odbicie w lustrze, poruszył rogami.

– Prawidłowo myślisz, tato, ale pocierp do jutra. Poznanie odpowiedzi PRZED seansem nie leży w twoim interesie.

Mrok zrozumiał aluzję. Takiej rady nie można lekceważyć. Trzeba było przełączyć mózg na co innego.

– Nie myślcie o białej małpie – wymamrotał. – Szallo, co ci powiedział ten młodzian?

Dziewczyna poczerwieniała.

– Czyżbyś chciała ukryć jakieś sekrety przed stadem?

– Powiedział: „Nie rozpaczaj. Ostrzyżona owca też obrasta” – wypaliła Szalla.

Wszyscy się roześmiali.

– Nasze ty nieszczęście. – Catherine objęła ją za ramiona.

– Catherine… – zaczął Mrok.

– Jestem, jaka jestem – przerwała mu. Zawsze rozumiała go w pół słowa.

– Na Strefie...

– Nic się nie zmieniło, mój kochany. Powiedz słowo, a podniosę się i złożę skrzydła. Albo przyjmij mnie taką, jaką masz.

– Jesteśmy w jednej łódce? – Teraz wszyscy ucichli. Zrozumieli, że za aluzjami kryje się poważna rozmowa.

– Tak, kochany.

– Kto u steru?

– Ty, tato. A my na dziobie z żerdziami. Wypatrujemy podwodne kamienne – tym razem Lobasti uprzedziła Catherine.

– I kołyszecie łódką.

– Bez tego się nie da – wyzywająco odpowiedziała Lobasti.

– A wiesz, dokąd płyniemy?

– Tato, ty stoisz u steru. My tylko odpychamy dziób łódki od kamieni.

– A ja po każdym odepchnięciu muszę poprawiać kurs?

– C’est la vie.

Mrok się roześmiał. Ogólne napięcie opadło.

– Myślcie, że nie zrozumiałam? – krzyknęła Szalla, machając rękami. – To ja jestem tym kamieniem! – I rzuciła się do drzwi.

– Dokąd?! – ryknął Mrok i w dwu skokach dogonił uciekinierkę. – Siedź! Zapomniałaś? O bazie wolno ci chodzić tylko pod konwojem smoka. Jeśli jeszcze raz rzucisz się do drzwi, założę ci obrożę i będę prowadził na smyczy jak psa. A gdzieś ty chciała uciec?

– Utopić się, tato. Ona jest naszym podwodnym kamieniem – odrzekła za Szallę Lobasti.

Całą noc przesiedzieli przy komputerach. Mrok i Lobasti dyktowali kroniki, Penelopa pracowała jako amanuensis, czyli sekretarka-stenografka, pisząca na komputerze. Przyciski były za blisko siebie dla palców smoków. Catherine powiedziała, że potem przeczyta i poprawi, a teraz dłubała i szlifowała jakąś grubą kość jaszczura. Za parawanem wierciła się i pochlipywała Szalla, przeszkadzając im się skoncentrować.

– Rozdzieliliśmy obowiązki – dyktowała Lobasti. – Ponieważ u mamy i taty łuski jeszcze nie odrosły w całości i nie mogły spełniać funkcji obronnych, wzięłam na siebie ochronę geologów przed skrzydlatymi jaszczurami, a tato i mama dostarczyli ludzi we wskazane miejsce i pomagali w pracy.

Od strony basenu dobiegł cichy plusk. Lobasti wytężyła słuch, lecz zaraz powróciła do tekstu.

– Prace były już na ukończeniu, kiedy jeden z jaszczurów zadał mi niegroźną, ale długą i bolesną ranę wzdłuż przedniej krawędzi skrzydła. Atakował ze skrajnie niewygodnego kierunku, z tyłu i z dołu, dlatego nie mogłam go zobaczyć. Uff, Szalla wreszcie zasnęła. E-e, ostatniego zdania nie drukuj!

Mrok wyciągnął szyję i spojrzał za parawan. Łóżko było puste.

– Ona nie śpi Poszła do toalety.

– Uderzyłam jaszczura skrzydłem, ale zdążył puścić w ruch pazury… Nie, Szalli nie ma w toalecie. Nie słyszałam zamykania drzwi.

– Uciekła? Cudo w piórach! Musimy ją szybko znaleźć, bo znowu gotowa coś zmalować!

Catherine odłożyła pracę, strząsnęła z siebie kostny pył.

– Wy pracujcie, a my z Faustą jej poszukamy.

Włączyła ogólne oświetlenie sali, obudziła dziewczynę, wyjaśniła sytuację. Fausta ubrała się w kilka sekund. Rozdzielając strefy poszukiwani, skierowały się do wyjścia. Koło basenu Fausta obejrzała się i krzyknęła rozpaczliwie. Catherine ciężko rzuciła się do wody.

– Mrok, pomóż! – zawołała.

Lobasti jęknęła żałośnie. Błyskawicznie skojarzyła fakty i już wiedziała, co się stało.

Szalla się utopiła. Jakimś cudem udało się jej bezdźwięcznie donieść do basenu czaszkę ceratozaura, zrzuciła ją na dno i wykorzystała jako balast. Mrok przegryzł mocny sznurek, przetknięty przez oczy czaszki. Catherine położyła dziewczynę na brzegu. Szalla raczej udusiła się niż utopiła. Sznurek na szyi zaciągnięty był tak mocno, że w żaden sposób nie dawało się rozwiązać węzła.

– Lekarza, szybko! – rozkazał Mrok, przeciąwszy wreszcie sznurek pazurami. – Fausta, sztuczne oddychanie!

Ale osłupiała dziewczyna patrzyła tylko na wytrzeszczone oczy i spuchnięty, sterczący z ust język Szalli. Penelopa odepchnęła ją, dwoma palcami odgięła język na bok i zaczęła wdmuchiwać do płuc powietrze. Mrok rytmicznie naciskał czubkami palców lewą połowę piersi.

– Lekarza! – ryknął do \ucha Fausty. Dziewczyna wreszcie wyszła ze stuporu i wybiegła na korytarz. Penelopa odepchnęła łapę Mroka i przyłożyła ucho do piersi Szalli.

– Bije! – zakomunikowała radośnie.

Szalla wydała ledwie słyszalny jęk, zacharczała i wygięła się w łuk.

– Nie ma bezpośredniego zagrożenia życia – powiedział eskulap, spojrzawszy po raz ostatni na przyrządy. – Ale ma złamane pięć żeber, a to nie żarty. Koniuszek języka się zrośnie. Przez jakiś czas będą problemy z dykcją, ale to minie. Jak to się stało?

– Zaczęły się skurcze, szczęki zacisnęło. Dobrze, że zdążyłam wyjąć palce z jej ust – wyjaśniła Penelopa.

– Tak, czasem tak bywa – zgodził się lekarz. – Ale oto odzyskuje przytomność.

Szalla otworzyła oczy.

– Słyszysz mnie? – zapytał Mrok. Dziewczyna opuściła powieki. – Jeśli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, powyrywam ci ręce i nogi i wygonię ze stada. Ty bezmózga kretynko! Skaranie moje! Kamieniu na szyi! Trzydzieści trzy nieszczęścia! Cudo w piórach! Kwiatku muchomora! – Głos mu się zdradziecko załamał. – Dzisiaj złamałem ci pięć żeber, jutro połamię resztę. Omal nie odgryzłaś palców Penelopie. Obiecałaś dobrze się zachowywać? Obiecałaś! I co?! Przez tydzień nie dostaniesz nic słodkiego. Mam już dosyć twoich sztuczek.

Szalla spróbowała się uśmiechnąć.

– Dosyć, proszę wyjść. Chorej potrzebny jest spokój. – Eskulap zaczął natarczywie popychać Mroka w kierunku wyjścia. Za drzwiami zapytał: – Naprawdę przyjęliście ją do swojego stada?

– Smoki nie żyją w stadach. Tylko proszę nie mówić o tym Szalli.

Mrok ocknął się i wsłuchał się w siebie. Żadnych nieprzyjemnych wrażeń. Bleisus naprawdę zdołał dopracować aparaturę. Catherine i Lobasti w napięciu łapały jego spojrzenie.

– I co?

– W porządku. Smaltus. Uczę się latać. Wstyd, i tyle. Dziwne.

– Tak właśnie powinno być, tato – zapewniła Lobasti.

Mrok spróbował się poruszyć, ale ciało było dokładnie przywiązane i przyśrubowane do leżaka. Smoki, dziewczyny i Dirac zaczęli zwalniać zaciski. Stanął na łapy i przeciągnął się.

Ocknął się Cerbes. Poprosił o coś na ból głowy.

– Doświadczenie się udało? – zapytał Bleisus.

– Zależy, co rozumieć przez „udało się”. Tam-tamy w głowie nie stukają i pozostałem sobą. I nie ciągnie mnie do pełzania za smokami po podłodze. To się udało, cała reszta nie. Najpierw bardzo długo tylko ciemność i cisza. Naprawdę bardzo długo. Potem nagły wybuch światła i dźwięku. Tak silny, aż głowa mi pęka.

– Najpierw nie było żadnej informacji, a jak poszła, to nie zmieściła się w kanale. Musieliśmy zatrzymać skanery – skomentował Bleisus.

– Omal mi nie wypaliło mózgu. Kiedy znów zacząłem widzieć i słyszeć, uczę się latać. Koło mnie jest zielony smok. Mówi do mnie w barbarzyńskim języku. Teraz nic z tego nie rozumiem, ale wtedy odpowiadałem w takiej samej chińszczyźnie.

– Pamięta pan może coś z tego? – zapytał Mrok.

– Oczywiście. Zielona samica mówi do mnie… – Cerbes zacytował dłuższą wypowiedź.

–„Moje ty siedem nieszczęść. A sam uczyłeś Widebrow: ogon służy do utrzymywania równowagi. Dlaczego go ciągle zadzierasz do góry? Mam ci na nim powiesić chorągiewkę?” – przetłumaczył Mrok. – A zielona samica – to Catherine. Jeśli powiesz o niej choć jedno złe słowo, urwę ci głowę.

– Zrozumiałem – odrzekł poważnie Cerbes. Catherine spojrzała podejrzliwie na męża.

– Wtedy wydawałaś mi się potworem – wyjaśnił Mrok.

– A dzisiaj? – Catherine mocno złapała go za łokieć.

– Dzisiaj nie ma na świecie lepszej od ciebie. – Catherine rozluźniła się i puściła jego łapę. – Jeśli nie liczyć Lobasti! – dokończył szybko Mrok. Na taki dodatek Catherine się nie obraziła, a Lobasti rozjaśniła się jak włączona lampa.

– Co dwie żony, to nie jedna – Cerbes uśmiechnął się wyrozumiale.

– No a co dalej, co dalej? – dopytywali się wszyscy.

– Nic. Jestem dorosłym smokiem. Uczę się latać. Koniec seansu.

– Pewnie pamięć nierównomiernie rozłożyła się po sekcjach mózgu – powiedział Bleisus, dotknął bandaża na głowie, skrzywił się i cofnął rękę.

„Więc to jego Szalla popieściła hełmem. To się chyba nazywa «oszołomić»[[4]](#footnote-5)” – pomyślał Mrok. – „Ciekawe, kim są dwaj pozostali?”.

– Bardzo możliwe – zgodził się.

– Ale z Lobasti wszystko poszło dobrze – zaprzeczył Cerbes.

– Nie porównujcie mnie z Lobasti. Ona ma wręcz fenomenalną, unikalną pamięć. Pamięta wszystko, w odróżnieniu od nas, grzeszników – zaprzeczył Mrok. – Spróbujcie przeczytać z innej sekcji mózgu. Tylko najpierw zabezpieczcie kanał przed przeciążeniem.

– To łatwe – zgodził się Bleisus. – Sygnał przekroczenia progu przerzucić na zatrzymanie skanerów. Poradzimy z tym sobie w pół godziny.

Technicy uwinęli się nawet szybciej. Gdy dwóch grzebało w pulpicie, trzeci przesunął skaner na hełmie smoka. Lobasti wszędzie wsuwała swój ciekawski nos. Pod koniec znieruchomiała zamyślona przy ścianie. Bleisus skrupulatnie sprawdzi montaż. Mrok znów zajął miejsce na leżaku. Zasnął od razu po pierwszej komendzie.

– No i jak?

Mrok otworzył oczy.

– Uczę się latać – odrzekł.

Ocknął się Cerbes.

– Co to było za pomieszczenie, w którym się ocknąłem?

– Inkubator – odrzekł Mrok w swoim języku. Do diabła, jak to przetłumaczyć? – No, oddział szpitala – powiedział w końcu.

– Rozumiem. Całe ciało jest tak słabe, że chce się umrzeć.

– Udało się? – zapytał Bleisus.

– Nie, ciągle to samo. Tylko początek się nie zatarł. Nie rozumiem języka, uczę się latać.

– No a tło emocjonalne?

– W pierwszym, najcięższym okresie nad wszystkim dominuje poczucie obowiązku.

– O-ho-ho, tato! Nie na darmo twoim imieniem nazwano plac! – zachwyciła się Lobasti. Catherine nastawiła uszy. U smoków to jest naprawdę bardzo wyraziste.

– A później? – wypytywał dalej Cerbesa Bleisus.

– Później, w miarę nauki, najpierw strach i zmęczenie, potem zachwyt. Ten seans skończył się nawet nieco wcześniej od poprzedniego.

– Są tam także inne smoki poza wami?

– Oczywiście, że są. Jest ich dość dużo. Czuje się, że tam trwa jakaś poważna praca. Wszystkie bardzo serdeczne, życzliwe. Lobasti tam wszyscy znają i bardzo radzi widzieć. Ona zaznajamia mnie i Catherine ze wszystkimi. Nam też radzi. Ale co można zrozumieć bez znajomości języka, do diabła? Aha, przez ten cały czas widziałem tylko jedno smocze dziecko. Siedziało ze zwieszonym ogonkiemna krześle i bardzo emocjonalnie grało na komputerze w jakąś prostą grę. Zrobiono dla niego specjalną dziecięcą klawiaturę. Taką samą, jak dorosła, ale trzy-cztery razy mniejszą. W ogóle prawie wszystkie komputery wyposażone są w dziecięce klawiatury. Zadziwiające. Dla jednego dziecka tysiące komputerów wyposażono w praktycznie bezużyteczny dodatek! U nas dziecko nie zostałoby w ogóle dopuszczone do poważnego komputera. Aha, i bardzo dużo dziecięcych mebli. Stoją odsunięte do ścian albo w kąty i nikt Ich nie używa. Dużo cyberów. No i to już chyba wszystko.

– Klawiatur i części mebli używają także ludzie. Nawet, jeśli ich tam jeszcze nie ma, to będą – wyjaśniła Lobasti.

– Może spróbujemy jeszcze jednej sekcji mózgu? – zaproponował Mrok.

– W ciągu jednego dnia? To może być niebezpieczne dla biorcy – zwrócił uwagę Bleisus.

– Można jeszcze jeden seans. – zadecydował Cerbes. – Otrzymałem informację praktycznie tylko z dwu miesięcy życia.

Do wieczora zdążyli przeprowadzić jeszcze dwa seanse, z tym samym rezultatem. Technik nie zdołał przesunąć skanera na kolejną pozycję: przeszkadzały rogi. Mrok zrozumiał sens wczorajszej aluzji Lobasti.

– Wybaczcie, chłopcy, ale rogów nie pozwolę zgolić. Rogi to nie włosy, rosną latami. A ja nie chcę wyglądać jak jakiś zwyrodnialec czy niebieski ptaszek – oświadczył kategorycznie Mrok, choć nikt nie zgłosił takiej propozycji.

– Myślę, że to bezużyteczne. Sprawdziliśmy połowę mózgów, rezultaty stabilne – zgodził się Bleisus. – Może nam pan to wyjaśnić, panie Mrok? Może pana w dzieciństwie upuścili? Albo napił się pan wody z Lety?

– Z chęcią – odpowiedział życzliwie Mrok. – Niedoskonałość waszej aparatury. Niedawno – według mojego biologicznego czasu – przeszedłem… hm, reinkarnację, więc wasze skanery łapią tylko to, co było później. Tego, co było wcześniej, ani razu nie złapały.

– Ale reinkarnacja to przecież przesiedlenie nieśmiertelnej duszy.

– Ściślej byłoby określić to jako zmianę ciała. Dusza to… – Mrok skrzywił się, nie wiedząc, jak to zdefiniować.

– Czarne luki… Czy to obszary pamięci reinkarnacyjnej?

– Nie – zaprzeczył Mrok. – To raczej dorastanie organizmu. Lobasti mówiła wczoraj coś o tym, że czytacie pamięć inaczej niż my. Lobasti, obudź się!

– Nie śpię, tato. – Smoczka wysunęła głowę spod skrzydła i ziewnęła szeroko. – Nie jestem specjalistą, nie znam szczegółów. Wy przekazujecie od razu, my najpierw zapisujemy w komputerze… Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Różnice muszą być. Oni są ludźmi, my smokami – Lobasti znowu schowała głowę pod skrzydło i zwinęła się w kłębek na podłodze.

– A dlaczego pan poszedł na reinkarnację? – zainteresował się Bleisus.

– Czego się nie zrobi dla kobiety? Chodzi o to, że poprzednie ciało Catherine zginęło od wybuchu. Lobasti urodziła dla Catherine nowe ciało i przepisała w nie jej pamięć. Tak że biologicznie to Catherine teraz jest córką Lobasti, a nie na odwrót. Ale po tej roszadzie cechy biologiczne moje i Catherine przestały się zgadzać. Lobasti dobrała mi nowe ciało i zaproponowała mi przemianę. Pan, panie Cerbes, już poczuł na sobie, jaka to nieprzyjemna operacja. Trzeba wszystkiego uczyć się od nowa. Chodzenia, siedzenia, trzymania łyżki.

– I pan na nią poszedł, chociaż nowe ciało Catherine zupełnie się panu nie podobało?

– Khe-khe. – Mrok znacząco wskazał oczami śpiącą w kącie Catherine. – Bez komentarzy. Ten temat nie podlega dyskusji. Oprócz tego wasza informacja jest przestarzała. Catherine ma cudowne ciało, trzeba tylko zrozumieć jego piękno.

– Wewnątrzrodzinna wymiana ciał… Do tego muszą być wypracowane szczególne etyczne normy i zasady – zamyślił się Bleisus. – Dla mnie to zbyt skomplikowane.

– Dla mnie też – zgodził się Mrok. – Lobasti miała z tego powodu całą masę nieprzyjemności. Właśnie dlatego chcieliśmy odosobnić się na dalekiej stacji naukowej, dopóki wszyscy o tym nie zapomną.

Wszyscy zamilkli, rozmyślając o tej sytuacji.

– No dobrze, jeśli już nie ma żadnych propozycji ani pytań, to my już pójdziemy. Mieliśmy ciężki dzień. Catherine, Lobasti! Pobudka! Pójdziemy odwiedzić Szallę.

– Tato, jesteś geniuszem! – szepnęła na korytarzu Lobasti. – Opowiedziałeś om o nas wszystko – i zarazem nic.

– To on potra-afi – ziewnęła Catherine. – Czasem mam wrażenie, że dawno nauczył się oszukiwać nawet mnie.

Mrok poczerwieniał. Ciemnoczerwone paski ostro wyróżniły się na tle zielonych pasów rosnących łusek. Lobasti parsknęła śmiechem i od razu przykryła głowę końcem skrzydła, zadziornie strzelając spod niego oczami.

„Nie myśl, że jestem taka głupia” – pisała Szalla. – „Całymi dniami myślałam o tobie. Nie jesteś taki, jakim się wydajesz”.

– Nie jestem taki, jakiego mnie sobie wyobrażałaś – poprawił Mrok.

„ Masz duszę czarniejszą od nocy. Słyszałam, jak rozmawiałeś z Catherine. Gotów każdego zabić!!! Oszukujesz wszystkich!!!” – Szalla o mało nie złamała długopisu stawiając wykrzykniki i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

„Jeszcze jedna kobieca dusza mnie rozgryzła” – smutno, nawet z pewną obojętnością pomyślał Mrok. – „Dlaczego to udaje się tylko kobietom? Ani Tyson, ani Conan tak się na mnie nie poznali. A przecież przeszliśmy razem przez tyle niebezpieczeństw. I strzelali do nas, i paliliśmy się na sterowcu, i walczyliśmy z rzeką. Tak długo mieszkaliśmy w jednym namiocie – i nic. A ta gołoskóra małpeczka – w ciągu niecałego miesiąca. Co mam z nią teraz zrobić?”.

– Kontynuuj – powiedział.

„Potrzebujesz służących. Zabijesz każdego, kto ci się nie podporządkuje”.

– Odpowiem ci punkt po punkcie. Nigdy nie oszukuję Lobasti i prawie nigdy Catherine. Wszystkich innych oszukuję zawsze, kiedy wymagają tego moje plany. Służących nie potrzebuję. Rzeczywiście jestem zabójcą. Zanim zostałem smokiem, zabiłem ponad trzystu ludzi. Jeśli chcesz, mogę ci dokładnie opowiedzieć, kogo i za co. I teraz, nie zastanawiając się, zabiję każdego, jeśli to przyniesie korzyść Catherine albo Lobasti. Nie, źle powiedziałem. Zastanawiając się, i to poważnie. Żeby zabójstwo przyniosło korzyść, a nie szkodę, żeby nawet swoją śmiercią człowiek pracował dla mnie, a nie przeciw. Co tam jeszcze miałaś w wyroku? Dusza czarniejsza od nocy. W samo sedno. Pustynia wysypana popiołem od horyzontu do horyzontu. Tylko dwie jasne plamki: Lobasti i Catherine. Ale o te plamki będę walczył do upadłego. – Uśmiechnął się ponuro. – Walczyć do upadłego – to jedyne, co umiem naprawdę.

„Znowu kłamiesz” –nabazgrała ze złością Szalla.

– Nie. Tobie mówię prawdę.

„Dlaczego?”.

– Bo zrozumiałaś mnie, to najważniejsze. Nasza rozmowa to tylko uściślenie drobnych szczegółów.

„Bawisz się ze mną jak kot z myszą. Potem mnie zabijesz. Ale ja nie boję się śmierci”. – Znowu dumne, złośliwe spojrzenie.

– Głuptasie. Zupełnie mnie nie słuchasz. Przecież mówiłem, że zabijam tylko wtedy, kiedy to jest dla nas korzystne. Jeśli umrzesz, Lobasti i Catherine będzie tyko gorzej, rozumiesz? One się do ciebie przywiązały. Ja zresztą też. To głupie, ale trudno.

Szalla długo myślała, wreszcie skinęła głową i napisała:

„Nie chcę źle dla Lobasti i Catherine. Co mam zrobić? Co ty ze mną zrobisz?”.

„Cudo W Piórach. Wpędziła siebie w etyczny kozi róg, a teraz ja mam za nią decydować!” – pomyślał Mrok.

– Zdrowiej szybciej. Jutro rano wylatujemy podnosić kuter. Wrócimy nie wcześniej, niż na tydzień. Leż i myśl.

„Lecę z wami”.

– Gdzie się pchasz? Będziesz tylko przeszkadzać.

„Będę twoim sumieniem” – napisała i obwiodła ramką.

„Lecimy. Cztery ciężkie śmigłowce i kilka lekkich. W pierwszym leci Lobasti jako nawigator. W drugim i trzecim ja i Catherine, czwarty wypełniają beczki z paliwem. Nie ma co robić, więc oboje z Catherine latamy w gości jedno do drugiego. Maszyny lecą z szybkością około dwustu kilometrów na godzinę, więc łatwo je dogonić i przegonić, ale wlecieć w ruchu do bocznego luku towarowego to już najwyższa klasa smoczego lotu. W ostatniej chwili strumień powietrza od śruby gwałtownie spycha cię w dół. Za pierwszym razem ja silnie wyrżnąłem nosem w stopień, a Catherine omal nie została bez skrzydła”.

Mrok postawił kropkę i zaczął przysłuchiwać się rozmowom pilotów. Niedawno odkrył zadziwiające możliwości uszu smoka: można je było wycelować na potrzebny obiekt, wydzielając go w każdym otaczającym hałasie spośród innych – lepiej od najlepszych magnetofonów kierunkowych. I teraz eksperymentował na całego z nowym talentem.

– Więc to ona sama sobie odgryzła język? – pytał pierwszego pilota drugi.

– Chciała odgryźć, ale nie zdążyła. Smok jej nie dał. Rozzłościł się strasznie, chciał ją zbić i niechcący połamał jej żebra. Potem sam się przestraszył i wszystkich lekarzy postawił na nogi.

– O-o-o! – wyrwało się Mrokowi.

– Od dziesięciu lat marzę o tym, żeby wyrwać język mojej teściowej. Albo policzyć jej żebra. Ale do Szalli jej daleko. Dziewczyna się zagalopowała. Smarkula, a robi z siebie…

– Już nie robi. Smok postawił ją na miejscu. Wiesz, jak on ją nazywa? Kwiatek muchomora.

„Kiedy ja ją tak nazwałem?” – zamyślił się Mrok. – „ Aha, w szpitalu. Ale… nikt mnie nie słyszał. Czyli słyszał… (Mrok zapomniał o lekarzu).O czym jeszcze rozmawialiśmy w szpitalu? O, do diabła! Do stu tysięcy diabłów! Gówno! Cholera! Szallo, ty nie jesteś kwiatkiem muchomora, tylko kaktusem w tyłku!”.

Przez jakiś czas Mrok ponuro oglądał kikut ogona, potem zwrócił się do dziewczyny. Ta z mocno obandażowanymi żebrami leżała koło iluminatora i ponuro obserwowała nieskończone fale oceanu.

– Szallo, pamiętasz naszą ostatnią rozmowę w szpitalu?

Dziewczyna skinęła twierdząco głową.

– Długo nad tym myślałem. Musisz, po prostu masz obowiązek umieścić ją w komputerze. Jak najściślej. Zabierz się do tego zaraz, inaczej coś zapomnisz.

Szalla pokręciła głową przecząco.

– To rozkaz. Mnie samemu nieprzyjemnie, ale to historia kontaktu.

Dziewczyna wyjęła deszczułkę do pisania

„Jestem członkiem stada. To była rozmowa wewnątrz (dwa razy podkreślone) stada. Jeśli ludzie się dowiedzą, wszystkim będzie źle”.

– Jesteś członkiem stada, więc wypełnij mój rozkaz. Jesteś człowiekiem, więc to też historia kontaktu. Wprowadzaj do komputera, już! – ryknął Mrok i podsunął jej klawiaturę.

Dziewczyna puściła łzę i otworzyła plik. Mrok obserwował ją przez kilka sekund, pogłaskał po ramieniu, zlizał słoną kroplę z policzka i spojrzał w iluminator. Dolatywali do wyspy, czołowa maszyna już lądowała. W powietrze wzbiło się kilka latających jaszczurów. Mrok rzucił się w kierunku luku, otworzył go i wyskoczył. Sekundę spadał swobodnie, po czym rozwinął skrzydła i przeszedł do lotu ślizgowego z przyśpieszeniem. Z pierwszej maszyny wyskoczyła Lobasti, a po sekundzie z drugiej Catherine. Ostrożność okazała się zbyteczna. Jaszczury nie zamierzały napadać na śmigłowce, Uciekały ze wszystkich sił, ratując się przed nieznanym. Mimo to smoki patrolowały w powietrzu, dopóki nie wylądował ostatni śmigłowiec. Zaczęło się tankowanie paliwa. Żeby je przyśpieszyć, smoki zaczęły pomagać. Brały pod pachę trzystulitrowe beczki i niosły do maszyn. Ludzie wstawiali końcówki pomp ssących w wybite denka beczek i przepompowywali paliwo do baków. Uporali się z tym w rekordowo krótkim czasie, czym rozczarowali geologów i biologów. Cerbes zaproponował przedłużenie postoju, ale Mrok ryknął bez słów, waląc się łapą w czoło. Męczyły go niedobre przeczucia.

Zaraz po starcie skonfiskował komputer Lobasti – i tak był jej teraz niepotrzebny – i przeczytał kroniki kontaktu. Smoki wyglądały w nich całkiem nieźle, lepiej od ludzi. Niepokoiły go tylko relacje Bleisusa. Niby tylko podawał gołe fakty, nie komentując ich zupełnie. A mimo to ich lektura wywoływała uczucie jakiegoś podświadomego strachu, przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Pasożyt władał klawiaturą komputera po mistrzowsku. Mrok wiedział już od dziewczyn wcześniej, że Bleisus odmówił także skomentowania próby samobójstwa Szalli. Zakomunikował tylko, że życie i śmierć któregoś smoka to osobista sprawa samych smoków. Znowu niby nieszkodliwe zdanie, ale przytoczone w odpowiednim kontekście… De facto Szalla była przecież człowiekiem, w dodatku ładną dziewczyną. Coś w smoczym stadzie jest nie w porządku, jeśli ładna dziewczyna chce z sobą skończyć. Nic gorszego nie da się wymyśleć. Mrok postanowił porozmawiać z Bleisusem bez ogródek.

Wieczorem przylecieli na wyspę, koło której zatonął kuter. Ludzie zaczęli rozładowywać śmigłowce, a Mrok i Lobasti wzięli boję echolokacyjną i polecieli na zwiad. Rezultaty ich nie ucieszyły, choć mogło być znacznie gorzej. Kuter leżał na stromym zboczu. Głębokości nie udało się ustalić dokładnie: od trzystu do ponad pięciuset metrów.

– No i jak? – zapytała Catherine, kiedy powrócili.

– Tato przez całą drogę powrotną klął – opisała sytuację Lobasti.

Ktoś grał na flecie. Nieskończona smętna melodia z czterech nut. Równie smętna jak nastrój Mroka i bardzo do niego pasująca. Poszedł w jej kierunku. Smoki w ciemności widzą jak koty, zresztą na pasie miał w kieszonce latarkę, a na niebie świecił księżyc w pełni. Przez dwie poprzednie godziny ostro wykłócał się z małpkami. Lotnicy nie chcieli lecieć z powrotem w nocy.

– A co to za różnica: w dzień czy w nocy? Lecicie według radiolatarń, prawie w całości nad oceanem. Miejsce lądowania będzie oświetlone reflektorami. W czym problem?

– Instrukcja. Śmigłowce nie latają w nocy.

– Przynieście mi tą instrukcję. – Przynieśli. – Jak widzę, chłopcy, macie papierek na przykrycie tyłków. Przynieście ze wszystkich pozostałych maszyn.

Przynieśli. Mrok przeliczył broszury, ułożył w równy pakiet, włożył do paszczy i zjadł, popijając gorzką wodą z oceanu.

– Jesteśmy tu po to, by uratować człowieka, rozumiecie?! –zaryczał ochryple. – Człowieka, nie smoka. Dlaczego muszę to wam tłumaczyć, półgłówki? Czy ja jestem człowiekiem?!

– Ale instrukcja…

– Gdzie ta instrukcja? Pokaż mi ją!

– Przecież masz ją w brzuchu.

– Więc słuchaj mnie, ty wcześniaku! Ja jestem twoją instrukcją! Zrozumiałeś? Powtórz! – Mrok chwycił go za ramiona. – Powtórz, sucze nasienie!

Przerażony człowiek coś wymamrotał, a kiedy Mrok go puścił, upadł tyłkiem na kamienie. Smok, ciężko oddychając, kilkakrotnie wypuścił i schował pazury.

– Wszyscy zrozumieli? Ktoś jeszcze ma pytania? Nie? Więc rozejść się do maszyn! Jutro po południu macie tu być z powrotem z ładunkiem. Jak nie zdążycie, pourywam głowy!

Cztery ciężkie śmigłowce odleciały do bazy. Pilotom lekkich Mrok kazał pomagać technikom składać szkielet wielkiego pontonu. Aż taki pośpiech był zbędny, ale trzeba było umocnić w ludziach świadomość tego, kto tu rządzi. Zresztą Mrok sam pracował na równi z pozostałymi. Dokładnie, szybko, zawzięcie, w milczeniu. Taszczył tytanowe belki, przytrzymywał je, kiedy robotnicy wstawiali w nie śruby i przykręcali mutry. Właśnie śruby po godzinie się skończyły. Zadowoleni technicy i ponurzy lotnicy rozeszli się po nadmuchiwanych domkach.

Na flecie grała Catherine. Siedziała na brzegu z rozciągniętym na piasku lewym skrzydłem, patrzyła z zachwytem na księżyc w pełni i ciągnęła swoją melodię w nieskończoność. Szum przyboju, dźwięk fletu, księżyc nad horyzontem. Kiedyś, w niemal zapomnianych czasach, jeszcze przed Strefą, było to samo. I słowa, niesprawiedliwe, złe, obraźliwe słowa: „Nie chcę być jedną z wielu. Wy, kosmki, na każdej planecie macie po dziewczynie”. Potem był ten nieszczęsny lot. I Strefa. A przecież ona była podobna do Catherine. Mrok usiadł obok Catherine, położył jej łapę na ramieniu. Nie przestając grać, potarła policzkiem jego palce.

„Dobrze” – pomyślał Mrok. Głucha złość na małpki mu minęła, w duszy zapanował spokój.

Pod palcami wyczuł jakiś rzemyk. Przyjrzał mu się. Była to plecionka Crassusa z kolorowych półprzeźroczystych plastikowych rureczek. Na niej wisiał medalion.

– Można? – spytał Mrok. Catherine skinęła twierdząco. W medalionie były dwie miniatury: Catherine-człowiek i Catherine-smok. Pod każdą dwie-trzy linijki tekstu.

– Co to jest?

– Obol. – Catherine na chwilę oderwała się od grania.

– Myślałem, że obol to moneta. Sądzisz, że zdołamy przebudować radiolatarnię?

– Lobasti w to wierzy, ja nie. – Catherine pokręciła przecząco głową.

– Więc po co to wszystko? – Wykonał nieokreślony szeroki gest.

– To nasza Ojczyzna. – Catherine zagrała złożoną, przenikliwie smutną melodię.

– Ojczyzna jest tam, gdzie masz korzenie. Gdzie ciągnie ciebie wrócić.

Kiedy powrócimy do Portland,

Sam wejdę na szafot, przysięgam.

Tylko my do Portland już nigdy,

Przenigdy nie powrócimy…

– zaśpiewała Catherine niskim, męskim głosem.

– To nie to. Nie mam gdzie wracać, na tym polega cały szkopuł. Urodziłem się w kosmosie. To stare żelazko dawno już poszło na złom.

– Mrok, to trochę nie o tym, ale ja coraz częściej myślę o Maggie. O Conanie, Tysonie, Guzie. Oni w ciebie wierzyli, że ty ich wyciągniesz na górę.

– Wątpię, czy Guz zechce pójść na górę.

– Ale Strefa pozostała Strefą. Czy Maggie nie odsiedziała swojego? Zechce czy nie – to inna sprawa. Najważniejsze, żeby prawo na to pozwoliło.

– Strefa jest tam, a my tutaj.

– Tak, tak, oczywiście – mruknęła Catherine i znowu zaczęła grać.

– Co to jest Strefa? – zapytał Crassus, który, jak się okazało, siedział pod jej lewym skrzydłem.

– Zesłanie. Katorga. Planeta-więzienie dla bezterminowych – wyjaśnił mu Mrok.

– Myśmy stamtąd uciekli – dodała Catherine.

– Uciekliśmy? Spójrz na siebie w lustro. Twoje ciało na Strefie już dawno zjadły robaki. Sam, tymi rękami zakopałem je w ziemi. – Mrok spojrzał na swoje łapy i mimowolnie wypuścił pazury. – Tfu, do diabła, nie tymi!

– No dobrze, ja nie – zgodziła się od razu. – Ale ty przecież uciekłeś ze Strefy w swoim ciele. A smokiem stałeś się dopiero potem, dla mnie i Widebrow.

„Śmieszne” – pomyślał Mrok. – „Ona mnie o tym usiłuje przekonać. Ma rację tylko o tyle, że rzeczywiście uciekłem ze Strefy jeszcze jako człowiek – jedyny, któremu to się udało. Do zero-t przemyciła mnie pod skrzydłem Lobasti, na bazie od razu dokonała zapisu, po czym porzuciła ciało gdzieś koło mojego domu na planecie, pozorując wypadek. Formalnie się zgadza. Ale co z tego?”.

Minęły dwa dni. Mrok się śpieszył. Po każdym rejsie śmigłowców ludzie pracowali, dopóki nie wyczerpali zapasu przywiezionych detali, po czym padali wyczerpani na ziemię. Mrok zabraniał im podnosić ciężary, ale nie mógł upilnować. Lobasti śmiała się i mówiła, że smokom ciąża w pracy nie przeszkadza i że on ma w świadomości przeżytki minionych epok, aż do paleolitu. Nie wierzył jej. Catherine bała się o swoją ciążę – właśnie dlatego, że nie odczuwała żadnych nieprzyjemnych objawów, oprócz zmiany smaku i senności. Lotnicy pracowali na zmiany, przy czym lot uważany był za pracę lżejszą, zwłaszcza że przed nim mieli obowiązkowy dwunastogodzinny odpoczynek. Układanie rozkładu zajęć dla nich i kontrolę przestrzegania harmonogramu Mrok powierzył Szalli. Dziewczyna naprawdę bardzo się starała być pożyteczną nawet w tym stanie.

Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Czuł się sobą tylko w godzinach wytężonej pracy. Potem szedł gdzieś na skały, kładł się na kamieniu i intensywnie myślał – o niczym. Ludzie i smoczyce starali się go nie niepokoić.

Kątem oka dostrzegł wśród kamieni ruch. Dwóch młokosów wspinało się na wierzchołek najwyższej skały. Z przyzwyczajenia skierował na nich uszy, nie poruszając głową.

– Kompletnie się rozzuchwaliły – usłyszał –Nie dość, że zgoliły włosy, to jeszcze chodzą bez staników. Mówią, że smokom ubranie jest niepotrzebne.

– To z powodu upału. Kto chciałby chodzić w ubraniu w taki upał? Zresztą co się na nie tak rzucasz? Pracowały bez staników tylko pół zmiany.

– Znalazłeś sobie temat. One by i teraz tak pracowały, ale Penelopa przycisnęła sobie dwuteownikiem cycek. Jeszcze trochę, a pozostałaby amazonką do końca życia.Od razu zrozumiały, co to jest technika BHP.

– Coś ty tak na nie napadł? Przyjechałeś tu za mamoną, a one dobrowolnie.

– To ten upał.

– Nie upał, tylko wilgotność.

– Jedno licho. Popatrz no – Lizus! Ależ z niego gęsior wyszedł! Dobry, szlachetny… A jak zaczął komenderować! Takiego steku nie słyszałem nawet od bosmana na finiszu regat, kiedy nas przegoniła libijska triera.

– Gamoń jesteś. On tego nauczył się od nas. Mówi tak jak my. Założę się o swój obol, że nawet nie wie, że to jest niecenzuralne.

– No nie mów! Uważasz go za tępego jak noga stołowa?

– Przeczytaj kroniki kontaktu. Pierwsza rozmowa z Cerberem. Tam powiedział wyraźnie, że nie może nas zrozumieć właśnie przez te przekleństwa.

– Ale teraz świetnie rozumie. I przeważnie mówi, aż miło słuchać. Ma świetne porównania, każde to strzał w dziesiątkę. To bardzo dobrze stymuluje, wiesz. Jak zastrzyk adrenaliny.

– Przecież ci mówię, klnie jak szewc, ale tego nie rozumie. Uczył się języka z ulicy, nie z podręcznika. Wyobrażasz sobie teraz, jak my wyglądamy z boku?

– Na bogów Aida! Jeśli masz rację, to źle z nami. Bleisus też mówi, że smoki mają nas powyżej uszu. Podniosą kuter i wyniosą się gdzie pieprz rośnie.

– Lizus mówi, że ratujemy Selenę.

– Komu bardziej wierzysz? Raz już oszukał Bleisusa, kiedy powiedział, że ich planeta wybuchła.

– Nie czytasz kroniki. A jak miał wyjaśnić, skąd jest, nie znając języka? To my ich ściągnęliśmy z jego przestrzeni w naszą. Wyobraź sobie, że jedziesz na rowerze po drodze. I nagle – buch! Fikasz kozła i już jesteś w głuchym lesie, ani drogi, ani roweru, ani ludzi, otaczają cię obcy. Co byś pomyślał? Wymyśliłbyś jakąś bajkę i wszystkim później opowiadał, co? Człowiek musi wymyśleć jakeś wyjaśnienie, żeby nie zwariować.

– Mówimy o ludziach czy o smokach?

– Na jedno wychodzi. Możesz zresztą zapytać Lizusa.

– Jakoś nie chce mi się go już nazywać Lizusem. Widziałeś jego pazury?

– Lizus nikogo nie tknął palcem.

– A tych dwóch?

– To nie on, to ta jego zielona amazonka z czołem Sokratesa. W żaden sposób nie mogę zapamiętać, jak się nazywa. Zresztą ich nie zabiła, chociaż mogła i chciała.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Mówię ci, czytaj kroniki. Nie oderwiesz się.

– Jesteśmy tu już dziesięć minut, a on ani razu się nie poruszył. Może coś mu się stało?

– Zmęczył się jak legionista po marszu. Jemu ciężej niż nam: my się pocimy, a smoki nie. Wiesz, o czym myślę? Widziałeś kiedyś, żeby Cerber harował od świtu do zmierzchu ze wszystkimi, a potem tak leżał sobie plackiem wśród kamieni, by nikt nie widział słabości naczelnika?

„Zmęczyłem się?” – pomyślał Mrok. – „Niezła legenda. Wypadałoby ją podtrzymać”.

– Może jednak sprawdzimy? Mam akurat pytanie do niego.

Młodzi ludzie zaczęli schodzić ze skały. Mrok zamknął oczy i skierował uszy w innym kierunku, chcąc odgadnąć, jakie pytanie ich dręczy. Gdy kroki się zbliżyły, drgnął, otworzył oczy i rozejrzał się.

– Witajcie, chłopcy. Zdrzemnąłem się tutaj. Śmigłowce wróciły?

– Nie, śmigłowców jeszcze nie ma Mamy pytanie. Ludzie, kiedy są czegoś pewni, mówią: jestem gotów założyć się o swój obol. A o co gotowe są założyć smoki?

Na takie pytanie Mrok był zupełnie nieprzygotowany.

– O swój ogon – burknął. Chłopcy wpatrzyli się w niego, potem spojrzeli jeden na drugiego i zarżeli. Zuchwale, bezczelnie, nieprzyzwoicie.

– Efeby – mruknął jeszcze i nakrył głowę skrzydłem.

„Kto powiedział, że smok jest mądrzejszy od nogi stołowej?” – pomyślał. – „Ty kretynie krótkoogoniasty!...”.

Wszystkie trzy dziewczyny coś zamyśliły. Nawet Szalla, chociaż lewa ręka bolała ją przy każdym ruchu, a język nie wymawiał połowy spółgłosek, dowodziła czegoś z rozgorączkowanymi oczami. Plastikową deszczułkę do pisania, którą nosiła przewieszoną na rzemyku przez ramię, wyrywały jedna drugiej, kreśliły coś na niej, ścierały, znowu kreśliły.

– Co one zamierzają? – zapytał Mrok Catherine.

– Nie bój się, tym razem nic niebezpiecznego. Niech się bawią.

Dziewczyny pobiegły do kąta, gdzie Mrok pracował, ostrożnie złożyły plany pontonu na podłodze, podniosły stół z obu stron i zaniosły go do siebie za kotarę.

– Dziewczynki, dziewczynki! – zawołała na nie Catherine.

– Zwrócimy do rana – odpowiedziały. Lobasti podniosła się, leniwie przeciągnęła, jakby nie miała co robić, i też poszła za kotarę. Spór półszeptem rozgorzał z nową siłą.

– To kpiny i parodia! – zapewniała smoczka. – Będą z nas śmiać się jak z nienormalnych. Z powrotem do małp.

– Ale przecież ty masz...

– Trzeba mieć swój! – odcięła się Lobasti.

– Ale chociaż...

– A może tak?

– A gdzie funkcjonalność?

– Wypchaj się swoją funkcjonalnością!

Mrok chciał wstać i zajrzeć za kotarę, ale Catherine go powstrzymała.

– Nie trzeba. One przygotowują niespodziankę.

– Wszyscy wszystko wiedzą. Tylko ja nic – rzucił Mrok i zagłębił się w szkice pontonu.

Kolejnym rejsem przybyli nurkowie, Cerbes i lekarze-biologowie z Bleisusem na czele. Mrok potrząsnął głową, powierzył kierowanie pracami Lobasti i poszedł do ludzi. Jutro zanurzenie, niech to diabli!

– Witam, Cerbes. A ciebie, Bleisus, mogę prosić na kilka słów? – I skierował się ku skałom.

Bleisus zamienił kilka słów z Cerbesem i poszedł w ślad za nim. To już był sukces. Sto metrów dalej Mrok obejrzał się i zobaczył Szallę. Dziewczynabiegła przechylona na bok, prawym ramieniem naprzód, przyciskając dłonie do połamanych żeber. Mrok zatrzymał się, poczekał na nią.

– Daleko idziemy? – zapytał Bleisus.

– Można i tutaj. – Mrok usiadł na kamieniach, posadził Szallę sobie na kolana. Bleisus nie miał na czym usiąść, musiał stać.

– Kobieta też będzie obecna przy naszej rozmowie?

– Nie mam przed nią tajemnic. Bleisus, co masz przeciw naszemu gatunkowi?

– Ach, ty o tym! Mam obawy, że wasz gatunek może stanowić zagrożenie dla naszego.

–Tylko obawy czy pewność?

– Obawy bliskie pewności.

– I dlatego usposabiasz ludzi przeciw smokom? Tylko z powodu swoich obaw?

– Robię to, co uważam za konieczne. Gdybym miał pewność, żądałbym zerwania stosunków ze smokami. Ponieważ nie mam tej pewności, staram się obudzić w ludziach rozumną ostrożność.

– Więc tak to się teraz nazywa? A my, smoki, nazywamy to paranoidalną podejrzliwością.

Mrok znowu był w swoim żywiole. W walce. Na słowa, ale jednak to była walka. Przemyślana i przygotowana. Przeciwnik nie miał żadnych szans. Teraz Mrok był nawet zadowolony, że Bleisus zjawił się tu przed, a nie po czy w czasie zanurzenia. Zwłaszcza nie w czasie. Cerber miał rację. W ciągu dwu i pół tysiąca lat pokoju te małpki zupełnie straciły swoje cechy bojowe. Walczyć z nim – to jak z dziećmi. Aż wstyd.

– A my, ludzie, rozumną ostrożnością. Wy, smoki, z wyglądu jesteście jak amorki ze skrzydełkami. Tylko że ten wygląd jest oszustwem.

– Ja – amorkiem? Widocznie dawno nie zaglądałeś do kronik, jeśli tak twierdzisz.

– Wiem, co mówię i do kogo mówię. W Rzymie też długo kwitła kasta zabójców.

– I wszyscy byli podobni do amorków?

– W każdym razie tak uważali. Jak ty według kronik.

– Przeczytaj jeszcze raz komunikaty Szalli. Dziewczynko, co się z tobą dzieje?

Szalla zeskoczyła z jego kolan i z płaczem padła plackiem na ziemię, obejmując jego łapę.

– Wybacz mi, wybacz, zawiod’am cię! Nie w’ączy’am tej ‘ozmowy do k’onik. Znowu cię zawiod’am.

To był cios… To był cios poniżej pasa.

„Dlaczego wszystkie moje plany rozpadają się zawsze przez kobiety?” – pomyślał Mrok. – „Dlaczego nie sprawdziłem? Szallo, Trzydzieści Trzy Nieszczęścia, ten, kto ciebie tak nazwał, był naprawdę mądry. Dobrze, zmieniam plan. Jestem zmieszany, zaskoczony i zadaję idiotyczne pytania”.

– Ale… Jak to? Szallo, przecież zapisywałaś ją przy mnie. Przynajmniej jej nie starłaś?

Szalla pokręciła głową.

– W’ystko jest w kompute’e. Nic nie ście’a’am, po p’ostu nie wstawi’am do k’onik.

– Czekaj, czekaj… Bleisus, a skąd ty wiesz, o czym myśmy wtedy rozmawiali na sali? Przecież ciebie tam wtedy nie było.

– Sale wyposażone są w łączność z dyżurką. Lekarz wszystko widzi i słyszy.

– K’amie! – wykrzyknęła Szalla. – Pods’uchiwał!

– Raczej nie, zresztą jedno drugiego nie wyklucza. Podnieś się, Szallo, nic strasznego się nie stało. Jeśli Bleisus słyszał naszą rozmowę, zrobi z niej sprawozdanie w imieniu ludzi, a twoje pójdzie w imieniu smoków. Zgadzasz się, głuptasko?

Szalla pociągała nosem. Była gotowa zgodzić się na wszystko.

– Najpierw chciałbym zaznajomić się ze sprawozdaniem Szalli – powiedział Bleisus.

– To wpłynie na ścisłość twojego. Ach prawda, ty nie wierzysz smokom. Zrobimy więc tak: komputer ze sprawozdaniem przekażemy na przechowanie Cerbesowi. Napiszesz swoją część, a zaraz potem przeczytasz to, co napisała Szalla. Pasuje?

– Zgadzam się.

– Z pierwszym problemem skończyliśmy. Teraz drugi. Jutro zanurzam się. Opuścimy się dosyć szybko, ale podniesienie z dekompresją zajmie wiele dni, co najmniej miesiąc. Chcę, żebyś na ten czas wrócił na bazę i spędził go nie wychodząc z domu.

– Areszt domowy? Dlaczego?

– Bo jesteś niebezpieczny dla naszego gatunku. Nie chcę ryzykować. Nie możesz być wśród tych, którzy będą kierowali naszym podwodnym domem.

– Myślisz, że zdołam wydać zabójczy rozkaz na oczach wszystkich?

– Wystarczy zwykłe zaniechanie w chwili niebezpieczeństwa.

– Na wiosło Charona, ty mi nie wierzysz?

–Nie wierzę nikomu. No, mógłbym wierzyć Catherine i Lobasti. Ale wierzyć tobie, jeśli ty nie wierzysz mnie?... – Mrok roześmiał się.

– Nigdzie stąd nie wyjadę. To mój obowiązek.

– Dobrze. W takim razie jutro rano pojedynek.

– Co?! Jaki pojedynek?!

– Do śmierci jednego z nas.

Teraz z kolei Bleisus się roześmiał.

– Myślisz, że to będzie uczciwe? Człowiek przeciwko smokowi?!

– Istnieje wiele sposobów na wyrównanie szans. Na przykład los. Przegrywający wybiera rodzaj śmierci. To jest uczciwe, nieprawdaż?

Bleisus zbladł.

– Po co ci to potrzebne? Po co dążysz do tego z takim uporem?

– Bezpieczeństwo gatunku – odrzekł Mrok. – Nasienie zdałem, teraz chcę wziąć niebezpieczeństwo na siebie. Jeśli tam, pod wodą, coś się ze mną stanie, Lobasti zabije ciebie. A potem ludzie mogą ją z kolei zabić. Zrozumiałeś?

– Chcecie wrócić do swojego świata za pomocą aparatury kutra. Ale kto się zanurzy, jeśli przegrasz?

– To już będzie twoja sprawa. Możemy się zresztą umówić, że zginę po wynurzeniu. A w powrót nie wierzę. Lobasti jest jeszcze młoda, wierzy w cuda. A cudów nie ma.

– Po co więc włazisz do wody?

– Selena. Czyżbyś zapomniał o niej? Zaczęliśmy ją ratować, ale nie dokończyliśmy pracy.

– Jej już nic nie pomoże.

– Z waszą prymitywną techniką – tak. Ale nie z naszą.

– Co ma do tego technika… Ona jest teraz rośliną i nigdy już nie będzie człowiekiem. Ale odeszliśmy od tematu. Udzielę odpowiedzi po zapoznaniu się ze sprawozdaniem Szalli.

– Niech będzie. Szallo, odprowadź go. Niech weźmie komputer i przekaże Cerberowi na przechowanie. Po napisaniu swojego sprawozdania niech przeczyta twoje. Poradzisz sobie?

Dziewczyna z poważną miną skinęła twierdząco głową.

– Jeśli będę potrzebny, jestem w stoczni. Wytrzyj łzy i uśmiechnij się. Wszystko zmierza ku lepszemu w tym najlepszym ze światów. Pamiętaj o tym.

Szalla znowu skinęła głową. Mrok wzbił się w powietrze i poleciał do stoczni. Szalla i Bleisus skierowali się w przeciwną stronę,do domków. Wylądował koło podwodnego domu i zaczął patrzeć, jak technicy montują półkach balony z helem. Podeszła Lobasti. Półki z balonami zajmowały chyba około jednej trzeciej objętości domu. Tyle samo zajmowały klimatyzator, dzwon nurkowy i kołowrót, łączący dom z martwą kotwicą. Podczas pracy na nie kotwica leżała na nim nieruchomo, a dom na linie mógł podnosić się i opuszczać, gdyż miał dodatnią pływalność. Wolnego miejsca dla smoka i czterech ludzi pozostawało bardzo mało.

„Gdy tylko znajdziemy się na dnie, część balonów będzie można usunąć” – pomyślał Mrok.

Od strony domów dobiegł rozpaczliwy kobiecy krzyk, a zaraz potem męski, pełen bólu.

– To Szalla! – wykrzyknęła Lobasti i puściła się pędem w kierunku krzyków, rozpościerając w biegu skrzydła. Mrok wzbił się z miejsca w powietrze.

Szalla leżała na plecach w rozdartej sukience. Na opatrunku ściągającym żebra dokładnie pod lewą piersią ciemniała mała dziurka, wypalona promieniem lasera. Krwi nie było. Bleisus klęczał, rzucając na podbiegających ludzi zakłopotane spojrzenia. Z jego ramienia śmiesznie i bezsensownie sterczały kółka nożyczek krawieckich Szalli.

Ktoś wybił mu z ręki pistolet laserowy, ktoś inny zaczął wydawać rozkazy. Bleisusowi wykręcono ręce za plecy i odprowadzono go w kierunku domów. Nie wyrywał się, tylko oglądał się przez ramię, a po plecach ciekła mu krew. Jasna koszula była już cała ciemna.

Mrok podniósł Szallę z ziemi, potykając się zaczął ją nieść nie wiedząc dokąd. Obok, wzdychając po smoczemu, pochlipywała Lobasti. Zatrzymał się, obejrzał. Do nich podbiegali ludzie, wypytywali tych, którzy podeszli wcześniej i zatrzymywali się w pewnej odległości. Położył Szallę na ziemi, zamknął jej oczy i zaczął okładać ciało kamieniami. Obok niego położyła kamień Catherine.

– Tato, za co on ją? – chlipnęła Lobasti.

– On nie jest winien. Tylko się bronił. – Mrok płaskim kamieniem nakrył twarz Szalli.

Przybiegły przerażone Fausta i Penelopa. W zielonych obcisłych kostiumach z rysunkiem na tkaninie wyobrażającym łuski i wolnymi fałdami na plecach, rozwiewającymi się na wietrze, imitującymi skrzydła. Położyły na mogile trzeci kostium i popłakując zaczęły podnosić kamienie. Ludzie, stojący dotąd nieruchomo, poruszyli się i zaczęli kolejno podchodzić do mogiły. Każdy rzucał na stosik swój kamień.

Mrok zatrzymał się dopiero po kilku godzinach, kiedy kamienne wzgórze było już wyższe od niego. Stanął na tylnych łapach i skrzyżował przednie nad głową. Ludzie rzucili na pagórek ostatnie kamienie i rozeszli się do domów. Smoki odeszły ostatnie. Mrok skierował się do sztabu, gdzie, zgodnie z jego przypuszczeniami, czekał na niego Cerbes.

– Co się stało? – zapytał zamiast powitania. – Najpierw Szalla i Bleisus przynieśli tu twój komputer. Szalla powiedziała, żebym nikogo do niego nie dopuszczał zanim wydasz szczegółowe zarządzenia. Odeszli razem i nagle taka tragedia. Bleisus mówi, że Szalla rozerwała sukienkę i pierwsza się na niego rzuciła. Uderzyła go nożem w plecy. Myślał, że umiera, odepchnął ją i wystrzelił. Eskulap powiedział, że nożyczki ześliznęły się po łopatce. Rana duża i bolesna, ale zupełnie niegroźna. Co macie do powiedzenia wy, smoki?

Mrok obejrzał się. Smoczyce i dziewczyny stały za nim.

– Myślę, że odpowiedź jest w komputerze. Jeśli plik jest na miejscu, to być może Bleisus jest winien. Jeśli pliku nie ma – to Szalli kompletnie pokręciło się w głowie i nie znalazła lepszego rozwiązania niż zabójstwo. Proszę tu przyprowadzić Bleisusa.

Cerbes wydał rozkaz i wkrótce przyprowadzono Bleisusa ze skutymi rękami i nogami.

– Zdejmijcie z niego kajdanki – zażądała Lobasti.

– On jest smokiem czy co? – Cerbes uniósł brwi.

Lobasti pochyliła się i przegryzła łańcuchy jeden po drugim. Bleisus podziękował jej skinieniem głowy.

– Nie cierpię zabijania bezbronnych – powiedziała mu Lobasti.

Mrok włączył komputer. Plik był, ale zamknięty hasłem.

– Hasło można zdjąć, ale nie mamy tu programisty. Może przylecieć dopiero jutro. I pozna zawartość pliku. Czy to ma znaczenie?

– Czas tak, reszta nie – odrzekł Mrok. – Ten plik powinien był trafić do kronik. Oczywiście, jeśli jest w nim to, co powinno być.

– Kto umieścił hasło? Szalla? – zapytała Catherine.

– Tak.

– Penelopa, chodź tu. – Catherine posadziła ją przy klawiaturze i zaczęły zgadywać hasło. Udało się za ósmym czy dziewiątym razem. Wszyscy pożądliwie wpatrzyli się w ekran.

– To chcieliście zobaczyć? – zapytał kompletnie zaskoczony Cerbes, skubiąc nerwowo płatek ucha. – Ten plik był przeznaczony dla kroniki?

– Tak – potwierdził Mrok. – Z wyjątkiem końcówki. To już są nasze osobiste sprawy i tego nie chciała włączać do kroniki. Bleisusa można wypuścić. Nasza rozmowa w szpitalu zapisana jest dokładnie, on ją zna i może poświadczyć.

– A co ja mam zrobić z tym plikiem?

– Róbcie, co chcecie. On już odegrał swoją rolę – odrzekł Mrok. – Dobranoc.

Potykając się, szedł po ciemku gdzie nogi poniosą. Usłyszał przed sobą szum przyboju. Przeszedł jeszcze kilka kroków i położył się na kamieniach. Obok bezdźwięcznie wylądowała Lobasti i leżała w milczeniu jak on, za co był jej wdzięczny. W końcu powiedział:

– Dokładnie tak, jak mówiłaś. Pojawiają się nie wiadomo, skąd, żyją obok, psują smokowi krew, a jak tylko do nich przywykniesz, umierają. I to wszystko w ciągu dwóch miesięcy. Przeklęte życie. Gorzej niż na Strefie. Tam przynajmniej wszystko było jasne i proste.

– Ty też tęsknisz za Strefą? Ależ tam było cudownie…

Mrok z zaskoczenia aż zaniemówił. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, że dla Lobasti Strefa jest Ojczyzną. Sama myśl, że Strefę można kochać, była dla niego nonsensem.

– Teraz już nie zmieścisz się w bunkrze. Najwyżej twoja głowa.

– I nie będę mogła nurkować w rzeczce. Nie zdążyłam nauczyć się kręcić salt w powietrzu, jak mama. Szalli by się tam podobało.

– Jakie niespodzianki czekają pod wodą ciało smoka?

– Nic takiego, tato, czego byś już nie znał. Przechłodzenie, choroba kesonowa, głód tlenu, drapieżniki. Wszystko jak u ludzi, tylko w słabszej postaci. Od tego, co dla ludzi śmiertelne, ty, jak to mówią na Sekondzie, tylko pójdziesz w zero. Kłopot tylko z kesonówką. Nie jesteśmy jednak wielorybami. Bardzo boli, jakby oblali cię wrzątkiem od środka, naczynia krwionośne w całym ciele pękają i nawet dla mózgu to jest niebezpieczne. Ale dekompresję przechodzimy dwa razy szybciej niż ludzie. Więc idź do góry zgodnie z ludzkim harmonogramem i nie bój się niczego. Dla ciebie ważne jest, żeby twoje ciało zostało podniesione na powierzchnię, nawet za dwa-trzy tygodnie. My, smoki, jesteśmy bardzo żywotne. A gdy podniesiecie się do stu pięćdziesięciu metrów, my z mamą będziemy do ciebie zaglądały w gości.

– Zapomnij o tym, Lobasti, gdzie się podział twój rozsądek? Ty i mama musicie myśleć bardziej o maleństwach niż o sobie.

– A rodziłeś choć raz w życiu? Jak nie, to się nie wymądrzaj! – obraziła się smoczka.

Skraj słońca już pokazał się przy horyzoncie. Ale świt na Ziemi był nudny i brzydki w porównaniu ze świtem na Strefie. Po prostu czerwony krąg wypływał nad wodę. Ani tęczowej obwódki, ani gry kolorów. Mrok podniósł się niechętnie, zrobił kilka rozciągających ćwiczeń, pomachał skrzydłami i ponuro poszedł ku osadzie. Obejrzał się, ale Lobasti nie było za plecami.Postał chwilę przy mogile Szalli, położył na niej jeszcze jeden kamień. Najwyższy czas na zawarcie znajomości z nurkami.

– Pobudka, swołocz! Przypływy nie czekają.

– A żeby cię Aid pochłonął! – odezwał się ktoś ospale. Reszta zabuczała twierdząco.

Właśnie takiego powitania Mrok się spodziewał i był na nie przygotowany. Wziął przygotowaną zawczasu beczkę morskiej wody i wachlarzowato wylał na wszystkich czterech. Ktoś krzyknął, wyplątując się z mokrego prześcieradła. Obserwująca to Lobasti parsknęła śmiechem.

– Nie krzycz, woda to nie baba – osadził go drugi.

– Woda to dobrze, ale woda w pościeli – źle – zauważył filozoficznie trzeci. – Baby mogłyby to źle zrozumieć. A ty czego? – to do Mroka.

– Który dowodzi? – ryknął Mrok. Chłopcy mu się podobali. Trzymali się, zuchy.

– Ja – odrzekł filozof.

– Wyznaczam ciebie na swojego zastępcę.

– Co?!!! – Trzech pozostałych też już było na nogach.

– Spokojnie, chłopcy. – Filozof usiadł na łóżku, wycierając mokrą twarz prześcieradłem. Tego nie ma w kontrakcie. Jakim prawem chcesz nami komenderować?

– Nie może być dwuwładzy. To nie jest gra w bierki czy inna błahostka.

– Z tym się zgadzam.

– Mam dwa razy więcej mózgów niż wy wszyscy razem wzięci. To po pierwsze. A po drugie, jestem dwa razy starszy od każdego z was.

– Poważne argumenty. A spuszczałeś się choć raz na sto metrów?

– Lobasti, na jaką głębokość schodziłaś, kiedy ratowałaś mamę?

– Do dwustu metrów, tato. Ale to było bez akwalungu, na własnym oddechu. W akwalungu ani razu poniżej pięćdziesięciu metrów. – Smoczka również weszła do pokoju i zrobiło się ciasno.

– Ile razy?

– Od dwudziestu do dwudziestu pięciu. Ale było coraz płyciej. Rekiny bardzo przeszkadzały, gdyby nie one, ciągnęłabym mamę po powierzchni, a nie po dnie.

Ludzie zamilkli zdumieni. Mrok postanowił nie uściślać, że sam ani razu w życiu nie zanurzał się głębiej niż pięć metrów.

– Wyjaśnij załodze zadanie.

Lobasti przyłożyła łapę do skroni w geście wojskowego salutu, po czym wniosła plastikową tablicę do rysowania.

– Proszę pani, nie mogłaby pani na chwilę wyjść? Jesteśmy trochę… hm, nieubrani.

Lobasti krytycznie obejrzała człowieka, częściowo przykrywającego się prześcieradłem, po czym spojrzała pytająco na Mroka, który skinął głową.

– Rzeczywiście, taki mały, jak twój, lepiej trzymać pod ubraniem. A gdybym nie była w ciąży, zanurzyłabym się z wami zamiast ojca. I co byś wtedy zrobił?

Wyszła, przymilnie kręcąc zadkiem. Wszyscy, oprócz tego wstydliwego, roześmiali się. Wróciła, gdy wszyscy się ubrali, naszkicowała na tablicy kontury kutra i zaczęła wyjaśnienia:

– Jeśli maszyna leży właściwie, to o dwa metry za kabiną pilota i o trzy metry od rufy są pierścienie, za które zaczepia się dźwig przy transporcie. Nie wiem, jak one nazywają się po waszemu. Oba pierścienie są wtopione w korpus w jednej płaszczyźnie i zamknięte od góry rozsuwanymi dwuskrzydłowymi kopułami. Wasze zadanie polega na rozsunięciu skrzydeł tych kopuł i zamocowaniu do pierścieni łańcuchów nośnych, a dalej to już sami wiecie. Jeśli zdołacie dostać się tylko do jednego pierścienia, też nie będzie źle. Konstrukcja nośna wytrzyma. Ale jeśli kuter jest przewrócony, to wam nie zazdroszczę. Podwozia nie wypuściłam, a dno kutra jest słabsze. Na skrzydłach od dołu są cumownicze uchwyty, ale zamknięte takimi samymi kopułami, i tu już trzeba złapać za oba.Towarowy luk jest otwarty, więc lepiej już będzie, jeśli zaczepicie łańcuch na suwnicy bramowej w przedziale towarowym. Najważniejsze: żadnych wybuchów. To już chyba wszystko.

– Dobrze. Czas się poznać. Jestem… – Najstarszy z nurków zrobił gest ręką, jakby zakreślił dłonią kąt. Mrok pomyślał, że to jego imię w języku gestów przy pracach podwodnych.

– A słowami? – zapytał. Wszyscy się roześmiali, zadowoleni. Przyjęli go za swojego, a jego domysł okazał się prawidłowy.

– Właśnie Kąt – odrzekł za tamtego najmłodszy. Pozostałych zwano Plus, Linia i Ułamek.

– A ja będę… – Mrok w zamyśleniu spojrzał z ukosa na czubek ogona.

– Ty będziesz… – Najstarszy zasłonił ręką oczy.

– Pasuje – zgodził się Mrok. – Teraz zapoznajcie mnie z innymi gestami, przyjętymi u was.

Lekcja zajęła około czterdziestu minut. Kąt okazał się nauczycielem czepialskim, i, żeby nie zawieść jego wysiłków, Mrok dwa razy udał, że się pomylił. Lobasti uważnie śledziła lekcję zza jego grzbietu.

Ponton w kształcie kwadratu z kwadratową dziurą pośrodku spuszczono już na wodę. W tej dziurze mieścił się podwodny dom, z którego dochodził głos Catherine. Sprawdzała kompletność wyposażenia porównując z wydrukiem spisu. Kilku ludzi jej pomagało. Dwie brygady techników kończyły montaż wyciągów i wielkiego dźwigu na pontonie. Dookoła kręciło się mnóstwo różnokolorowych motorówek. Mrok posadził nurków sobie na grzbiet i, z czystego snobizmu na samych biograwach, przeleciał na ponton. Kapitan pontonu zakomunikował, że za pół godzinny będzie mógł wypłynąć w morze. Mrok był wzruszony i, żeby to ukryć, wyciągnął się na pałubie z zamkniętymi oczami, wystawiając brzuch do słońca. Został jednak przegoniony. Przeniósł się na inne miejsce, ale i stamtąd go przegonili. Nurkowie docinali mu, że przeszkodził im spać, więc niech się teraz męczy. Parki, chociaż baby, widzą prawdę. W końcu przeleciał na brzeg i rozciągnął się na kamieniach.

Obudzony przez dźwięk syreny, przeleciał na ponton. Kapitan wydal rozkaz przez megafon i około dwudziestu motorówek spieniło wodę śrubami i naciągnęło liny. Ponton ruszył naprzód. Ludzie na brzegu zaczęli radośnie krzyczeć i machać rękami.

– A dlaczego nie własnym napędem? – zapytał Mrok.

– Oszczędzamy paliwo – odrzekł gniewnie kapitan. Mrok mu nie uwierzył. Prędzej to mechanicy nie zdołali uruchomić diesla.

Nie przepłynęli nawet kabla, gdy z brzegu uniósł się malutki śmigłowiec, dogonił ponton i wylądował na nim. Z kabiny wyszedł Cerbes i zszedł do smoka.

– Mam złe nowiny. Dziś – spojrzał na zegarek – czterdzieści minut temu Selena umarła.

– Kapitanie, koniec. Zawracamy – zakomenderował Mrok.

Stary wilk morski spojrzał ponuro spod zmarszczonych brwi i wydał rozkaz przez megafon. Z nadbudówki wyskoczyły smoki, za nimi ludzie.

– O co chodzi, tato? Gdzie my płyniemy?

– Z powrotem.

– Co się stało?

– Selena umarła.

– Nie będziecie podnosili kutra? – zapytał Cerbes.

– Nie będziemy działali na łapu-capu.

– Na młot Hefajstosa! Komandorze! Co nas to obchodzi, że ktoś tam umarł?Mamy podnieść z dna koryto. Za to nam płacą. Dają pieniądze, rozumiesz? Okrągłą sumkę. A co teraz? Ty nie masz nastroju, a my mamy żreć bezpłatne racje?

– TY schodzisz pod wodę? TY ryzykujesz życiem? – Kąt wziął krzykacza za klapy.

– A ty kto? Nie widziałem ciebie, kiedy ten uskrzydlony zwierz wyciskał z nas krew i pot. Nie widziałem, żebyś tu harował w największy upał. Kim jesteś, żeby nami komenderować? Będziesz nam płacił za pracę?!

Namiętności rosły.

– Ci-sza!! – ryknął Mrok, stanął na tylnych łapach i rozpostarł skrzydła. – Płyniemy do brzegu, zwołamy ogólne zebranie. Jak zebranie postanowi, tak będzie.

Ludzie, mrucząc z niezadowoleniem, rozeszli się po kątach. Mrok wyjął z kieszonki na pasie medalion, otworzył wieczko. Sympatyczna, krótko ostrzyżona dziewczyna z uśmiechem na wszystkie trzydzieści dwa zęby. Miejsce na drugi portret puste. Podpisane: Selena Augusta Protopolos. Linijka niżej: „Warto żyć!”. Mrok cisnął medalion w ocean.

– …Chleba i widowisk. Wiadomo, to plebs. Nic innego ich nie interesuje. Nie masz żadnych szans. Trzeba było mnie dopuścić do głosu.

– A może trzeba właśnie dać im poczuć, że ich słowo też coś znaczy? Żartuję. Po prostu mnie jest wszystko jedno. Już od dawna.

– Dlaczego zawróciłeś ponton?

– Jednym z powodów jest to, że zupełnie nie czuję strachu. Zanik instynktu samozachowawczego. A to jest niebezpieczne. W tym stanie nie można zabierać się do ryzykownej pracy. Rozumiesz, Cerbes, my działamy na łapu-capu. Poważnej roboty nie da się wykonać na chybcika. Nie jestem nurkiem, nie mogę wszystkiego sprawdzić. Muszę się bać.

– A były inne powody?

– Chciałem zobaczyć, czy homo naprawdę jest sapiens. Zapomnij o tym. Otwieraj zebranie.

– Dwie długości na prawo, czyli ku północy. Jest! Tak stać! Catherine, co u ciebie?

– Dokładnie według pelengu, jeśli ten pisk to radiolatarnia naszego kutra.

– Lobasti, jak u ciebie? Lobasti? Nic nie słyszę.

– Wszystko w porządku, tato. Ponton jest nad kutrem. Przyciski na radiostacji takie malutkie, nie mogłam nacisnąć.

– Zamieniamy się miejscami i sprawdzamy się wzajemnie.

Smoki zleciały się nad pontonem i znowu rozleciały się w przeciwne strony na odległość dwu-trzech kilometrów. Tym razem korekty położenia pontonu nie było, smoki nie były w stanie dokładniej naprowadzić pontonu na kuter. Mrok wydał komendę. Kąt nacisnął dźwignię, winda kotwiczna ożyła i kotwica domu podwodnego pogrążyła się w oceanie. Do dna dotarła jednak dopiero po czterech minutach, gdyż głębokość w tym miejscu wynosiła czterysta osiemdziesiąt metrów. Mrok zajął swoje miejsce w domu podwodnym i zakomenderował:

– Majna ponalu!

Dźwigowy nie zrozumiał. Podczas gdyMrok ze smutkiem zastanawiał się, dlaczego w tym świecie nie rozumieją najprostszych komend, Catherine przetłumaczyła:

– Opuszczaj powoli!

Zaszumiały silniki dźwigu, dom stanął na wodzie, zakołysał się i nieco przechylił. Winda kotwiczna pod ręką Kąta krótko zawyła, wyrównując niewielki przechyl liny. Dom stanął równo, pogrążony w wodzie prawie po dach. Plus czarował przy pulpicie kierowania mieszanką oddechową. Z zewnątrz dobiegał zgrzyt metalu. To ludzie na pontonie odczepiali pętle łańcuchów od klamer na dachu podwodnego domu. Potem rozległ się stuk w obudowę: trzy uderzenia, pauza, znowu trzy, pauza, jeszcze raz trzy.

– Wszyscy gotowi? – zapytał Kąt i nie czekając na odpowiedź uruchomił windę.

Zaczęło się zanurzanie. Niezbyt szybkie, dwa metry na minutę, ale uszy zatkało. Mrok przełknął ślinę i zrobiło się lżej. Po dziesięciu minutach zauważył, że Linia gorączkowo przełyka i przyciska dłoń do lewego ucha.

– Zatrzymaj – zakomenderował Mrok. Winda zamilkła.

– Kogo bolą uszy? – zapytał Kąt. Mrok spojrzał na Linię i skłamał:

– Mnie.

– Pierwsze czterdzieści metrów jest najgorsze – powiedział Ułamek. – Kiedy wyjdziemy na górę, na pewno się ożenię. Dość mam tego kręcenia się gdzie wiatry poniosą bez kotwicy.

– Pleciuch. Mówisz tak za każdym razem. – Nie uwierzył Kąt.

– I już dwa razy rzucałeś kotwicę – dodał Plus. – Gdzie one się podziały?

– Sztorm zerwał. Vis maior – wyjaśnił kwaśno Ułamek, drapiąc się w kark.

Linia poradził sobie z uchem, lekko skinął na Mroka.

– Jedziemy – zakomenderował smok.

Zanurzanie trwało długo. Kąt wyjaśnił, że gdyby zwiększyli szybkość windy, urwałaby się kotwica na dnie. Trzykrotnie zatrzymywali się na około czterdzieści minut i regulowali skład mieszanki oddechowej. Ułamek gorąco spierał się z Plusem. Pierwszy twierdził, że trzeba zastosować helowo-wodorową, drugi bronił helowo-azotowej.

– A ty za jaką, komendancie? – zapytał Mroka Ułamek.

– Dobierajcie dla siebie. Smoki mogą oddychać każdą – odrzekł Mrok, mając szczerą nadzieję, że to prawda. –A po co wy do mieszanki tlenu z helem dodajecie jeszcze czegoś? Tlen z wodorem – to przecież mieszanina wybuchowa.

– W tej proporcji to niegroźne. A dodatki potrzebnesą po to, by palce nie drżały i ręce się nie trzęsły. Hel to zimny gaz. Niby szlachetny, nieczynny, ale bije po nerwach. Trzeba go czymś zrekompensować.

– Siadaj, Ułamek. Za powietrze odpowiada Plus – zakomenderował Kąt.

Z każdą godziną zanurzenia powietrze stawało się coraz gęściejsze, a głosy wyższe. Na języku czuło się wyraźnie metalowy posmak. Około trzechsetnego metra zrobiło się trudno mówić. Na trzysta ósmym w kącie wśród rzeczy Mroka rozległ się głuchy trzask. Wszyscy wolni od pracy poszli wyjaśnić, co wybuchło. Pękł ekran monitora komputerowego.

– A mówili mi, że wytrzyma – poskarżył się Mrok Linii. Nagle zrobiło mu się bardzo wstyd, strasznie zachciało się płakać. Lobasti nic nie mówiła o zmianach nastroju. A może mówiła? Tak głęboko się nie zanurzała. Mówiła! Było jej strasznie! Bała się rekinów. Ale czy rekiny są straszne? Czy smok powinien się ich bać? Mrok pokręcił głową. Ludzie się boją, to fakt. A smoki? Jeździłem na rekinie. Nie bałem się. Ale potem uderzył mnie ogonem. Nie bałem się, a on mnie uderzył. Trzeba było się bać. Rekiny są straszne.

Zachwycony ścisłością logicznego wnioskowania Mrok podniósł głowę i z dumą rozejrzał się po pomieszczeniu. Ludzie bardzo przypominali pijanych. Plus kiwał się zasypiając przy swoim pulpicie. Ułamek, kołysząc się, wysokim głosem zapewniał Linię, że wszystkie kolorowe ekrany to koński nawóz, dla głębin nadają się tylko czarno-białe. W głębinie i tak jest ciemno, nie ma barw. Dlatego ekrany muszą być czarno-białe, no i płaskie! Bez kneskopów próżniowych. Tylko Kąt siedział jak skała przy windzie kotwicznej, ze wzrokiem wbitym w zwoje liny na bębnie.

„Oni są pijani” – pomyślał Mrok. – „A ja jestem smokiem! Nie mogę dać się upić, muszę im pokazać, że dla mnie to wszystko fraszka. Będę robił to, co trzeba robić. Na podłodze są śmiecie. Zamiotę podłogę”.

Przez jakiś czas, kręcąc szyją, rozglądał się po kątach w poszukiwaniu szczotki. Gdy ją wypatrzył, ostrożnie, starając się nie zawadzić o ludzi, przeszedł w ten kąt, wziął w łapy i zaczął zmiatać śmiecie wprost w wodę, do luku wejściowego pośrodku pomieszczenia. Wymiótł tam też kawałki szkła z rozbitego ekranu, a po chwili namysłu wrzucił też do wody cały monitor, który bez ekranu narodowi był zbędny. Narodowi potrzebna była przestrzeń i czystość.

Kąt podniósł rękę, starł z warzy bryzgi i wpatrzył się w Mroka, kończącego sprzątanie.

– Plusie! Ty padalcu! Czym ty nas trujesz?! – wykrzyknął wysokim, prawie na granicy słyszalności głosem. Plus ocknął się, wyszedł z transu, skierował wąż sobie w twarz, kilka razy głęboko odetchnął i obiegł oczami przyrządy. Kąt kontynuował stek przekleństw, waląc ręką w obudowę windy. Mrok zmarszczył czoło. Szum mu się nie podobał, drażnił go. I nagle przypomniał sobie, że jest dowódcą. Trzeba wydać jakiś rozkaz.

– Nie krzycz, nie jesteś w domu – powiedział do Kąta. Pomyślał chwilę i dodał: – Zresztą w domu też nie krzycz.

Dom znieruchomiał na poziomie 465 metrów. Do dna pozostało około dwudziestu metrów, ale Kąt powiedział, że nie trzeba niżej się opuszczać. Będą tylko dłużej się podnosili. Nurkowie w ciepłych ubraniach siedzieli przy stole prawie stykając się głowami i omawiali zejście. Mrok leżał obok, też z głową na stole. Przy ciśnieniu pięćdziesięciu atmosfer dźwięk bardzo szybko cichł. Rozmówcy prawie nie było słychać z odległości dwóch metrów. Tak samo było z temperaturą. Przy dwudziestu ośmio stopniach wszystkim było zimno jak w psiarni, przy trzydziestu pięciu – gorąco jak w piecu. Optymalne było trzydzieści jeden i do tej temperatury zbliżał się już wyregulowany klimatyzator.

– Ocknąłem się, kiedy Mrok prysnął mi wodą w twarz. Rozglądam się, a tu wszyscy są wyłączeni, jeden smok chodzi jakby nigdy nic, zamiata podłogę! Krzyczę do Plusa: „Uważaj na mieszankę!”.

– Wcale nie to krzyczałeś – zaprzeczył Mrok.

– A co?

– Jeśli powtórzę, to przestaniecie nas obu szanować. Ale dwa słowa o mieszance też były.

– No, może coś tam dodałem od siebie. Patrzę, Plus ożył, poruszył się. Kontroluję go, żeby znowu nie zasnął, czuję, że praca idzie. A Mrok odłożył szwabrę, na mnie patrzy tak z minutę i mówi: „Nie krzycz, nie jesteś w domu”. I dalej zamiata. Ależ on ma nerwy! Jak to usłyszałem, spadłem z krzesła.

Wszyscy się roześmiali. Przy takim ciśnieniu śmiech brzmiał dziwnie, prawie nie było go słychać.

– Nie wiedziałem, że jesteście wyłączeni – przyznał Mrok. – Wszystko wyglądało normalnie. Plus przy pulpicie, Kąt przy windzie, zanurzamy się, do dna jeszcze sto metrów. Chłopcy przysnęli, bo ja ich za wcześnie dzisiaj obudziłem. A kiedy Kąt zdrzemnął się przy windzie, obudziłem go w łagodny sposób. Przecież ja pierwszy raz nurkuję z ludźmi. Bardziej niepokoją mnie inne sprawy. Pękł monitor komputera, poza tym nasz domek wydaje mi się jakiś niepoważny. Podłoga mocna, niezawodna. A ściany? A dach? Pięć milimetrów jakiejś tam nagumowanej szmatki, i to wszystko. A jeśli niechcący przebiję ją pazurem…

– Nie trzeba! – powiedział surowo Ułamek i wszyscy znowu się roześmiali.

– W takim domku pracowałem ponad dwa miesiące w Morzu Śródziemnym na głębokości dwustu metrów. Jest niezawodny. – powiedział Kąt. – Ale do rzeczy. Gdzie jest kuter?

Mrok pokręcił głową.

– Tam. – Wskazał jeden z kątów. Kąt zarządził:

– Na pierwsze wyjście idę ja, Mrok i Ułamek. Plus zostaje i dowodzi. Ubieramy się.

Ludzie włożyli hydrokostiumy wprost na ciepłą bieliznę. Mrok zmierzył tylną łapą temperaturę wody, po czym, przypomniawszy sobie, jak robił to Dorian, zmierzył ogonem. Woda była bardzo zimna, a on nie miał bielizny i hydrokostiumu. Przez chwilę chciało mu się płakać, ale podniósł i ulokował na grzbiecie własnej roboty akwalung z balonami. Ze stosu instrumentów wybrał łom-bosak, na pasie powiesił latarkę. Ludzie włożyli pletwy i już schodzili po drabince do wody. Mrok nabrał odwagi i rzucił się głową w dół. Woda była tak zimna, aż parzyła w skrzydła. Dom z zewnątrz wyglądał szykownie jak choinkowa zabawka. Świeciły iluminatory, jarzyły się wielkie latarnie. Ludzie już się krzątali, przywiązując liny do kabłąka na rogu domu. Mrok włączył latarkę i poświecił w dół. Nad samym dnem płynęła olbrzymia, piękna meduza o średnicy co najmniej trzech metrów. Cała w niebieskie i złociste żyłki, wyglądała jak żywy skarb. Mrok podpłynął do Kąta, trącił go w ramię i wskazał promieniem światła na meduzę. Kąt pociągnął za pletwę Ułamka, wskazał meduzę, zrobił znak niebezpieczeństwa i postukał po zegarku, poganiając wszystkich. Mrok wziął ludzi za ręce i szybko popłynął w kierunku zero-latarni. Do kutra było nie więcej jak pięćdziesiąt metrów. I leżał na zboczu tak, jakby chciał ułatwić ludziom pracę: w normalnej pozycji, dziobem w górę zbocza. Skrzydła kopuły okrywającej przedni pierścień były wgniecione, wystarczyło tylko zaczepić je bosakiem i dalej rozgiąć, z czym Mrok poradził sobie w kilka sekund. Z tylnym pierścieniem przyszło mu się potrudzić, tymczasem ludzie przymocowali do korpusu kutra światła odblaskowe. Jedno ze skrzydeł nie chciało się w żaden sposób poddać. Mrok się zdenerwował. Z rozmachu przebił je na wskroś, zaczepił haczykiem bosaka, zaparł się tylnymi łapami i szarpnął. Palce trochę mu się ześliznęły, więc zagiął koniec łomu i szarpnął jeszcze raz. Jakby mu zgasło światło, zmiękły łapy. Obojętnie obserwował, jak zerwane skrzydło z wbitym łomem ślizga się po obudowie kutra i ucieka w głębinę.

„Co się ze mną dzieje?” – pomyślał Mrok. – „Zawał serca? Jak zimno…”. Świadomość wypełnił strach. Ospale wiosłując łapami, smok popłynął w kierunku podwodnego domu. Stopniowo słabość przeszła, koło domu czuł się już znośnie. Podpłynął Kąt, wskazał na liny, znikające gdzieś powyżej w mroku i pokazał dwa palce. Mrok się uspokoił. Nic strasznego się nie stało, wszystko zgodnie z planem, nikt nic nie zauważył. Odpiął karabinek liny nośnej, pociągnął linę za sobą, kierując się na światła, umocowane na kutrze. Początkowo lina szła lekko, potem trudniej. Mrok jednak dotaszczył ją do kutra, trzykrotnie przewlókł przez pierścień koło kabiny pilota i zamknął na niej karabinek. Serce waliło mu w piersi jak młot, a głowa zupełnie nie chciała pracować. Człowiek obok uparcie stukał w zegarek, wskazując w kierunku domu. „Pewnie chce do domu. Chce, żebym go tam zawiózł” – ospale pomyślał Mrok. – „Oni tu wszyscy przywykli jeździć na mnie. A może rozerwać go na pół? Nie wolno. Nie pamiętam, dlaczego, ale nie wolno. Dobrze, odwiozę go do domu”.

Przycisnął człowieka do piersi i popłynął w kierunku świateł. Koło domu znowu dopadła go słabość. Człowiek wywinął się spod jego łapy i wpłynął w świecący prostokąt luku. Mrok patrzył, jak cień w wodzie powtarza jego ruchy, aż znikł. Teraz można zamknąć oczy, odpocząć. Drugi cień. Prawda, było dwóch ludzi, więc i dwa cienie. Jak oni się nazywają?...

Mrok odbił się od dna, wypłynął w środku luku, wypluł ustnik.

– Chciałbym zapytać… – zaczął i urwał. Pytanie zupełnie wyleciało mu z głowy.

Dwóch ludzi w zielonych ubraniach pomogło trzeciemu w białym wyleźć z wody, odprowadzili pod ramiona do ściany, zdjęli z pleców balony wielkości połowy człowieka. Jeden z zielonych podszedł do krawędzi luku i zaczął robić rękami przywabiające gesty. Mrok chwycił łapami skraj luku, wyciągając górną połowę ciała z wody. Pomachał tylną łapą, szukając krawędzi luku, znalazł i po kilku sekundach odpoczynku wlazł cały. Powietrze było znakomite. Gorące aż parzyło, ale każdy jego łyk dodawał sił. Kąt i Ułamek już się uwolnili z hydrokostiumów. Mrok zrzucił balony z grzbietu. Skrzydła mu zamarzły i stracił w nich czucie. Rozpostarł je na boki i ospale pomachał, żeby je rozgrzać. Rozgrzewające się błony zakłuły milionami igiełek. Ludzie usiedli przy stole narad. Mrok dowlókł się tam i położył się obok. Leżenie było takie przyjemne...

– Jak długo byliśmy pod wodą? – zapytał Kąt.

– Dwadzieścia osiem minut – odrzekł Linia.

„On się myli” – pomyślał Mrok. – „W ciągu pół godziny nie można aż tak się zmęczyć”.

– Znakomicie. Wykonaliśmy już większość prac. Kuter leży o czterdzieści-pięćdziesiąt metrów od domu, na „kilu”. Ja z Ułamkiem umocowaliśmy na nim światła odblaskowe, dobrze je stąd widać. Smok otworzył oba pierścienie i nawet przyczepił jeden hol do kutra. Podczas następnego wyjścia przenosimy drugi hol, napełniamy balony azotem i koniec! Zadanie wykonane, idziemy w górę. Bądźcie ostrożni, tu są meduzy. Olbrzymie, ponad pięć metrów średnicy. Lepiej do nich się nie zbliżać, mogą poparzyć. Ma ktoś pytania albo propozycje?

– Ja mam propozycję. Mrok, ty pływasz szybko, dziękuję, że pomogłeś mi dopłynąć, ale następnym razem lepiej sam. Jak mnie przycisnąłeś, to pomyślałem, że koniec, już się napływałem. Żebra do środka, kiszki na zewnątrz. Na próżno moja stara czeka w domu na syna.

– Uwzględnię – powiedział Mrok. –Ja też miałem podwodny problem. Źle dopływa mi tlen. Dopóki nic nie robię, jeszcze wystarczy, a jak zaczynam coś robić – zupełnie nie idzie. Zużyłem tylko ćwierć balona.

– Już wiem! – zawołał Plus. –Przymarza ci wentyl. Przecież ty oddychasz jak sto diabłów Aida! Gaz, rozszerzając się, ochładza się, więc wentyl przymarza. Masz szczęście, że się nie udusiłeś.

– Dwa razy niewiele do tego brakowało. Da się coś z tym zrobić?

– Po wyjściu posmaruję wentyl smarem silikonowym.

– Nie mam więcej pytań. Obudźcie mnie przed wyjściem. – Mrok rozłożył swój nadmuchiwany materac, podłączył go do balonu z helem i napełnił. Położył się na brzuchu, zamknął oczy. Miał dreszcze. Nie wiedział, czy z zimna, czy z nerwów, czy od zimnego gazu helu. Głosów ludzi nie słyszał, ale ich kroki i syk balonów przez metalową podłogę i materac dochodziły prosto do jego głowy.

Mimo to zasnął, a raczej zapadł w ciężki, czarny sen bardzo szybko.

– Mrok! Mrok! Obudź się! Na trójząb Neptuna, mówił „obudzić”, a nie powiedział, jak.

Mrok otworzył oczy. Głowa pękała mu z bólu. Minęło cztery godziny od wyjścia i pięć od zakończenia schodzenia. Materac pod Mrokiem obwisł, stracił prawie cały hel, pod żebrami smok czuł twarde, zimne, metalowe płyty podłogi.

„Nadciekłe gówno” – zaklął w myślach Mrok, wstał, otworzył wentyl balonu z tlenem i zrobił dwa głębokie wdechy.

– Uważaj! Spalisz sobie płuca! – krzyknął Plus.

„Może i tak” – pomyślał Mrok, ale w głowie mu się przejaśniło.

– Sprawdzałeś mój akwalung?

– Tak, wszystko w porządku.

Mrok sprawdził wskazania manometrów, zarzucił balony na grzbiet, zapiął rzemienie. Kąt i Ułamek już włożyli hydrokostiumy. Mrok poczekał, aż włożą akwalungi i pierwszy rzucił się do wody. Wydała mu się jeszcze zimniejsza niż za pierwszym razem. Od kabłąka na ścianie domu odpiął karabinek holu i podpłynął do kutra. Umocował go na drugim pierścieniu i odpłynął na bok, żeby nacieszyć się tym widokiem. Nad kutrem już podnosiły się jak maszty dwie ogromne kopuły, na razie oklapłe jak nierozwinięte spadochrony. W górnej ich części jednak pod tkaniną były już jednak pierwsze pęcherzyki powietrza, od czasu do czasu przebłyskujące w promieniach latarek. Mrok poszukał oczami Ułamka. Wraz z Kątem krzątał się przy rufie kutra. Mrok popłynął w ich kierunku. Po drodze zatrzymał się na chwilę i zerwał drugie skrzydło kopuły rufowego pierścienia.

Ludzie przymocowywali do rufy kutra niewielką wyciągarkę z cienką białą liną o długości pół kilometra. Mrok pomógł im, zawiązując stalowy drut w kokardkę. Do końca liny Ułamek przywiązał lampę błyskową i niewielką, o średnicy trzech metrów, gazową kulę, jeszcze nienadętą. Kiedy wszystko było gotowe, Kąt podłączył do kuli mały balon z helem i otworzył klapę. Kula podskoczyła jak na sprężynie i poszła do góry, ciągnąc za sobą linę. Smok i ludzie obserwowali, jak lina schodzi z wciągarki, dopóki gwiazdeczka lampy błyskowej nie zniknęła na wysokości. Wszystko szło zgodnie z planem. Mrok spojrzał na zegarek, na manometry i dotknął palcem kopuły „spadochronu”. Ludzie skinęli twierdząco. Mrok popłynął do domu. Podczas tego wyjścia czuł się znakomicie. Tlen wpływał do płuc szczodrym strumieniem, uspokajając duszę i podnosząc nastrój.

Na krawędzi luku czekały już na niego cztery balony, powiązane parami. Mrok ściągnął je do wody, chwycił jak najwygodniej i popłynął do kutra. Dwa balony przekazał Ułamkowi przy przednim pierścieniu, dwa Kątowi przy tylnym i popłynął po następne. Ludzie otworzyli wentyle, gaz zabulgotał, wyrywając się na wolność i napełniając kopuły. Gdy Mrok wrócił z drugą partią balonów, kopuły nie wyglądały już jak smukłe cyprysy. Nadęły się jak meduzy, kołysały się. Mrok przyglądał się im może z minutę i wrócił po trzecią partię balonów. Tym razem ludzie wypuszczali powietrze ostrożnie, małymi porcjami. Dziób kutra nieco się podniósłi Ułamek szybko zamknął wentyle balonów. Podpłynął do kopuły i z nożem w ręce przy czarnym kwadracie naszytym na kopule metr poniżej poziomu powietrza. Mrok podpłynął do drugiej kopuły i zajął analogiczną pozycję. Przegapił chwilę, kiedy rufa oderwała się od dna, zobaczył tylko, jak Ułamek wbił nóż w czarny kwadrat i rozciął tkaninę po przekątnej. Mrok przebił materiał pazurem, nieco rozszerzył dziurę i pośpiesznie odpłynął jak najdalej od kopuły. Dwa „spadochrony” powoli i majestatycznie pociągnęły ogromną machinę do góry. Bardzo powoli. Swoją część roboty nurkowie już wykonali. Teraz głos miał kapitan statku. On ma odholować wypływającą maszynę na płyciznę, gdzie będzie już można podnieść ją bez trudu. Z każdym metrem podniesienia gaz w kopułach będzie się rozszerzał, ale nadmiar wypłynie przez otwory zrobione w czarnych kwadratach. Kula napełniona helem ma wskazać kapitanowi, że zaczęło się podnoszenie. Zadowoleni ludzie i smok popłynęli do domu. Mrok na chwilę zatrzymał się koło domu, obejrzał dach. Był cały srebrny od mnóstwa mikroskopijnych pęcherzyków. Mrok delikatnie pacnął w dach dłonią. Stado srebrnych pęcherzyków oderwało się od materiału i poleciało do góry. Mrok zawołał gestem Kąta, pokazał na pęcherzyki. Kąt odpowiedział dwoma gestami: „wszystko w porządku” i „nie ma niebezpieczeństwa”. Mrok wzruszył ramionami i popłynął za nim w kierunku luku.

Jeszcze nie zdążyli zdjąć akwalungów, gdy na dachu wylądowała olbrzymia, podobna do żywego skarbu, meduza. Było jej niedobrze. Gdyby była nieco mniej prymitywna, kurczyłaby się z bólu i strachu. W ostatnim czasie zupełnie jej nie szło. Najpierw przytrafił się jej niewiarygodnie gładki kawałek dna, gdzie nie było nic do jedzenia. Potem zaczęły się wahania wody gdzieś w pobliżu. Było to bardzo bolesne. Zareagowała na ból tak jak zawsze – zamarła na tym „dnie”. Tym razem jednak wypróbowany – i jedyny znany –odruch nie pomógł. Cały kawałek „dna” zaczął się podnosić. Silny prąd przesuwał ją po tym dziwnym dnie, aż omal nie rozszarpując, porwał w bezdeń. Potężne wodne wiry przewracały ją i wyginały na wszystkie strony. Gdyby miała świadomość, na pewno straciłaby ją z bólu, ale nie miała co tracić. Ścisnęła się jak mogła i spadła cicho na nowe dno – z balonu na dach domu. Nowe miejsce nie było ani trochę lepsze od starego. Wirowało, aż meduzie znów zrobiło się całkiem niedobrze. Biedaczka rozpłaszczyła się na dachu, co było bardzo wątpliwym rozwiązaniem. Ale jakby tam nie było, a trzeba było choć trochę się pokrzepić…

– Normalna ucieczka. Nie przekracza stu litrów helu na dobę

– Sto litrów przy pięćdziesięciu atmosferach…

– Nie, mam na myśli sto litrów przy jednej atmosferze.

Mrok się uspokoił. Dach przeciekał, ale tak słabo, że można tego było nie brać pod uwagę. A tymczasem szykowało się jakieś święto. Ludzie, nawet nie zdejmując hydrokostiumów, stłoczyli się przy windzie. Linia podał Kątowi kawałeczek kredy na maleńkiej poduszeczce. Ten wziął go, dokładnie obejrzał, uścisnął rękę Ułamka i narysował kreskę w poprzek bębna windy. Położył kredę na poduszeczce i znowu uścisnął rękę Ułamka. Mrok z ciekawością obserwował, jak ludzie się wygłupiają. Ułamek chciał nacisnąć guzik windy, ale Plus trzepnął go po ręce i pogroził mu palcem. Linia też pogroził mu palcem, a Kąt triumfalnie nacisnął guzik.

– Pierwszy! – krzyknęli ludzie, kiedy bęben windy zrobił pełny obrót i znowu pokazała się biała kreska, a pływający dom podniósł się o dwa metry z kawałkiem.

– Drugi! – wykrzyknęli z nie mniejszym entuzjazmem, gdy winda zakończyła drugi obrót

– Cicho! – zakomenderował Mrok. Wszyscy ze zdumieniem wpatrzyli się w niego. Nabrał w płuca dużo powietrza, poczekał, aż znów pojawi się biała kreska i ryknął: – Trze-e-e-ci!!!

Załoga odpowiedziała rykiem zachwytu.

Pierwszy przystanek dla dekompresji. Kąt i Ułamek ściągnęli hydrokostiumy i poszli spać. Linia i Plus najpierw poczarowali przy pulpicie instalacji gazowej, potem usiedli przy stole, rozwinęli arkusz brystolu i zaczęli układać wykres podnoszenia: na jakiej głębokości ile czasu trzeba poświęcić na dekompresję. Linia bardzo pomysłowo narysował podwodny dom, wiszący na linie nad kotwicą, wzdłuż liny postawił przedziały, znaki głębokości, stacje dekompresji. Odległości między stacjami wyliczone we wszystkich znanych nurkom jednostkach: łokciach, obrotach windy, słoniach, Ułamkach na palcach z podniesionymi rękami, a nawet Mrokach bez ogona. Zobaczywszy ostatnią jednostkę, Mrok zrozumiał, że nurkowie uznali go za swojego. Sprawiło mu to przyjemność. Podczas gdy Linia przeliczał łokcie na słonie i Mroki bez ogona, Plus przy każdej stacji wypisał skład mieszanki gazów.

Mrok narysował w rogu arkusza kuter pod dwiema nadmuchanymi kopułami, smoka i ludzi, machających mu rękami. Wyszło mu lepiej niż oczekiwał. Linia natychmiast postawił obok rysunku datę i dokładny czas oderwania kutra od gruntu. Mrok zrozumiał, że ten arkusz brystolu to nie gazetka ścienna, tylko dziennik pokładowy, choć prowadzony przez załogę w nieco frywolnym stylu. Tak zakończyła się pierwsza doba pod wodą.

Mrok znów obudził się z bólem głowy. Dla niego było nieco za mało tlenu w powietrzu. Nie czuł tego w dzień, w czasie ruchu, gdy płuca miały aktywną wentylację, ale w nocy tak.

Drużyna prowadziła dziennik pokładowy w komiksach. Były tu wszystkie wydarzenia od chwili zanurzenia, przeważnie przedstawione w krzywym zwierciadle. Najwięcej dostało się, oczywiście, Mrokowi. Na 310 metrze narysowano go, jak próbuje rozciągnąć wymiętoszony jak arkusz papieru ekran monitora. Na 350 jak zamiata szwabrą na kupę rozpłaszczone na podłodze ciała nurków. Kąt krzyczy: „Oddychać!”. Mrok odpowiada mu „Nie krzycz, nie jesteś w domu, a Plus podchwytuje „W domu też nie krzycz”. Na dnie Mrok biegnie do kutra, spod jego łap pryskają na boki meduzy, a za nim, jak baloniki na nitkach, lecą Kąt i Ułamek, gubiąc po drodze pletwy i maski. Nieco dalej: Mrok stoi na skrzydle kutra i wykręca balon z tlenem jak mokrą szmatę. Zastanawiając się, co by tam jeszcze dodać, Mrok sięgnął do lodówki. Nie chciało mu się rozgrzewać jedzenia, więc wrzucił do paszczy zimny befsztyk z dinozaura i popił kanistrem soku pomarańczowego. Spojrzał na apetyczny brzozowy kloc, ale postanowił zachować go do „równika” – metki 240 metrów.

Ludzie czymś się przerazili, nerwowo oglądali sufit. Pobiegli do „garderoby”, złapali hydrokostiumy. Część sufitu wyginała się pęcherzem na zewnątrz. Mrok zaklął, odetchnął jak najgłębiej i rzucił się głową w dół w luk. Przepłynął pod domem, potem wzdłuż ściany i zamarł przy dachu. W świetle lamp na kopule dachu wiła się meduza. Dach „przeciekał”. Pęcherzyki gazu przebijały się przez niego strumykami, łączyły się w strumienie i przebijały ciało meduzy. Kawałki galarety już krążyły w potokach uciekających ku górze pęcherzyków. Jeden ze śliskich kawałków dotknął wargi Mroka i sparzył ją kwasem. Mrok zrozumiał, że trzeba natychmiast usunąć meduzę z dachu, dopóki jeszcze materiał się trzyma.

„W naszych czasach takiego łajdactwa nie było!” – pomyślał z wściekłością, podniósł się jeszcze wyżej i zamachał łapami, zmywając meduzę potokami wody. W tym samym momencie dach pękł. Zawirowały pęcherze, okrążając Mroka pianą i obrzucając kawałkami żrącej galarety, dom pochylił się i spadł w głąb. Mrok rzucił się naprzód, żeby zmyć z ciała żrące resztki meduzy, odpłynął o dwadzieścia metrów i szerokim łukiem skierował się w kierunku domu. Nagle światła domu zmętniały i zgasły. Mrok się przeraził. Zostać na głębokości około trzystu pięćdziesięciu metrów w ciemności, bez tlenu – to pewna śmierć. Niby mógłby te metry przypłynąć bez wysiłku, ale co z tego? Krew zagotowałaby mu się w żyłach, rozrywając naczynia, mięśnie i przede wszystkim mózgi. To było to, o czym uprzedzała go Lobasti. A więc – w dół! Mimo protestów ciała Mrok rzucił się w głębię, tam, gdzie widział ostatni raz światła domu, częściowo rozłożywszy skrzydła, aby łapać błonami prąd wody. To chyba w prawo… Rzucił się tam, pracując skrzydłami. Nic! Do tyłu i w dół. Teraz chwila w bezruchu, z rozpostartymi błonami. Są zawirowania wody, ale jak je pojmować? Mrok rzucił się prawie pionowo w dół – i zderzył się plecami z liną. Odwrócił się i objął ją wszystkimi czterema łapami. Lina ciągnęła w głębię. To było oczywiste. Pytanie tylko, czy znajduje się nad domem, czy pod nim, między nim a kotwicą. Nie wiedział, stracił orientację w przestrzeni. Chociaż minęło nie więcej niż pięć minut, już brakowało mu powietrza, gdyż poruszał się zbyt aktywnie, kiedy wpadł w panikę. Zszedł po linie, przebierając łapami tak szybko, jak tylko mógł. Uderzył ramieniem w dno, obrócił się i poszedł po dnie, podciągając się na linie, aż uderzył nosem w metalową kratę kotwicy. Na sekundę znów ogarnęła go panika, ale obrócił się i, wybierając linę łapami, podążył w przeciwnym kierunku. Lina lekko wyciągała mu się na spotkanie. Mrok przeraził się, że się urwała, ale akurat w tym momencieponownie się naciągnęła. Po dalszych trzydziestu metrach wpadł na ścianę domu.

Dom stał poziomo na łagodnym zboczu. Z jednej strony była pod nim szczelina, w której mógłby się zmieścić człowiek, ale nie smok. Macając ścianę łapami, Mrok popłynął do góry, na dach. W domu zapaliła się latarka i dziura rozjaśniła się bladą poświatą. Wypuszczając z pyska pęcherzyki, Mrok podążył do wnętrza. Po oczach uderzył promień latarni, i od razu się przemieścił, chwilę pokręcił się po ścianie, aż wreszcie zamarł, wydobywając z ciemności… JEGO WŁASNY AKWALUNG!!! Smok rzucił się w kierunku prostej konstrukcji, wsunął ustnik do paszczy, oddychał łapczywie kilka minut. Obrócił manometrami do światła, sprawdził ciśnienie. Balony były pełne. Wieczna chwała Plusowi! Promień znów się przemieścił, oświetlając latarnię Mroka wiszącą obok na ścianie. Mrok ją włączył, zapiął rzemienie akwalungu, oświetlił ratownika. To był Linia. Człowiek zasłonił jedną ręką oczy przed światłem, a drugą wskazał dzwon nurkowy, po czym zniknął w otworze luku. Mrok położył się, podczołgał się pod dzwon, wyginając szyję włożył głowę do jego luku. Byli tu wszyscy czterej. Widząc Mroka ucieszyli się, przeraził ich tylko jego rozbity, krwawiący nos.

– Czas nie czeka – powiedział smok. – Co robimy?

– Złote słowa – odrzekł Kąt. - Wyjaśniłeś, co stało się z dachem?

– Meduza go przepaliła. Położyła się na dachu i przeżarła swoim kwasem. Świnia!

– U nas wyłączyło się ogniwo paliwowe. Zostaliśmy bez ciepła i elektryczności.

– Musicie pójść na górę w dzwonie.

– Niemożliwe. Albo wszyscy się podnosimy, albo wszyscy zginiemy.

– Na odwrót! – zaprzeczył Mrok. – Wszystko przemyślałem. Zamykacie na głucho luk i w dzwonie podnosicie się na powierzchnię. Tam was wyławiają, przechodzicie przez śluzę do komory barycznej i w niej przechodzicie dekompresję. Ale przed podniesieniem wysyłacie na górę w zapasowej kopule koniec liny kotwicznej, zawijacie mnie w coś niejadalnego, mocno przywiązujecie do liny i mówicie tym na górze, żeby wyciągali mnie ze wszystkimi przepisowymi przystankami. Harmonogram podnoszenia uzgodnijcie z Lobasti. Stracę przytomność, ale przeżyję. Nie sądzę żeby zakrztuszenie się było bardziej bolesne od zamarznięcia.

– Plan dobry, ale dla nas to pewne samobójstwo.

– Dlaczego?

– W tym pudełku naszej czwórce wystarczy tlenu najwyżej na cztery godziny. Komora dekompresyjna pozostała na bazie, a do bazy lot trwa długo. Udusimy się.

– Jak to na bazie? Przecież kazałem… Co u diabła?! Jej ciężar nie przekracza ładowności.

– Ale nie zmieściła się w luku towarowym śmigłowca – wyjaśnił Plus.

– A na podwieszonej platformie… – zaczął Mrok i urwał. Czego wymagać od małpek? No, ci tu, koło niego, to prawdziwi ludzie. Śmiali, dążący do celu, niegadający po próżnicy. Ale ci na górze… Małpki.

– Komandorze, nie wpadaj w panikę. Mamy inny plan. Gazu mamy więcej niż bogowie na Olimpie. Obie zapasowe kopuły są całe. Zawijamy dom w kopułę i jedziemy na górę według zwykłego harmonogramu.

– Genialne! – ucieszył się Mrok.

– Słuchaj więc, co masz zrobić. Po pierwsze, odłamać albo przygiąć wszystkie wystające detale domu, żeby ostre rogi nie przebiły kopuły. To, co zostanie obwiążemy czymś miękkim. Po drugie, dociążyć kotwicę co najmniej o sto ton. I po trzecie, zrobić to wszystko jak najszybciej, dopóki nie zamarzniemy.

– Zrozumiałem zadanie – powiedział Mrok i ostrożnie wysunął głowę spod kopuły.

Z instrumentów wziął swój osobisty dwuręczny młot o wadze półtora kwintala, obszedł dom naokoło, bezlitośnie odrywając albo spłaszczając młotem wszystkie klamry i zrywając stojaki z latarniami i światłami pozycyjnymi. Potem wziął latarnię błyskową, powiesił na linie kotwicznej i zaczął wydłubywać kamienne bryły z dna, okładając nimi kotwicę. Kiedy rzeczywistość zaczęła mu uciekać, kiedy wydało mu się, że taszczy kamienie na grób Szalli, Mrok spojrzał wreszcie na manometr. Strzałka balonu z tlenem stała na zerze. Rzucił kamień i, ciężko przebierając łapami, popłynął w kierunku domu. Ludzie już obciągali dom kopułą. Dziura w dachu była zamknięta.

„Co wyście narobili?” –obojętnie pomyślał Mrok, podpłynął do kogoś i postukał w szybkę manometru. Człowiek wskazał ręką gdzieś w bok.

„A idźże ty” – pomyślał Mrok, rozluźnił się i opadł na dno.

Człowiek zamigotał latarnią i skądś z ciemności pojawili się dwaj inni, wlokąc po dnie drugi akwalung Mroka. Smok wypchnął językiem ustnik, ludzie wstawili mu do pyska drugi… Jakież smaczne może być powietrze! Jakiż przyjemny jest ten metaliczny posmak na języku! Mrok zamknął oczy, ale ktoś natrętnie tarmosił jego ucho. Otworzył z przymusem. Plus wskazał zegarek i przejechał kantem dłoni po gardle. Mrok skinął głową, zrzucił pusty akwalung, zarzucił na grzbiet balony pełnego i poszedł do swoich kamieni.

Nie wiedział, ile minęło czasu, zanim pojawił się Ułamek. Nurek zrobił gesty „wszystko w porządku” i „chodź ze mną”. Mrokowi było już wszystko jedno. Wyrzuciłby nawet akwalung, gdyby mu kazali. Dom zamienił się w kulę, i ta kula się poruszała. Po jej powierzchni przebiegały fale. Mrok zrozumiał, że Plus zaczął wypełniać dom mieszaniną gazów. W głowie smoka stopniowo się przejaśniło. Ludzie zbierali instrumenty, wpływali pod dom, znikali w luku. Mrok poświecił po dnie reflektorem, powiesił na szyi pusty akwalung, podniósł zbyt ciężki dla ludzi młot i wsunął go za pas. Podpłynął Kąt. Mrok zrobił znak „wszystko w porządku”. Kąt dotknął palcem zegarka, zrobił znak „4 minuty” i pogonił Ułamka do domu, ale sam został. Mrok rzucił okiem na manometr – powietrza miał na około dziewięć minut. Wyjaśnił to Kątowi i powtórzył znak „wszystko w porządku”. Gdy dom zaczął podskakiwać na kamieniach, Mrok podepchnął pod niego Kąta i chwycił linę kotwiczną. Dom podniósł się. Mrok, przebierając łapami po linie, podciągnął się i dostał się do luku. Z niemałym zdziwieniem stwierdził, że woda w pomieszczeniu mieszkalnym sięga mu do pasa. Smokowi do pasa – czyli człowiekowi powyżej głowy. Ułamek i Linia gorączkowo kręcili ręczny napęd pasowy windy, wybierając luz kotwicy. Mrok odsunął ich, przestawił korbę i zakręcił nią tak, aż zapiszczały koła zębate. Pod wodą o taki efekt jest dość trudno. Pilnujący liny Kąt ostrzegawczo podniósł rękę. Mrok zatrzymał się, przełączył mechanizm na ruch odwrotny i przygotował się na szarpnięcie. Szarpnięcie rzeczywiście okazało się tak ostre i mocne, że omal nie wyrwało mu korby z łap.Mrok zrobił co najmniej pięć obrotów w tył, zanim zgasił szybkość. Ułamek zaraz zatrzymał windę, jakiś czas wszyscy czekali w napięciu, aż wreszcie Kąt zrobił gest „kotwica na gruncie”. Plus coś zrobił, w jego kącie zabulgotało i poziom wody zaczął opadać. Mrok zdjął z pleców akwalung, powiesił go na miejsce. Podniósł z podłogi drugi, też powiesił. Wyjął zza pasa młot, położył na stosie swoich przyborów. Gdy tylko głowy ludzi pokazały się nad wodą, Kąt kazał zgasić wszystkie latarnie oprócz tej przy pulpicie Plusa.

– Na jak długo wystarczą baterie? – zapytał Mrok.

– W twojej latarni na trzy-cztery dni. W naszych na dobę, i w zapasowym komplecie też.

Baterie akumulatorowe, których wystarczy tylko na dobę normalnej pracy – żałosne… Nieprzyzwyczajony do tego Mrok aż cmoknął.

– Mamy wszystko najlepsze – zakomunikował z dumą Linia. Smok nie wyjaśnił, że miał na myśli akurat coś przeciwnego.

Poziom wody się obniżał. Kąt, Linia i Ułamek wleźli na stół. Gdy tylko blat stołu ukazał się spod wody, Kąt zaczął zdejmować hydrokostium.

– Nie za wcześnie? A jeśli znowu coś się stanie? – zapytał Linia.

– To już nam będzie wszystko jedno – odrzekł Kąt. – Akwalungi są puste.

– W każdym razie lepiej utonąć niż pęknąć. Lekka śmierć – zauważył filozoficznie Ułamek.

Gdy powietrze wycisnęło z pływającego domu całą wodę, Plus zamknął wentyle. Wszyscy znowu zamarli, zamieniając się w słuch.

– Kotwica trzyma! – zawołał radośnie Ułamek i zaczął mocno klepać Mroka po ramieniu. – Żyjemy! I przeżyjemy! Kiedy się podniesiemy, ożenię się. Obowiązkowo!

– Ułamek i Mrok – do windy. Plus i Linia napełniają akwalungi – zarządził Kąt, a sam zaczął robić ewidencję strat.

Ułamek przyniósł manometr i narysował paznokciem kreskę na jego wilgotnym szkle. Mrok przestawił rączkę na wolne obroty. Ułamek odblokował hamulec i Mrok zaczął kręcić. Było to łatwe, ale bardzo wolne. W ciągu dziesięciu minut Mrok podniósł dom o niecałe dwadzieścia metrów. Ale podnosili się do słońca, do nieba i tobyło wspaniałe.Ułamek drżał i szczękał zębami. Żeby się rozgrzał, Mrok przekazał mu rączkę, a sam wziął się za hamulec. Pomyślał, że, jeśli będzie kręcił lewą łapą, to prawą sięgnie do hamulca, czyli poradzi sobie sam.

– Podnieść się do nieba – to praca. Podnieść się do nieba – to ciężki trud. Podnieść się do nieba – to praca… – mamrotał w kółko Ułamek, obracając korbę windy.

– Co? – zapytał Mrok.

– Cytat – odrzekł Ułamek, kaszląc. – Bardzo na miejscu.

Wytrzymał przy korbie dwie minuty. Potem znowu jej rączkę zaczął kręcić Mrok.

Dom osiągnął głębokość, z której wtedy spadł w bezdeń. Wydawałoby się, że wszystko jest tak samo, jak przed dobą, ale było zupełnie inaczej. Ludzie ubrali po trzy warstwy ciepłej bielizny, z resztek ostatniej kopuły kroili narzutki – a mimo to ciągle drżeli z zimna. Nawet Mrokowi było zimno, choć myślał, że zapomniał, co to jest upał albo mróz od czasu, gdy stał się smokiem. Ale zimno to jeszcze nie było najgorsze, jeszcze gorsze było to, że zostali bez słodkiej wody. Nikt nie pomyślał o słodkiej wodzie, kiedy Mrok zbijał młotem wszystkie wystające elementy, w tym i kran do zlewania wody z cysterny, napełnionej jeszcze w suchym doku. Zresztą wtedy w cysternie i tak już nie było słodkiej wody, gdyż powietrze z niej uszło przez klapy wyrównywania ciśnienia w pokrywie, a jego miejsce zajęła słona woda oceaniczna. Plastikowe kanistry z sokiem cytrynowym i jabłkowym, zapakowane przez Mroka, były lżejsze od wody i wypłynęły przez dziurę w suficie. Ten sam los spotkał nadmuchiwany materac Mroka, całą pościel ludzi i wiele innych cennych rzeczy. Wszystko, co pozostało, zupełnie zwilgotniało. Tylko odzież ludzie przechowywali w hermetycznych pakietach, co teraz ich bardzo ucieszyło. O dziwo, ocalał dziennik pokładowy w komiksach. Okazało się, że nie jest z papieru, tylko z plastiku, więc nie bał się wody, poza tym spadło na niego coś ciężkiego. Tylko że teraz dziennik przestał być komiksem. Drobnym, gęstym pismem Kąt opisał wszystko, co stało się z domem i wszystkie czynności, wykonane przez załogę. Mrok dodał coś niecoś od siebie. Opisał meduzę, dziurę w dachu, poszukiwania domu w ciemności.

Głupio umierać z pragnienia pośrodku oceanu. Głupio i wstyd. Ale tysiące ludzi spotkał ten los. Żeby nie umrzeć, trzeba mieć silną wolę, mądrą głowę i parę zręcznych rąk. I coś jeszcze. Kawałek linki z haczykiem na końcu, pustą beczułkę na deszczówkę…

Jeszcze głupiej umierać z pragnienia w warstwie wody, kiedy masz wodę dookoła, na setki metrów w każdym kierunku. Zrobić kondensator wilgoci atmosferycznej dzisiaj jest już bardzo łatwo. Wystarczy wziąć kawałek plastikowej błonki, powiesić go za cztery rogi, na środku położyć coś zimnego i o tak dobranym ciężarze, żeby błonka wygięła się, ale nie urwała. Można nawet nalać na błonkę słonej wody morskiej. A pod tym postawić garnek. Krople kondensatu będą ściekały po błonce i wpadały do garnka. Bardzo prosta konstrukcja, ale może dać do litra wody na dobę. Dwa kondensatory dadzą dwa litry, dziesięć – dziesięć litrów. Ale dla pracy dziesięciu kondensatorów w pomieszczeniu musi być wilgotno jak w łaźni. Jak uzyskać taką wilgotność? Rozwiesić mokre prześcieradła do wyschnięcia. Bardzo proste.

Ale jeśli temperatura powietrza wynosi sześć stopni i składa się ono głównie z helu z niewielką domieszką tlenu, to sprawa się zmienia. Choć hel jest bardzo lekki – nadmuchuje się nim balony do lotów w atmosferze – masz wrażenie, że metr sześcienny waży ponad pud. Sześć stopni organizm odbiera jako minus sześć, a do tego wilgoć. Zimno i wilgoć – co może być gorsze? Tylko zimno, wilgoć i silny wiatr.

W całym podwodnym domu rozwieszono prześcieradła i ustawiono kondensatory wilgoci. Dawały ponad dziesięć litrów wody na dobę. Nieco ponad dwa litry wypijali sami, resztę dostawał Mrok. W tych warunkach było to śmiesznie mało. Większość czasu leżeli w ciemności. Mrok pośrodku, ludzie przytuleni do jego ciepłych boków, przykryci błonkami skrzydeł. Jedyna mała lampka oświetlała tarczę zegara. Zegar był ich idolem, wodzem, najwyższym bóstwem. Zegar określał, kiedy dyżurny musi iść zmieniać mokre prześcieradła, kiedy drugi dyżurny ma iść do kuchni przygotować jedzenie – śniadanie, obiad albo kolację. Chociaż co to było za jedzenie, jeśli nie było go na czym podgrzać? Ale to było jednak małe święto, gdyż jedli przy świetle. A czasem zegar ogładzał wielkie, prawdziwe święto. Wtedy wszyscy się podnosili, odsuwali na bok mokre prześcieradła i kondensatory, zapalali mocną lampę i Mrok szedł kręcić windę. Nikt poza nim nie mógł już tego robić, tak wszyscy osłabli. Nikt nie krzyczał, ile obrotów zrobił bęben windy, za to coraz częściej rozlegał się czyjś męczący kaszel. A jednak szli do góry, otaczająca woda była coraz cieplejsza i Linia twierdził, że czerń w luku nie jest już czernią, tylko nieco się świeci. A kiedy Mrok kończył kręcić windę, na drżących łapach wracał na swoje legowisko i pogrążał się w koszmarach.

Koszmary zaczęły się dość znienacka. Pierwszy nawet trudno nazwać koszmarem. Zobaczył, jak na jawie, Szallę, siedzącą przy komputerze i dziarsko wybijającą dwoma palcami plik. Swój ostatni plik, który bała się później włączyć do kronik kontaktu, z powodu których tak bezsensownie zginęła. Może właśnie przez tą ostatnią, niedokończoną notatkę:

Miły smoczku-głuptasku z perkatym nosem. Ty nic z życia rozumiesz. I ja też ciebie nie rozumiem, Ale kocham cię. A wasz świat – nie. I nie chcę, żebyś tam wracał. Ale jeśli już bardzo zechcesz, pójdę z tobą. Nawet na koniec świata. Kiedyś nabiorę śmiałości i pocałuję ciebie w nos. Wtedy zamienisz się w człowieka. I będziemy żyli długo i szczęśliwie. Ale co z Cat i Lobik? Lobik przeżyje, ta długoogoniasta amazonka. Zrozumie i będzie śmiać się z dziewczyny. Ale Cat jest dobra i tak ciebie kocha! Nie będę ciebie całowała w nos, obejdzie się. Za to wiem na pewno, że w następnym życiu będę smoczycą. Może nawet twoją córką. Nie, nie, jak byś się wtedy ze mną ożenił? Lepiej już będę twoją pra-pra-praprawnuczką, której nie zobaczysz, dopóki nie wyrośnie na piękną, zgrabn

Oj, idą

Nawet kropki na końcu nie postawiła.

A w następnym koszmarze zapadł się w przeszłość sprzed ponad dwudziestu lat. Wtedy, w życiu, krzyknął: „Tyson, kładź się!”, Tyson rozpłaszczył się na kamieniach i wszystko dobrze się skończyło. Już po dziesięciu sekundach Tyson powoli wstał i zaczął się rozglądać, przykładając dłoń do rozbitej o kamień wargi. Ale w koszmarze Mrok krzyknął: „Tyson, z tyłu!”. Tyson zaczyna się odwracać, przerzucając po drodze zamek karabinu, i, oczywiście, nie zdążył. Kartacz trafia go w plecy pod łopatkę i wychodzi przodem, wyrywając kawałek ciała wielkości pięści. A pistolet Mroka wysyła w zabójcę jeden po drugim bezużyteczne już kawałkiołowiu. I następny koszmar z tej samej serii. Mrok dopiero co odłożył pusty i wziął nabity pistolet, gdy zza skały wyskoczył człowiek w kraciastej koszuli, podrywając do ramienia strzelbę strasznego, wręcz nieprawdopodobnego kalibru. W realu Mrok z biodra wypuścił kulę we wnętrze ogromnej lufy i broń wybuchła. Ale w koszmarze broń celuje nie w pierś Mroka, tylko w coś za jego plecami, i ryczy. Catherine ogląda się, jej oczy rozszerzają się z przerażenia. Mrok też się ogląda. Na kamieniach rzuca się w agonii Widebrow. Jego maleńka Widebrow, która nie ma jeszcze półtora roku. Z kikuta szyi dwiema fontannami tryska krew. A za plecami rozlega się diabelski chichot. Mrok odwraca się i strzela, strzela, strzela…

Ułamek już nie może dyżurować. Przyciska się do boku Mroka i leży, cały czas kaszląc i trzęsąc się całym ciałem. Największy i najsilniejszy, we wszystkim starający się być pierwszym, w chorobie też wyprzedził wszystkich.

Lampa już niepotrzebna. Kopuła i luk świecą się na turkusowo, w tym świetle Mrok mógłby już czytać. Plus wlecze się do swojej instalacji i zmienia mieszankę w balonach akwalungów. Mieszanka musi odpowiadać głębokości. Plus zawsze utrzymuje akwalungi w idealnym porządku. Pamięta, gdzie, kiedy, komu i jaką mieszanką napełniał akwalung, pamięta wszystkie niedociągnięcia z akwalungami i godzinami o tym mamrocze, nie zwracając się właściwie do nikogo. Kiedyś Mrok przypomni sobie wszystko, co od niego słyszał, usystematyzuje i zostanie doświadczonym specjalistą od mieszanek oddechowych. Kiedyś…

Mrok studiuje harmonogram podnoszenia. Patrzy na zapas wody i każe usunąć mokre prześcieradła. Ludziom na trzy dni wystarczy, on wytrzyma, a potem kolejne podniesienie, po którym pojawi się już Lobasti. Na pewno się pojawi, nie oglądając się na jego zakazy. Sześćdziesiąt metrów – to dla niej żadna głębokość, oboje to rozumieją.

Kąt mówi, że na górze jest sztorm. Jak on może to poczuć tu, w głębinie?

Plus znajduje za półkami balonów brzozowy kloc. Mrok go zjada. Kloc przesiąknął na powierzchni morską wodą i przypomina w smaku ogórek małosolny. Smaczne, ale chce się pić. Mrok klnie, zamyka oczy i znowu pogrąża się w koszmary sprzed ponad dwudziestu lat.

Jest w sypialni burmistrza, zaciska mu usta, podnosi nóż do ciosu. Ale burmistrz nie śpi. W twarz Mroka patrzy źrenica pistoletu. I za późno na ucieczkę z linii ognia…

Mrok jęczy i ostrożnie, by nie zmiażdżyć ludzi, zmienia pozę. Noc. Znów zasypia.

– Johny, to ty? Co u diabła?

– Tak, Mrok, to ja. Przyniosłem odpowiedź na twoją zagadkę: twój łom. Bardzo dobra stal, do dzisiaj prawie nie zardzewiała.

Łom, miażdżąc żebra, przebija go na wskroś i wnika głęboko w ziemię. Mrok wije się na nim jak przekłuty szpilką motyl. Podchodzą dwa smoki.

– Cat, Lobasti, pomóżcie.

– Ich tu nie ma – odpowiada Dorian.

– Pomóżcie…

– Pomóc tobie? Wybacz, Mrok, jesteśmy obserwatorami i tylko obserwatorami. To wy sami stworzyliście tu sobie piekło. Szczerze mówiąc, gdybym miał prawo, zmiażdżyłbym ciebie jak jadowitego skorpiona.

Czarny Platan odwraca się i rozpuszcza się w ciemności. Zielony Dorian jakiś czas patrzy na Mroka, po czym też odchodzi. Na czole Mrok czuje kobiecą rękę.

– Maggie?

– Nie, to ja, Simona.

– Po co?

– Zawsze interesowało mnie pytanie: które z nas jest groźniejsze dla społeczeństwa?

– Ty, Simona, oczywiście, że ty. Ja jestem samotnym wilkiem, a ty hersztem bandy.

– Przez wszystkie lata swego istnienia moja banda zabiła mniej ludzi niż ty sam.

– Ale ja wychodzę na człowieka jeden na jednego, a wy – pięćdziesięciu na jednego. Co jest uczciwsze i bardziej honorowe?

– No, tu mnie zagiąłeś. Lubisz wolność?

– Nie wiem, czy lubię, ale nie mogę bez niej żyć.

– Ja też nie mogę. A co wy, byki, robicie z nami na Strefie? Czy to wolność? Tak, zebrałam bandę! A czy byłam wolna? Pięćdziesiąt luf pod moim dowództwem, a udawałam, że pracuję jako kurwa w burdelu. No, elitarna, ale jednak kurwa. A kimże innym na Strefie może być baba, co? Tylko czterech ludzi wiedziało, kim jestem. I że ten burdel należy do mnie. Miałeś być piątym. Myślałeś może, że przypadkowo wzięłam cię do łóżka bez pieniędzy? Nie, potrzebne nam było, byś miał u nas dług. Żeby był pretekst do poważnej rozmowy. A ty mnie – drutem po gardle. Komu lepiej zrobiło się od tego, żeś zlikwidował moją bandę? Moje dziewczynki żyły najlepiej ze wszystkich na Strefie. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Catherine.

– Sama jesteś sobie wina, Kiciu. Z wilkiem nie można bawić się jak z myszą.

– Oczywiście, masz rację. Przecież pozostałeś żywy, a ja nie. Chłopy zawsze mają rację. Gdyby ciebie umieścić w ciele kobiety i wysłać na Strefę...

– Mrok, ocknij się! Mrok!

Znowu koszmar? Nie, tym razem to jawa. Plus.

– Trzeba zmieniać balony. Nie mam sił.

Mrok podnosi się i idzie do urządzenia. Plus próbuje wyjaśnić mu coś o pochłaniaczach dwutlenku węgla, ale zanosi się kaszlem. Przychodzi do siebie i długo, szczegółowo objaśnia, jak pracuje urządzenie na napędzie elektrycznym, a jak na pneumatycznym. Pod jego kierownictwem Mrok wymienia obejmy z pakietami pochłaniacza, potem przenosi z półki na półkę butle. Puste w jedną stronę, pełne w drugą. Podłącza węże, sprawdza szczelność zaworów. Plus każe mu przeprowadzić regenerację powietrza i jest z niego zadowolony.

Całą pracę teraz wykonuje Mrok. Ludzie bardzo osłabli. Mrok ich karmi i poi, pilnuje powietrza i ciśnienia. I zegara. Do kolejnego podniesienia zostały cztery godziny. Można odpocząć. Ależ chce się pić! Strasznie. Ale wody pozostało półtora litra. To tylko dla ludzi. Jeśli po podniesieniu nie pojawi się Lobasti…

Mrok teraz boi się zasypiać. Żeby się czymś zająć, prowadzi dziennik pokładowy. Znalazł arkusze syntetycznego brystolu, poliniował je według miejscowych reguł i wypełnia ładnym, prawie kaligraficznym pismem. Obok leży oddzielny arkuszz instrukcją eksploatacji systemu zabezpieczenia życia. Mrok cały dzień próbował się zorientować w konstrukcji elementu paliwowego. Ale kiedy słona woda zamknęła obwód elektryczny, od zwarcia w hermetycznym korpusie stopiły się izolatory, do środka dostała się woda i nastąpił cieplny wybuch. Mikrowybuch. Trudno byłoby o wielki wybuch przy ciśnieniu ponad czterdziestu atmosfer. Prawie wszystkie detale można wykorzystać jako części zapasowe. Prawie wszystkie…

Dach z materiału kopuły mocno przecieka. Woda pluska już przy samym skraju luku nurkowego. To nic, niedługo podniesienie. Powietrze się rozszerzy, wypchnie wodę do roboczego znaku. Pierwszego dnia po awarii Mrok chciał zaproponować ludziom naprawę dachu przez położenie na nim łaty z materiału czwartej powłoki. Wypłynąć na powierzchnię w wyremontowanym domu – to byłoby… Zaszczytne? Nie, złe słowo. Myśli się plączą. Tlenu mało. Dla ludzi wystarczy, a dla smoka mało. Ale kto miałby się teraz zająć remontem? Zresztą całą powlokę pocięli na kawałki, żeby okręcić ostre rogi domu. A resztki wzięli na koce.

Kąt chrypi i kaszle, wskazuje na zegar. Mrok też długo patrzy na zegar. Aha, o to chodzi! Trzy minuty temu nastąpił czas kolejnego podniesienia. Do znaku 60 metrów.

Mrok wstaje, wlecze się do windy, odpycha hamulec i myśli, w którym kierunku trzeba kręcić. Tam, gdzie rączka sama chce się chce kręcić, to jasne nawet dla osła. No to jedziemy!

Woda cofa się od krawędzi luku, jaśnieje z każdym obrotem windy. Pod dnem zaczynają bulgotać pęcherze powietrza. Mrok omal nie przepuszcza potrzebnej głębokości. Teraz zmienić skład mieszanki gazowej. Tak, w głowie od razu się przejaśniło. Ale gdzie ta Lobasti? Minęło już piętnaście minut od ich podniesienia na 60 metrów, a jej ciągle nie ma.

Mrok bierze klucz francuski, siada przy krawędzi luku i stuka w metal. Trzy uderzenia, trzy podwójne uderzenia, trzy uderzenia. Dźwięk pod wodą rozprzestrzenia się bardzo dobrze. Żeby tylko nad nim nie było warstwy wody o innej temperaturze. Dźwięk może odbić się od granicy warstw i pójść w głąb. Trzy uderzenia, trzy podwójne uderzenia…

– Wyciągnę was – mamrocze. – Choćby nie wiem co, wyciągnę. Zobaczymy jeszcze słońce. Choćbym miał zdechnąć, wyciągnę. Nie byliście na Strefie. Tu raj, kurort…

Trzy uderzenia, trzy podwójne… Mrok zasypia, klucz wyślizguje mu się z palców, wpada do wody. Ale zaraz woda się podnosi, pojawia się przerażona morda Lobasti. Smoczka kładzie klucz na krawędzi luku, jednym spojrzeniem ogarnia nieruchome ciała ludzi, trzymetrową dziurę w dachu, za którą błękitnieje tkanina kopuły, śpiącego na siedząco smoka. Chwyta Mroka za ramię i potrząsa nim.

– A, to ty. Wstrzymaj oddech, nie oddychaj naszym powietrzem, bo tu zostaniesz i będziesz musiała przechodzić dekompresję razem z nami. – Smoczka skinęła twierdząco. – Potrzebna nam energia, ciepło, słodka woda, lekarz. Chyba wszystko?... – Mrok zagina cztery palce i myśli, patrząc na swoją dłoń. – Aha, i coś do jedzenia. Od miesiąca siedzimy na suchej karmie dla psów. Teraz to już wszystko. Uciekaj na górę.

Lobasti z powagą kiwa głową, znika w luku. Mrok podnosi się, brnie na swoje miejsce, kładzie się, przykrywa ludzi skrzydłami.

– Choćbym miał… Coś trzeba zrobić. Co? – Ciężka głowa opada na metalową podłogę.

Jest w klatce. Tunguz i Chińczyk omawiają, co z nim zrobić. Nie ma sensu otwierać oczu. Im dłużej będzie udawał nieprzytomnego, tym dłużej pożyje. Niech go tarmoszą, biją po policzkach, rozcierają mu uszy. Tylko skąd tu klatka? Tylko skąd tu klatka? Klatki na Strefie nie było. To później… Mrok otwiera jedno oko. Zegar! Czas zmieniać mieszaninę gazów!

– No wreszcie się obudził! – Nie, to nie głos Chińczyka, to… Catherine!

– Mieszanka gazowa! Trzeba zmienić mieszankę!

Mrok otrząsnął się z resztek koszmaru, rozejrzał się. Jego głowa leży na kolanach Catherine. Jasno świecą lampy, krzątają się ludzie.

– Trzeba oczyścić powietrze. Dwutlenek węgla przy ciśnieniu sześć atmosfer…

– Wszystko w porządku, kochany, w najlepszym porządku. Przespałeś wiele ciekawego. Dom już nie jest na kotwicy, wisimy pod pontonem. Przeholowano nas na płytkie miejsce, pod nami tylko osiem metrów wody do dna.

– A lekarz? Ludzie? Kuter?

– Po kolei. Eskulap tu jest. Penelopa mu pomaga. Z ludźmi źle. Ułamek kaszle krwią. Jedno płuco zupełnie do niczego, drugie niewiele lepsze. Nie ma szans. Pozostali kiepsko, ale przeżyją. Kuter już na brzegu. Lobasti całymi dniami z niego nie wychodzi. Mówi, że, jeśli zdoła uruchomić choć jednego cybera naprawczego, to już pójdzie.

Mrok podniósł się, rozejrzał, nieomylnie określił, w której beczce jest słodka woda, wypuścił końce pazurów i jednym ruchem wybił zatyczkę.

– To techniczna. Kran jest tam.

– Z niego źle cieknie – i przewrócił beczkę nad otwartą paszczą. Kiedy postawił ją z powrotem, była oczywiście pusta. – Ale tu gorąco. Cat, jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę spać.

– A kolacja?

Ułamek umarł na cztery godziny przed wyjściem na powierzchnię. Do tego czasu Mrok przyszedł do siebie całkowicie, zaczął nawet odtwarzać utraconą wagę. Od głębokości trzydziestu metrów smoki mogły już wypływać na powierzchnię, kiedy chciały, ale ludzie nie mogli i Mrok został z załogą. Za to Catherine pływała tam i z powrotem, przynosząc nowiny. Szykowano im triumfalne powitanie. Wszyscy wiedzieli, co się stało pod wodą, gdyż dziennik pokładowy w komplecie włączono do kronik kontaktu. Mrok postanowił spotkanie urządzić według własnego scenariusza.

Dom wynurzył się z wody i nurkowie przeszli na ponton, jako ostatni wyszli Kąt i Mrok. Słońce świeciło w oczy, flagi trzepotały na wietrze. Na brzegu czekał na nich tłum ludzi i dziwna konstrukcja na kołach, stylizowana na rydwan. Zamiast koni zaprzężono do niego niewielki śmigłowiec ze zdjętą śrubą. Bardzo nisko przeleciał flyer i wysypał na ponton mnóstwo kolorowych papierków. Rycząc silnikami Diesla ponton podpłynął do przystani. Mrok umiejscowił gdzieś w pobliżu zero-generator i poczuł potężny wytrysk energii, odpowiadający pracy zero-t. A więc wyspa miała swoją własną komorę zero-t.

„Do diabła” – pomyślał Mrok – „Była jedna komora, teraz już dwie… Przecież ja tak naprawdę wcale nie chcę walczyć z małpkami. I Lobasti też nie chce. Od miesiąca wiedzą, kim byłem – i spotykają triumfalnie. Mają w nosie, kim byłem – albo dotąd nie zrozumieli. Zaraz zrozumieją. A jeśli nie zrozumieją, tym gorzej dla nich”.

Wraz z nurkami wszedł na „rydwan”. Zawarczał silnik śmigłowca i dziwna konstrukcja ruszyła korytarzem między ludźmi w głąb wyspy. Ludzie krzyczeli, rzucali w powietrze bukieciki z gałązek paprotników, machali butelkami i palmowymi liśćmi. Mrok doliczył się trzystu pięćdziesięciu ludzi – więcej, niż było w bazie, kiedy wylatywali na wyspę.

„Rydwan” zatrzymał się na placu obok podestu, wyglądającego na parkiet do tańca. Śmigłowiec-traktor odczepiono i odjechał. Technicy w zielonych kombinezonach przymocowali do „rydwanu” mikrofony i znikli wtłumie. Pierwszy chciał wystąpić Cerbes, ale Mrok zrobił krok naprzód i lekko trzepnął po mikrofonie. Nad placem rozległ się dźwięk, który, wzmocniony przez głośniki, bardzo przypominał uderzenie w bęben. Mrok zaczął dwoma palcami wystukiwać na mikrofonie prosty rytm bębna. Ludzie zamarli. Wystukując na pierwszym mikrofonie zatrważający werbel, Mrok przyciągnął do siebie drugi i zaczął:

– Miesiąc temu, przed zanurzeniem, zebraliśmy się na tym placu. Tak samo jak dziś świeciło jasne słońce na błękitnym niebie. Niech wystąpią ci, którzy byli na tym zebraniu.

Tłum się poruszył. Ci, którzy byli, zaczęli przesuwać się do przodu. Mrok poczekał, dopóki ruch się nie skończy i podjął:

– I znowu tu jesteśmy. Wszyscy? Nie, nie wszyscy. Catherine, przynieś Ułamka.

Ludzie się rozstąpili. Catherine podeszła do trybuny i postawiła na ziemi szpitalne łóżko na kółkach. Odwinęła prześcieradło, obnażając ciało Ułamka do pasa.

– Mówiłem wam wtedy, że zanurzenie jest nieprzygotowane. Że pośpiech jest niepotrzebny i niebezpieczny. Że potrzeba nam jeszcze około tygodnia. Tak? Nie daliście nam tego tygodnia, kazaliście nam iść pod wodę już. Oto rezultat. On zginął przez wasz upór i głupotę. To wy go zabiliście. Niech teraz każdy z was, zabójców, podejdzie i położy rękę na jego piersi. Poczujcie pod palcami zimno martwego ciała. A jeśli ktoś nie zechce, to przysięgam, że oderwę mu rękę. Skończyłem. Dixi.

Ludzie, po dwóch z każdej strony łóżka, podchodzili do ciała, kładli ręce na piersi, stali nieruchomo kilka sekund, odchodzili, podchodzili następni. Ktoś włączył muzykę i akordy requiem popłynęły triumfalnie nad skrzącym się w słońcu placem. Mrok zszedł z rydwanu i poszedł, gdzie oczy poniosą. Wszystko poszło nie tak. Nie wiedział, czego oczekiwał, ale nie tego. Może krzyków, wzburzenia, protestów?...

Zatrzymał się przed wzgórzem z kamiennych odłamków. Wcześniej go tu nie było.

„Mogiła Szalli” – pomyślał. – „Ależ ona urosła!”.

– Znowu zrobiłeś show, tato. Po co? – Lobasti wylądowała koło niego.

– Show. O właśnie, show. Jak ci się to podoba?

– Okropne, tato.

– Nie tego chciałem. Nie wiem, czego, ale nie tego. Małpki wszystko przeinaczyły. One wszystko potrafią zamienić w spektakl. Teraz są z siebie zadowoleni.

– No właśnie! Nazwałeś ich zabójcami, a oni w duchu są z tego dumni. Mopsy. I nie umiesz dobrze przemawiać. – Lobasti przycisnęła się czołem do ramienia Mroka.

– Chciałem im uświadomić, że zupełnie niedawno Ułamek był ciepły i żywy jak oni. Marzył o tym, żeby pójść na górę i ożenić się. Że pracowaliśmy wszyscy razem pod wodą. Zupełnie jak na Strefie – tu i tam marzyliśmy, żeby pójść do góry.

– Tato, ależ myśmy się tu o ciebie bali! Zwłaszcza wtedy, kiedy twój nadmuchiwany materac morze wyrzuciłona brzeg. Mama mówi mi: „Nie przejmuj się, widzisz, że jest pęknięty. Pewnie sam go wyrzucił”. A sama całe noce spędza na brzegu. Potem wyrzuciło na brzeg dwa twoje kanistry z sokiem pomarańczowym… A później patrzymy: pęcherzyki jak dawniej idą spod wody i trochę się uspokoiliśmy. Tato, a dlaczego nie wzięliście pod wodę telefonu? Co może być prostsze? Dwa aparaty, parę kilometrów przewodu do brzegu – i już.

– Nie wiedziałem, że nie wzięliśmy. Ale małpki uważają, że w razie awarii góra i tak im nie zdoła pomóc, więc po co wzbudzać złudne nadzieje? Niech się nie rozluźniają, niech liczą tylko na siebie.

– Głupio.

– Głupio – zgodził się Mrok.

– A dlaczego nie piłeś słonej wody? Z solidarności?

Mrok ze zdumieniem obrócił się twarzą do Lobasti.

– Nie wiedziałeś? Smoki mogą pić słoną wodę. Smakuje okropnie, aż chce się wymiotować, ale żyć na tym można. A dla ludzi moglibyśmy spuścić wam na linie beczkę słodkiej. I generator. Sama bym do was się spuściła i pomogła w naprawie.

– Za to bym ci oderwał ogon. Musisz myśleć nie o sobie, tylko o dziecku.

Smoczka nic nie odpowiedziała, tylko mocniej się przytuliła do niego.

Ponton płynął pełną parą, holując za sobą dom podwodny. Kapitan zatrzymał motor, kiedy brzeg prawie zniknął w lekkiej mgle. Marynarze przecięli hol i dom zaczął sam płynąć. Do Mroka podszedł Kąt, podał mu strzelbę.

– Co mam zrobić? – zapytał cicho Mrok.

– Przestrzel dach, komandorze. Tak powietrze ucieka zbyt powoli.

Mrok podniósł strzelbę i końcem pazura drugiej łapy nacisnął spust. Kula przebiła wyblakłą tkaninę kopuły, w dziurze zaświszczało powietrze. Podwodny dom z ciałem Ułamka zaczął powoli pogrążać się w oceanie. Kiedy nad nim zamknęła się woda, kapitan zakomenderował: „Mała naprzód, ster prawo na burt!”. Ponton skierował się ku brzegowi. Dla niego to też był ostatni rejs, był już niepotrzebny.

Mrok wzleciał, zawisł na wysokości kilku metrów nad pogrążającym się w głębinie domem, świecącym jak elektryczna zabawka. Kiedy kolorowe światła zlały się w głębi w mętny blask, poleciał na brzeg. Szybko ciemniało, na pontonie zapalały się światła. Jeszcze więcej świateł zapalało się na brzegu, ale Mrok poleciał tam, gdzie ich nie było. Tu, niedaleko równika, ciemniało bardzo szybko. Gdy wylądował, ledwie widział ziemię. Gdzieś całkiem blisko grał kościany flet Catherine. Mrok szybko zobaczył jej sylwetkę. Obok siedziały Fausta i Penelopa. Podszedł, położył się na ciepłych kamieniach i rozpoznał miejsce. Kurhan Szalli – tak go teraz wszyscy nazywali.

– Co wieczór przychodzą tu ludzie i kładą nowe kamienie – zakomunikowała Penelopa. – Myślisz teraz o niej?

– O niej, o Ułamku, o Strefie.

– Mrok, ty ją osądzasz? Nie trzeba.

– Kim jestem, żeby ją osądzać? I za co? Po prostu wszystko się jej pokręciło. Trzeba było jej przypilnować, ale zbliżało się zanurzenie. Zupełnie nie miałem do tego głowy.

– I tak ci dziękuję. – Penelopa ukłoniła się.

– Wszyscy są tu z ciebie dumni, Mrok – powiedziała Catherine. – Zwłaszcza ci, którzy byli tu już przed zanurzeniem. Rano chcieli ciebie uczcić, a ty oddałeś całą sławę Ułamkowi. Wiesz, oni nic nie zrozumieli, ale też wyszło nieźle. W sensie umocnienia autorytetu smoków.

– Też nieźle, jak powiedział ojciec, kiedy rzucił kamieniem w psa, a trafił w babcię – wymamrotał Mrok.

Catherine wypuściła flet, złapała go w locie drugą łapą i wpatrzyła się w Mroka ze zdumieniem, pomieszanym z zachwytem.

– Co się stało? – zdziwił się Mrok.

– Guz powiedział kiedyś: „Prędzej na Księżycu zadomowią się króliki, niż Mrok opowie anegdotę o teściowej”.

Mrok spędził noc pod otwartym niebem. Leżał na kamieniach, myślał o życiu, o sobie, patrzył na gwiazdy. Obserwował, jak stopniowo na tle nieba wyłania się kurhan Szalli, oglądał wschód słońca. Rano przyłączyła się do niego Lobasti, zmęczona, z podkrążonymi oczami.

– No i jak? – zapytał ciekawie.

– Kiepsko, tato. Takimi łapami trudno grzebać w mikroelementach. Uruchomiłam jednego krabika. Dwa manipulatory z ośmiu i pracuje ledwie-ledwie. Jeśli zdąży naprawić drugiego zanim sam się rozleci, to żyjemy. A jak nie, to nie.

– Lobasti, wiesz, o czym ja myślę? Przypuśćmy, że doprowadzę do zamknięcia Strefy. Ale co wtedy zrobić z przestępcami? Nie z takimi, jak ja czy Catherine, a z prawdziwymi.

– Jak ciocia Maggie?

– Tak, jak ona – odrzekł Mrok, marszcząc czoło.

– Tato, cały dylemat polega na tym, co chcemy osiągnąć. Chcemy, żeby człowiek się poprawił, czy ukarać go na całe życie. Nie chodzi o samą Strefę, tylko o to, że nie można jej opuścić. Nawet, gdybyś był aniołem z krwi i kości, jeśli wskutek zbiegu okoliczności spadłeś na Strefę – to kryska. Na zawsze. Więc jak? Pamiętasz, co mówiłeś smokom o Maggie? Na Strefę trafiła za sprawę, ale dawno wszystko sobie uświadomiła i odkupiła.

– Zuch z ciebie, Lobasti. Muszę pomyśleć nad twoimi słowami. I jak zmienić prawa.

– Tato, nie zapomniałeś o niczym?

– Chyba nie. Jeśli jest prawo, można je zmienić. Jeśli nie, można je wymyśleć.

– Strefa jest tam, a my tutaj.

– Aha, ty o tym! Jeśli uciekliśmy ze Strefy, to dlaczego nie mielibyśmy wydostać się i stąd? Znam pewnego zielonego smoka, który potrafi to zrobić.

– Jaki skromny. O sobie w trzeciej osobie.

– To nie ja. Ja kieruję[[5]](#footnote-6)– Mrok powiódł łapami w powietrzu, pokazując, jak to robi.

– Gdzie chowa się twój smok? – zapytała ziewając Lobasti. – Chciałabym go zobaczyć.

– To można. Idź do domu, otwórz bar Penelopy i zajrzyj tam.

– Ale tam nic nie ma. Koniak wypiłeś, zostało tylko lustro… Tatko! Zaraz cię stuknę!

Na obiad Mrok przywlókł się do domu. Catherine pracowała na komputerze, Lobasti spała. Dziewczyny w swoich obcisłych „smoczych” kostiumach od nowa ogoliły głowy i naperfumowały się. Były przejęte, co chwilę spoglądały na zegar i wyraźnie czekały na kogoś. Tańce miały być dopiero wieczorem, więc ten niepokój nie był z ich powodu. Mrok postanowił nie kłaść się, dopóki nie wyjaśni, do czego one się przygotowują.

Na dwie minuty przed gongiem na obiad przyszła cała załoga podwodnego dom: Kąt, Linia, Plus i dwóch nowych, którzy pomagali na ostatnim odcinku podnoszenia. Głowy trójki towarzyszy smoka były dokładnie wygolone. Mrok ryknął żałośnie, padł na materac i nakrył głowę poduszką.

Do początku tańców pozostawało czterdzieści minut, parkiet był wolny i Mrok postanowił się rozerwać. Jak mawiają smoki, czasem trzeba robić głupstwa. Przesłuchał chyba z połowę fonoteki, zanim znalazł odpowiednią muzykę. Ciężkie mroczne basy i głuchy miarowy rytm bębnów zadziwiająco pasowały do jego nastroju. W tej muzyce było i coś z ponurych pieśni galerników, i z pieśni wikingów, śpiewanych przez Catherine, i z ciężkiego marszu rzymskich legionistów. Mrok puścił muzykę na translację i wyszedł na parkiet. Ludzie posłusznie zwolnili miejsce. Powoli i ciężko zaczął tańczyć. Był to taniec mężczyzny, taniec zmęczonego wojownika, który niedawno wrócił z wojny. Mrok, z na wpół przymkniętymi oczami, ciężko i niezgrabnie przestawiał łapy, pochyliwszy głowę robił groźne ruchy korpusem. Dookoła parkietu zaczęli zbierać się ludzie. Rozsunąwszy ich, na placyk wyszły Lobasti i Catherine. Naśladując styl Mroka, poruszały się ciężko i groźnie. Zeszli się pośrodku parkietu, głowa przy głowie, tworząc trójpromienną gwiazdę.

– Tato, ta muzyka to nie to, co chciałeś – szepnęła Lobasti. – To coś jak sirtaki, tylko z początku wolna. Słuchaj mnie, ja poprowadzę. Kładziemy sobie wzajemnie skrzydła na ramiona. I-i raz!

Zaledwie Mrok zdążył pomyśleć: „Co to jest sirtaki?” – a już tempo muzyki się zmieniło. Włączył się nowy bęben, rozsadzający tempo seriami po trzy uderzenia.

– Kręcimy w prawo – podpowiadała Lobasti. – Teraz podnosimy skrzydła. I-i raz!

Smoki rozpostarły skrzydła pod głuchy werbel wielkiego bębna.

– Teraz w lewo. Zaraz będzie zmiana tempa. Tańczymy w tym samym rytmie, ale wypuszczamy pazury. I-i raz! – podpowiadała Lobasti, improwizując w ruchu.

Mrok wypuścił pazury i złożył je w kopyto. Kroki smoków wtórowały bębnom w drobionej czeczotce, tak, że wydawało się, iż poruszają się dwa razy szybciej. Muzyka przyśpieszyła.

– Na tylne łapy. Ustawiamy się w linię – komenderowała Lobasti. – Znowu zmiana tempa. Tato, ty w poprzednim, my dwa razy szybciej. Piruet. I raz! Tato, na kolano. I raz! Mamo, piruet! I raz! W drugą stronę! Raz!

Muzyka znowu podwoiła tempo. Bębny huczały, pojawiły się nowe, przenikliwe instrumenty dęte. Gibkie smoczyce wiły się i kręciły, Mrok bardziej zwarty i masywny, rozpostarł skrzydła, od czego wydawał się jeszcze bardziej imponujący, wściekle klaskał do taktu.

– Tato, do koła, wszyscy razem! – krzyczała Lobasti, prawie niesłyszalna w szalonej, głośnej muzyce. – Patrzcie na moje łapy! Teraz każdy jak chce. Piruet… Stop!

Smoki zatrzymały się na ułamek sekundy przed końcem muzyki. Mrok dopiero teraz zauważył, ilu tu ludzi. Cała ekspedycja. Stoją, patrzą, milczą.

– Coś nie tak zrobiliśmy? – zapytała szeptem Catherine.

– Oczywiście, że nie tak. Spójrz pod nogi. Nie trzeba było kopytami… – odrzekł równie cicho Mrok.

Catherine spuściła oczy i aż się przeraziła. Grube deski nie wytrzymały tańca smoków, rozsypały się w szczapki.

– Pięknie się wypchaliśmy – skomentowała Lobasti, podniosła z podłogi szczapę, i, żując ją, zeszła z placyku. Mrok objął skrzydłem Catherine i powiódł za nią, odprowadzany milczącymi spojrzeniami ludzi. I nagle tłum ludzi ożył, wybuchnął krzykami. Krzyki stopniowo przeszły w skandowanie trzech słów w niezrozumiałym języku. Z ciemności wyskoczyły zziajane Fausta i Penelopa, jak zwykle w chwilach silnego wzruszenia jedna złapała Mroka za lewą łapę, druga za prawą.

– Dziewczynki, w dwu słowach, co myśmy zrobili nie tak? Naruszyliśmy jakieś tabu? – zapytała Catherine.

– Kiedy? – zapytały obie równocześnie.

– Teraz, przed chwilą. Co oni krzyczą?

– Odeszliście z minuty sławy. Ale tak nawet lepiej. I tak nie moglibyśmy was nieść na rękach. I laurowych wieńców tu nie ma. A dziewice tym bardziej są wam niepotrzebne.

– Nie tak szybko. Nic nie zrozumiałem. Komu dziewice są niepotrzebne? – zdziwił się Mrok. Lobasti parsknęła śmiechem. Zawsze pierwsza orientowała się w każdej sytuacji.

– Wszyscy, jak jeden mąż, uczcili was minutą sławy. Nie znacie tego? Minutą sławy można uczcić każdego, kto zrobił coś wyróżniającego. Wkładają mu na głowę wieniec laurowy i niosą tam, gdzie powie. W dawnych czasach dostawał jeszcze niewolnicę-dziewicę. Jeśli na drugi dzień był z niej niezadowolony, zabijali ją kamieniami.

Kikut ogona Mroka poszedł do góry, a na jego mordzie pojawiło się słodkie rozmarzenie.

Mrok znów leżał na kamieniach koło kurhanu Szalli. Chciał znaleźć ciche, bezludne miejsce, ale pomylił się. Co chwilę od strony placyku tanecznego parami albo trójkami przychodzili ludzie z kamieniami, które rzucali na górę kurhanu. Stuk staczających się kamieni nie dawał myśleć, ale nie chciało mu się podnosić. A jednak już miał zamiar przenieść się gdzie indziej, gdy nagle poczuł tuż obok siebie człowieka.

– Witaj, Cerbes. Bardzo zepsuliśmy wam parkiet?

– Nie. Chłopcy przybili nową warstwę desek i już tańczą. Przysłałem im cybery, ale wygonili je. Nie przypuszczałem, że smoki mogą tak dziarsko pląsać. Ważycie ponad cztery tony.

– Sam nie przypuszczałem. Chciałem odpocząć przy spokojnej muzyce. Odpocząłem… Zuch Lobasti, uratowała mnie przed klapą.

– A co, pan ani razu nie słyszał tej melodii?

– Lobasti słyszała. Taniec wymyśliła ona. Lubi sypać piasek w oczy, a Cat ją popiera.

– Więc to była improwizacja? Wy, smoki, macie wrodzony talent.

Mrok podniósł łapę i podrapał się w kark. Mrok-człowiek nie umiał tańczyć. Mrok-smok nie miał zupełnie głowy do tańców. Dziwne… Chociaż…

– Talent nie ma tu nic do rzeczy. Nasze włókna nerwowe szybciej przewodzą sygnały. Jak by to… Już wiem! Próbowałeś kiedyś skakać na batucie na Księżycu?

– Nie.

– Odbijasz się i lecisz, lecisz, lecisz… Można zrobić salto w przód, pomyśleć sekundę i w tył. Poczekać trochę – i znowu w przód. I ciągle lecisz do góry. Tak samo u smoków. Mózg pracuje szybciej, a ciało w stosunku do niego porusza się wolniej. Jest czas na przemyślenie każdego ruchu. Z pewnością tak. Trzeba będzie zapytać Catherine.

Cerbes, kręcąc palcem w powietrzu, wyobraził sobie skok na batucie na Księżycu, skinął głową i zadał następne pytanie:

– Mrok, dlaczego ja o najważniejszych sprawach dowiaduję się ostatni? Dlaczego wy, smoki, nie powiedzieliście mi, że pochodzicie od ludzi?

– A czy to ma jakiekolwiek znaczenie? Jestem smokiem, Catherine jest smokiem, Lobasti jest smokiem. Nasi ludzie zostali tam.

– Ma. Dla Bleisusa nawet bardzo duże. A czy jesteście smokami – to bardzo sporna rzecz. Nawet co do Lobasti.

– Więc kim jestem?

– Człowiekiem w smoczej skórze. Sama Lobasti mówi, że prawdziwym smokiem można stać się dopiero w trzecim pokoleniu. Ona jest nawet bardziej człowiekiem niż wy z Catherine, gdyż wychowywała się wśród ludzi. Smokami będą dopiero jej wnuki. Nawet nie dzieci.

Mrok posmakował tą myśl jak landrynkę na języku. Wcale mu się nie spodobała.

– Niech tak będzie. Pan i tak ma gorzej. A propos, pan też nie mówi swoim ludziom wszystkiego. Penelopa i Fausta szczerze uważają, że jesteśmy w dalekiej przeszłości.

– Nie wiedziałem. Pewnie nie śledziły ostatnich prac Trepeda. Zresztą to nieważne. W czasie czy w przestrzeni – jaka to różnica? To nie ma praktycznego znaczenia.

– Powtórz.

– To nie ma praktycznego znaczenia.

– O właśnie! I tak samo z nami – odrzekł Mrok. Cerbes się roześmiał.

– Jeden zero dla smoków. Mrok, czy wy naprawdę chcecie naprawić kuter i odlecieć do swojego świata?

– Tak. Mam wobec niego niespłacony niewielki dług. Nie lubię pozostawiać długów.

– A wobec tego świata?

– Wobec tego świata długów nie mam.

– Ale on potrzebuje pomocy.

– Cerbes, czy ty naprawdę myślisz, że odejdziemy stąd tak jak się zjawiliśmy? Niespodziewanie i bez śladu? Na pewno nie. Odejdziemy, ale kanał pozostanie. W wolne dni będziemy latali do siebie w gości. A wśród naszych ludzi i smoków na pewno znajdą się specjaliści od waszych problemów. My nimi nie jesteśmy.

– Ale jesteście pierwsi. I ludzie wam wierzą. Kiedy ostatni raz czytałeś kroniki kontaktu?

– Przed zanurzeniem. Kroniki wypełniły już swoje zadanie. Teraz to już czysta historia.

– Czyżby? A jakie było ich zadanie?

– Stworzyć powszechną ogólną opinię o smokach. A propos, gdzie się podziewa Pittacus?

– Nie wytyka nosa z laboratorium. Na podstawie wzorca waszej tkanki próbuje stworzyć maszynę bio-antygrawitacyjną.

– Biedaczek. Życzę mu powodzenia. A gdzie jest teraz Bleisus?

– Odszedł z ekspedycji. Jest skończony jako człowiek. Zwłaszcza po tym, jak opisał w kronikach waszą ostatnią rozmowę o pojedynku i jak Szalla, chcąc ciebie uratować przed pojedynkiem, próbowała go zabić, a on ze strachu zabił ją. Poradziłem mu zmienić personalia i wygląd, gdyż w przeciwnym razie fanatycy na wielkiej Ziemi mogą go roznieść na strzępy.

– Skąd na wielkiej Ziemi wiedzą o smokach?

– Oczywiście od nas. Kroniki trafiają do ogólnoświatowej komputerowej sieci informacyjnej. Twoja żona Catherine i łyse, jako jej sekretarki, wykonują naprawdę wielką pracę, odpowiadając na listy ze wszystkich stron świata.

Mrok doszedł do wniosku, że pozostał daleko w tyle za życiem. Gdy tylko wróci do domu, obowiązkowo zaznajomi się z nowościami.

– Kto obraził siostrzyczki? Jeśli nurkowie, utopię ich w muszli klozetowej.

Penelopa i Fausta równocześnie odwróciły się do ściany.

– Catherine, kto je obraził?

– Ty, a któżby inny? I Lobasti doprowadziłeś do łez.

– Ja?! Niemożliwe.

– Kazałeś jej przygotować aparaturę zero-przejścia, żebyśmy mogli wrócić do naszego świata. Mrok, ona przecież nie jest zero-fizykiem. Jak mogłeś?!

– Nic nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia? Lobasti boi się, że sobie z tym nie poradzi, a wtedy ją przestaniesz szanować.

– A czym obraziłem łyse? – zapytał Mrok. Złapał w locie książkę, którą rzuciła w niego Fausta i przeczytał na okładce: Lukian z Samostaty „Utwory zebrane”. Otworzył w środku.

– Przecież chcesz wrócić do naszego świata. A co z nimi?

– O bogowie Olimpu! Przysięgam na ruiny Stoi, że nikogo nie chciałem obrazić.

Obie ogolone główki od razu zwróciły się ku niemu.

– Kto zburzył Stoję? Kiedy?

– A czy ona jeszcze stoi?

– Dwa miesiące temu stała.

– Słyszysz, Catherine? Tutaj umieją budować! Trzy tysiące lat, a ciągle stoi. W naszej historii dawno już zostały tylko ruiny. Pójdę i porozmawiam z Lobasti.

– Dziewczynki, same powiedzcie, czy tak można? – usłyszał jeszcze przez drzwi głos Catherine i uśmiechnął się.

– No dlaczego muszę być dla was dobra i uczynna? Nikt mi tu dobrego słowa nie powiedział. Wyciśnij tu trochę ustalacza, ale lekko, nie za dużo. Właśnie tak. Teraz na lewy. Gotowe. A dobre słowo jest przyjemnością nawet dla kota. Przezywali mnie krokodylem, narobili dziurek w skrzydłach, a gdyby ktoś później chociaż bukiecik mii podarował. Wśród was jest tylko jeden prawdziwy mężczyzna – Dirac. Ale milczy jak grób. Poświeć od góry. Czy ja nie mam prawa pożyć trochę dla własnej przyjemności?? Nie tu, świeć bardziej na prawo. Tak, trzymaj. Ani razu jeszcze nie brałam urlopu. Jeśli po miesiącu na rok, to rok by się już zebrał. Wy tak właściwie nie znacie mojego taty. Jeśli dacie mu wolną rękę, on z was zrobi prawdziwych ludzi, tylko że… Jak by wam to powiedzieć możliwie łagodnie? Słyszeliście o aktywnej metodzie leczenia zawału? Polega to na tym, że chory na drugi dzień wstaje, a na trzeci biega truchtem. Kto wyzdrowieje, ten już nigdy nie dostanie zawału. Ta metoda ma jednak jedną malutką wadę. Duży odsiew.

Męskie głosy coś burknęły w odpowiedzi. Mrok nie rozróżnił słów, ale rozmowa była ciekawa. Mrok postanowił posłuchać jej kontynuacji.

– A jak inaczej oddzielić ziarno od plew? Nawiasem mówiąc, akurat chwasty są najbardziej żywotne. Widzieliście tu, jak jaszczury pałaszują jeden drugiego? My to nazywamy doborem naturalnym. Jeśli się go zniesie, zaczyna się degeneracja, co widać choćby na przykładzie waszej cywilizacji.

– Radykalizm młodości. – Mrok rozróżnił głos Crassusa.

– A ja właśnie jestem młoda, piękna, czarująca i atrakcyjna. Mam klasyczną linię szyi. A kiedy o tak popatrzę przez ramię, nasi chłopcy są gotowi pójść za mną choćby do piekła… po waszemu do tego, no… aidu. Poświeć no z drugiej strony. Aha-a… Przyciśnij trzeci od góry kontakt… Dobrze, przyspawałam. Na czym to ja stanęłam? Co zrobicie, jeśli tato powie, że może z was zrobić prawdziwych ludzi, ale przeżyje tylko co trzeci?

„Aha” – pomyślał Mrok. – „Dlaczego dzisiaj nie mamy pierwszego kwietnia?”.

Odszedł bezdźwięcznie, wzleciał, zrobił kilka kręgów, pracując skrzydłami z całych sił, dopóki nie zaczął ciężko oddychać, po czym hałaśliwie wylądował przy drzwiach.

– Cześć, Lobasti, mam pomysł. Cerbes, Crassus, dobrze, że tu jesteście, bo to akurat was dotyczy. Mogę tchnąć nowe siły w waszą cywilizację w ciągu trzech lat. Trzeba umieścić ludzi w warunkach ekstremalnych. Kto sobie nie poradzi, umrze, ale kto przeżyje, stanie się prawdziwym człowiekiem. Zrobimy na waszej Ziemi mały koniec świata. Ogłosimy, że za tydzień na Słońcu nastąpi potężny wybuch. I przegonimy wszystkich ludzi tutaj, do dinozaurów. Tu dajemy im w łapy plecak z zestawem-minimum do przetrwania i rozwozimy grupami po planecie. Niech się uczą przeżywać.

– A co będzie z tymi, którzy pozostaną?

– Dla nich można zainscenizować „wybuch na Słońcu”. Wysadzić porządny bombę jądrową w odległości około dziesięciu milionów kilometrów od Ziemi. Jeśli to będzie nad Oceanem Spokojnym, to prawie nikt od tego nie zginie, oprócz Australijczyków. Za to później będzie można ogłosić, że na Ziemi jest wysoki poziom promieniowania i nie można wracać, dopóki nie spadnie do normalnego. Wyobrażacie to sobie? Panika, rozgardiasz, nikt nic o niczym nie wie. Tylko w takiej sytuacji okaże się, ile kto jest naprawdę wart. Najpierw ludzie głodują, potem uczą się polować, zdobywać sobie jedzenie, budują domy, orzą pola, zakładają ogrody. Po pięciu latach już ich stąd nie ruszysz, dlatego trzeba będzie zakończyć po trzech latach.

– A ilu ludzi przeżyje, Mrok? W wielkim przybliżeniu.

Smok udał zmieszanie, poskubał swoje ucho.

– Ocaleje jeden na trzech, może na czterech. Ale za to najlepszy. Nawet, jeśli go teraz nie cenicie, uważacie za chwast. Ale właśnie chwasty są najbardziej żywotne.

Smok z satysfakcją obserwował, jak wyciągają się twarze ludzi.

– Nie wstyd ci, tato? – zapytała Lobasti.

– Co? Dlaczego?

– Nie wstyd ci podsłuchiwać pod drzwiami?

– Czemu zaraz podsłuchiwać? Szedłem obok, niechcący usłyszałem. A jak się domyśliłaś?

– Opuść ogon, dobroczyńco ludzkości. Wieszczysz jak czarny anioł, a ogon stoi ci słupka. Żaden smok ci nie uwierzy.

Mrok obejrzał się, przezwyciężył z wysiłkiem odruch, przycisnął ogon do podłogi.

– Jest taka anegdota o psie, którego pan nauczył grać w pokera…

– Tato, w tym świecie też jest. Merda ogonem, kiedy ma dobre karty, nieprawdaż?

Mrok westchnął gorzko.

– No a tobie jak idzie?

– Jako tako, tato, ale bardzo powoli. Jutro uruchomię pierwszego remontowca i wtedy on będzie pracował, a ja wreszcie się wyśpię. Zrobiłam się nerwowa, ryczę na ludzi.

Wlókł się ponuro gdzie łapy poniosą. Wszystko niby szło dobrze, a jednak nie tak. Czuł się nikomu niepotrzebny. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, tylko on był potrzebny jak piąte koło u wozu, jak psu piąta łapa zamiast ogona. Tfu, znowu ten ogon, niech go diabli! Czekać pięć lat, zanim odrośnie… No, już za dwa lata będzie mógł pokazać się innym smokom bez wstydu. Smok bez ogona i w dodatku z defektem poczucia humoru. Jak taki smok ma żyć?

Obok niego wylądowała Catherine, dotknęła jego ramienia, poszła obok.

– Cat, czuję się jak w pierwszym roku na Strefie. Ty też czujesz się tak samo?

– Nie masz z kim walczyć.

– Tak, chyba o to chodzi. Małpki nas przyjęły, wszystko poszło jak po maśle. Możemy mieć dzieci, nie trzeba troszczyć się o przyszłość. I stało się to jakoś niezauważalnie, mimochodem. Jakbym grał w szachy, planował atak, umacniał obronę – i nagle nie ma gdzie się ruszyć. Pat. Ani satysfakcji, ani sławy.

– Zwyciężyłeś, kochany. Tylko szybkie zwycięstwo przynosi równie szybką i głęboką radość. Zwycięstwo osiągnięte z wielkim trudem pozostawia po sobie pustkę i zmęczenie. Krótka chwila triumfu, a potem pustka i zmęczenie. Prawie jak po porażce.

– Ale ja nie miałem nawet tej krótkiej chwili.

– Po prostu ci się nie udało. Akurat tego dnia umarł Ułamek.

„Poniosłem zwycięstwo” – pomyślał Mrok. – „Czyżby Platan i Dorian czuli to samo, kiedy cackali się ze mną na Strefie?”.

– Cat, powiedz, czy istnieje szczęście?

– Tak, kochany. Dla ciebie szczęście to droga do zwycięstwa. Dla mnie – być z tobą.

– A dla małpek?

– Dla każdego własne. Nie trzeba nazywać ich małpkami. To ludzie.

– Mówisz, ludzie, a Crassus ogolił głowę. Cat, ja chcę na Strefę – nieoczekiwanie dla samego siebie wypalił Mrok.

– Gdzie ty, tam i ja. Lobasti też tam chce.

– A dziewczyny?

– Wszystko się ułoży.

– Cicho, uspokójcie się! – Lobasti postukała po stole młotkiem prezydialnym. – Zaczynamy zebranie. Mam głos. – Ten skromny początek sala przyjęła ożywionym szumem. Lobasti poczekała, póki nie ucichnie, po czym podjęła: – Jak wiecie, nasza ekspedycja była pomyślana jako ratunkowa. Mieliśmy podnieść z dna kuter z aparaturą medyczną, żeby uratować dziewczynę Selenę. Spóźniliśmy się, umarła jeszcze zanim zeszliśmy pod wodę. Dzisiaj byśmy ją uratowali. I dziś wiemy, że spóźnilibyśmy się w każdym przypadku, nawet gdybyśmy podnieśli kuter w dniu, w którym się rozbiła. Nie przywrócilibyśmy jej pamięci, byłaby noworodkiem, tabula rasa. Ukończyłam remont biowanny. Cel ekspedycji został osiągnięty. Jeśli ktoś z was ma problemy ze zdrowiem, proszę przychodzić. Jutro pomyślę, jak przelać informację z naszych komputerów do waszych, wtedy program ekspedycji będzie już całkowicie wypełniony. Są pytania?

– Naprawdę chcecie nas opuścić i wrócić do swojego świata?

– Naprawdę. Chcieć nie zaszkodzi. Czy się uda – to zupełnie inna sprawa.

– Czy wam tu źle? – zapytała żałośnie jakaś dziewczyna.

– Nie źle. Bardzo źle. Nie mam ani jednego dnia spokoju, ciągle nerwy, ciągle pośpiech. I mam serdecznie dość waszego ciągłego przeklinania. Marzę o poduszce jak marynarz o brzegu. A tam… – Lobasti marzycielsko przymknęła oczy. – „Tam niebo błękitne, wysokie, tam sosny do nieba, tam ptaki śpiewają…”. Nie, nie wierzcie ciężarnej babie. Tam goły piasek i kamienie na dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach lądu. Tam buszują straszne huragany. I tylko jeden procent to zielona plamka. Oaza. I akurat w tej oazie musiałam się urodzić. Ja chcę, żeby cała Strefa była zielona. Cała, a nie ten skrawek, który smok przeleci w godzinę.

Mrok wrócił do domu. Lobasti spała. Catherine i łyse siedziały przy komputerze, przebierając bieżącą pocztę. Nurków nigdzie nie było widać. Poszwendał się po domu, zdmuchnął kurz z ekranu swojego komputera, przekartkował zbiór Lukiana. Pogrzebał na półce z książkami Penelopy. Sama antyczna klasyka. Wyszedł z domu, pochodził, położył kilka kamieni na kurhanie Szalli. I poszedł szukać Cerbesa. Znalazł go spierającego się o coś z Crassusem. Zrozumiał, że przeszkodził, ale nie odszedł.

– Crassus, dlaczego się ogoliłeś?

– Łysieję. Dawno miałem zamiar, ale wcześniej wyśmialiby mnie, a teraz można.

– Aha. –Strapiony Mrok położył się na podłodze, z łapami na głowie.

– Nie możesz spać? – zapytał Crassus.

– Nie. Cerbes, czy miałbyś robotę dla smoka? Coś potrzebnego, trudnego, niebezpiecznego. No wiesz, tak, żeby moja dusza odpoczęła. Czuję się jak piąte koło u wozu.

Cerbes spojrzał zmieszany na Mroka.

– W dobrze zorganizowanej ekspedycji nie powinno być niebezpieczeństw – zauważył w zamyśleniu Crassus.

– Kto mówi, że nasza ekspedycja jest dobrze zorganizowana? Ja tak nie uważam. Ale coś naprawdę trudnego i niebezpiecznego? Nie, Mrok, tego w najbliższym czasie się nie spodziewam – odezwał się Cerbes.

– Szkoda. Szalla by znalazła – wymamrotał Mrok. Podniósł się i powlókł się w ciemność. Cerbes i Crassus pośpieszyli za nim.

– A wiesz, Mrok, my akurat omawialiśmy twój plan – powiedział Cerbes.

– Zwariowaliście – rzucił ponuro smok.

– Nie. Oczywiście, żadnych wybuchów na Słońcu. To nie jest w nim najistotniejsze. Trzeba rozbić ludzi na mnóstwo małych odosobnionych kolektywów, tak, żeby przeżycie grupy zależało od każdego jej członka. A powód do izolacji można znaleźć lepszy od wybuchu. Na przykład śmiertelna choroba o długim okresie inkubacji.

– Jesteście nienormalni. Jak można tak oszukiwać swój naród?

– Sam nam to proponowałeś, a teraz chcesz, żebym powiedział „Nie wolno”. Dobrze, mówię „Nie wolno”. A co wolno? Patrzeć, jak się degradujemy? Jeszcze trzy-cztery pokolenia, a w społeczeństwie nie będzie już sił zdolnych do odwrócenia tego procesu. I co wtedy?

– A dlaczego nie wziąć się do wychowywania dzieci? Zbierzcie dzieci w szkołach z internatami i w następnym pokoleniu otrzymacie taką cywilizację, jaką chcecie.

– A skąd wziąć tylu wychowawców? Jeden na ośmioro-dziesięcioro maluchów. Plus nauczyciele. Wychodzi jeden dorosły na czworo dzieci. A my i tak z trudem dobieramy personel dla domów dziecka dla dzieci, które zostały bez rodziców. Ale masz rację, z domów dziecka wychodzą ludzie energiczni, przedsiębiorczy. To jest nasz złoty fundusz.

Mrok znów położył kamień na kurhanie Szalli i poczuł pluśnięcie zero-t. Machinalnie obejrzał się, jakby mógł zobaczyć przez skały, kto przybył. Dokładnie tak samo Catherine na sekundę oderwała się od komputera. Lobasti nie budząc się poruszyła lewym uchem. A w dwie minuty później Cerbes obudził Crassusa.

– Potrzebna mi jest twoja rada.

– Wiesz co, ja ci lepiej poczytam wiersze.

Igrzyska zakończone. Wspaniałe

Nagrody też zostały rozdane.

Czas. Nie możemy już dłużej zwlekać…

– Gdzieś już to słyszałem – przerwał Cerbes.

– W szkole. Zgadnij, od kogo ja to słyszałem?

– Od autora?

– Na wiosło Charona! Ty gryzący psie, słusznie ciebie nazywają Cerberem! To ostatnie słowa Demonaktasa Ateńskiego do narodu. Umarł trzy tysiące lat temu.

– Wiem. Nie był żadnym Ateńczykiem, urodził się na Cyprze.

– O właśnie! A wiersze słyszałem od Mroka. Stoi przy kurhanie Szalli i mamrocze. A wygląda jak zbity pies. O mało nie wyje do księżyca.

– „Nie możemy już dłużej zwlekać…”. Crassus, jak oceniasz proces integracji smoków w ludzkie socjum?

– Ten problem ma dwie strony: stosunek ludzi do smoków i stosunek smoków do ludzi.

– Na lata Tyfona! Zapomnij o ludziach! Interesują mnie smoki. Czy mogę im wierzyć?

– A sobie? A budziłbyś mnie w środku nocy, gdyby one nie były smokami, tylko niedźwiadkami koala? No nie patrz tak na mnie jak hoplita na wesz. Co się stało?

– Na Chronosa, przestań odpowiadać pytaniem na pytanie. Czy to takie trudne odpowiedzieć prosto i jasno?

– I włożyć na swoje przygarbione barki brzemię odpowiedzialności za los cywilizacji? Jak myślisz, po co przeszedłem na rentę? Żeby spokojnie spać po nocach, już wiesz? A ty mnie budzisz jak dawniej. Nie, mój kochany, teraz twoja kolej bawić się w Atlanta.

– Crassus, ja mam już wyrobione zdanie. I wezmę odpowiedzialność na siebie. Ale sprawa jest zbyt poważna. Znam swoje zdanie, znam zdanie Bleisusa, chcę poznać twoje. Jak w geometrii – przez trzy punkty można przeprowadzić płaszczyznę.

– No dobrze, będę wyliczał fakty, a ty myśl. Wczoraj Mrok przyszedł do ciebie z pytaniem o pracę. Pod wodę poszedł wbrew własnej woli, podporządkowując się postanowieniu ogólnego zebrania LUDZI. Smoki próbowały uratować nas przed inwazją mrówek. Uratowały Laërtesa i próbowały uratować Selenę. Pod strażą smoków ludzie codziennie kąpią się w otwartym oceanie. Moglibyśmy to sobie wcześniej w tym świecie wyobrazić? Catherine nosi obol, który jej dałem. Dziewczyny nazywają ją mamusią. Lobasti podkochuje się w Diracu. Gotowa mu czyścić broń. Sam widziałeś, jak pracowała przy biowannie – dla nas. Ochraniała geologów w wąwozie pterozaurów. I nie zapominaj, że zgodzili się na skanowanie pamięci.

– Które nic nie dało.

– Nikt nie wiedział, że nic nie da. Ale że będzie bolesne i może być niebezpieczne, doskonale rozumieli. I uprzedzali ciebie.

– Już wszystko rozumiem. Dziękuję ci, Crassus.

– A teraz mów, co się stało.

– Znowu zadziałało źródło energii pierwotnej.

– To dobrze.

– Daje pole bardzo słabe, ale modulowane sygnałem informacyjnym.

– Sztuczne źródło?

– Tak.

– A my posłużyliśmy się obcą energią…

– …i przeciążyliśmy ich system informacyjny.

– Czyli: jesteśmy złodziejami. Dawniej za to obcinali rękę. Ale co mają do tego smoki?

– Ich świat jest unikalny. Wypadł z ogólnego szeregu. Podobnie zresztą jak nasz. Nasi astronomowie wyjaśnili u Lobasti, dokąd oni lecieli. Nazywają tą gwiazdę Kwantor. Została wydana na żer fizykom. Powiedzieć ci, gdzie ona się znajduje?

– Robisz aluzję do tego, że ukradliśmy energię smokom?

– Nie. One jeszcze nie władają aż taką potęgą. Smoki były zdumione, dowiedziawszy się, że zapaliliśmy gwiazdę w kilkanaście sekund. Ale jakiś związek jest. Gwiazda została oddana nie zwykłym fizykom, tylko chronofizykom. Fizykom, którzy przeprowadzają doświadczenia z czasem. Jak nasz Treped.

– Myślisz, że ograbiliśmy naszych potomków?

– Ich potomków…

– Jeszcze gorzej. Udało się rozszyfrować zawartość informacyjną sygnału?

– Jeszcze nie. Ale nie w tym rzecz. Jedno jest pewne: smoki nas szukają. Pytanie: co mamy zrobić? Wariantów jest wiele, ale sprowadzają się do dwóch podstawowych. Pierwszy to zniknąć z tej przestrzeni. Porzucić tą planetę, wycofać się do domu i ukryć się na jakiś czas. Sądząc po tym, co opowiadała mi Lobasti, smoki nie zdołają nas odnaleźć w nieskończonej ilości światów. Drugi wariant to odpowiedzieć na ich poszukiwania. Do tej pory mieliśmy do czynienia z trzema smokami. Teraz będziemy mieli do czynienia z całą ich cywilizacją. To może być niebezpieczne. Zastanawiam się, czy powiedzieć o tym naszym smokom, czy nie.

– Natychmiast! I on jeszcze myśli! Dzieciak!

– Nie poganiaj fali! Nie bawimy się lalkami. – Cerbes zerwał się i zaczął biegać po pokoju. – Decydujemy o losach cywilizacji.

– O losach śmiertelnie chorej cywilizacji – to po pierwsze. A po drugie: czego ty się boisz? Że nas zawojują? Po co? Dla przestrzeni życiowej? Takich światów, jak ten, mają setki, a my możemy im przekazać jeszcze więcej. Dla naszej wiedzy? I tak oddamy. Poza tym ich wiedza prawie wszędzie przerasta naszą. Dla bogactw? Nawet nasz cherlawy przemysł może zaspokoić wszelkie potrzeby ludzi. A ich technika we wszystkich parametrach przewyższa naszą. Przykładem może być choćby ich kuter, który oni uważają za stuletni szmelc. Co pozostaje? Ludzie? Wystarczy im swoich. Bezpieczeństwo? Nie stanowimy dla nich zagrożenia, zresztą takich światów, jak nasz, jest nieskończenie wiele. Nie da się zniszczyć wszystkich, więc nie ma po co zaczynać. A co my stracimy? Nasza narodowa kultura zginie pod ich wpływem. Ale za pięćset lat i tak zginie sama z siebie. No i jak, zdjąłem ci kamień z duszy?

– Zawsze każdego potrafiłeś przekonać, że czarne jest białe, a białe jest malinowe w kropki. Masz rację, boję się. Jeszcze jak się boję. Gdzieś ty widział, żeby zagrożenie przychodziło stąd, skąd go oczekujesz?

– I ja się boję. Kiedy Catherine odejdzie do swoich, nie będę miał z kim prowadzić filozoficznych dyskusji. No, idź już, smoki czekają na ciebie.

Gdy Mrok powrócił, Lobasti w radosnym pobudzeniu biegała z kąta w kąt. Łyse siedziały naburmuszone w swoim kąciku, przytulone do siebie. Catherine wyglądała, jakby nie wiedziała, po czyjej stronie ma stanąć. Spoglądała to na Lobasti, to na dziewczęta, a jej ogon nerwowo podrygiwał.

– Tatko, nas szukają! Sam Wielki Smok! – Lobasti rzuciła się Mrokowi na szyję.

– Skąd wiesz?

– Cerber był tu przed chwilą – wyjaśniła Catherine. – Ludzie złapali sygnał.

– Sygnał? Oni już są tutaj? – Mrok odepchnął od siebie Lobasti, chciał spojrzeć jej w oczy, ale smoczka zakręciła się po pokoju w piruecie i przewróciła stół.

– Szukają nas, szukają! I niedługo nas znajdą! Hop-la!

Przy tych słowach łyse jeszcze ciaśniej przytuliły się jedna do drugiej. Mrok chwycił przelatujący koło niego koniec ogona i zacisnął w pięści. Lobasti straciła równowagę, pisnęła i wpadła w jego objęcia.

– Są już tutaj?

– Nie, tato, ale niedługo będą! Posyłają nam komunikat Morse’em. Nasza radiostacja jest akurat w konserwacji, ale jutro Cerbes uruchomi ją i odpowiemy! Wyobraź sobie, że to nam ci ludzie ukradli energię! I niechcący nas zassali. – Lobasti znowu zakręciła się po pokoju, przewiesiwszy koniuszek ogona przez ramię, jak tren sukni. – Choć uwierzcie, choć uwierzcie, że tańczyłam tak kadryla… – podśpiewywała sobie wysokim, dźwięcznym głosem.

– Z czego tak się cieszysz?

– Jak to z czego? Fizycy pracują z tak wielką mocą, że mogą gwiazdy zapalać! Masę zamieniają bezpośrednio w energię. Wprawdzie generatory spłonęły, ale to już drobiazg, życie.

Mrok potarł łapą podbródek.

– Możesz natychmiast wezwać tu Cerbesa?

Lobasti rzuciła na niego przerażone spojrzenie, wyjęła z kieszeni na pasie komunikator, powiedziała kilka słów. Mrok usiadł na podłodze koło łysych, pogłaskał je po plecach. Wielodniowa apatia znikła, znowu był sobą. Niedługo przyszli Cerbes i Crassus.

– Panie Cerbes, proszę pana o obywatelstwo dla siebie, swoich żon i przyszłych dzieci. Chcę otrzymać podwójne obywatelstwo.Może pan to prawnie sformułować? – zaczął Mrok prosto z mostu.

– A my? – pisnęła Fausta.

– I dla dziewczyn.

– Czy to pilne? – zdziwił się Cerbes.

– Tak.

– Dziewczyn oficjalnie nikt nie pozbawił obywatelstwa. Ale wy, smoki, stanowicie przypadek wyjątkowy. Pożądane byłoby przeprowadzenie ogólnonarodowego referendum.

– Na to nie ma czasu. Pan musi podjąć decyzję. Tak czy nie?

– Ale po co taki pośpiech?

– Odpowiem na wszystkie pytania jak tylko usłyszę pańską odpowiedź.

– Dobrze, spróbuję sam się domyślić. Nie myślał pan o tym, póki nie złapaliśmy sygnału z waszej przestrzeni. Pan się boi, że pana znajdą smoki z waszego świata. Jeśli uwzględnić pana przeszłość… cóż, ma pan do tego powody. Ale pan sam chciał powrócić na Strefę, nieprawdaż? Panie Mrok, proszę mi powiedzieć, co pan zrobi, jeśli nie otrzyma pan obywatelstwa?

– Jeśli tylko ja go nie otrzymam, nic. Jeśli nie otrzymają go także Lobasti i Catherine, zniszczę zero-latarnię naszego kutra.

– I to wszystko?

– Wszystko. Obietnice, które wziąłem na siebie, wypełnię. Cała informacja z bazy danych naszego kutra zostanie wam przekazana.

– Pan chce posłużyć się naszym obywatelstwem jako tarczą.

– Tak.

– I zagrozić tym całej naszej cywilizacji.

– Niech pan nie robi z igły widły. Nikt nie zechce zaczynać wojny z powodu trójki uciekinierów. Zwłaszcza z cywilizacją, zdolną zapalać gwiazdy – uśmiechnął się Mrok.

– Dobrze! – Cerbes uderzył dłonią w stół. – Otrzymaliście obywatelstwo. Formalności dopełnimy jutro. To wszystko?

– Wszystko! – rozjaśnił się Mrok. Otworzył bar Penelopy i wyjął butelkę z ciemnego szkła. Zamiast koniaku z butelki wypadła zwinięta w rurkę kartka. Przeczytał: „Pijaństwo to dobrowolne wariactwo”, ale na głos powiedział co innego – „Pijący wino i pijący wodę nigdy nie zrozumieją jeden drugiego”. – Ciężko westchnął i popatrzył po wszystkich. Łyse zachichotały, Catherine uśmiechnęła się smutno, Lobasti zamrugała i otworzyła pysk. – To twoja sprawka. – wskazał palcem.

– Tato, jak się domyśliłeś?

– Po co pić różne świństwa, kiedy jest tyle znakomitych win gronowych? – przyszedł mu z pomocą Crassus. – Cerbes, pomóż staruszkowi przynieść butle boskiego nektaru.

– Dziewczynki! – napomknęła Catherine.

– Tato, nie odpowiedziałeś na jedno pytanie – przypomniała Lobasti Mrokowi, kiedy ludzie wyszli. – Mamy zamiar wrócić na Strefę czy nie?

– Tak, ale jest pewien niuans. Co innego wrócić samemu, a co innego, jak ciebie zwrócą panowie z kierownictwa. Łapki za plecy, krok w lewo, krok w prawo… No, rozumiesz.

– Tato, jesteś głupi! – rozzłościła się Lobasti.

– Głupi – zgodził się zadowolony Mrok. – Ale przezorny. – Smoki nie polują na inne smoki. Byłeś człowiekiem i pozostałeś nim.

– Ani trochę się nie zmienił. Taki sam paranoik! – podchwycił radośnie Mrok.

– A z tą zero-latarnią to kompletna bzdura. Każdy fizyk ci to wyjaśni. Od chwili, kiedy wypadliśmy z naszego świata straciła płaszczyznę polaryzacji. Teraz pracuje tylko w trzech wymiarach tego continuum. Szukający nas nie mają z niej żadnego pożytku, idą śladami energii, którą ludzie im ukradli.

– Cerbes nie jest fizykiem. To, co mu powiedziałem, to nie bzdura, tylko bluff.

– I tak jesteś głupi – powtórzyła Lobasti, ale już bez złości, tylko z lekką obrazą. – Mało, że ma dwie żony, to jeszcze nadawaj mu podwójne obywatelstwo!

– Aha! – Mrok przycisnął do siebie obie żony, przypomniał sobie, że obie są w ostatnim miesiącu ciąży i ciężko westchnął.

Wiadomość, że smoki poprosiły o obywatelstwo, poruszyła całą planetę. Przez resztę nocy Cerbes i Crassus zorganizowali kampanię i rano wszystkie publikatory pisały i mówiły o smokach, pokazywały smoki. Smoki tańczą na placyku, smoki z geologami w wąwozie pterozaurów, Szalla leci wierzchem na Mroku, Catherine, z wargami wyciągniętymi w rurkę, gra na kościanej fletni, Lobasti z wielką soczewką przed oczami remontuje cybera, Mrok z robotnikami przy konstruowaniu pontonu, Mrok i nurkowie przy ciele Ułamka, Catherine i łyse przy komputerze, Catherine z Nytikiem na smyczy… Do wyspy docierało tylko dalekie echo burzy, jaka przetoczyła się przez Ziemię. Ludzie triumfowali. Olbrzymie tłumy wyszły na ulice i place. Ludzie nieśli przygotowane w pośpiechu transparenty typu „Człowiek i smok na wieki razem”, „Smoki z nami”, czy „My – razem”. W ojczyźnie Szalli zaczęto rzeźbić jej pomnik. Stało się to, czego bał się Mrok: młodzież zaczęła golić głowy. Mrok zdenerwował się i poprosił o ogólnoplanetarny czas antenowy. Cerbes chętnie mu go udzielił. Smok dokładnie, z humorem wyjaśnił pochodzenie „fryzur” dziewczyn. Prosił, żeby nie ścinać włosów, nie niszczyć piękna natury, a jeśli już chcą się stylizować na smoki, to wystarczy obcisły kostium z rysunkiem łuski i skrzydełkami. Uzyskał efekt wręcz przeciwny: zaczęli golić jeszcze intensywniej. Atelier zasypano zamówieniami na „smocze” kostiumy wszystkich możliwych kolorów, a biologów ekspedycji prośbami o przysłanie małego dinozaurów (nazywano je teraz nyttikami) w charakterze domowego zwierzęcia. Niezadowolonych było mniej niż pięć procent, przy czym większości z nich nie podobały się nie same smoki, tylko szum, podniesiony wokół nich. Cerbes zadowolony zacierał ręce. Cała brygada psychologów przygotowywała teksty wystąpień Mroka, wyjaśniała jego zdanie w wielu drobnych sprawach. Mrok jęczał, ale cierpiał. Zażądał tylko, żeby zdjęcia, wywiady i przygotowania do nich nie zajmowały więcej niż osiem godzin na dobę. I żeby nie było idiotycznych pytań typu: czy on się boi myszy.

– Każda kobieta ich się boi – palnęła raz Catherine. Jakiś cwany dziennikarz zdążył to nagrać i puścić w eter. Połowa kobiet planety pisała zachwycona: smoczyce też boją się myszy. Lobasti była wściekła.

Mrok słuchał pisku alfabetu Morse’a i z ciekawością patrzył, jak Lobasti pracuje na wymontowanej z kutra klawiaturze. Potem przeniósł wzrok na transporter, którym płynęły wieczne akumulatory. Kiedy Lobasti wybijała na kluczu kropkę, z maszyny wyskakiwał malutki, stugramowy akumulator, używany przez smoki w latarkach, komunikatorach, kieszonkowych komputerach i innych gadżetach. A jeśli Lobasti wysyłała w eter kreskę, pojawiał się większy, kilogramowy akumulator, używany w energetycznych blokach cyberów.

– Skąd to macie? – Mrok wskazał łapą na transporter. Lobasti machnęła na niego skrzydłem, żeby nie odwracał jej uwagi.

– Postanowiliśmy połączyć konieczne z przyjemnym – wyjaśnił Cerbes. – Żeby przekazać sygnał waszym smokom, trzeba przekształcić część energii pierwotnej w masę. Napięcie pola energii pierwotnej ulegnie zmianie i smoki to zarejestrują. Mniejsza masa to jeden sygnał, a większa drugi w waszym dwójkowym systemie przekazu informacji. Masa może być dowolna, więc postanowiliśmy dublować pożyteczne przedmioty.

– Koniec. – Lobasti zdjęła nauszniki i szczęknęła przełącznikiem, wyłączając przekaźnik.

– Coś ty pisała? – zapytał Mrok. – Słyszałem tylko sam koniec.

Lobasti podała mu arkusik i przeciągnęła się z chrzęstem.

„Nawiązaliśmy kontakt z autorami eksperymentu. To ludzka cywilizacja o zabarwieniu grecko-rzymskim. Dobrzy chłopcy, tylko lubią kląć ponad miarę. Oczekujemy was z niecierpliwością. Lobasti i kompania. P. S. Przeproście w moim imieniu ojca i matkę”. – przeczytał Mrok. Pod literami płynęły szeregi kropek i kresek.

– A-ja-jaj! – powiedział Mrok.

– Co, tato?

– To przecież historyczny dokument. Będzie leżał pod szkłem w muzeum. A ty narobiłaś tu tyle skreśleń i poprawek. Nie mówiąc już o stylu.

– Gdzie skreślenia? – Lobasti wyrwała Mrokowi papierek, włożyła do pyska, zamknęła oczy i połknęła. Cerbes rzucił się, ale nie zdążył uratować relikwii. Lobasti otworzyła wielkie ciemnoniebieskie oczy i obrzuciła wszystkich niewinnym spojrzeniem. – Nie widzę żadnych skreśleń.

– Historia ci tego nie wybaczy. Osądzi ciebie – wyjaśnił Mrok.

Ale Lobasti już fałszowała historyczny dokument kaligraficznym pismem na czystym arkuszu papieru. Spojrzała na zegar, postawiła datę i dokładny czas. Po chwili namysłu dodała zamaszysty zawijas zamiast podpisu. Podniosła arkusik za róg, wysunęła koniuszek języka i liznęła jego skraj. Cerbes natychmiast wyrwał go i schował do aktówki.

Fausta zabrała się z niebywałym uporem do nauki wspólnego języka. Penelopa, nurkowie i geologowie też zaczęli się go uczyć, ale nie z taką pasją. Dziewczyna porzuciła wszystkie inne zajęcia, nie rozstawała się z grubym, brudnym od jej palców zeszytem, kuła i kuła słówka. Ciężko jej to szło, ale jej upór był godny podziwu. Catherine pomagała jej, jak mogła. Mrok początkowo pokpiwał sobie z niej, potem też zaczął pomagać. Wtedy Catherine mogła poświęcić więcej czasu pozostałym uczniom i usystematyzować ich zajęcia. Lobasti dwie doby przesiedziała przy przekaźniku. Mrok z trudem zabrał jej nauszniki. Naradził się z Cerbesem, po czym podłączył do przekaźnika komputer i wysłał w eter kroniki kontaktu.

– Tato, przecież one są po łacinie. Nikt nie zrozumie – przestraszyła się Lobasti.

– Przetłumaczą. – Mrok wziął ją za ramiona, odwrócił i zaprowadził do sypialni.

– Niedługo będziemy w do-omu – ziewnęła Lobasti. – Sam Wielki Smok nas szuka.

– Kto to jest Wielki Smok? – zapytał Cerbes.

– Pierwszy. Jest w nas wszystkich. Trzeba go zobaczyć. Wszystko może. Jak tato. – Lobasti przeciągnęła się na legowisku, zwinęła się w kłębek i już spała.

– Bóg czy co? – zdziwił się Cerbes.

Kuter zrobił koło nad wyspą, zawisł nad oczyszczonym z kamieni i roślin placykiem i płynnie wylądował. Był nawet mniejszy od tego, w którym przyleciała trójka smoków. Mrok popatrzył po witających. Byli wszyscy obecni na wyspie, Cerbes zorganizował nawet orkiestrę. Lobasti denerwowała się, nie mogła usiedzieć bez ruchu, wyglądała jakby była gotowa uciec jak najdalej. Catherine okryła ją skrzydłem i coś szeptała do ucha. Penelopa i Cerbes ciągle spierali się o jakieś szczegóły protokołu. Jeden tylko Crassus wyglądał na spokojnego i pewnego siebie. Jako najbardziej doświadczony w oficjalnych spotkaniach wziął ze sobą krzesło i cieniutką książeczkę w miękkiej oprawie.

Kuter wylądował. Luk otworzył się i opadł na ziemię. Po schodach zeszła bez pośpiechu czarna smoczyca. Chciała coś powiedzieć, ale Cerbes wykonał gest ręką i zabrzmiała orkiestra. Słowa utonęły w głośnej muzyce. Smoczyca przystanęła na chwilę, po czym triumfalnie, iście po królewsku, ruszyła przed siebie. Mrok zachwycił się: jak ona bez żadnych zewnętrznych atrybutów osiągnęła taki efekt. Po prostu nieco podniesione, napięte, odciągnięte do tyłu skrzydła i chód na sprężystych łapach z ledwie zauważalnym zatrzymaniem po każdym kroku – a już widać, że masz przed sobą prawdziwą lady, obdarzoną władzą. Mrok poczuł plusk zero-t, jeden, drugi, trzeci… – a po każdym z kutra wychodził kolejny smok.

– To sama Anna – wyszeptała Lobasti. – Wielki Smok, lady Kora, lady Berta. O Boże, nie przypuszczałam, że to aż takie poważne. To wszystko z mojego powodu. Będą mnie sądzili i ogłoszą bojkot. Tato, ja się boję! – zakończyła niezwykłym dla siebie wysokim głosem.

Mrokowi te imiona nic nie mówiły. Z kutra wyszli Platan i Dorian. Mrokowi zadrgały na policzkach nabrzmiałe mięśnie, ale przypomniał sobie o swoim podwójnym obywatelstwie i trochę się uspokoił. A smoki ciągle wychodziły i wychodziły z kutra. Mrok rozpoznał jeszcze dwa – Tonarę i Elanę.

– Timur, Maja, Granit, ojciec, matka, Fala, Montan… – Lobasti wyliczała ich imiona i coraz bardziej się bała. Pod koniec ze strachu aż zapiszczała i schowała głowę pod skrzydło Mroka. Tak przerażoną widział ją tylko raz – gdy w dzieciństwie na nią napadła sowa. Smoki ustawiły się w dwa szeregi, zamarły, czekając na koniec muzyki. Wystąpiła Fausta, przygotowana do przemowy. Muzyka umilkła, nastąpiła chwila ciszy.

– Mamo, mamusiu, zaraz się zacznie! – rozległ się nad placykiem przerażony głos Lobasti.

Wyrwała głowę spod skrzydła Mroka, zwaliła się na bok, wygięła się w łuk. Ale się spóźniła. Wypadła z niej malutka, mokra, żywa istota i zsunęła się po łuskach na kamienie. Lobasti wysunęła język i ostrożnie polizała mokre skrzydełko. Smoki momentalnie zapomniały o ceremonii, złamały szyk, stłoczyły się wokół niej i wyciągnąwszy szyje próbowały zobaczyć noworodka. Smoczątko, przestraszone taka uwagą, próbowało schować się pod kamień. Mrok wyciągnął do niego dłoń, ale maluch zasyczał, pokazując maleńkie kły. Był mniejszy od palca Mroka. Próbując ratować sytuację, orkiestra zagrała coś powolnego, triumfalnego.

– Przepuśćcie! No przepuśćcie mnie, tępaki! – Mrok poczuł, jak ktoś przeciska się pod jego brzuchem, uniósł się na łapach. W środku kręgu smoków pojawiła się Penelopa, przyklękła, podniosła smoczątko z ziemi, coś mu szepnęła, przycisnęła do piersi i zaniosła do domu. Smoki posłusznie się rozstępowały, ustępując jej drogę.

– Pen, tylko go nie wypuść! – Lobasti dreptała za nią, zaglądając to z prawej strony, to z lewej. – Trzeba go umyć albo oblizać. Ty nie potrafisz, daj mnie.

– Wy, mamy, jesteście wszystkie tak samo nerwowe. Wiedz, że przyjmowałam nawet ciężkie porody. A tu wszystko dobrze. Proszę, już nosek oblizujemy. Uti, mój malutki.

Wraz z Lobasti i Penelopą do domu weszli Crassus i Catherine. Fausta w „smoczym” kostiumie stanęła w drzwiach i nie wpuszczała nikogo więcej, ani ludzi, ani smoków, nawet Mroka, twierdząc, że mamie i dziecku potrzebny jest spokój. Od czasu do czasu zza drzwi wysuwała się głowa Crassusa i komunikowała ostatnie nowości. Po jakimś czasie wyszła Catherine i powiedziała, że smoczątko już umyli, nakarmili i teraz śpi. Mrok nerwowo chodził pod oknami i złościł się. Wychował Lobasti od takiej samej kruszynki, a oni go nawet nie wpuścili do domu. Co oni tam wiedzą o wychowaniu!

– Rozumiem, że nie w porę, ale nie mógłby mi pan poświęcić kilku minut?

Mrok odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał zielony smok. Przez szkła komputerowych okularów prawie nie było widać jego oczu. Okulary nowe, ale pas z kieszonkami przeżył już niejedną przeróbkę. Sam diabeł nie zorientuje się w tych smokach: czy on jest młody, czy stary. I Lobasti nie ma w pobliżu.

– Przepraszam, ale czy nie mógłby się pan przedstawić?

– Ach tak, proszę mi wybaczyć. – Smok uprzejmie szurnął łapą. – Smok. Wielki. To znaczy: Pierwszy.

– Bardzo mi przyjemnie – odrzekł Mrok i też szurnął łapą. Postanowił zabawić się na całego. – Mrok. Bigamista. Kosmopolita. Killer. Zbiegły katorżnik.

– Panie Mrok, a czy ma pan plany na przyszłość? Chodzi o to, że nam jest bardzo potrzebny specjalista od Strefy. Ja nie mogę poświęcić jej dużo czasu, ale z planetą trzeba zrobić porządek. Na pewno ma pan jakieś pomysły na ten temat, nieprawdaż?

– Oczywiście. Po pierwsze, znieść zesłanie dożywotnie. Tylko terminowe. Może być nawet tysiąc lat, ale dokładnie wyliczony termin. I bez żadnych amnestii i przedterminowych zwolnień. Od-do. Żeby nie było żadnych nadziei i rozczarowań.

Smok słuchał uważnie i Mrok, nieoczekiwanie dla siebie samego, opowiedział mu o wszystkim, co nagromadziło mu się w duszy.

– A jak pan się odnosi do Doriana i Platana?

– Moim zdaniem ważniejsze jest, jak oni odnoszą się do mnie. W swoim czasie nieźle im dopiekłem. Powinienem ich przeprosić, ale… No, rozumie pan.

– W takim razie nie będzie z tym problemów. Wie pan, co zrobimy? Wydzielę panu grupę. To młodzi, energiczni chłopcy. Zajmiecie się zmianą statusu planety. Tylko proszę pamiętać: żadnych wyczynów z pogranicza prawa przy dzieciach. Chłopcy są do rzeczy, ale zupełnie zieloni. Niech pan ich nie zepsuje. Będzie pan pracował w ścisłym kontakcie z obserwatorami Strefy. Ze wszystkimi problemami proszę się zwracać do mnie. I nie dlatego, że mógłbym wymyśleć lepsze rozwiązanie, ale dlatego, że chcę być na bieżąco. Będzie to pochlebiało mojej ambicji kierownika. Proszę pomyśleć nad moją propozycją i przyjść jutro. Wprowadzę pana w sprawę, opowiem o rozmieszczeniu naszych sił wokół Strefy. A pojutrze udzieli mi pan odpowiedzi. Umówiliśmy się?

– A zna pan metody mojej pracy?

– Znam. – Smok ciężko westchnął. – Dałbym ci w łeb za takie metody. Ordynarne i nieefektywne. O tym też jutro pomówimy.

– Jak to: nieefektywne?

– Mogę wyjaśnić na przykładzie. Spotkałeś biurokratę, który nie chce podpisać projektu prawa o złagodzeniu reżimu Strefy. Jeśli prawo leży na jego biurku, to znaczy, że to wysoka szycha. Jeśli szycha, to ma umaczane palce. Jeśli ma umaczane palce, to znaczy, że też mu świeci Strefa. Przyjdź do niego i objaśnij mu, że smoki mogą widzieć przyszłość, a w tej przyszłości, powiedzmy za pół roku, czeka go Strefa. Co on zrobi?

– Ucieknie.

– Spróbuje uciec. Ale ty go złapiesz i zawrócisz. No i podpisze prawo. Dobrowolnie i z ochotą, bo także dla siebie.A teraz rozpatrzmy twoją metodę. Przychodzisz do biurokraty, celujesz do niego z pistoletu. Odmawiając podpisu, od razu staje się bojownikiem antyterrorystycznym. Po śmierci – bohaterem. Źle jest zabijać bohaterów. Nieprawidłowo i niesprawiedliwie. Z wszelkiego gówna robić bohaterów.

Cerbes mierzył krokami pokój i patrzył wściekle na Mroka. Na stole stygł duży kubek kawy.

– Czy pan nie rozumie, że to historyczny moment? Spotkanie dwu wielkich cywilizacji! Bezpośrednia translacja na cały świat! A pan zrobił z niej widowisko jarmarczne.

Mrok powęszył i skierował się do biurka Cerbesa. Przejechał nosem po szufladach i nieomylnie wyciągnął tą na samym dole. Była zamknięta na zameczek, ale nim to zauważył, było już za późno. W szufladzie leżały dwie butelki koniaku, otworzył jedną z nich.

– Nalać ci?

– Cykuty bez cukru.

Mrok rozlał koniak według proporcji. Cerbesowi do kryształowego kieliszka, sobie do jakiegoś cylindrycznego naczynia z przeźroczystego plastiku, stojącego akurat na stole. Cerbes westchnął ciężko i wyjął skądś jabłka.

– Na wody Styksu, jak mogłem zapomnieć, że wy, smoki, zepsujecie każde poważne przedsięwzięcie! – Cerbes wypił, zagryzł jabłkiem, usiadł przy biurku i złapał się za głowę. –Czy nie poszedłem wam na rękę? Białe togi z purpurową obwódką nie są u waszych dyplomatów przyjęte. Zgoda. No więc włożyłem na siebie tą idiotyczną marynarkę z ogonami… Skandal! Ale skandal! Ale czego wam tam jeszcze brakowało? – Cerbes zmarszczył czoło i pokręcił głową, nie wiadomo, czy od koniaku, czy od wspomnień. – Chociaż może to i lepiej. Bez białej togi to nie dyplomatyczne spotkanie, tylko nieoficjalna wizyta. A już zacząłem mieć nadzieję, że choć raz wszystko odbędzie się zgodnie z protokołem. Wymiana listów uwierzytelniających, podpisanie traktatów o przyjaźni i współpracy, o wymianie kulturowej, o wzajemnej pomocy w nauce i technice.. A przecież tak dobrze się wszystko zaczęło! Ależ ona szła! Sfinks, nie kobieta! Tfu!

– Nikt tego specjalnie nie planował. Lobasti rozemocjonowała się za bardzo i urodziła kilka dni za wcześnie. Pierwsza miała urodzić Catherine.

– Czy ty rozumiesz, że za dwie godziny jest ogólnoplanetarne wydanie nowości? Co ja im pokażę? – Cerbes uderzył dłonią po przycisku, rozjaśniając ekran na ścianie.

Zdjęcia robiono skądś z góry. Plecy ludzi, z prawej trzy smoki, z lewej bezdźwięcznie gra orkiestra. Pusta przestrzeń, czarna smoczyca z odciągniętymi do tyłu skrzydłami, za nią dwa szeregi smoków. Smoki zamarły jak na komendę „baczność!”. Nagle Lobasti pada na ziemię, zwija się w pierścień. Wszystkie głowy zwracają się w jej kierunku. Smoki łamią szyk, biegną do Lobasti, otaczają ją ze wszystkich stron. Te, które są z tyłu, wyciągają szyje, stają na tylnych łapach. Nikt nic nie rozumie, kompletny mętlik. Penelopa dzielnie rzuca się w tłum smoków, roztrąca je łokciami, znika z widoku pod ich ciałami.

– No i czy ja mogę coś takiego puścić w eter? A kto się urodził? – zapytał Cerbes.

– Nie wiem. U małych smoczków to nie jest tak łatwo określić. Powiem jak zrobimy oględziny tomograficzne.

– Ale muszę to ludziom zakomunikować. Planeta czeka.

– Powiedz, że jeśli dziewczynka, nazwiemy ją Szalla.

– A jeśli chłopiec?

– To trzeba zapytać Lobasti. Ale wiesz co, Cerbes? Mam pomysł. Możesz połączyć się z Lobasti? Ja swój komunikator zostawiłem w domu.

Cerbes wybrał kod i podał pudełeczko Mrokowi.

– Lobasti, to ja. Jest przy tobie ktoś ze smoków?

– Elana.

– Niech pilnie skieruje Doriana i Platana do Cerbesa.

– A ty gdzie jesteś?

– Właśnie u Cerbesa. Pyta, co się u nas urodziło.

– Mama sądzi, że dziewczynka.

– A ty?

– Raczej chłopiec. Ależ on na ciebie syczał!

Po dwu minutach Fausta przyprowadziła Platana i Doriana.

– Witajcie, koledzy. Zerwaliście rano Cerbesowi dyplomatyczne spotkanie – bez zbędnych wstępów zaczął Mrok. – Teraz trzeba pilnie ratować sytuację.

Zmieszane smoki spojrzały po sobie.

– W czym problem? – zapytały oba prawie jednocześnie.

– Niedługo na antenie wiadomości. Byliście w okularach. Potrzebny nam jest film z okularów o tym, jak rodziło się moje maleństwo.

Smoki znowu wymieniły spojrzenia.

– Byliśmy w tylnych rzędach – powiedział zmieszany Dorian. Platan zamruczał coś pod nosem, zapewne rozmawiając z kimś przez okulary.

– Będzie obrazek – powiedział po chwili. – Ale jak dopasować waszą technikę do naszej?

– Będę zdejmował kamerą prosto z ekranu. Wysoka jakość nie jest mi teraz potrzebna, wystarczy cokolwiek – wyjaśnił Cerbes.

Po chwili zjawił się Wielki Smok, przynosząc niezbyt wielki dwumetrowy ekran holograficzny i laptop. Mrok zmieszał się, gdyż nie zamierzał angażować do takich drobnych spraw najwyższego kierownictwa. Ale smok tylko skinął mu głową i zaczął rozmowę z Cerbesem. Po tym, jak szybko się zrozumieli, Mrok zrozumiał, że obaj przywódcy już się znają z debat wideo. Smok postawił ekran przy ścianie, Cerbes przyśrubował do biurka kamerę i zaczął się montaż krótkiego informacyjnego filmu. Cerbes mówił, co chciałby zobaczyć, a Smok czarował przy komputerze i na ekranie pojawiało się potrzebne ujęcie. Kadry zdjęte kamerami Cerbesa mieszały się z kadrami z okularów smoków i odtworzeniem komputerowym.

– Tu zbliżenie – komenderował Cerbes. – Nie, nie trzeba pełnej ostrości. Niech to wygląda, jakby operator nie zdążył naprowadzić jak należy. Teraz – żeby wydawało się, że biegnie. Obraz skacze w górę i w dół. Tak… Malucha z bliska. Widok na tłum smoków z mojej kamery. Znakomicie! Teraz Penelopę z bliska. Jej ręce. Malucha. Lobasti. Znowu Penelopę. Nie, nie tak, od tyłu. Przecież to zdjęcie dokumentalne. Znowu z mojej kamery… Matka się denerwuje. Na przodzie Pen, za nią smoki. Tu proszę o zbliżenie i wyraźne ujęcie, żeby było widać, co ona ma w rękach. O tak! I scenę przy drzwiach. Jak szczęśliwy ojciec nerwowo chodzi pod drzwiami, ale go nie puszczają. Znakomicie! A teraz wywiad z ojcem.

Mrok zupełnie zapomniał o tym, że we wszystkich kątach gabinetu Cerbesa są ukryte kamery. Prezentował się zresztą całkiem udanie. Jakoś niezauważalnie całkowicie obrósł łuską i znowu był smokiem zielonym, a nie różowym w paski. Zaraz po zakończeniu filmu Cerbes przekazał go komuś wraz z kilkoma wskazówkami co do tekstu komentarza i zadowolony rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Tak, właśnie w takim ujęciu. Smoczy noworodek na rękach kobiety. Symboliczne.

– O, do diabła! – zawył nagle Mrok i rzucił się do drzwi.

– A ty dokąd?

– Wychowywać malucha. One go rozpieszczą.

– Jakie one?

– Łyse.

Mrok bał się, że, jak poprzednio, do domu nikogo nie wpuszczają, ale jego wpuszczono. Maluch leżał w mini-kojcu na kocu, otoczony talerzykami z wodą, modem, galaretą mięsną, konfiturami. Łuski mieniły się turkusem, a nawet błękitem. Na brzuszku łusek nie było. Różowa skórka z podeschniętą warstewką krwi.

– Dziewczynka – powiedział Mrok i zrozumiał, że w duchu marzył o synu.

– Coś ty, tato! Ja chcę syna!

– Wybacz, kochanie, moja pomyłka. Puściłem iksa zamiast igreka. Następnym razem będę dokładniejszy.

Lobasti wyciągnęła szyję i jeszcze raz dokładnie obejrzała maleństwo.

– Znowu dziewczynka… A może jednak się mylisz? Zobacz, jaką ma szeroką pierś.

– Wykapana ty. To widać od razu. A dlaczego nie ma skrzynki z piaskiem?

– Och ty, Boże mój! – wykrzyknęła żałośnie Lobasti i zrobiła się zadziwiająco podobna do zakłopotanej Catherine.

Mrok pochylił głowę nad małą, ale ta zasyczała na niego. Końcem języka ostrożnie polizał ją w nos, omal nie przewracając na grzbiet. Smoczka oblizała się, kichnęła, ale już nie syczała. Przyjęła.

– Mrok, rozmawiałeś z Wielkim. Co z nami będzie? – Catherine podeszła do niego.

– Nie martw się, kochana. Wielki wytarł o mnie nogi, wystrofował i zaprosił do pracy. Będę ekspertem od Strefy. Dokładnie to, o czym marzyłem, i to nie w podziemiu, tylko najzupełniej poważnie.

Catherine aż się rozpłakała.

\* \* \*

Mrok skończył obijać ścianę sosnowymi deskami i z zadowoleniem obejrzał pracę. Sosnowe deski pachną apetycznie, ale w smaku… Kto raz skosztuje, już nie zechce. Pozostawał dylemat: pokryć lakiem, nasycić czymś czy pozostawić jak jest. Jeśli pozostawić jak jest, mogą ściemnieć. Jeśli pokryć lakiem, zniknie zapach. Jeśli czymś przesycić, będzie pachniało nie sosną, a tym świństwem. Poprzednio obił ścianę brzozą i natarł woskiem. Wyszło znakomicie. Aż za dobrze. Ściankę objedli do gołego plastiku. Z początku obarczał winą dzieci, ale raz zobaczył, jak Lobasti, zaczytana w książce, mimochodem odrywa szczapki i wkłada do pyska. Jeśli matka tak postępuje, to czego wymagać od dzieci?

Rozległ się dzwonek. Szalla zleciała z szafy i całym ciałem naparła na klawisz otwierający drzwi. Klawisz się podał. Szalla zleciała na podłogę i pobiegła do drzwi. Do pokoju wszedł Guz.

– Szallo, zabroniłem ci przecież dotykać tego przycisku! A gdyby do nas przyszedł ktoś obcy? Przecież to Strefa, nie rozumiesz! Za karę nie dostaniesz dzisiaj nic słodkiego.

– Przecież jesteś w domu! – naburmuszyła się smoczka.

Mrok westchnął. Celowo umieścił pod klawiszem bardzo grubą sprężynę, mając nadzieję, że dzieciom nie wystarczy siły, żeby ją nacisnąć. Ale czy coś może zatrzymać smoka? Nawet małego. Zwłaszcza jeśli wdał się cały w matkę.

– Nie strofuj jej. Przecież naprawdę jesteś w domu. – Guz podniósł Szallę i posadził sobie na ramionach. –Gdyby ciebie nie było, nie wpuścilibyśmy nikogo, prawda, malutka?

– Nie broń jej. Ty ją rozpuszczasz. – Mrok próbował wytrzeć szmatką żywicę z dłoni. – A ona musi zrozumieć, że trzeba odpowiadać za swoje czyny.

– A ty w dzieciństwie zawsze odpowiadałeś? – Guz padł na kanapę. Mała puszysta wiercipięta od razu wskoczyła mu na kolana.

– Trener pływania nie musi sam umieć pływać.Musi uczyć innych.

Szalla ze zdumienia podniosła uszka, nie chcąc opuścić ani słowa. Coś takiego nie usłyszysz od papy codziennie.

– Twoje żony w domu?

– Będą na kolacji. Łyse też, więc zostań. Lobasti jest na Kwantorze. Catherine udaje, że poluje na dinozaury.

– Dlaczego tylko udaje?

– Bo wzięła ze sobą Artioma. We dwójkę tam dużo upolują.

Szalla prychnęła z oburzeniem.

– A dlaczego nie wzięli mojej dziewczynki?

– Ależ coś ty! – oburzył się Mrok. – Przecież tam są dinozaury! Drapieżniki! Czy komuś kiedyś udało się upilnować dwoje dzieci na raz?

– Takich jak twoje – nie. – Guz uśmiechnął się pod wąsem.

Szalla znów prychnęła z oburzeniem.

– Co za bzdurę przepchnąłeś przez zebranie prawodawcze? – Guz przeszedł do poważnych spraw. – Że za każde zabójstwo otrzymuje się karę przeciętnej długości życia? To taka trusia, jak Conan, ma tu siedzieć prawie pięćset lat? A Maggie, która w ogóle nikogo nie zabiła, pod to prawo zupełnie nie podpada. W ogóle to według tego prawa tylko kilka bab pójdzie na górę. W dodatku te najlepsze, najłagodniejsze, najbardziej ustępliwe. Naród nie jest z ciebie zadowolony. Nie tego od ciebie oczekiwali.

Mrok roześmiał się z zadowoleniem.

– To tylko pierwszy krok. Przebiłem pryncypialną linię prawa: skasowałem dożywocie. Widzisz, że prawo jest bezsensowne?

– Wszyscy widzą.

– No i dobrze. Teraz będziemy wnosili poprawki. Łatwiej wnieść poprawkę niż przebić prawo. Na przykład będziemy premiowali pomoc przy zazielenianiu planety. A jak ci się podoba moja nowa ścianka?

Guz podszedł, wziął na palec kroplę żywicy, pokazał Mrokowi.

– Za to nie zjedzą – powiedział smok.

– Papa jest chytry – odezwała się Szalla. – Wiedz to!

**Koniec tomu szóstego.**

1. Ros. malkontent. [↑](#footnote-ref-2)
2. Autor każe Szalli przekręcać rosyjskie Mrak (Mrok) na Marak. Sądząc po nazwisku Fred Stone, Mrok był Anglosasem, więc jego przezwisko to Dusk, zresztą smoki mówiły językiem opartym na fonetycznie zapisywanym angielskim. W odróżnieniu od Głowaczek (ros. Łobastik) to imię tłumaczę na polski, ale nie przekręcam. [↑](#footnote-ref-3)
3. U autora pterodaktyle, ale te były wielkości wróbla i nawet człowiekowi nie mogłyby pojedynczo wyrządzić znacznej krzywdy. Bez porównania większe i groźniejsze były pteranodony. [↑](#footnote-ref-4)
4. Gra słów, oparta na podobnym brzmieniu „szlemom” (hełmem) i „oszielomit’”. [↑](#footnote-ref-5)
5. Nieprzetłumaczalna gra słów: rukowożu – kieruję, ruko-wożu – wodzę rękami (niegramatycznie). [↑](#footnote-ref-6)